

BESTSELLER NEW YORK TIMES A

DZIECI

M

D

M

Z

C

JEDEN
Z NAJBARDZIEJ
ZNANYCH YOUTUBERÓW

JOEY
GRACEFFA

Feeria
WYDAWNICTWO
young

DZIECI
EDENU

JOEY GRACEFFA

WSPÓLNIE Z
LAURĄ L. SULLIVAN

PRZEKŁAD:
ANDRZEJ GOŹDZIKOWSKI

Feeria
young

Tytuł oryginału: Children of Eden

Przekład: Andrzej Goździkowski
Redaktor prowadzący: Maria Zalasa
Redakcja: Marta Stęplewska
Korekta: Agnieszka Grzywacz

Projekt okładki: Krzysztof Iwański
Zdjęcia na okładce: Getty Images

Copyright © 2016 by Joey Graceffa
First published by Keywords Press/Atria Books, a Division of Simon & Schuster, Inc.
Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-717-4
Wydanie I, Łódź 2017

Wydawnictwo JK

Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,
92-101 Łódź tel. 42 676 49 69 www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

Książkę tę dedykuję ludziom, których wyobraźnia sprawia, że żyjemy w piękniejszym świecie: nigdy nie przestawajcie marzyć. A także moim czytelnikom, dzięki którym spełniają się moje marzenia.



– JESZCZE! – NALEGAŁAM, UDERZAJĄC PIĘŚCIĄ w połyskliwy stalowy stół. Światło gwiazd migoczących na niebie docierało do nas przefiltrowane przez mgiełkę rozpylonych w powietrzu nanocząstek, która miała nas chronić przed promieniowaniem ze zniszczonej atmosfery. Mój brat Ash siedział po drugiej stronie stołu. Jego oczy lśniły w półmroku.

– Rowan, kapłani twierdzą, że planeta uległa zniszczeniu z winy naszych przodków. Zawsze było im mało. Domagali się wciąż więcej i więcej, aż doprowadzili do tego, że Ziemia nie była już w stanie sprostać ich zachciankom. I umarła – powiedział, uśmiechając się szeroko.

Oczywiście droczył się ze mną. Ale kiedy to mówił, zauważyłam, jak jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Reagował w ten sposób, ilekroć wspominał o Ekokłęsce. Ash był częstym gościem w świątyni, gdzie całymi godzinami na klęczkach odbywał pokutę za czyny naszych przodków. Efekty jego modłów były mizerne: atmosfera pozostawała zniszczona, świat nadal był martwy, a my utrzymywaliśmy się przy życiu tylko za sprawą czulej opieki, jaką roztaczał nad nami Ekopanoptikon. Modlitwy nie mogły sprawić, by uschnięte drzewa ożyły. Ziemia była martwa. My jednak wciąż żyliśmy.

Naturalnie moja noga nigdy nie postąpiła w świątyni. Kto wie, może gdybym ją kiedyś odwiedziła, nie stałabym się taką cyniczką. Ale przecież przez ostatnie szesnaście lat w ogóle *nigdzie* nie byłam. W każdym razie nie oficjalnie, bo przecież dla władz nie istniałam.

Kto wie, może byłam po prostu wytworem wyobraźni mojego brata. Chociaż gdyby tak było, pewnie już dawno znudzony wróciłby do domu i położył się do łóżka. Wymysłów łatwiej się pozbyć niż mnie. Ash wiedział, że nigdy się nie poddamę. W końcu, za namową naszej mamy, zgodził się, by sporą część każdego dnia poświęcać na udzielanie odpowiedzi na moje natrętne pytania.

Cóż, jak na dziewczynę, która nie istnieje, potrafiłam być dosyć upierdliwa. Tak w każdym razie niemal każdego dnia twierdził Ash.

Posłałam mu szelmowski uśmiech i zażądałam:

– Jeszcze!

A po chwili, nie doczekawszy się reakcji, skoczyłam na niego, przewracając go razem z krzesłem. Krzesło wylądowało na wypięłgnowanym przez moją matkę dywanie z mchu. Ash spróbował uciec przede mną, przetaczając się na bok, ale marnie mu to wyszło – byliśmy tego

samego wzrostu i chociaż bardzo się tego wstydził, z naszej dwójki to ja byłam silniejsza.

– Jeszcze! – zawołałam, przygniatając go do ziemi. – Opowiedz mi coś jeszcze!

Moje łaskotki sprawiły, że zaczął się wić i skręcać na ziemi. Po chwili oboje zanosiliśmy się histerycznym śmiechem.

W pewnym momencie od strony werandy dobiegł łagodny głos naszej matki:

– Dość tego! Chyba nie chcecie, żeby usłyszeli was sąsiedzi.

To nas momentalnie otrzeźwiło. Co prawda było mało prawdopodobne, że nasze śmiechy przenikną przez wysoki i gruby mur z kamienia otaczający naszą rodzinną posiadłość, tym niemniej zagrożenie było realne – gdyby ktokolwiek zorientował się, że tu jestem, oznaczałoby to katastrofę. Jasne, mama pewnie zdołałaby jakoś wytłumaczyć sąsiadom, że dziewczęcy śmiech należał do koleżanki, która wpadła do Asha w odwiedzin. Jednak, prawdę mówiąc, prawie nigdy nikt nas nie odwiedzał (a kiedy już miewaliśmy gości, musiałam szybko kryć się w którymś z licznych skrytek i sekretnych pomieszczeń, które rodzice urządzili w całym domu). Zawsze istniało jednak ryzyko, że jakiemuś wścibskiemu sąsiadowi będzie się chciało zajrzeć do bazy skanów przechodniów i skojarzyć fakty. A wtedy byłoby po mnie. Dosłownie.

Pomogłam Ashowi wstać i usiadłam naprzeciw niego. Następnie, siląc się na powagę, poprosiłam go o to samo, co zawsze: żeby zdradził mi więcej szczegółów na temat świata rozciągającego się wokół naszego rodzinnego domu. Nie chodziło tylko o to, że byłam ciekawa życia na zewnątrz, którego nie mogłam doświadczyć: umierałam wręcz z pragnienia, by je poznać. Zachłannie pożądałam opowieści brata.

– Jak była dzisiaj ubrana Lark, kiedy zdjęła już szkolny mundurek?

Lark to dziewczyna, w której zabujał się mój brat. Byłam nią totalnie zafascynowana. Kiedy ją opisywał, zdawała mi się niesamowicie realna, jakby była też moją znajomą. Miałam wtedy wrażenie, że ja sama jestem kimś realnie istniejącym. Byłam przekonana, że gdybyśmy się kiedyś spotkały, od razu byśmy znalazły wspólny język.

Każdego dnia zaraz po powrocie Asha zasypywałam go milionem pytań na temat tego, co się działo w szkole. Nie interesowało mnie, czego się danego dnia nauczył – całą teorię przyswajałam samodzielnie dzięki filmikom i blokom danych. Fascynowali mnie ludzie. Najdrobniejsze szczegóły ich codziennego życia wprawiały mnie w zachwyt. *Czy nauczycielka historii środowiska flirtowała dziś z dyrektorem szkoły? A kiedy jechałeś dziś rano do szkoły, czy operatorka autopętli uśmiechnęła się do ciebie podczas skanowania ci tęczówki oka? Czy Brook znowu pałaszował ciasteczka ze szkarłatnicy z otwartymi ustami? Ci ludzie to przyjaciele, których nigdy nie będę miała. Kochałam ich wszystkich.*

Niestety Ash nie zawsze umiał zaspokoić moją ciekawość. Na pytanie, jak dziś ubrała się Lark, odparł niepewnie:

– Hm, chyba miała na sobie coś żółtego.

– Ale w jakim odcieniu: jaskrawym czy bladym? – nie dawałam za wygraną. – Czy była to żółć cytryny, czy taka, jaką mają płatki jaskrów, a może kojarząca się ze światłem słonecznym?

Oczywiście od momentu Ekokłęski nikt nie widział na własne oczy cytryn ani jaskrów.

– Czy ja wiem... Chyba taka zwykła, przeciętna żółć.

– Była ubrana w sukienkę?

– Hm...

– Jesteś do niczego! – westchnęłam, opadając na oparcie krzesła.

Ash nigdy nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że wszystkie te drobiazgi, dla niego bez znaczenia, dla mnie były na wagę złota. Jasne, starał się, naprawdę próbował mi pomóc, ale ja nigdy nie byłam w pełni usatysfakcjonowana jego opowieściami. Wspólnymi siłami próbowaliśmy stworzyć coś w rodzaju wyobrazonego życia dla wyobrazonej dziewczyny. Musiałam być przygotowana na nadejście tego cudownego dnia, gdy wreszcie wkroczę do prawdziwego świata. *O ile* taki dzień w ogóle kiedykolwiek nadejdzie. Mama i tata zawsze mi powtarzali, że w końcu się doczekam. Wysłuchiwałam ich zapewnień od szesnastu lat, jednak owa wymarzona chwila nadal pozostawała tylko w sferze marzeń.

Przyglądałam się uważnie bratu, kiedy z widocznym wysiłkiem próbował przywołać w pamięci szczegóły minionego dnia, po to bym mogła poczuć, że należę do rzeczywistego świata. Ash był moim zwierciadlanym odbiciem, wyglądał niemal identycznie jak ja. Oboje mieliśmy kruczoczarne włosy, dołeczki w brodach i jasnobrązową karnację. Przyznał mi się kiedyś, że nie lubi swojej twarzy. Uważał, że ma zbyt delikatne rysy jak na chłopaka. Niewykluczone, że gdybym poznała lepiej świat, doszłabym do wniosku, że moja twarz jest zbyt mało dziewczęca.

Chyba największe różnice w naszym wyglądzie kryły się w budowie szczęk. Oboje mieliśmy je wydatne i mocno zarysowane, jednak kiedy Ash się czymś martwił, zwykle zaczynał poruszać nimi, zaciskając i rozluźniając, jakby przeżuwał swój problem – tak jakby faktycznie był on twardym orzechem do zgryzienia. (o orzechach dowiedziałam się kiedyś z filmiku edukacyjnego stworzonego na lekcje z historii środowiska. Rosły na drzewach i były jadalne – możecie to sobie wyobrazić?).

Natomiast ja, kiedy coś mnie martwiło, po prostu zaciskałam zęby. I trzymałam je w ten sposób tak długo, aż mięśnie w policzkach zaczynały piec.

Ostatnio często tak robiłam.

Istniały jeszcze dwie inne cechy, które nas w sposób wyraźny odróżniały – oprócz płci, rzecz jasna. Ash miał oczy po matce – szarobłękitne i nieodbijające światła. Moje natomiast były dziwne i mieniły się różnymi kolorami – w zależności od oświetlenia raz były zielone, kiedy indziej błękitne lub złote. Kiedy przyglądałam się im z bliska w lustrze, w błękitcie tęczy dostrzegałam gwiaździste bursztynowe rozbłyski – cętki i smugi, które przypominały meteory

przecinające lazuruwe niebo.

Gdyby ktokolwiek mnie kiedyś zobaczył, oczy zdradziłyby mnie momentalnie. Zaraz po urodzeniu dzieciom wszczepiało się implanty soczewkowe. Ludzkie oko jest zdolne wytrzymać promieniowanie świetlne tylko do pewnego pułapu, a odkąd atmosfera ziemską uległa uszkodzeniu, nasz wzrok narażony był na kontakt z podwyższonym promieniowaniem ultrafioletowym, niebezpiecznym dla niechronionych implantami źrenic. Żeby temu zaradzić, podczas zabiegu chirurgicznego w oku umieszczano się filtr, który chroni przed promieniami. Tylko długotrwały kontakt z promieniowaniem skutkowało uszkodzeniami wzroku, jednak osobie, której nie wprawiono ocznych implantów, prędzej czy później groziła ślepota. Dotychczas nie wychwyciłam u siebie żadnych zmian, ale podobno przed trzydziestym rokiem życia mój wzrok zaczął szwankować. Filtr w implantach pełnił jeszcze jedną istotną funkcję – dzięki niemu wystarczył jeden szybki skan, by ustalić tożsamość każdego mieszkańca Edenu.

Oczywiście jako drugie dziecko nie mogłam zostać poddana operacji wstawienia implantów, dlatego moje oczy nadal miały naturalny kolor. Czasami kiedy Ash zbyt długo się w nie wpatrywał, w końcu musiał zamrużyć; potrząsał wtedy głową, a ja wiedziałam, że ich dziwny wygląd wytrącał go z równowagi. Jeszcze gorzej reagował na nie nasz ojciec. Jego źrenice miały kolor ciemnopiwny, były nieprzeniknione niczym ściana. On praktycznie nie umiał spojrzeć mi w oczy.

Kolejna różnica między mną a Ashem dla osoby postronnej była pewnie niezauważalna: mój brat był starszy ode mnie. Na świat przyszedł tylko około dziesięciu minut wcześniej, ale to wystarczyło, by w świetle prawa stał się oficjalnym potomkiem rodziców: pierworodnym. Ja natomiast byłam jedynie pożałowania godnym drugim dzieckiem, które nie powinno było nigdy się urodzić.

Ash wszedł do domu, żeby odrobić zadaną w szkole pracę. Moje lekcje, wyznaczone przez mamę i bardzo podobne do tych, które Ash przerabiał w szkole, skończyłam na kilka godzin przed jego powrotem do domu. Zapadał teraz wieczór, a ja krążyłam niespokojnie po dziedzińcu. Nasz dom stał w jednym z wewnętrznych kręgów Edenu, niedaleko Centrum, ponieważ rodzice pracowali dla rządu. Był olbrzymi, znacznie większy, niż potrzebowaliśmy. Za każdym razem, kiedy tata poruszał temat sprzedania go albo podzielenia na mniejsze lokale i oddanie ich pod wynajem, mama nie chciała o tym słyszeć. To był *jej* dom, odziedziczyła go po rodzicach. W przeciwieństwie do większości domostw w Edenie, nasze zbudowane było z prawdziwego kamienia. Kiedy przykładalam dłonie do ścian, mogłam niemal poczuć pulsujący oddech Ziemi. Ten budynek w pewnym sensie był żywy. W każdym razie więcej w nim było życia niż w budowlach z metalu, betonu i paneli słonecznych, zapełniających Eden. Wyobrażałam sobie, że te kamienie spoczywały kiedyś w ziemi – prawdziwej ziemi, pełnej robaków, korzeni drzew, życia. Żaden z mieszkańców Edenu nigdy nie poznał jej dotyku.

Mech porastający otoczony murem dziedziniec też co prawda był żywy, ale nie był prawdziwą rośliną. Nie potrzebował ziemi, nie zapuszczał korzeni – wystarczyły mu nitkowate kotwice, którymi wczepiał się w skalne podłoże. Składniki odżywcze pobierał nie z gleby, lecz z powietrza. Pozostawał oddzielony od ziemi, podobnie jak wszystko inne w Edenie. A mimo to rósł, rozwijał się, żył. Kiedy stapałam po jego miękkim dywanie, w powietrze wzbijał się ostry, świeży roślinny zapach. Kiedy zamykałam oczy, mogłam niemal wyobrazić sobie, że znalazłam się w jednym z prawdziwych lasów, które uschły przed niemal dwustu laty.

Mama, pracująca jako główna archiwistka w Centralnym Archiwum, miała dostęp do najstarszych zapisów, pochodzących jeszcze sprzed Ekoklęski. W materiałach szkolnych, z których korzystałam, były tylko ilustracje pokazujące, jak wyglądał niegdyś świat. Ale mama powiedziała mi kiedyś, że w tajnych magazynach archiwum przechowywane są stare fotografie nieskażonej przyrody. Wszystkie nadszarpała już zęb czasu, ale nadal można było na nich podziwiać tygrysy, owce, palmy i łąki pełne dzikich kwiatów. Zdjęcia były tak stare i drogie, że przechowywano je w specjalnym antystatycznym pomieszczeniu i dotykano tylko po włożeniu rękawiczek.

Mama podarowała mi jedno z takich zdjęć. Było to bardzo ryzykowne z jej strony – za kradzież mogła pójść do więzienia, ale mało prawdopodobne, by ktokolwiek zorientował się, że brakuje jednej fotografii. Poza tym mama uważała, że należy mi się coś wyjątkowego po wszystkich tych latach spędzonych w zamknięciu. Pewnego razu podczas przeglądania archiwalnych zbiorów natrafiła na nieujęte w rejestrze zdjęcie – przedstawiało nocne niebo nad jakąś wielką skalną rozpadliną. Zdjęcie było wetknięte za inny dokument, a data na odwrocie wskazywała, że zrobiono je tuż przed Ekoklęską.

Gwiazdy na nocnym niebie nie przypominały niczego, co znałam z własnego doświadczenia. Na fotografii uchwycono ich tysiące; tworzyły razem mleczne morze na niebie. Niżej widać było kontury drzew porastających skalistą grań. Ogrom świata ukazanego na zdjęciu nie dawał się objąć rozumem. Jasne, Eden był duży, ale wystarczyło pół dnia jazdy autopętłą, by z jednego końca dostać się na drugi.

Ta starodawna, złożona na pół fotografia, którą wykradła dla mnie mama, ukazywała świat. Prawdziwy świat. Natychmiast stała się moim największym skarbem.

Ponieważ moja matka mogła na co dzień oglądać te wszystkie cuda w magazynach archiwum, nauczyła się otaczać wszystkie żyjące organizmy jeszcze czulszą opieką niż większość ludzi. Ash twierdził, że ludzie zazwyczaj zadowolają się sztuczną darnią w radosnym żarówiastozielonym kolorze i drzewami z tworzywa sztucznego. Mama natomiast zawsze starała się mieć wokół siebie rośliny, które w możliwie największym stopniu przypominały te naturalne, nawet jeśli nie zawsze były piękne. Oprócz mchu, mieliśmy na dziedzińcu sterty kamieni pokrytych białymi i różowymi porostami. Po ściankach abstrakcyjnej rzeźby piął się czarny

śluzowiec, a w płytkim baseniku na środku dziedzińca wirowały nieustannie warkocze glonów, poruszane sztucznym prądem.

Mieszkałam w wielkim, wygodnym i luksusowym domu. Jednak nawet wielkie i wygodne więzienie nie przestawało być więzieniem.

Wiedziałam, że nie powinnam myśleć o tym w ten sposób. Dom powinien być czymś w rodzaju azylu, schronienia przed światem. A myśl o tym, że można być go pozbawionym, powinna napawać mnie przerażeniem. Prawda była jednak taka, że mieszkając tu, czułam się jak schwytna w pułapkę.

Ponieważ przez większość czasu byłam skazana na samotność, narzuciłam sobie ścisły harmonogram. Czas bez zajęcia prowadził do snów na jawie, a te dla osoby w mojej sytuacji mogły być niebezpieczne. Dlatego skupiałam się na nauce, sztuce i ćwiczeniach fizycznych. Zajęcia te ściśle wypełniały mój codzienny grafik, tak bym przypadkiem nie miała wolnego czasu, w którym zaczęłabym marzyć o rzeczach, których nie mogłam mieć.

Teraz było już zbyt ciemno na rysowanie lub malowanie. Czytanie też odpadało – miałam wrażenie, że przeczytałam już od deski do deski wszystkie książki zgromadzone w bazie danych. Pozostawało zmęczyć się fizycznie – dlatego zaczęłam biec.

W nikłym świetle gwiazd widziałam ścieżkę wydeptaną w mchu podczas moich codziennych wielokilometrowych joggingów. Mech jest wytrzymałym organizmem – dzięki temu jako jedna z nielicznych roślin przetrwał Ekokłeskę – jednak nawet on pod naporem moich stóp utracił już swoją pierwotną sprężystość.

Miarowy, hipnotyczny rytm uderzeń serca pomagał mi się skoncentrować, kiedy biegłam. Czułam, jak krew zaczyna szybciej krążyć w moich żyłach. Kiedy zmuszałam się do wysiłku fizycznego, czułam, że żyję – mimo że niemal cały świat wokół mnie był martwy. Zresztą jakie to miało znaczenie, że żyję, skoro nadal tkwiłam w pułapce?

Czując przypływ frustracji, przyspieszyłam. Poruszałam się teraz tak szybko, że przy gwałtownych skrętach na krańcach dziedzińca wyrывałam butami kępki mchu z ziemi. *Mama pewnie się wkurzy*, pomyślałam, *trudno*. Jej złość i tak nie mogła równać się z emocjami, które mnie teraz przepełniały. Byłam rozwścieczona. Moje życie przypominało los wyrzutka, któremu grozi, że zostanie zabity albo wtrącony do więzienia, jak tylko ludzie dowiedzą się o jego istnieniu. A wszystkiemu winne było jakieś kretyńskie prawo.

Zwykle aktywność fizyczna poprawiała mi nastrój, jednak dzisiaj bieganie było istną katorgą. Truchtanie po zakreślającym prostokąt torze, najpierw w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, a potem w drugą stronę, doprowadzało mnie do szaleństwa. Z moich ust wydarł się w końcu krzyk frustracji i zaczęłam biec zygzakiem. Biegając, przeskakiwałam nad pokrytymi porostami głazami i krzesłami, aż dopadłam w końcu do blatu stołu, odepchnęłam się od niego, zawracając, i ruszyłam w przeciwnym kierunku.

Nagle poczułam, że brak mi tchu. Miałam wrażenie, że wysokie mury zamykają się nade mną niczym olbrzymia paszcza – jeszcze chwila i zmiążdżą mnie swoimi kamiennymi zębami. Biegając od ściany do ściany, wpadałam na nie i okładałam je pięściami. Byłam tak sfrustrowana, że najchętniej warczałabym z obnażonymi zębami. Wiedziałam, że tracę nad sobą panowanie, ale nie umiałam się uspokoić. Zazwyczaj byłam osobą trzeźwo myślącą, poukładaną i zadowoloną z życia. Zdarzały się jednak momenty, kiedy moja sytuacja budziła we mnie dziką wściekłość. Nie umiałam do końca zrozumieć, co takiego prowokuje te wybuchy.

Oczywiście to dość dziwaczne, jednak w tej chwili spokoju nie dawał mi przede wszystkim fakt, że Ash nie był w stanie opisać mi stroju Lark. Jasne, to głupstwo, ale dręczyła mnie myśl, że pomimo całej swojej wolności i wszystkich przywilejów, z jakich na co dzień korzystał, mojemu bratu nie chciało się zwrócić uwagi na tę drobnostkę, która dla mnie miała olbrzymie znaczenie. Ale właściwie dlaczego była ona dla mnie tak istotna? Nie miałam pojęcia. Poza tym Ash przecież się starał – poświęcał sporą część życia towarzyskiego, aby zabawiać swoją sekretną siostrę opowieściami o tym, jak wygląda świat na zewnątrz, i na pewno sporo go to kosztowało. Niekiedy pewnie miał mnie dość.

A mimo to miałam teraz do niego pretensje, przez co oczywiście czułam się winna, a w konsekwencji jeszcze bardziej wściekła. Wściekła na siebie. Ale też na Centrum i prawa, które pozbawiły mnie wszystkiego. Na Ekopanoptikon, który utrzymywał nas przy życiu. Pomyślałam, że muszę wreszcie wydostać się poza te mury. Muszę wyrwać się na wolność!

Ta myśl wydarła z moich ust niemal zwierzęce westchnienie ulgi. Przywarłam do muru i podjęłam wspinaczkę. Palcami wczepiałam się w doskonale znane mi uchwyty, a stopami szukałam oparcia w wystęпах w murze pozostałych po wykruszonej zaprawie. Wspinaczka na mur stanowiła część treningu fizycznego, do którego zachęcała mnie matka. Praktycznie każdego wieczoru docierałam na sam szczyt, wznoszący się około dziewięciu metrów nad ziemią, i stamtąd omiatałam spojrzeniem okolice.

Jednak dzisiaj mi to nie wystarczało. Dzisiaj chciałam znacznie więcej.

Bez choćby najmniejszego wahania przerzuciłam nogę nad pokrytą ostrymi kamieniami krawędzią i siadłam okrakiem na murze. Część mnie tkwiła nadal w więzieniu, jednak druga część była już na wolności. Wiedziałam, że nikt mnie nie zauważy – nikomu nie będzie się chciało spojrzeć w górę. Nie bacząc na środki ostrożności, omiotłam spojrzeniem rozciągający się przede mną Eden: koncentrycznie ułożone kręgi jego zabudowy przypominały jakiś osobliwy glif wyrzeźbiony w ziemi.

Nigdzie nie było widać żadnych drzew. Zamiast nich setki metrów nad dachem najwyższego budynku wznosiły się strzeliste iglice glonów, z których pozyskiwano białko. Tętniące życiem kręgi najbliższej Centrum jarzyły się bioluminescencyjnie – w ich blasku widać było, że najniższe piętro miasta pokryte jest dywanem bujnej roślinności. Przeważająca część miasta została

zaopatrzona w urządzenia do sztucznej fotosyntezy; jej działanie nie różniło się niczym od tej zachodzącej w prawdziwych roślinach – przetwarzała wydychany przez nas dwutlenek węgla w niezbędny do życia tlen. Niektóre z organizmów roślinnych przypominały te, które mama uprawiała przed naszym domem – to wytrzymałe mchy i grzyby, a także ozdobne porosty unoszące się ruchem wirowym w ciekłych podłożach. Mimo że życie w mieście toczyło się w półmroku, nie brakowało w nim zieleni.

Ktoś niezorientowany mógłby pomyśleć, że spogląda na dynamicznie rozwijający się ekosystem, a nie sztucznie stworzony zbiornik służący ludzkiemu przetrwaniu. Te części miasta, które pozbawione były zieleni, migotały. Nasz zbudowany z kamienia dom był wyjątkiem – większość budynków wzniesiono z polimerów i pokryto przezroczystymi lub odbijającymi światło panelami fotowoltaicznymi, które przekształcały światło słoneczne w energię zasilającą nasze miasto. Za dnia Eden lśnił niczym gigantyczny szmaragd. Nocą natomiast przywodził na myśl wielkie zielone oko, którego mroczny blask skrywa wiele sekretów.

Za luksusowymi kręgami wewnętrznymi rozciągały się mniej eleganckie pierścienie. W kręgach wewnętrznych, niedaleko Centrum, gdzie wznosił się nasz dom, budynki były okazałych rozmiarów i eleganckie. Im bliżej zewnętrznych granic miasta, tym zabudowa stawała się mniej efektowna, a budynki stały ciasno upakowane. Żadnemu mieszkańcowi Edenu nigdy nie zajrzał w oczy głód – dbał o to Ekopanoptykon – jednak z opowieści mamy i Asha wynikało, że dla ludzi mieszkających w zewnętrznych dzielnicach życie bywało znacznie bardziej uciążliwe niż dla tych żyjących bliżej Centrum.

Mimo że mój punkt obserwacyjny usytuowany był naprawdę wysoko, nadal nie mogłam dojrzeć granic Edenu. Z lekcji wiedziałam jednak, co rozciąga się dalej: spalona słońcem, śmiertcionośna pustynia, dalej zaś – jeszcze bardziej zdewastowane bezdroża.

W porównaniu z dziedzińcem mojego domu Eden wydawał się nieskończenie wielki. Był tak olbrzymi, a ja taka mała! W mieście roiło się od ludzi, a ja stanowiłam zaledwie drobną cząsteczkę w tym niezmiernym kosmosie ludzkości. W całym moim życiu poznałam tylko trzy osoby. Myśl, że mogłabym poznać kogoś nowego, wydawała mi się znacznie bardziej przerażająca niż perspektywa, że ktoś mnie zauważy. Obcy ludzie kojarzyli mi się z groźnymi dzikimi zwierzętami.

Ponieważ jednak egzystowałam w świecie pozbawionym życia, gotowa byłam zaryzykować, że zostanę rozerwana na strzępy przez przerażające kły dzikiej bestii, jeśli tylko dzięki temu będę mogła choć na chwilę zobaczyć z bliska żywego tygrysa. Żeby móc zasmakować świata, który mi odebrano, oddałabym wszystko, nawet życie.

Niezliczoną ilość razy wyobrażałam sobie, jakby to było, gdybym się wymknęła do miasta. Zdarzały się dni, gdy nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Powab wolności wydawał się wtedy nieodparty, a chęć ucieczki wypierała wszystkie inne myśli – nie mogłam wtedy rysować,

uczyć się ani biegać. I właśnie teraz, gdy prześladowała mnie myśl o tym jednym szczególe stroju Lark – o tym, że Ash nie jest w stanie mi go opisać, że nie znam go i być może nigdy nie poznam – Eden przyzywał mnie ku sobie z niespotykaną wcześniej mocą. Ogarnęło mnie przerażenie, lecz mimo to przełożyłam drugą nogę na zewnętrzną stronę muru. Ekscytacja wzięła górę nad strachem.



KIEDY TAK TKWIŁAM NA GRANICY MIĘDZY bezpieczeństwem a wolnością, gotowa wkroczyć na nieznane terytorium, nagle z dołu dobiegł jakiś cichy dźwięk: trzynutowa melodyjka dzwonka. Znak, że ktoś stanął u drzwi naszej posesji.

– *Bikk!* – Zastygłam bez ruchu, mruknąwszy pod nosem przekleństwo. Nagle odniosłam wrażenie, że powietrze jest lodowate. Czyżby ktoś mnie zauważył? Czy przyszli funkcjonariusze zielonych koszul, żeby mnie zabrać? Próbując uspokoić oddech, powtarzałam sobie, że to pewnie jakaś zamówiona przez rodziców dostawa do domu albo może posłaniec ze szpitala, przysłany po mojego ojca, by ten przeprowadził niecierpiącą zwłoki operację.

Po chwili na dziedzińcu zjawił się Ash. Rozejrzał się szybko wkoło, a kiedy nigdzie mnie nie dostrzegł, jeszcze raz, wolniej, omiótł dziedziniec spojrzeniem. Zagwizdałam cicho, naśladując śpiew ptaka, który podsłuchałam kiedyś na jakimś filmiku, i dopiero wtedy mój brat spojrział w górę.

– Musisz się schować! – syknął głośno. – To ktoś z Centrum, ma mundur.

Ze zdumienia otworzyłam szeroko oczy. Przez chwilę miałam wrażenie, jakby jakaś niewidzialna siła przyszpiliła mnie do muru. Nie byłam w stanie się poruszyć, nagle poczułam się zupełnie bezbronna.

– Szybko! – nalegał Ash, a ja momentalnie zorientowałam się, że jest spanikowany.

Wspinałam się na ten mur każdego dnia, dzięki czemu umiałam teraz błyskawicznie zejść na ziemię. Ostatni metr dzielący mnie od niej pokonałam skokiem i wylądowałam na lekko ugiętych nogach.

– Kto to? – dopytywałam, kiedy biegliśmy w stronę domu.

Ash odpowiedział wzruszeniem ramion, każdemu jego oddechowi towarzyszyło teraz rżenie. Wystarczyło lekkie zdenerwowanie i krótki bieg, a płuca mojego brata zaczynały odmawiać posłuszeństwa.

– Biegnij od razu po inhalator – nalegałam.

Troska o jego zdrowie przesłoniła mi kwestię własnego bezpieczeństwa.

Zwolnił kroku, lecz potrząsnął odmownie głową.

– Najpierw... – powiedział zdyszany – najpierw muszę zaprowadzić cię w bezpieczne miejsce.

– Nie! Nic mi nie będzie. Ale jeśli ty teraz kopniesz w kalendarz, wtedy na pewno będę miała

kłopoty. Masz siłę, żeby samemu wejść po schodach?

Jego oddech był nierówny. Rzadko miewał takie ataki, najczęściej zdarzały się w sytuacjach stresowych. Za każdym razem, kiedy wydarzał się taki kryzys, ogarniał mnie lęk, że mój brat umrze. Staralam się zachować kamienną twarz, ponieważ dodawanie mu zmartwień pogorszyłoby tylko jego stan.

Ash kiwnął tylko głową. Nie odzywał się, żeby niepotrzebnie nie tracić oddechu.

– Dobrze, w takim razie biegnij na górę, a ja schowam się w skrytce za ścianą.

W naszym wielkim domu znajdowały się cztery skrytki. Najlepsza była niewielka piwniczka – prowadziła do niej kłapa w podłodze, którą zamykało się od góry, przykrywało wykładziną, a na niej stawiało ciężki fotel. Kolejna to nisza ukryta w ścianie za regałem na książki, który z boku wyglądał na nieruchomy, ale w rzeczywistości można go było odsuwać dzięki mechanizmowi działającemu na sprężone powietrze. Niestety mechanizm ten miał zasadniczą wadę – uruchamiał się wyłącznie od zewnątrz. Tak więc obie te kryjówki wymagały pomocy innej osoby, która zamknęłaby mnie w środku (a następnie wypuściła).

Pozostawał zatem albo strych – przestronny i wygodny, jednak będący oczywistym celem poszukiwań – albo strasznie wąska przestrzeń między dwiema ścianami. Luka ta, mierząca zaledwie około pół metra szerokości, mieściła kiedyś aparaturę do klimatyzacji. Potem mechanizm zmodernizowano i przeniesiono w inne miejsce, a w jednej ze ścian pozostał po nim tylko otwór wentylacyjny. To właśnie on umożliwił dostanie się do tej przeraźliwie niewygodnej komórki. Tkwienie w niej było gorsze niż tortura.

Ash ciężko dyszał. Chwyciłam go pod rękę i zaprowadziłam ku schodom wiodącym do jego pokoju. A właściwie *naszego* pokoju. Teoretycznie miałam swój pokój, ale w rzeczywistości nie było tam nic mojego. Tak naprawdę to była sypialnia gościnna i każdego ranka po przebudzeniu musiałam ją posprzątać tak, by wyglądała, jakby od wielu tygodni nikt w niej nie spał. Jeśli ktoś zechciałby przeprowadzić kontrolę w naszym domu, zobaczyłby tylko zwyczajny czysty pokój oczekujący na gościa.

Poza spaniem ja i Ash od dzieciństwa zajmowaliśmy wspólny pokój. Tak naprawdę *wszystko* mieliśmy wspólne. Wszystkie moje rzeczy trzymałam w jego pokoju, ukryte pośród jego dobytku. Niczym nie różniły się od tych, które mogłyby należeć do chłopaka. Nie wolno było mi zgromadzić zbyt wielu własnych skarbów – łatwo sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby ktoś odkrył w naszym domu pokój pełen sukienek, hologramowych plakatów z prężącymi nagie torsy gwiazdoram pop i innych drobiazgów, które zwyczajne dziewczyny zapewne trzymają w swoich pokojach. Momentalnie zostałabym zdemaskowana. Dlatego właśnie nawet większość ubrań mieliśmy wspólną.

Nie chciałam go puścić. Ash wyczuł zapewne, że mój uchwyt stał się kurczowy. Dostrzegł strach w moich oczach. Z tego wszystkiego nie byłam w stanie nawet logicznie myśleć

o niezapowiedzianym gościu.

– Schowaj się gdzieś – nakazał mój brat zachrypniętym głosem. – Ja już sobie poradzę.

Nie byłam wcale pewna, czy Ash ma rację, jednak gonił mnie czas. W pewnym momencie usłyszałam, jak przesuwne frontowe drzwi otwierają się z cichym jękiem. Rozległ się stłumiony pomruk jakichś nieznanych głosów. Posłałam ostatnie spojrzenie Ashowi, który z mozołem wspinał się po schodach, po czym rzuciłam się biegiem w kierunku najbliższej kryjówki. Mogłam tylko mieć nadzieję, że zdążę.

Żeby wgramolić się przez otwór wentylacyjny do niesamowicie ciasnej komórki, musiałam położyć się na brzuchu i czołgać nogami do przodu. Gdybym próbowała przedostać się do środka głową do przodu, nie miałabym potem jak zamknąć za sobą drzwi. Wewnątrz miałam tylko parę centymetrów luzu z każdej strony. W momencie gdy zamknęłam za sobą właz, nagle uświadomiłam sobie, że przecież chwilę wcześniej biegałam po mchu i wspinałam się po kamiennym murze. Czy przypadkiem nie zostawiłam na podłodze żadnych śladów wiodących do mojej kryjówki? Teraz było za późno, żeby to sprawdzić. Podpierając się łokciami i wspinając na palcach stóp, powoli, centymetr za centymetrem, wślizgiwałam się głębiej, aż wreszcie dotarłam do miejsca w kryjówce, w którym mogłam odwrócić się i stanąć wyprostowana.

Ta pozycja była tylko odrobinę wygodniejsza. W przeciwieństwie do innych kryjówek przy konstrukcji tego schowka zupełnie nie dbano o to, by zapewnić mi minimum komfortu. To skrytka awaryjna, na wypadek niezapowiedzianego najścia. Co jakiś czas przeprowadzaliśmy w domu ćwiczenia – mama mierzyła mi czas, żeby sprawdzić, jak szybko zdołam schować się w którejś z naszych kryjówek. Nigdy jednak nie próbowałam wcisnąć się do tej skrytki. To dla mnie ostatnia deska ratunku.

W środku starczało miejsca, żeby stanąć, ale na nic więcej. Przy każdym głębszym oddechu klatką piersiową i plecami dotykałam gipsowych ścian z obu stron. Wewnątrz wyczuwalna była dziwna woń – pachniało zamknięciem i stęchlizną. Byłam przyzwyczajona do życia w dość ograniczonej przestrzeni, ale to tutaj to już przesada. Od oczu do ściany miałam może siedem centymetrów.

Najważniejsze, że byłam bezpieczna, ukryta. Udało mi się schować w ostatniej chwili. Słyszałam, jak obce głosy przysuwają się bliżej. Dziwne, że słyhać je było stąd tak wyraźnie. Ściany były pewnie cieńsze, niż sądziłam. Przez głowę przeleciała mi szalona myśl, żeby zastukać w jedną z nich. Przybyli pomyśleliby, że trafili do nawiedzonego domu i jakiś duch próbuje przesłać im tajemniczą wiadomość. Mama opowiadała mi historie o duchach, które wyczytała w archiwalnych zbiorach. W epoce niewiedzy ludzie wierzyli w przeróżne rzeczy. Ja osobiście nie wierzę w stare historie, ale zawsze lubiłam ich słuchać. Jeśli Ash miał rację, gość to jakiś urzędnik z Centrum. Ludzie tego pokroju znani byli z tego, że nie tolerowali żadnych przesądów ani jakichkolwiek przejawów myślenia nawiązujących do życia sprzed Ekokłęski.

Zresztą wystarczyłoby, żeby dowiedzieli się o moim istnieniu, a znalazłabym się w opałach.

Dlatego mogłam tylko stać na baczność w mojej miniaturowej skrytce, napięta i czujna niczym rekrut zielonych koszul, czekając, aż minie niebezpieczeństwo.

Kiedy z salonu dobiegły głosy ludzi zajmujących miejsca w fotelach, zrozumiałam, że upłynie sporo czasu, nim wolno mi będzie wyjść. Westchnęłam zrezygnowana i od razu poczułam na twarzy własny, odbity od ściany, ciepły oddech.

Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać po tej niezapowiedzianej wizycie. Pewnie gość przyszedł z jakąś urzędową sprawą. Może chodziło o wezwanie do nagłego wypadku albo coś w tym stylu. Może mama musiała podpisać pozwolenie na powielenie i dystrybucję jakiegoś artefaktu sprzed Ekokłęski albo tata musiał zatwierdzić wydanie trudno dostępnego leku dla jakiegoś dygnitarza z Centrum. Zazwyczaj urzędnicy zapowiadali swoją wizytę – dzwonili przez zunifikowaną sieć komunikacyjną albo wysyłali bota-posłańca, a ja miałam czas, żeby się schować. Co musiało się stać, że zjawili się bez zapowiedzi?

Nagle z pokoju dobiegło łkanie mojej matki. Brzmiało to tak, jakby siedziała zaraz przy ścianie, za którą się schowałam. Odruchowo przesunęłam się lekko do przodu, jakby w jej kierunku, aż palcami stóp natrafiłam na ścianę. Czyżby coś usłyszeli? Wątpię. Teraz mówił gość, wyraźnie słyszałam obcy głos.

– Za tydzień – stwierdził, a ja, marszcząc brwi, zastanawiałam się, o co może chodzić.

Co takiego miało wydarzyć się za tydzień, co doprowadziło moją mamę do łez?

– Tak szybko? – upewniła się mama. W jej głosie pobrzmiwała rozpacz.

W tym momencie do rozmowy włączył się tata.

– Czekaliśmy na tę chwilę niemal siedemnaście lat – stwierdził szorstko. – Jak dla mnie to wcale nie jest zbyt szybko.

Niemal siedemnaście lat? Czyżby ich rozmowa dotyczyła mnie? Na to wyglądało – mnie albo Asha.

– Wynikły pewne trudności, sam pan rozumie – odezwał się pojednawczym tonem gość, choć w jego głosie wyczuwałam też lekkie zdenerwowanie. – Zdobycie soczewek na czarnym rynku to tylko pierwszy etap. Połowa przestępców w Edenie może bez problemu zakupić podrobione implanty, które podczas skanu na poziomie pierwszym zidentyfikują ich jako zupełnie inną osobę. Problem stanowi stworzenie nowej tożsamości.

– Zapłaciliśmy wam wystarczająco dużo – uciął ojciec. – Powinniście byli się z tym uwinąć już dawno.

– Cicho bądź – uciszyła go mama. Słyszałam, jak pociąga nosem. Próbowwała chyba wziąć się w garść. – Panie Hill, proszę kontynuować. Chcielibyśmy usłyszeć resztę.

– Guzik mnie obchodzi, jak to robi. Ważne, żeby zostało to załatwione – dodał jeszcze ściszym głosem ojciec. W wyobraźni widziałam jego twarz, ten zniecierpliwiony

i rozszluszczony wyraz, jaki często przybierała, i strzelające nerwowo na boki oczy. – Tydzień? A czemu nie szybciej?

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Mama westchnęła głośno; nie byłam w stanie stwierdzić, czy w reakcji na ten dźwięk czy może na słowa ojca.

– Spodziewają się państwo jakichś gości? – spytał nieznajomy, a w jego głosie pobrzmiewała panika.

Tkwiałam zaklinowana w mojej ciasnej niszy, ślepa i unieruchomiona, jednak mogłam sobie wyobrazić, jak rodzice wymieniają w tej chwili szybkie spojrzenia. Nie byli może parą doskonałą, ale nauczyli się komunikować bez słów. Zastanawiałam się nieraz, czy inne pary też znają tę sztukę: czy potrafią w wymianie krótkich spojrzeń zawrzeć całą rozmowę, po czym dojść do wspólnego wniosku, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa. Ciekawe, czy kiedykolwiek poznam kogoś na tyle dobrze, by móc to stwierdzić.

Zza ściany dobiegały teraz hałasy świadczące o tym, że panuje tam gorączkowa krzątanina. W głosie nieznajomego pobrzmiewało zaskoczenie. Domyślałam się, że rodzice pospiesznie prowadzą go do mojej kryjówki na poddaszu. Nie miałam pojęcia, kim jest ten człowiek, ale na pewno będzie mu w ukryciu wygodniej niż mnie.

Po chwili mama wróciła do pokoju. Kiedy odezwała się ściszym nagłym głosem, zorientowałam się, że tata nie otworzył jeszcze drzwi.

– Znajdą go? – spytała mama.

– A skąd niby mam wiedzieć? – odwarknął ojciec. – Nie wiem, kim są ani czego chcą. Pewnie to po prostu ktoś z pracy.

Mama skwitowała jego optymistyczne stwierdzenie sfrustrowanym westchnieniem.

– Ale po co mieliby tu przychodzić o tej porze? Powinniśmy go wyprowadzić z domu.

– To pracownik Centrum – zaproponował tata. – Dlaczego nie mógłby spędzać czasu u nas w domu? Przecież możemy udawać, że to mój znajomy.

– Może być śledzony. Jeśli działa na czarnym rynku, nie możemy ryzykować, że zostanie z nami powiązany. Nie teraz, gdy dotarliśmy tak daleko. To by obudziło ich podejrzania.

– Zrobią się podejrzliwi, jeśli zaraz nie otworzymy im drzwi – zauważył zupełnie trzeźwo ojciec.

– A gdzie Rowan? Zdążyła schować się w piwnicze?

– Nie mam pojęcia. Ale wie, że musi pozostać w ukryciu do momentu, aż któreś z nas po nią pójdzie. Zrób sobie drinka i dołącz do nas za parę minut. Jeśli ktoś zobaczy teraz twoją minę, od razu domyśli się, że coś nie gra.

Słyszałam ciężkie kroki ojca, kiedy ruszył w kierunku drzwi. W salonie panowała teraz tak absolutna cisza, że znowu słyszałam swój oddech. Przez chwilę wydawało mi się, że mama też wyszła z pokoju – stawiała lżejsze kroki, więc może po prostu ich nie usłyszałam. Nagle jednak

rozległo się cichutkie skrobanie w ścianę na wysokości mojego schowka. A zatem wiedziała, że tu jestem. Albo się domyślała.

Ostrożnie podrapałam ścianę od swojej strony – najpierw raz, po chwili znowu. Usłyszałam ciche westchnienie mamy i nagle poczułam, jak zalewa mnie fala miłości do niej. Kolana się pode mną ugięły. Osunęłabym się na ziemię, gdybym miała dość miejsca. Tata zawsze dbał o to, by nic mi nie groziło, ale to mama dawała mi odczuć, że wszystko, co dla mnie robi, wszystkie jej poświęcenia nie wynikają z jakichś zobowiązań, strachu czy przymusu – ale z miłości.

Oddalając się, rozmyślnie stawiała ciężkie kroki, tak żebym wiedziała, że już poszła. Zostałam sama, jednak za sprawą jej wsparcia nie czułam się już samotna. Nie dokuczała mi też świadomość, że znalazłam się w pułapce. Teraz czułam się po prostu bezpieczna.

Jednak to poczucie bezpieczeństwa nie trwało długo. Wkrótce rozległy się dźwięki kroków w ciężkich wojskowych buciorach. Domyśliłam się, że do domu weszło kilka osób. Nie miałam stuprocentowej pewności, ale mogłabym się założyć, że to zielone koszule, policja Edenu.

Ash zawsze nabijał się z zielonych koszul. Z jego opowieści dowiedziałam się na przykład, jak funkcjonariusze gonili dzieciaki, które zhakowały publiczny system oświetleniowy, tak żeby zaświecone lampki układały się w nieprzyzwoite napisy, na przykład *teezak* czy *koh faz*. Kiedy indziej wrogiem publicznym okazali się nieletni, którzy wieczorem włamali się do ogrodów porostów, żeby spędzić tam miło czas ze swoimi dziewczynami. Domyślałam się, że w stosunku do dzieciaków robiących niewinne psikusy zielone koszule są pewnie dość wyrozumiałe, jednak równocześnie wiedziałam, że w rzeczywistości ludzie ci stanowią zabójczą formację służb porządkowych, której zadaniem jest rozprawienie się ze wszystkim, co stoi w sprzeczności z rozporządzeniami Ekopanoptikonu dotyczącymi przetrwania Edenu. Była to wyczerpująca definicja tego, czym jestem.

Zielone koszule patrolowały ulice i prowadziły dochodzenia w sprawie wszelkich przestępstw popełnianych w Edenie. Ich uwaga koncentrowała się głównie na jego zewnętrznych kręgach, gdzie panowała bieda, a mieszkańcy byli bardziej zdesperowani. Nie znaczyło to jednak, że funkcjonariusze omijali wewnętrzne kręgi Edenu. Kilka razy udało mi się ich wypatrzeć ze szczytu muru – przechadzali się dwójkami po ulicach; zwróciłam wtedy uwagę na ich czarne wojskowe buciory. Zazwyczaj momentalnie zląłam z muru, a potem przez kilka dni nie śmiałam się na niego wspinać z obawy, że jakiś patrol mógłby mnie dostrzec. Nigdy jednak nie zostałam zauważona ani przez nich, ani przez nikogo innego. Ludzie krążący po ulicach nie mieli zwyczaju spoglądać w górę, a na moją korzyść dodatkowo przemawiał fakt, że wspinaczkę odbywałam najczęściej o zmierzchu lub o świcie, kiedy panował jeszcze półmrok.

A teraz doczekałam się – zielone koszule znalazły się w salonie naszego domu. A co jeśli funkcjonariusze zjawili się tu po mnie? Czyżby jednak ktoś zauważył, jak wystawiałam głowę na drugą stronę muru, i nabrał podejrzeń? Czy może Ash nieopatrznie zwierzył się komuś

niegodnemu zaufania? Jeśli zielone koszule faktycznie wiedziały o mnie, oznaczało to, że znalazłam się w pułapce. Z kryjówki prowadziło tylko jedno wyjście, a przedostanie się przez nie i tak było niesamowicie uciążliwe. Szanse, że zdołam stąd uciec, były zerowe. Wyobraziłam sobie teraz ich czarne buciory tuż u zakratowanego otworu, za którym się skryłam. Niemal czułam na sobie ich łapy, sięgające, by wywlec mnie na zewnątrz – ku straszemu, niewiadomemu przeznaczeniu...

Przyprowadzili też ze sobą bota. Słyszałam teraz wyraźnie brzęczenie i piski, znak, że to jakiś mniejszy model. Może to bot ochrony, który miał za zadanie mnie wywęszyć. Co on tu właściwie robił? Boty bywały niekiedy wścibskie, potrafiły narobić człowiekowi kłopotów.

W pewnym momencie ktoś aksamitnym głosem wypowiedział parę towarzyskich formułek, a wyraźny akcent właściwy dla przedstawicieli klasy wyższej Centrum sugerował, że człowiek ten należy do elity Edenu. Głos wydał mi się znajomy, ale nie umiałam powiązać go z żadną osobą. Z pomocą przyszedł mi ojciec, który zwrócił się do przybyłego, używając oficjalnego tytułu.

– Proszę spocząć, kanclerzu – poprosił ojciec.

Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby odzywał się tak uprzejmym i pełnym szacunku głosem. Piastowana funkcja głównego lekarza czyniła go wysoko postawionym członkiem rządu. Na większość mieszkańców Edenu ojciec mógł spoglądać z góry.

Bot przejechał przez pokój i zatrzymał się niedaleko mojej kryjówki.

Głos kanclerza Cornwalla znałam z wiadomości i filmów. Przypomniałam sobie, że szef rządu pojawiał się zawsze w asyście zielonych koszul.

Czego szukał w naszym domu?

Umierałam ze strachu, ale równocześnie czułam się podniesiona na duchu. Ukrywanie drugiego dziecka to poważne przestępstwo, karane nawet śmiercią, jednak nawet tak ciężka przewina nie wystarczyła, by na miejsce pofatygował się przywódca całego Edenu. Gdyby chodziło o schwytanie mnie, kanclerz wysłałby po prostu oddział uderzeniowy zielonych koszul. Nie stałby teraz na środku naszego salonu, a ojciec nie posyłałby do kuchni bota służącego, który miał gościowi zaparzyć *fauxchai* – aromatyczny napój przyrządzany ze zmodyfikowanych genetycznie alg, który w smaku przypominał herbatę sprzed Ekoklęski. Skoro kanclerz pofatygował się tutaj osobiście, to oznaczało, że przynosił jakieś absolutnie straszne – albo przeciwnie: cudowne – nowiny.

Okazało się, że i jedno, i drugie jest prawdą.

Zdumiona przysłuchiwałam się, jak kanclerz oznajmia ojcu, że dotychczasowy wicekanclerz podał się do dymisji z powodów zdrowotnych.

– Z chęcią go zbadam i postawię diagnozę – zaproponował ojciec, jednak kanclerz puścił jego słowa mimo uszu.

– Uważam, że powinien pan zająć jego miejsce. Sądzę, iż dobrze przysłuży się pan Edenowi w roli wicekanclerza.

W pokoju zapadła nagle śmiertelna cisza. Ojciec, wywodzący się z zewnętrznego kręgu Miasta Wewnętrznego, zdołał zająć wysoko w rządowej hierarchii i osiągnąć stanowisko głównego lekarza. Zawsze sądziłam, że awanse zawdzięczał swoim chirurgicznym umiejętnościom, teraz jednak stawało się jasne, że ojciec prowadził jakąś bardziej skomplikowaną rozgrywkę polityczną, o której nie miałam pojęcia. Cóż innego mogło sprawić, by wybór kanclerza padł właśnie na niego? Ojciec od czasu do czasu wypowiadał się publicznie na temat zdrowia, nadzorował wdrażanie publicznej polityki przymusowych zabiegów sterylizacyjnych i szczepień, niekiedy też czuwał nad leczeniem dygnitarzy rządowych i ich rodzin.

Było to dla mnie wielkie zaskoczenie. Główny zainteresowany chyba też był nie mniej zaskoczony. Zawsze stronił od eksponowanych stanowisk ze względu na swoją delikatną sytuację, to znaczy na mnie – swój wstydlivy sekret. Nigdy nie zadzierał nosa i w porównaniu z innymi przedstawicielami rządu niechętnie udzielał się towarzysko. Urządzenie przyjęć w naszym domu, ze mną skrytą w piwniczce, raczej nie wchodziło w grę.

Mimo to najwyraźniej jakimś cudem zaskarbił sobie sympatię kanclerza.

Wreszcie, przerywając długą ciszę, ojciec odparł:

– Będę zaszczycony, mogąc przysłużyć się Edenowi również w takim charakterze.

W jego głosie wyczułam napięcie. Nie wiedziałam tylko, czy przemawia przez niego skromność, czy może zdenerwowanie.

Następnie panowie wdali się w krótką rozmowę na temat nowych obowiązków ojca. Przysłuchiwałam się jej z zapartym tchem, niemal zapominając, że na poddaszu kryje się jeszcze inny gość. Zachodziłam przy tym w głowę, co ta nowina może oznaczać dla naszej rodziny. Czy tata będzie musiał się teraz przeprowadzić do Centrum, jak wszyscy ludzie z najwyższych kręgów władzy? Czy my przeprowadzimy się razem z nim? Przecież to niemożliwe. Moje bezpieczeństwo zależało całkowicie od pozostania w tym domu.

Nagle usłyszałam, jak mały bot podjechał do otworu wentylacyjnego i zatrzymał się tuż obok. Z wrażenia wstrzymałam oddech. Czyżby wykrył coś podejrzanego, jakiś ślad zdradzający moje istnienie? Nie miałam pojęcia, jaki to rodzaj bota. Jeśli był modelem wielozadaniowym, z zaawansowanym systemem optycznym, wystarczy, że przeprowadzi skan otworu wentylacyjnego – i moja obecność przestanie być tajemnicą. Maszyna podjechała jeszcze kilka centymetrów bliżej, popiskując. To typowe zachowanie bota, który się waha.

Wreszcie kanclerz stwierdził:

– Nie będę teraz zajmował panu więcej czasu. Proszę do jutra rana poinformować mnie o pańskiej decyzji.

Zielone koszule ustawiły się za nim w szyku. Kanclerz pstryknięciem palców przywołał bota, który ruszył za nim, i po chwili pokój znów pogrążył się w ciszy. Zdrętwiały mi nogi, a w mojej niszy zrobiło się duszno. Mimo to nie wychodziłam z kryjówki, czekając na sygnał rodziców, że niebezpieczeństwo minęło. Upłynęło tak dużo czasu, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem o mnie nie zapomnieli.

W końcu, gdy oblepiona gipsowym pyłem wynurzyłam się z kryjówki, w salonie czekała na mnie mama. Była sama.

Na usta cisnęło mi się mnóstwo pytań – o pierwszego gościa z Centrum, o kanclerza. Było ich tak wiele, że nie wiedziałam, od czego zacząć. Najpierw spytałam jednak o to, co najważniejsze – czyli o Asha.

– Miał atak – powiedziałam. – Jak się teraz czuje?

Czekałam na odpowiedź z zaciśniętymi zębami. Mama nie odezwała się od razu. Z każdą mijającą sekundą rosła we mnie obawa, że ma dla mnie jakieś straszne nowiny.

– Przed chwilą u niego byłam. Odpoczywa, nic mu nie będzie – powiedziała w końcu, a z moich ust wyrwało się westchnienie ulgi. Cała reszta nagle wydała mi się mało ważna. Jednak wrażenie to trwało zaledwie pół minuty.

Mama przyglądała mi się w milczeniu długą chwilę.

– Co teraz będzie? – Było to pytanie, w którym chciałabym pomieścić wszystkie inne.

Odpowiedź mamy była dla mnie straszliwym wstrząsem. Poczułam się tak, jakby równocześnie spełniały się wszystkie moje marzenia i koszmary.

– Udało im się stworzyć soczewki z nową tożsamością, Rowan – stwierdziła matka. Spoglądałam na nią wyczekująco, spodziewając się, że na jej twarzy odnajdę uśmiech. Widząc jednak, że mama zachowuje powagę, zaczęłam się denerwować. Po dłuższej chwili odezwała się łagodnie: – I znaleźli dla ciebie nową rodzinę. Masz się przeprowadzić za tydzień.

W tej samej chwili nogi się pode mną ugięły i osunęłam się na podłogę, opierając się plecami o tę samą ścianę, za którą parę minut wcześniej się ukrywałam.



– NIE – ZAPROTESTOWAŁAM SŁABYM GŁOSEM. Przez całe życie czekałam na chwilę, kiedy stanę się wolna, jednak teraz... – Nie!

Uderzyłam pięścią w ścianę. Czułam, jak wzbierają we mnie smutek i złość, gotowe przejąć kontrolę nad moim zachowaniem. Nagle postanowiłam, że chociaż raz w życiu dam dojść do głosu złości.

– Nie zrobię tego! – krzyknęłam. – Nie możecie mnie zmusić do porzucenia tej rodziny. *Mojej* rodziny!

Zerwałam się z ziemi, nie wiedząc, co dalej. Powinnam rzucić się na szyję mamie, rąbnąć jeszcze raz w ścianę, pobiec do Asha czy może znowu osunąć się z powrotem na podłogę?

Takie ryzyko zawsze istniało, wiedziałam o tym od lat. Zawsze jednak sądziłam, że zdołam jakoś tego uniknąć.

Poza tym żyłam w przekonaniu, że moi rodzice nigdy nie pozwolą, bym ich opuściła. Nigdy.

Prawda była jednak taka, że drugie dziecko ma do wyboru tylko dwie drogi: może żyć w ukryciu... albo przybrać nową tożsamość.

Oczywiście było też trzecie, najbardziej popularne rozwiązanie – przerwanie ciąży lub eliminacja dziecka po narodzeniu, obojętne, jak długo już żyje.

Gdy ponad dwieście lat temu Ziemia umarła, los ludzkości, wraz z losem wszystkich wysoko rozwiniętych zwierząt, wydawał się przesądzony. Wszelkie organizmy większe od pantofelka wymarły, prawdopodobnie jednak nawet dla pantofelków życie nie było wtedy sielanką. I oczywiście winę za całe zło ponosił człowiek. To my doprowadziliśmy Ziemię do zguby.

Byliśmy jedynym gatunkiem zwierząt na tyle inteligentnym i zręcznym, by wytworzyć energię jądrową, zniszczyć powierzchnię Ziemi inwazyjnymi metodami wydobycia gazu, zanieczyścić morza i zatruć atmosferę chemikaliami. To my, inteligentne istoty ludzkie, zaczęliśmy manipulować DNA roślin uprawnych, tworząc odporniejsze i bardziej wydajne odmiany soi, którymi chcieliśmy nakarmić cały świat, a które koniec końców okazały się agresywne i rozpleniły się na terenach zajmowanych dotychczas przez lasy tropikalne. Hodowaliśmy żywe istoty wyłącznie po to, by napełniać nimi żołądki; zmuszaliśmy je, by całe swe życie spędzały w ciasnych klatkach, brodząc we własnych odchodach. Szprycowaliśmy je antybiotykami – podobnie zresztą jak własne dzieci – a potem dziwiliśmy się, gdy bakterie zmutowały i uodporniły się na wszelkie antybiotyki.

Zdołaliśmy zniszczyć świat i równocześnie zgładzić samych siebie. Planeta zaczęła się chylić ku upadkowi. Z powodu uwalnianych do atmosfery gazów cieplarnianych Ziemia przekształcała się w piekarnik – w ciągu zaledwie dekady średnia temperatura na niej wzrosła o dziesięć stopni. Wówczas zespół naukowców wpadł na genialny pomysł, by wypuścić do atmosfery pewien nowy rewolucyjny produkt, który miał rozwiązać problem.

Domyślcie się już pewnie, z jakim skutkiem.

Temperatury na Ziemi spadły, to prawda, jednak stało się coś jeszcze – promieniowanie słoneczne weszło w nieprzewidziane reakcje z nową, wytworzoną przez człowieka atmosferą. Na skutek reakcji łańcuchowej zginęły niemal wszystkie rośliny i zwierzęta na Ziemi.

Przy życiu pozostała garstka ludzi. Dopiero wtedy zdołaliśmy uczynić właściwy użytek z naszych rozwiniętych mózgów i zręcznych dłoni – stworzyliśmy coś, co przewyższało nas inteligencją i dobrocią. Kiedy stało się jasne, że Ziemia przestała się już bronić, pewien wizjoner zaprojektował Ekopanoptykon – wszechwidzącego stróża natury.

Ekopanoptykon, w skrócie Ekopan, jest dla nas teraz bogiem, rodzicem, lekarzem i królem. Oddaliśmy mu się we władanie, świadomi, że sami nie możemy już sobie ufać. I zrobiliśmy to bez zbędnych skrupułów, ponieważ Ekopan jest dla nas niczym matka, a jedynym jego celem jest utrzymywanie nas przy życiu.

Jako istoty obdarzone słabymi, zawodnymi ciałami nie mieliśmy żadnych szans w starciu z nieprzyjawnymi warunkami, jakie zapanowały na zniszczonej planecie. Jednak twory naszych rąk, jak się okazało, doskonale sobie radziły w tym nowym świecie bez naszej pomocy. Pomysłodawca Ekopanoptykonu, Aaron Al-Baz, stworzył system sztucznej inteligencji w oparciu o cały pozostały po katastrofie sprzęt elektroniczny oraz sieci internetowe i komunikacyjne. System ten przejął kontrolę nad technologią stworzoną wcześniej przez ludzkość – elektrowniami, reaktorami i fabrykami, które, nawiasem mówiąc, doprowadziły najpierw do zniszczenia planety – i zaprzęgnął je do pracy na rzecz ocalenia Ziemi. Odtąd Ekopan nadzorować miał działalność fabryk produkujących roboty, przy czym każda oddana do użytku jednostka była podłączona do jednego wszechwidzącego globalnego oka. Roboty natomiast zbudowały Eden – azyl, w którym schroniła się garstka ocalonych. Równocześnie Ekopan zajął się naprawą zniszczeń, jakie sprowadziliśmy na naszą planetę. Było to jednak dzieło zakrojone na setki lat: w międzyczasie musieliśmy żyć w sztucznym raju, jaki dla nas zaprojektował.

Jak w każdym raju, również i w Edenie obowiązywały pewne reguły. Ci, którzy ośmielili się je złamać, byli wyrzucani poza jego obręb.

Ponieważ żyliśmy w szczelnie zamkniętym systemie, mieliśmy do dyspozycji bardzo ograniczone zasoby. Skoro nie mogliśmy już odżywiać się roślinami ani zwierzętami, nasza dieta ograniczyła się do tych najbardziej odpornych organizmów, które przetrwały Ekokłeskę – glonów, grzybów i porostów, a także zsyntetyzowanych białek. Wszystko (naprawdę wszystko,

wyobraźcie sobie przez chwilę, co to znaczy) podlegało recydingowi, było ponownie wykorzystywane i kolejny raz spożywane. Ludzkość żyła w Edenie już od blisko dwustu lat, a czekało nas co najmniej tysiąc kolejnych, zanim warunki na Ziemi powrócą do normy. Dlatego musieliśmy zachowywać ostrożność.

W sumie to zabawne: ludzkość została praktycznie unicestwiona, jednak wkrótce okazało się, że tych, którzy przetrwali, i tak jest zbyt wielu. Żeby ludzkość mogła przeżyć w Edenie jeszcze tysiąc lat, liczebność populacji musiała być utrzymywana w ściśle wyznaczonych granicach. Dlatego Ekopan określił optymalną liczebność populacji, czyli liczbę ludzi, którzy mogą zamieszkiwać w Edenie do momentu, aż będziemy mogli go opuścić. Zanim jednak ta chwila miała nadejść, musieliśmy stopniowo ograniczać liczbę ludności Edenu.

Ekopantikon, w swojej niezmierzonej mądrości, orzekł, że na każdą parę ludzi w wieku reprodukcyjnym przypadać może tylko jedno dziecko, do momentu aż osiągniemy pożądaną liczebność. Jeśli nie będziemy przestrzegać tej zasady, doprowadzimy do wyczerpania naszych zasobów, a w rezultacie pozostała przy życiu garstka ludzi ostatecznie wymrze.

Gdybyśmy oddali się we władanie nieco bardziej praktycznej sztucznej inteligencji, mogłaby na samym początku nas zdziesiątkować, tworząc optymalną liczebną populację, a potem tylko czuwać nad jej trwaniem. Jednak Ekopan, który kocha nas niczym rodzona matka, postanowił, że w dziele ocalenia ludzkości kierował się będzie przede wszystkim współczuciem.

Tak więc ja oraz inne drugie dzieci (o ile w ogóle jakieś jeszcze istniały oprócz mnie) byliśmy potworami, które samym swoim istnieniem zagrażały przetrwaniu gatunku ludzkiego. Ilekroć nieopatrznie pozwoliłam myślom krążyć wokół tego tematu, dopadało mnie poczucie winy. Pożywienie, które zjadałam, powietrze, którym oddychałam, odpadki, które produkowałam – mogły przeważać szalę i sprawić, że Eden nie przetrwa. Byłam nadprogramowym człowiekiem.

Mimo to cieszyłam się, że żyję. I wiedziałam, że jeśli Ekopan, lub ktokolwiek inny, spróbuje odebrać mi życie, będę się zawzięcie i egoistycznie broniła.

Dopiero teraz zaczynałam sobie w pełni uświadamiać implikacje pozycji, jaką zajmowałam w tym społeczeństwie. Mama wzięła mnie za rękę i delikatnie zaprowadziła do sofy. Dotyk jej dłoni miał w sobie coś kojącego. Pamiętałam, że kiedy byłam znacznie młodsza i chorowałam, ojciec zajmował się moim leczeniem, ale to matka sprawiała, że czułam się lepiej. Dotyk jej rąk, pełne miłości i dobroci spojrzenie działało skuteczniej niż jakiekolwiek lekarstwo.

I teraz z całą mocą dotarło do mnie, jak wiele stracę, zyskując upragnioną wolność. Wszystko się we mnie burzyło na tę myśl. To zbyt wygórowana cena za wolność.

– Każde dziecko musi kiedyś dorosnąć – odezwała się łagodnym głosem mama. Kiedy to mówiła, zauważyłam, że lekko drży jej dolna warga. – Prędzej czy później nadchodzi dzień, gdy musimy opuścić rodzinne gniazdo.

– Ale nie w taki sposób – odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby. – I nie na zawsze.

– Nie możesz tu zostać, to zbyt niebezpieczne – westchnęła mama.

– Ale właściwie dlaczego? – chciałam wiedzieć. – Przecież jeśli zdobędziecie dla mnie fałszywe soczewki i nową tożsamość, mogłabym żyć nadal tutaj jako inna osoba.

– Rowan, twoje życie upływało pod kloszem – stwierdziła matka, wywołując moje gniewne parsknięcie. Ujęła to nadzwyczaj delikatnie. Po chwili, wskazując na niewidoczne miasto rozciągające się za wysokim murem, dodała: – Nie wiesz, jak wygląda życie na zewnątrz. Tam zawsze jesteś pod obserwacją. Twoje zachowanie kontrolują zielone koszule, urzędnicy Centrum, nawet najbardziej niepozorny bot sprząający w rzeczywistości przez cały czas wypatruje na ulicach wszelkich przejawów sprzeciwu wobec polityki Edenu. Wszyscy oni tropią nawet najdrobniejsze odstępstwa od normy. Twój ojciec piastuje wysokie stanowisko w rządzie, a teraz, jak się okazuje, ma jeszcze awansować... – Po tych słowach jej twarz przybrała wyraz, którego nie umiałam zinterpretować. – Znajdziemy się pod jeszcze większą obserwacją. Przybierzesz nową tożsamość, ale jak niby mielibyśmy wytłumaczyć, dlaczego razem z nami do Centrum sprowadza się ktoś nieznajomy? Prędzej czy później zaczęto by prowadzić śledztwo w twojej sprawie. A wówczas wszystkie wysiłki, jakie włożyliśmy w twoje wychowanie, poszłyby na marne.

– Ale mam... – zaczęłam, jednak nie dała mi dojść do słowa.

– Kochanie, to kwestia życia i śmierci – powiedziała, przytulając mnie. – Wystarczy, że coś się nie uda, popełnimy najmniejszy błąd albo ktoś nabierze podejrzeń, i spotka cię śmierć. W zamian masz szansę na prawdziwe życie, przyjaciół, pracę. A pewnego dnia, jeśli wszystko się powiedzie, założysz też własną rodzinę.

Wszystko to mówiła szeptem, z policzkiem przyciśniętym do mojego. Brzmiało to tak, jakby się już ze mną żegnała.

– Ale ja nie chcę zostawić ciebie ani Asha – odpowiedziałam zbolalym głosem. Nadal przepełniała mnie złość, ale czułam też, jak do mojego serca wkrada się smutek.

– Zaslługujesz na to, by żyć w prawdziwym świecie, wieść realne życie – rzekła mama.

Jakaś część mnie wiedziała, że matka ma rację. Jednak równocześnie czułam się jak głodująca dziewczynka, której ktoś proponuje kęs zatrutego jedzenia. Miałam ochotę rzucić się na nie i natychmiast je połknąć – pragnęłam go każdym włóknom mojego ciała. Ale coś mnie powstrzymywało...

– Nie zasługuję na nic wyjątkowego – zaprotestowałam.

– Ależ zasługujesz – zapewniła matka, odsuwając się ode mnie. – I to bardziej, niż zdajesz sobie z tego sprawę.

Ton, jakim wypowiedziała te ostatnie słowa, wydał mi się jakiś dziwny.

– To znaczy? – spytałam ostrożnie.

– Nieważne – odpowiedziała, przygryzając wargę.

– Mamo, powiedz mi – domagałam się, świdrując ją spojrzeniem.

I w końcu spełniła moją prośbę, a ja już po chwili zrozumiałam, że wolałabym nigdy nie usłyszeć tej historii. Była to opowieść o moich narodzinach, która postawiła na głowie cały mój świat.

Na krótko zanim mama dowiedziała się, że zaszła w ciążę, została mianowana główną archiwistką. A ponieważ w nowej pracy miała na głowie mnóstwo projektów, rodzice uznali, że opiekę lekarską roztoczy nad nią ojciec. Dzięki temu w pierwszych miesiącach ciąży mama nie musiała opuszczać żadnych ważnych spotkań w pracy, a tata na bieżąco sprawdzał, czy dostarcza organizmowi niezbędnych składników odżywczych, i przeprowadzał w domu badania prenatalne. Gdyby ciąża przebiegała bez komplikacji, rodzice w końcu, gdy zbliżałby się termin porodu, zgłosiliby się do specjalisty.

Ciąża rozwijała się dobrze do trzeciego miesiąca, kiedy to ojciec podczas badania usłyszał podwójne bicie serca.

W takiej sytuacji mama powinna była postąpić zgodnie z regułami obowiązującymi w Edenie, to znaczy natychmiast zgłosić odpowiednim służbom zaistniałą sytuację i pozwolić, by to panel medyczny Centrum zdecydował, co począć z płodami. W większości przypadków zapadała decyzja o niezwłocznej aborcji jednego z nich. Pozostawało rozstrzygnąć, które dziecko zostanie zachowane przy życiu. Panel brał wówczas pod uwagę stan fizyczny płodu, a także płeć, tak by zgadzała się ona ze średnią ustaloną dla danego pokolenia. Czasami zdawano się na ślepy los – jeden płód przeżywał, drugi poddawany był aborcji.

– Nie mogliśmy tak postąpić – oznajmiła mama, a na wspomnienie tamtych chwil jej oczy zaszklily się od łez. – Po prostu nie byliśmy w stanie podjąć takiej decyzji. Mierzyłaś wtedy tylko siedem i pół centymetra. Gdybyśmy zdecydowali się na aborcję, oznaczałoby to, że nigdy cię nie poznamy. A przecież zdążyliśmy już cię pokochać z całego serca. Postanowiliśmy wtedy, że zrobimy wszystko, co konieczne, by zachować was oboje przy życiu.

Mama co prawda mówiła „my”, jednak dla mnie od razu stało się jasne, kto podjął tę decyzję. To dlatego tata zawsze traktował mnie oziębło, stąd jego lodowate spojrzenie, kiedy patrzył mi w oczy. To mama postanowiła, że nie podda się aborcji, a tata się na to zgodził, żeby jej nie ranić. Kiedy spoglądał na mamę, z jego oczu nigdy nie wzyierał chłód.

– Ukryliśmy fakt, że spodziewam się bliźniaków. Nie zgłosiliśmy się do szpitala nawet wtedy, gdy zaczęły się skurcze przedporodowe. Tłumaczyliśmy potem, że wszystko potoczyło się bardzo szybko i że po prostu nie zdążyliśmy dojechać na porodówkę. Prawda była jednak inna – poród trwał ponad dobę. Urodziłam was w tym domu, w tajemnicy. Przyszłaś na świat jako pierwsza, Rowan, i wystarczyło mi spojrzeć w twoje doskonałe oczy, bym zyskała pewność, że podjęłam słuszną decyzję. Utrzymywanie twojego istnienia w tajemnicy, wszystkie związane z tym problemy, których już zaznaliśmy i które dopiero miały nadejść – wszystko to przestało

mieć jakiegokolwiek znaczenie. Postanowiliśmy, że pokażemy cię światu, a nasze drugie dziecko będziemy trzymać w tajemnicy. Ale od początku byliście dla nas oboje jednakowo ważni.

A zatem byłam pierworodną! Oczami wyobraźni ujrzałam inną wersję przeszłości, w której to ja jestem tym prawdziwym, oficjalnie uznanym dzieckiem, prowadzę normalne życie, chodzę do szkoły, mam znajomych i własny pokój, w którym mogę trzymać swoje rzeczy. W tym innym życiu to ja miałam prawo do żartów i pogawędek z Lark i innymi, a tymczasem Ash...

Nie, nie mogłam tak myśleć – jasne, mogłam sobie wyobrażać, że to mnie przypadło w udziale takie życie. Ale przecież wówczas wiodłabym je w zastępstwie *jego*.

– A potem urodził się Ash. Był taki maleńki, jego skóra miała niemal niebieski kolor. Przez pierwszą minutę po urodzeniu nie oddychał. A kiedy w końcu zaczerpnął powietrza, stało się jasne, że coś mu dolega. Ojciec momentalnie postawił diagnozę: chroniczna niewydolność płuc.

Mama skinęła lekko głową, widząc, z jaką uwagą przysłuchuję się jej opowieści.

– Rowan, *musieliśmy* udawać, że to on jest pierworodnym. Nie mieliśmy wyboru. Gdyby kilku pierwszych miesięcy nie spędził na OIOM-ie, nie przeżyłby. Szanse, że będzie żył, jeśli to jego ukryjemy przed światem, były zerowe.

W powietrzu zawisa niewypowiedziana prawda: gdyby nasze przeznaczenie pozostawić w rękach urzędników Centrum, wówczas niezależnie od tego, w jakiej kolejności przyszliśmy na świat, uznaliby oni, że to ja zasługuję na życie, zaś Ash zostałby uśmiercony nawet po porodzie. Ja, jako silne i zdrowe dziecko, mogłam się przydać Edenowi, natomiast on był bezużyteczny. Pewnie gdyby oboje nasi rodzice nie byli urzędnikami wysokiego szczebla, Ash w ogóle nie miałby prawa żyć. Para ubogich ludzi żyjących na obrzeżach Edenu, gdzieś w zewnętrznym kręgu, musiałaby się liczyć z tym, że jeśli trafi im się chorowity pierworodny, zostanie uśmiercony, a władze będą nakłaniały do postarania się o drugie dziecko.

W głowie miałam chaos: kłębiło się w niej od przepełnionych złością, strasznych, niegodnych mnie myśli. W swoim życiu doznałam tyle miłości, że nie powinnam teraz dopuszczać ich do siebie. Mimo to nie potrafiłam od nich uciec: *To ja powinnam żyć w świecie, to ja jestem pierworodnym dzieckiem.*

Mama tłumaczyła mi jeszcze, co stanie się teraz, jednak słuchałam jej tylko jednym uchem. Wkrótce zabiorą mnie do działającej w podziemiu kliniki chirurgicznej, gdzie zostaną mi trwale wszczepione soczewki. Następnie zostaną przemycona do mojej nowej rodziny. Nie bardzo rozumiałam, jak niby miało się to odbyć: skoro moi biologiczni rodzice nie potrafili wymyślić wystarczająco przekonującej historyjki, żeby mogli mnie zatrzymać, jakim cudem obcy ludzie mieliby ją stworzyć?

W końcu po schodach zszedł do nas Ash. Szedł powoli, asekurując się uniesioną ręką, którą jednak nie dotykał ściany, jakby nie dowierzał, że utrzyma się na nogach. Posłał mi błądy uśmiech.

Zerknęłam szybko na mamę, ale ona potrząsnęła głową, jakby mówiła: *Ash o niczym nie wie.*

Najchętniej wykrzychałabym mu prosto w twarz całą prawdę: *Wpełnij z powrotem do swojej kryjówki, jesteś tylko drugim dzieckiem! Pozwól mi zasmakować wolności, pozwól mi żyć tak, jak powinnam od samego początku!*

Nienawidziłam siebie za te myśli.

I nagle stało się dla mnie jasne, że nie mogę dłużej żyć w tym domu.



KIEDY RUSZYŁAM NA DZIEDZINIEC, MAMA NIE pospieszyła za mną. Uznała chyba, że chcę pobyć sama, żeby w spokoju przetrwać wszystkie te rewelacje. Ash też nie dołączył do mnie. Domyśliłam się, że to ona go powstrzymała. Czyżby naprawdę wyobrażała sobie, że chcę teraz być *sama*, skoro całe życie musiałam spędzać samotnie? Mój świat ograniczał się do trzech osób, które przepadały na całe dni, zajmując się swoimi sprawami. Cała moja egzystencja upływała pod znakiem samotności. I teraz miałabym chcieć zostać sama? To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam.

I nagle zapragnęłam tego wszystkiego, czego dotychczas mi odmawiano. Przepęłniała mnie złość, uraza, brawura. Przez blisko siedemnaście lat pozwalałam, by o moim losie decydowali rodzice, którzy, jak się teraz okazało, imali się przeróżnych intryg i łapówek, byle tylko się mnie pozbyć. Teraz w końcu nadszedł moment, bym sama wzięła sprawy w swoje ręce. W oczach garstki ludzi, którzy przetrwali na Ziemi, mogłam nie być prawdziwą, oficjalnie istniejącą osobą, jednak stać mnie było na to, bym samodzielnie zadecydowała o własnym przeznaczeniu. Choćby tylko przez jedną noc.

Równocześnie narastało we mnie mgliste przeświadczenie, że prędzej czy później i tak będę musiała zgodzić się na przyszłość, jaką obmyślili dla mnie rodzice: będę miała nowe soczewki, dzięki którym zyskam inną tożsamość, a potem zamieszkać z nową, pasującą do niej rodziną. Na razie jednak chciałam zasmakować wszystkiego, co było mi odbierane przez tyle lat; wszystkiego, do czego przez cały ten czas miałam prawo – o czym dowiedziałam się dopiero przed chwilą.

Wdrapałam się jeszcze raz na szczyt muru okalającego dziedziniec. Wkoło mnie pobłyskiwały zielonkawo-błękitne światła Edenu, przypominające lampki choinkowe. To bioluminescencja pochodząca ze zmodyfikowanych mikroorganizmów, która rozświetlała całe miasto nocą, a także rozbłyski elektrycznego światła widoczne, ilekroć poruszył się któryś z mieszkańców. Wszędzie wokół w nagłych rozbłyskach światła, niczym w żywej dioramie, dostrzegałam cienie poruszających się ludzkich sylwetek. W głębi ulicy jakiś sąsiad, którego nigdy nie poznałam i nigdy już nie poznam, otwierał właśnie drzwi swojego domu i wychodził w mrok. Przez ułamek sekundy można było odnieść wrażenie, jakby miasto poddawało go badaniu, i dopiero po chwili, gdy ulica zdecydowała, że może go przyjąć, ziemia pod jego stopami rozbłysła. Mężczyzna skierował się ku dzielnicy rozrywkowej, a światłość podążyła za nim, trzymając się

zawsze nieco z tyłu, jakby chciała dyskretnie mu przypomnieć, że pamięta o nim. Przyglądałam się, jak blask otaczający sąsiada maleje w oddali. To światło przypominało mi błędne ogniki ze starych opowieści mamy. Mogłabym przysiąc, że przyzywały mnie ku sobie.

Ze swojego punktu obserwacyjnego widziałam rozbłyski towarzyszące paru innym osobom z naszego kręgu. Wszystkie kierowały się ku innemu kręgowi, gdzie czekały na nie imprezy, kluby, restauracje i teatr. Gdybym tylko miała takie miejsce, do którego mogłabym pójść, i kogoś, kto by tam na mnie czekał! Oczami wyobraźni widziałam, jak zjawiam się na imprezie – są tam już wszyscy moi przyjaciele, wołają mnie po imieniu, przyzywają do siebie skinieniem. Ktoś podaje mi drinka, ktoś inny rzuca jakiś dowcip dotyczący czegoś, co wspólnie przeżyliśmy. Jestem tam mile widziana, akceptowana.

Kolejny raz tego wieczoru przełożyłam nogę na zewnętrzną stronę muru, jednak tym razem naprawdę zaczęłam zsuwać się na dół.

Mama czasami używała powiedzenia: *Znam to jak własną kieszeń*. Zsuwając się z wysiłkiem, jak w zwolnionym tempie, po drugiej stronie muru, przypominałam sobie jej słowa i nagle uderzyła mnie myśl, że do tej chwili powiedzenie to w idealny sposób opisywało moje życie.

Przez kilka pierwszych sekund mojej wyprawy w nieznanie towarzyszyło mi dojmujące poczucie *inności*. Od urodzenia znałam w najdrobniejszych szczegółach cały mój świat. Gdybym nagle straciła wzrok, nie zrobiłoby mi to wielkiej różnicy – mogłabym poruszać się swobodnie po moim maleńkim królestwie, korzystając z dowolnego innego zmysłu. Wewnętrzna strona muru to mój przyjaciel, jego pęknięcia same podsuwały się pod moje stopy i dłonie niczym pomocne ręce. Po stronie zewnętrznej poczułam natomiast, jakby mur próbował mnie z siebie rzucić.

Sparaliżowana strachem, zsunęłam się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów, po czym zastygłam bez ruchu. Żeby się uspokoić, spróbowałam dotykiem odnaleźć w kamieniach muru uspioną pamięć Ziemi. I faktycznie pomogło to trochę; pokrzepiona ześlizgnęłam się kilka centymetrów niżej. Oddychałam teraz powoli i miałam wrażenie, jakby gład, przylegający do mojej unoszącej się w rytm oddechów piersi, oddychał razem ze mną. Ta myśl poprawiła mi nastrój: uśmiechając się do siebie, zsunęłam się jeszcze niżej.

Schodząc dalej, znalazłam jeszcze dwa punkty zaczepienia dla dłoni i stóp. Jednak szczelina, w którą wsunęłam stopę, ukruszyła się – zawisłam na rękach, a jedną nogą rozpaczliwie na oślep próbowałam znaleźć podpórke. W ostatniej chwili udało mi się zahaczyć krawędzią stopy o jakiś maleńki występ. Nie oznaczało to jednak końca problemów – teraz zaczęły mi się ześlizgiwać dłonie.

Mur od strony dziedzińca był zapuszczony. Nadawało mu to bardziej autentycznego charakteru, a jego liczne nierówności i szczeliny zawsze ułatwiały mi wspinaczkę. Tymczasem jego zewnętrzna strona, którą zwrócony był do świata, była znacznie lepiej utrzymana. Gipsowa

zaprawa łącząca głązy sprawiała wrażenie stosunkowo świeżej, a kamienie miały wyrównane powierzchnie. Wszystkie punkty oparcia były znacznie węższe od tych, do których zdążyłam przywyknąć.

Zwolniłam uchwyt i przez chwilę sunęłam dłonią po powierzchni muru niczym pająk jakiegoś dawno wymarłego gatunku. W końcu natrafiłam na występ! Balansowałam ciałem, próbując nie przywierać zbyt mocno do ściany. Podczas wspinaczki najważniejsze jest zachowywanie równowagi: jeślibym próbowała przylgnąć za bardzo do kamieni, efekt byłby odwrotny do zamierzonego, a moje ciało odsunęłoby się od ściany.

Usłyszałam jakieś dobiegające z daleka głosy, teraz jednak całą moją uwagę pochłaniało utrzymanie się na murze. Od ziemi nadal dzieliło mnie około sześciu metrów. Gdybym spadła, pewnie bym przeżyła, ale wolałam nie ryzykować. Wysięk, jaki wkładałam we wspinaczkę, miał jeden niezaprzeczalnie dobry skutek – pozwalał oderwać myśli od złości, urazy i zmieszania. Kiedy ryzykujesz życiem, a przynajmniej zdrowiem, analizowanie emocji schodzi na dalszy plan.

Kiedy zsunęłam się kilkadziesiąt centymetrów niżej, usłyszałam, że obce głosy się przybliżyły. Ostrożnie, żeby nie stracić równowagi, odwróciłam głowę w tamtym kierunku. *Bikk!* Na krawędzi pola widzenia, parę przecznic dalej, dostrzegłam patrol zielonych koszul. Oddział poruszał się w kuli blasku, a wydobywające się z centrum snopy światła latarek nadawały grupie wygląd jakiegoś wieloramiennego morskiego stworzenia. Zielone koszule przeczesywały dzielnicę w poszukiwaniu wszelkich podejrzanych śladów.

Gdyby mnie zauważyli, pomyśleliby, że to jakaś ćpunka z zewnętrznego kręgu naszprycowana syntocybiną próbuje zdobyć kasę na następną działkę. Czy może być coś bardziej podejrzanego niż dziewczyna wdrapująca się na mur w szykownej dzielnicy wewnętrznego kręgu?

A właściwie dziewczyna będąca drugim dzieckiem, pozbawiona implantów soczewkowych. W rzeczywistości nie byłam materiałem na zwyczajną kryminalistkę. Mogłabym przestrzegać prawa jak nikt inny w Edenie, ale to i tak nic by nie zmieniło, ponieważ samo moje istnienie stanowiło rażące pogwałcenie najwyższego porządku.

Cóż, nadeszła pora, by ta nieistniejąca, wyjęta spod prawa dziewczyna wróciła już do domu. W miarę jak rosło ryzyko, że zostanę schwytana, pragnienie poznania zewnętrznego świata stawało się wyraźnie mniej naglące. Zielone koszule na razie mnie nie dostrzegły – latarki skierowane mieli w innym kierunku – jednak ich bliskość kazała mi się wycofać.

Sięgnęłam ku szczelinie tuż nad głową, jednak kiedy moje palce zaciskały się na krawędzi skały, stało się coś dziwnego. Nagle ogarnęło mnie przyprawiające o zawrót głowy wrażenie, że nie panuję nad swoim ciałem. Świat przed moimi oczami zachwiał się lekko, a od ściany oderwał się wielki kawał gipsu i został mi w dłoni. Musiałam uchwycić się go zbyt mocno i teraz

zsuwałam się bezwładnie w dół z przyprawiającą o mdłości szybkością. Całym ciałem tarłam o powierzchnię muru, próbując spowolnić upadek. I dopiero po chwili, która zdawała mi się całą wiecznością – w rzeczywistości zsunęłam się zaledwie jakieś trzydzieści centymetrów – palcami zaczepliłam się o wyłom w murze i zawisłam na jednej ręce trzy metry nad ziemią.

Ukruszony fragment muru roztrzaskał się na ziemi, czemu towarzyszył ogłuszający dźwięk. Byłam pewna, że momentalnie zwabi tu zielone koszule. Patrol jednak nie nadbiegał. Dyszałam ciężko, przeklinając własną głupotę: po jaką cholere próbowałam sama przedostać się do zewnętrznego świata? Nie byłam przygotowana do takich eskapad. Najwyraźniej nie potrafiłam nawet bezpiecznie wydostać się z domu. Co właściwie zamierzałam zrobić, kiedy znajdę się na dole? Skoczyć na imprezę? Zakumplować się z kimś? W rzeczywistości pewnie pogubiłabym się momentalnie w labiryncie ulic. Poza tym nie miałabym pojęcia, jak porozumieć się z kimś, kto nie jest moim krewnym i kogo nie znałam całe życie.

Jeszcze przed chwilą odczuwałam przemożną potrzebę ucieczki. Teraz natomiast opanowało mnie gorączkowe pragnienie znalezienia się z powrotem w domu, w świecie, gdzie wszystko jest przewidywalne i bezpieczne. Przecież za trzy dni czeka mnie przeprowadzka. Powinnam cieszyć się czasem, który mi pozostał. Tak przynajmniej powtarzałam sobie w myśli. W rzeczywistości bowiem jakaś część mnie nadal wyrывała się do świata, wciąż pragnęła przeciwstawić się przeznaczeniu, które przez całe życie czyniło mnie więźniem.

Wyciągnęłam i wykręciłam ramię, próbując uchwycić się czegokolwiek u góry, jednak nic z tego. Znalazłam się w pułapce, a jedyna droga, jaką mogłam się z niej wydostać, prowadziła w dół.

Wyobrażałam sobie twarz mamy, kiedy zawstydzona zadzwonię do bramy. Wiedziałam, że sprawię jej straszny zawód.

Musiało upłynąć kilka minut, zanim zsunęłam się na tyle nisko, by móc bezpiecznie zeskoczyć. Odepchnęłam się od muru i po chwili lekko opadłam na ziemię. W tym samym momencie zastygłam zdumiona.

Moje stopy dotykały ziemi, jednak znajdowałam się poza naszym domem. Pierwszy raz w życiu znalazłam się na zewnątrz. Uniosłam palce nóg, spodziewając się, że ziemia pod nimi będzie wyglądać inaczej niż ta po drugiej stronie muru. Tak naprawdę jednak nie wydawała się wcale wyjątkowa. Była to ta sama gładka i lśniąca fotorecepcyjna powierzchnia chłonna energii słoneczną, z której wyrastała większość murów i chodników w mieście. Równocześnie jednak była inna niż ta, którą znałam.

Znalazłam się *na zewnątrz!* Byłam nareszcie *wolna!*

Poczułam, jakby ziemia wysyłała do moich stóp elektryczne impulsy, które zachęcały je do ruchu bez udziału mojej woli. Zrobiłam krok... ale wcale nie ku bramie, tylko w przeciwną stronę: z dala od znanego mi świata, od mojej bezpiecznej kryjówki, która równocześnie była

moim więzieniem. W kierunku wolności, która kryła w sobie niebezpieczeństwo.

Kolejny krok... Całe moje ciało wyrывało się do biegu. Chciało się upoić pędem, jak podczas tych najbardziej ekscytujących momentów codziennych maratonów po dziedzińcu. Zrobiłam trzeci krok – i byłam już na publicznym chodniku. Od ulicy oddzielał go szpaler sztucznych drzew. Wiedziałam, że wyglądają identycznie jak ich naturalne pierwowzory – żywe drzewa, które kiedyś, przed Ekoklęską, porastały Ziemię, rozplenając się nawet w gęsto zabudowanych miastach. W rzeczywistości były to tylko sztuczne repliki, równie fałszywe jak przygotowana dla mnie nowa tożsamość. Drzewa, na które teraz patrzyłam, to tylko trójwymiarowe fabryki fotosyntezy – ich zadaniem było produkowanie tlenu, którym oddychają wszyscy mieszkańcy Edenu.

Położyłam dłoń na pniu jednego z nich – w dotyku było chłodne, martwe.

Oszołomiona, czując się niemal, jakbym śniła, ruszyłam przed siebie lekko zakręcającym chodnikiem. Nasza ulica, oddalona o zaledwie trzy kręgi od ścisłego Centrum, zataczała stosunkowo niewielki okrąg. Zabudowa była tu niska, domy miały po dwa, najwyżej trzy piętra. Prawo Edenu nakazywało niską zabudowę w kręgach wewnętrznych, tak by budynki samego Centrum mogły dumnie górować nad wszystkim wkoło. Zerknęłam przez ramię w tamtym kierunku – olbrzymia szmaragdowa kopuła wznosiła się w samym sercu Edenu niczym gigantyczne fasetowane oko. Wiedziałam co prawda, że budowla ta mieści biura dygnitarzy pokroju moich rodziców, ale czasami miałam poczucie, że Centrum stanowi oko Ekopanoptikonu, nieustannie przypatrujące się Edenowi.

A w tej chwili miałam wrażenie, że oko przebiło ciemność i utkwilo we mnie swe złowrogie spojrzenie.

Odwrociłam się plecami do Centrum, wyprostowałam i ruszyłam niespiesznie w głąb Edenu.

Był już późny wieczór, jednak na ulicach nadal kręciło się trochę ludzi. Niektórzy gawędzili z sąsiadami, inni wracali do domu z restauracji. Niektórych rozpoznawałam, choć dotychczas widywałam ich tylko o zmroku lub o świcie z mojego orlego gniazda. Dokądkolwiek szli i gdziekolwiek przystanęli, towarzyszyła im delikatna poświata. Rozbłyskiwała przed nimi i przygasiała, kiedy przechodzili dalej. Ja natomiast poruszałam się bez tej świetlnej asysty, tak jakby Eden na mój widok zamykał oczy, odrzucał mnie.

Zawsze żyłam w przekonaniu, że gdy tylko znajdę się na ulicy, natychmiast zostanę zaatakowana. Tymczasem teraz okazało się, że nie budzę najmniejszego zainteresowania nielicznych przechodniów. Ta myśl napawała mnie, oczywiście, otuchą, ale równocześnie była przykra.

W pewnym momencie z domu, który mijałam, wyszedł jakiś mężczyzna. W dłoni trzymał kartę magnetyczną. W poświacie, jaką emanował budynek, dostrzegł mój cień i rzucił mi krótkie spojrzenie. Trwało to tylko ułamek sekundy, po czym z uśmiechem kiwnął mi głową na

powitanie, i skupił się na zamykaniu drzwi. Zanim się z tym uporał, byłam już daleko, a on wyszedł na chodnik i ruszył w przeciwnym kierunku.

Czułam wielkie uniesienie. Lekko drżałam z podniecenia. Właśnie doświadczyłam pierwszego kontaktu z człowiekiem spoza naszego domu!

Wiedziałam jednak, że muszę się mieć na baczności. Jeśli nie będę uważać, ktoś zorientuje się, że jestem inna. Nasunęłam daszek czapeczki głęboko na czoło, ukrywając moje kalejdoskopowo barwne oczy. Opatuliłam się szczerzej bladozłotą kurteczką i szłam przed siebie lekko przygarbiona. Dlaczego ziemia nie rozświetlała się pod moimi stopami? To mogło mnie zdradzić: ludzie nie będą musieli wpatrywać się w moje oczy, żeby zauważyć, że nie mam soczewek; wystarczy, że ktoś dostrzeże, że jestem jedynym człowiekiem poruszającym się w ciemności po ulicach. Miałam do wyboru: albo przedostać się do bardziej ludnych części Edenu, gdzie otaczająca mnie ciemność pozostanie niezauważona pośród blasku innych przechodniów, albo wracać do domu.

Wiedziałam, że powinnam zawrócić. Ciekawe, czy mama wie już, że uciekłam. Może pomyślała, że dąsam się w swoim łóżku, i uznała, że nie będzie mi przeszkadzać. Albo odkryła już, co zrobiłam, i jest przerażona.

Powinnam wracać, jednak zamiast tego ruszyłam w stronę najbliższego kręgu rozrywkowego.

Poszczególne kręgi połączone były ulicami rozchodzącymi się promieniście od Centrum; zazwyczaj arterie te tętniły życiem. Zabudowę mieszkaniową wypierały tu kompleksy handlowe. Ulica, którą teraz szłam, przeznaczona była na tym odcinku tylko dla ruchu pieszego. Jej środkiem płynął kanał, a po obu jego stronach ciągnęły się chodniki. Większość sklepów, oferujących odzież, biżuterię i dekoracje wnętrz, była już zamknięta. Po wodach kanału sunęła łódeczka z parą zakochanych, prowadzona przez wiosłującego przewoźnika. Woda z przodu łódki przypominała rtęć, była srebrna i nieruchoma, burzyło ją tylko spotkanie z dziobem. Spieniona wzbijała się wtedy w górę niczym mrowie małych rybek i zostawiała z tyłu za łodzią falisty, przywodzący na myśl węża, kilwater.

Mimo że sklepy były już zamknięte, na deptaku nadal było tłoczno; przechodniów było tu znacznie więcej niż na mojej ulicy. Wszyscy kierowali się w jedną stronę – ku kręgowi rozrywkowemu. W mniejszych kręgach znajdujących się bliżej Centrum całe ulice miały charakter rozrywkowy. Roilo się tu od restauracji, klubów, barów i teatrów. Dalej od Centrum, w kręgach zewnętrznych, nie istniały wydzielone strefy rozrywkowe. W tamtych rejonach Edenu kręgi były już zbyt wielkie, a poza tym mieszkańców zewnętrznych dzielnic nie stać było na regularne wizyty w teatrze czy wypadu do restauracji. Mama twierdziła, że mimo to nie brakowało tam barów.

Staralam się wtopić w tłum i poruszać w blasku innych przechodniów, tak by nikt nie zorientował się, że jestem pozbawiona własnego światła. Nagle dotarło do mnie, że przez cały

czas uśmiecham się szeroko jak skończona idiotka. Ten uśmiech to po części wynik podniecenia, po części zaś próba ukrycia zdenerwowania. Nikt jednak nie zwracał na mnie uwagi. Ludzie na ulicy zakładali najwidoczniej, że jestem taka sama jak reszta – w ich oczach szłam po prostu gdzieś się zabawić z przyjaciółmi.

Wokół siebie dostrzegałam budowle, które dotychczas widywałam tylko przelotnie ze szczytu muru. Po lewej stronie mijałam jedną ze strzelistych wież uprawnych. Jej iglica górowała nad najwyższymi budynkami Edenu, wychwytyjąc promienie słoneczne. W wieży znajdował się złożony system krętych rur, którymi płynął szlam ze zmodyfikowanych genetycznie glonów. Wodorosty, żywiąc się energią słoneczną, produkowały następnie substancję, która zaspokaja wszystkie potrzeby żywnościowe człowieka. W dalszej kolejności substancja transportowana była do zakładów produkcyjnych, gdzie wytwarzano z niej syntetyczne produkty żywnościowe. Z wyglądu i smaku nie różniły się one niczym od naturalnych owoców i warzyw, które uprawiano przed Ekokłeską (tak w każdym razie utrzymywały władze). Dzięki temu mogłam przekonać się, jak smakuje truskawka, choć ostatni prawdziwy owoc zginął przed dwustu laty.

Wieża uprawna miała bardzo praktyczne zastosowanie, ale tego wieczoru dodatkowo wyglądała też olśniewająco. Skręcone spiralnie rury przypominały jakąś fantazyjną rzeźbę, zaprojektowaną, by cieszyła oko. Przystanąłam gwałtownie, oczarowana tą gigantyczną konstrukcją, i natychmiast ktoś wpadł mi na plecy.

– Hej – przywitał się chłopak, który mnie potrącił.

Był mniej więcej w moim wieku. Przez ułamek sekundy w jego oczach dostrzegłam błysk świadczący o tym, że mnie rozpoznał. Błyskawicznie spuściłam wzrok i się odwróciłam. Kątem oka widziałam, jak wzrusza ramionami i odchodzi.

To krótkie spotkanie napełniło mnie lękiem. Nagle ogarnęły mnie wątpliwości, czy w ogóle jestem w stanie normalnie funkcjonować w świecie. Nieznajomy przywitał się ze mną, a ja od razu miałam ochotę zrobić coś szalonego: rzucić się do ucieczki, uderzyć go albo zwinąć się w kłębek. Nie miałam pojęcia, która z tych reakcji jest właściwa. Serce waliło mi w piersi, oddech stał się nagle przyspieszony i płytki. W miarę jak zbliżałam się do kręgu rozrywkowego, tłum gęstniał. W myślach błagałam mijających mnie ludzi: *Tylko na mnie nie patrzcie. Pozwólcie mi przyglądać się wam i udawać, że jestem jedną z was.* Miałam poczucie, że jeśli ktoś spróbuje zamienić ze mną dwa słowa, całkowicie stracę panowanie nad sobą.

Jednak mimo narastającego niepokoju nogi nadal same niosły mnie dalej.

Nocami światła w kręgu, gdzie stał nasz dom, miały subtelny, piękny odcień: były bladozielone i srebrzyste niczym rtęć. Przez cały czas migotały łagodnie, stwarzając atmosferę spokoju i bezpieczeństwa w ekskluzywnej dzielnicy. Tutaj natomiast były zupełnie inne, stanowiły ozdobę, były ostentacyjne, a przede wszystkim miały jaskrawe, żywe barwy.

Z filmików edukacyjnych wiedziałam, jak wyglądały kiedyś łąki zasłane dywanami

kolorowych dzikich kwiatów, lasy, które jesień pomalowała czerwienią i złotem, albo oceany o białych spienionych grzywach fal. Teraz jednak stało się dla mnie jasne, że wszystkie te naturalne kolory blakły w zestawieniu z eksplozją barw, jaką fundował najbardziej odjazdowy krąg rozrywkowy Edenu. Miejscy architekci zadbali o stworzenie całej palety odcieni, od których kręciło mi się w głowie. Ciekawe, czy inni bywalcy też tak na nie reagowali. Może już do nich przywykli i w ogóle ich nie dostrzegali.

Wszystko to było niewątpliwie bardzo piękne, lecz piękno to miało w sobie coś chłodnego. Spoglądając na wielobarwne światła kręgu rozrywkowego, myślami cofnąłam się do wspaniałości naturalnych pejzaży, których nikt z nas nigdy już nie ujrzy na własne oczy. Do głowy przyszło mi, że tak właśnie wygląda dziki krajobraz Edenu – spoglądałam teraz na nowe środowisko człowieka, które będzie musiało nam wystarczyć do czasu, aż świat się uleczy.

Znajdowałam się teraz w samym sercu dzielnicy rozrywkowej. Po prawej ręce miałam klub, z którego dobiegały jakieś dziwne, ekscytujące rytmy. We wnętrzu pobłyskiwały feerią barw pulsujące stroboskopowe światła. Przechodząc, zerknęłam ciekawie do środka: dostrzegłam wirujących w tańcu ludzi z uniesionymi wysoko ramionami. Po chwili dotarłam do teatru. Panował tu większy spokój; wywieszony na murze plakat zachęcał do obejrzenia jakiejś wyrafinowanej komedii. Wtem moje spojrzenie padło na stojącego w drzwiach biletera w zielonym stroju. Momentalnie poczułam nagły atak paniki, jednak po chwili dostrzegłam, że jego liberia ma szmaragdowy kolor i ozdobiona jest mosiężnymi guzikami. A zatem podobieństwo do mundurów zielonych koszul było tylko złudne.

Kiedy doleciały mnie czyjeś podniesione głosy, moją pierwszą reakcją była chęć ucieczki. Szybko zorientowałam się jednak, że to tylko grupka przekrzykujących się wesoło młodych ludzi. Krzyczeli do siebie, ale na ich twarzach widniały promienne uśmiechy. Przypatrywałam im się długo, aż wreszcie przypomniałam sobie o tym, jak wyglądają moje oczy, i szybko odwróciłam się w inną stronę.

Czułam, że muszę odpocząć od tego natłoku wrażeń. Czy znajdę tu jakieś miejsce, w którym byłabym osłonięta przed wzrokiem nieznanym?

Mój wybór padł na zaułek między dwoma budynkami. Od Asha wiedziałam, że w takich bocznych uliczkach chętnie dokowały boty sprzątające i dostawcze – wszechobecne roboty przeczesujące nieustannie teren Edenu. Jeden z takich botów sprzątających kręcił się akurat nieopodal. Widziałam przysadzisty metaliczny kształt, który toczył się po ulicy i wsysał jak odkurzacz większe śmieci, włosy, a nawet martwe komórki naskórka. Wszystko, co zebrał, trafiało do centrum pozyskiwania surowców wtórnych, po czym znajdowało jakieś nowe zastosowanie. Niedaleko przemykał też nieco bardziej wysmukły srebrzysty bot dostawczy. Trąbiąc, lawirował pośród przechodniów, taszcząc pojemnik z napisem „Nowe pyszne ćapati”. Ash zdradził mi kiedyś, że to ciesząca się wielką popularnością restauracja z jedzeniem na

wynos. Na szczęście żaden z botów nie zajrzał do mojego zaułka i mogłam skryć się w cieniu. Na razie nic mi nie groziło.

Wielkość Edenu zapierała dech w piersiach, dlatego chciałam przycupnąć gdzieś z boku i chłonąć jego ogrom z dystansu. Obok mnie przechadzali się obcy ludzie i przez krótką chwilę mogłam im się przypatrywać jak szpieg. To wystarczało, bym wyrobiła sobie ogólne zdanie na temat każdego z nich.

Wyłowiłam z tłumu jakąś parę – szli przytuleni, stykając się głowami. Mężczyzna szeptał coś do towarzyszki. Zanim zniknęli mi z oczu, usłyszałam, jak kobieta śmieje się w odpowiedzi. Następnie przechodziła większa grupa osób – jacyś mężczyźni ubrani w jednakowe koszulki, pewnie zawodnicy jakiejś drużyny sportowej. Ich ciała wydzielały dziwną męską woń. Kiedy ją wyczułam, odruchowo wsunęłam się głębiej w cień, plecami przywierając do muru. Za grupką mężczyzn ciągnęło stadko rozchichotanych dziewcząt. W pewnym momencie doleciał mnie komentarz jednej z nich pod adresem któregoś z facetów: „Fajny tyłek!”. Przy tych słowach dziewczyna mrugnęła zalotnie do mężczyzny. Inna gwizdnęła z podziwem.

Żadna z nich nie spojrzała ku mojej kryjówce. Byłam im za to wdzięczna, lecz równocześnie poczułam ukłucie smutku.



PRZECIEŻ TO BEZ SENSU, STROFOWAŁAM SIĘ w myślach. *Wyrwałaś się do miasta, a cały czas tkwisz w tym zaułku. Wyjdź do ludzi, do światła i barw. Ta eskapada może cię sporo kosztować, może nawet ryzykujesz życiem. Naprawdę chcesz cały ten czas spędzić przyczajona w cieniu?*

Może chcę, odpowiedziałam sobie nieprzekonana. Czułam, jak walczą we mnie dwie przeciwstawne siły: nieśmiałość i odwaga. Z całego serca pragnęłam wdać się w jakąś interakcję z ludźmi, ale równocześnie zżerała mnie trema. Ze zdenerwowania plątał mi się język. Byłam pewna, że zrobię z siebie kretynekę.

Więszym niepokojem napawała mnie myśl, że narażę się na śmieszność, niż że zostanę schwytana przez służby porządkowe. Coś chyba ze mną było nie tak.

Koniec końców, jak zawsze, złość wzięła górę nad strachem. Nadal buzował we mnie gniew z powodu niesprawiedliwości, jaka mnie spotkała: przecież byłam pierwotnym dzieckiem, a mimo to potraktowano mnie jak wyrzutka. *No śmiało*, poganiałam się w myślach. *Wyjdź na ulicę i weź, co ci się należy.*

Wychyłam z zaułka... i natychmiast wpadłam na barczystego funkcjonariusza zielonych koszul.

W tej samej sekundzie, w której zareagowałam na jego nagłe pojawienie się, wiedziałam już, że robię to źle. Powinnam zachowywać się normalnie, ale przecież nie miałam pojęcia, co znaczy normalność. Spoglądałam w twarz funkcjonariuszowi, a z moich ust wyrwał się zduszony jęk. Przerażona patrzyłam mu prosto w oczy. To powinno wystarczyć, by przejrzał mnie na wylot w jednej chwili.

Domyślałam się, że to jakiś nowy rekrut, bo w pierwszym momencie tylko wlepił we mnie wzrok. Był znacznie wyższy i lepiej zbudowany ode mnie, ale wyglądał na młodziutkiego – mógł mieć dwadzieścia parę lat. Spod hełmu sterczała mu nad czołem krótka blond grzywka. Na piersi miał naszywkę z imieniem: Rook. Wziął głęboki oddech i przez chwilę poruszał ustami, jakby próbował coś powiedzieć. Było jasne, że nie dowierza temu, co widzi, spoglądając w moje oczy. Wyobrażałam sobie, jak w jego głowie rozbrzmiewają słowa: *Przecież byłeś szkolony na wypadek takiej sytuacji.* Pewnie nigdy nie sądził, że w rzeczywistości spotka drugie dziecko.

Funkcjonariusz sięgnął do mikrofonu zawieszzonego na ramieniu, jednak nie wciskał klawisza, żeby wezwać posiłki.

– Nie ruszaj się – rzucił niskim głosem.

Jeszcze czego, odpowiedziałam mu w myśli. W głowie miałam mętlik, jednak górującym nad wszystkim uczuciem pozostawała złość. Posłałam mu pełne niedowierzania spojrzenie i rzuciłam zaczepnie:

– Serio? Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

A już w następnej chwili – sama sobie nie wierząc, że to robię – odepchnęłam go z całej siły, aż zatoczył się do tyłu. Następnie okręciłam się wokół własnej osi i już miałam puścić się biegiem, gdy tuż przede mną jak spod ziemi wyrósł bot ochrony.

W porównaniu z niedużymi i niewinnie wyglądającymi robotami pomocniczymi, takimi jak sprzątające i dostawcze, boty ochrony były wyższe, kanciaste, miały ruchome członki, a z postawy i ruchów przypominały nieco ssaki naczelne. Nie wyglądały wprawdzie jak ludzie – zbudowane z metalu i obwodów elektrycznych pozbawione były skóry czy możliwości wyrażania myśli – jednak było w nich pewne złowrogie podobieństwo do istoty ludzkiej. Przyglądając się im, można było odnieść wrażenie, jakby jakaś maszyna próbowała stworzyć sztucznego człowieka i poniosła porażkę na całej linii.

To właśnie tego typu boty krążyły nieustannie po ulicach Edenu, wypatrując zachowań, które stanowiłyby pogwałcenie wytycznych Ekopanu. Przez większą część czasu zajmowały się sprawami odpadów, występkami, które mogłyby zagrozić czystości materiału genetycznego, a także działaniom narażającym na szwank własność publiczną. Do ich zadań należało jednak również wyszukiwanie poważniejszych zagrożeń, na przykład tropienie członków gangów lub heretyckich sekt, które wyznawały starożytne wierzenia, iż to ludzie powinni czynić sobie poddanyymi wszystkie stworzenia żyjące na Ziemi.

No i drugich dzieci.

Tym razem zachowałam się rozsądniej. Jak tylko bot rozpoczął skanowanie, uskokczyłam na bok. Liczyłam, że zareagowałam wystarczająco szybko i nie zdążył przeprowadzić pełnego skanu. Być może nie zarejestrował też wyglądu mojej twarzy. W przypadku funkcjonariusza zielonych koszul nie mogłam już mieć takich złudzeń.

– Stój! – zawołał mężczyzna i rzucił się za mną, próbując mnie schwycić. Wyrwałam mu się w ostatnim momencie i funkcjonariusz, zamiast mnie dopaść, wpadł na bota ochrony. W następnej sekundzie obaj wylądowali na ziemi, tworząc płataninę metalu i ciała. Nie tracąc czasu, ruszyłam biegiem w kierunku grupy spacerowiczów. Właśnie dobiegł końca jakiś koncert, z pobliskiej sali wysypywały się chmary melomanów i po chwili udało mi się wmieścić w tłum.

Przez wszystkie te lata przywykłam do świadomości, że muszę się ukrywać, jednak nigdy dotychczas nie byłam jeszcze ścigana. Ponieważ brak mi było doświadczenia, a moje naturalne instynkty okazały się zawodne, musiałam improwizować. Z początku szło mi całkiem nieźle – przemykałam przez tłum, który chętnie rozstępował się przede mną. Ludzie zachowywali się

wobec mnie pobłażliwie i uprzejmie, ponieważ sądzili, że jestem taka sama jak oni. Uśmiechali się na mój widok, a jakaś starsza kobieta zawołała za mną: „Spokojnie, pannico, impreza nie ucieknie!”.

Wiedziałam jednak, że lada chwila funkcjonariusz poderwie się z ziemi, a bot ochrony przeanalizuje błyskawicznie dane, które zdążył pobrać w trakcie skanu, i roześle je po całym Edenie. Wtedy rozpocznie się prawdziwe polowanie, a każdy mieszkaniec Edenu stanie się moim wrogiem.

Chyba oddaliłam się już na tyle, że mogłam trochę zwolnić. Biegając, ściągałam na siebie zbyt dużo uwagi. Powinnam wmieszać się w tłum; w ten sposób będę miała największe szanse na zgubienie pogoni. Połowa ze spacerowiczów to ludzie mniej więcej w moim wieku, nastolatkwie i dwudziestoparolatkwie. Wielu ubranych podobnie jak ja, w uczniowskie mundurki, które w Edenie nosili wszyscy młodzi ludzie, niekiedy nawet poza szkołą. Każda ze szkół miała swoje barwy i charakterystyczny ubiór. Żeby zorientować się, z jakiej dzielnicy pochodzi młody człowiek, i zidentyfikować jego znajomych, wystarczyło przyrzeć się noszonemu przez niego ubiorowi: luźnym spodniom i dopasowanej koszuli z rozciągliwej tkaniny, na którą teraz, z racji wieczornego chłodu, narzucało się jeszcze kurtki o szerokich ramionach. W tłumie łatwo było rozpoznać grupki znajomych z tej samej szkoły – przypominały ławice jaskrawo ubarwionych ryb. Mundurek Asha, który miałam teraz na sobie, utrzymany był w pięknej, subtelnej barwie złota kojarzącej się z pustynnym piaskiem. Barwa ta miała współgrać z nazwą jego szkoły: Kalahari. Uczniowie szkoły Ara noszą mundurki w kolorze szkarłatnym, uczniowie Irysa – jaskrawofioletowym, ci z Kwiatu Wiśni – ciemnoróżowym. Całe szczęście, że szkolne barwy Asha były bardziej stonowane, dzięki czemu łatwiej mi było wmieszać się w tłum.

Ostrożnie zerknęłam przez ramię, jednak o dziwo nie dostrzegłam żadnych oznak pogoni. Nikt nie krzyczał, nie błyskały latarki. Było to tym bardziej dziwne, że młody funkcjonariusz musiał już do tego czasu zawiadomić kolegów z oddziału.

Brnęłam dalej wśród tłumu, przemierzając krąg rozrywkowy. Poruszałam się dość szybko, nie na tyle jednak, by zwracać na siebie uwagę. Powinnam chyba jak najprędzej opuścić tę dzielnicę i przemknąć się do którejś z promieniście rozchodzących się ulic łączących poszczególne kręgi. Powrót prosto do domu wydawał mi się jednak zbyt ryzykowny. Ponieważ nie miałam wprawionych soczewek, bot nie mógł zidentyfikować mnie na podstawie skanu. Oznaczało to, że władze nie wiedzą, kim jestem ani z jakiej rodziny pochodzę. Nie mogłam ryzykować, że zaprowadzę je prosto do mojego domu.

Mogłabym skierować się w drugą stronę, z dala od Centrum, ku zewnętrznym kręgom. Studiowałam nieraz plany miejskie Edenu i byłam niemal pewna, że mogłabym bez problemu poruszać się po labiryncie sfer i łączących je ulic, które tworzą tego molocha. Inna sprawa, że

samo przebywanie w tłumie nieznanym było dla mnie strasznie wyczerpujące. A przecież wszyscy przechodnie tutaj to świetnie wychowani, wykształceni, zamożni i uprzejmi mieszkańcy elitarnych wewnętrznych kręgów. W miarę jak będę oddalać się od Centrum, zadbane wille i pięknie oświetlone sklepy ustępować będą miejsca wieżowcom, w których gnieźdzą się przedstawiciele klasy średniej. Chodniki staną się tak zatłoczone, że spieszący do biura przechodnie gotowi będą zdeptać mnie na śmierć, byle się nie spóźnić do pracy. Tak przynajmniej twierdził Ash, który bardzo rzadko wypuszczał się dalej niż parę kręgów od domu.

Jeszcze dalej rozciągały się najbardziej na zewnątrz wysunięte kręgi graniczące z pustynnymi bezdrożami. Tam nie miałabym odwagi się wybrać.

Dlatego koniec końców postanowiłam, że będę się trzymać kręgu rozrywkowego. Poruszałam się po jego skraju, przyłączając się do kolejnych grupek przechodniów i starając się zachowywać jak typowa bywalczyni tego świata. Czy to możliwe, że nie wszczęto pogoni? Może uskokczyłam na bok na tyle szybko, że bot ochrony nie przeprowadził pełnego skanu? A może został uszkodzony, gdy wpadł na niego niezdarly funkcjonariusz zielonych koszul? Możliwe, że mężczyzna, przewracając się na niego, uderzył bota w głowę i uszkodził go, przez co ten nie mógł wszcząć alarmu.

Stopniowo ogarniało mnie zmęczenie, efekt niedawnego biegu, ciągłego stresu, a chyba przede wszystkim buzującego we mnie gniewu. Wściekłość, którą niedawno w sobie odkryłam, niesamowicie szybko wysysała ze mnie siły.

Na skraju wygiętego w lekki łuk chodnika dostrzegłam ławkę dla dwóch osób. Nadano jej kształt tygrysa, a jego piękne pasiaste, pomarańczowo-czarne ciało wygięte było w taki sposób, by chronić tych, którzy na niej usiądą. Przysiadłam z jednej strony, niespokojnie zerkając na wolne miejsce obok. Próbowałam zachowywać się naturalnie, jakbym po prostu czekała tu na kogoś, jakbym nie była sama jak palec w tym morzu obcych ludzi. Na usta przywołałam dość wymuszony uśmiech i przyglądałam się mijającym ławkę przechodniom, udając, że spodziewam się wyłowić wśród nich jakiegoś znajomego. A co jeśli ktoś mnie zauważy i odwzajemni uśmiech? Co się stanie, jeśli ktoś naprawdę oddzieli się od swojej grupy znajomych – chyba wszyscy tutaj poruszali się w grupkach – i dosiędzie się do mnie? Nagle wyobraziłam sobie, że ten ktoś wita się ze mną i spogląda mi w oczy...

Zamrugałam szybko i schyliłam głowę, wlepiając spojrzenie w dłonie złożone sztywno na udach. To nie był odpowiedni wieczór na zawieranie znajomości.

Ponieważ spoglądałam w dół, nie byłam świadoma nadciągającego niebezpieczeństwa. Może zresztą dobrze się stało, bo gdybym wiedziała, co się święci, mogłabym spanikować i zerwać się do ucieczki. Zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, dwaj funkcjonariusze zielonych koszul podeszli już dość blisko. Pozostawało mi teraz zachować spokój i udawać niewiniątko.

Szli niespiesznie chodnikiem, kierując się prosto na mnie. Błyskawicznie spuściłam znów

wzrok, ale moment zwłoki wystarczył, by jeden z funkcjonariuszy spojrzął mi w oczy. Był to ten sam, na którego wpadłam wcześniej. Nagle serce zaczęło mi bić jak oszalałe, ogarnął mnie paralizujący strach. Wiedziałam, co zaraz się stanie: mężczyzna wyda ostrzegawczy okrzyk, a w następnej sekundzie zielone koszule rzucą się na mnie. Zostanę obezwładniona, zawleczona do Centrum, a tam...

Mijały jednak kolejne sekundy i nic się nie działo.

Mężczyźni nadal niespiesznym krokiem szli w moim kierunku.

Zerknęłam ostrożnie jeszcze raz w ich stronę. Młody funkcjonariusz z blond grzywką spoglądał gdzieś obok mnie. Przecież musiał mnie zauważyć i rozpoznać! Co jest grane?

– I co z tym botem, Rook? – odezwał się drugi mężczyzna, zatrzymując się tuż przed moją ławką. Był starszy, a rękawy jego munduru zdobiły złote paski sierżanta. – Wiadomo już, co znaczył wysłany przez niego sygnał?

– Nie, panie sierżancie – odpowiedział młodszy. – Stałem obok niego, ale nie zauważyłem niczego odbiegającego od normy.

Nie do wiary. Dlaczego funkcjonariusz zielonych koszul miałby kłamać? Czemu nie powie przełożonemu o tym, co widział?

– Cóż, pewnie to jakaś usterka – odezwał się sierżant. – Bot nie przesłał zapisu, który świadczyłby, że przeprowadził w ogóle czyjś skan. Pewnie to fałszywy alarm, jednak miej się na baczności. Przyglądaj się wszystkim dokładnie. Musisz być czujny, tak by nie umknął twojej uwadze żaden szczegół.

Po tych słowach sierżant omiół uważnym spojrzeniem tłum. Zielone koszule stały tak blisko mnie, że gdybym zechciała, mogłabym wyciągnąć rękę i dotknąć sprzętu, którym byli obwieszani. Ponieważ wraz z utworzeniem Edenu zakazano użycia śmiertelnej broni palnej, patroli uzbrojeni byli w karabiny plazmowe. Strumień sprężonej plazmy nakierowany na ludzki cel potrafił sprowadzić ofiarę do parteru.

W pewnym momencie odniosłam wrażenie, że młodszy funkcjonariusz zerka przelotnie w moją stronę. Nie mogłam mieć jednak pewności. Ze zdenerwowania czułam, jakbym zaraz miała stracić przytomność. Sierżant zaczynał się odwracać w moim kierunku. W tej samej chwili funkcjonariusz Rook odezwał się nagle.

– Hm, naprawdę sądzi pan, że to mogła być usterka? – powiedział to takim tonem, jakby ta myśl właśnie teraz przyszła mu do głowy. – Wszystkie boty ochrony są podłączone do Ekopanoptikonu. Nie wiedziałem, że w Ekopanie w ogóle zdarzają się jakieś usterki.

W następnej chwili sierżant wymierzył Rookowi cios w splot słoneczny. Uderzenie było tak silne, że młodszy stopniem funkcjonariusz zgiął się w pół.

– Jeszcze raz usłyszę, że bluźnisz, a pożegnasz się ze służbą – zgromił go przełożony i wykonał gest, który znałam z filmików edukacyjnych z wiedzy o społeczeństwie: zacisnął pięść

i przesunął ją wzdłuż centralnej linii tułowia ku górze, powoli rozprostowując palce. Kiedy dłoń znalazła się na wysokości twarzy, wszystkie palce były już rozpostarte. Był to symbol dojrzewającego, wypuszczającego pędy ziarna. Sierżant odruchowo wykonał przy nim lekki ukłon.

– Proszę mi wybaczyć – bąknął pod nosem zmieszany młodszy funkcjonariusz. Po chwili obaj ruszyli dalej.

Ze zdenerwowania serce podeszło mi do gardła. Czułam się, jakbym miała zaraz wymiotować. Co to, do jasnej cholery, miało znaczyć? Dlaczego funkcjonariusz Rook nie zaalarmował przełożonego, że mnie widzi? Słyszane z bezwzględności zielone koszule stanowiły pierwszą linię obrony Edenu przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami. Rook powinien był rzucić się na mnie, jak tylko mnie zobaczył, powalić na ziemię i zaarrestować...

Kiedy mało brakowało, by jego przełożony na mnie spojrzął, Rook dla odwrócenia jego uwagi pozwolił sobie na bluźnierstwo przeciw Ekopanowi, wywołując wściekłość sierżanta.

Jeszcze przez długą chwilę nie ruszałam się z ławki. Obawiałam się, że gdybym spróbowała teraz wstać, nogi odmówiłyby mi posłuszeństwa. Wokół mnie nadal przechadzali się ludzie niczym fruujące, kolorowo upierzone ptaszki. Nikt z przechodniów na szczęście nie miał pojęcia, kim jestem. Ale miało to też swoją drugą stronę – żaden z nich nie był moim znajomym. W tej chwili nic mi nie groziło, ale równocześnie byłam samotna w tym tłumie. Byłam skazana na samotność do momentu, gdy przybiorę nową tożsamość i przestanę być sobą.

Nagle z lewej strony dobiegło mnie jakieś pobrzękiwanie. Kiedy odwróciłam się w tamtą stronę, zobaczyłam, że sunie ku mnie rozpędzony metalowy bot. A więc jednak pogoń trwała! Zerwałam się z ławki, ale ponieważ dalej miałam miękkie nogi, zanim zdążyłam się oddalić, bot wpadł na mnie z całym impetem, uderzając w goleń. Przewróciłam się na ziemię, a z moich ust wydarł się jęk – najpierw bólu, potem ulgi. Dzięki wielkiej Ziemi! To wcale nie bot ochrony, lecz dostawczy pędzący dokądś z kolejnym zamówieniem. Rozległo się poirytowane popiskiwanie, kiedy robot starał się mnie wyminąć, by pognać dalej.

Boty słyną ze swych błyskawicznych reakcji. W jakimś podręczniku do wiedzy o społeczeństwie Asha wyczytałam, że zostały zaprojektowane w taki sposób, by zawsze ustępować z drogi człowiekowi. Mogły zupełnie niezależnie poruszać się po mieście, spełniając ludzkie zachcianki, a równocześnie nigdy nie wchodząc człowiekowi w drogę. W pamięci utkwił mi fragment, w którym mowa była o tym, że niezależnie od prędkości, z jaką poruszały się boty, nigdy nie doprowadzi do zderzenia z człowiekiem. Nigdy.

A przecież ten bot dostawczy właśnie wpakował się we mnie, jakby w ogóle mnie nie widział.

Miasto oświetlało wszystkich swoich mieszkańców, jak tylko wyszli za próg swoich domów i przez cały czas gdy przechadzali się ulicami. Miejsce, które akurat zajmowali, zawsze było podświetlone, a kiedy przenosili się dalej, iluminacja natychmiast gasła, żeby oszczędzać

drogocenną energię. A jednak mnie Eden odmawiał swojego światła. Droga, którą się poruszałam, pogrążona była w ciemności.

Czy to możliwe, bym dla miasta pozostawała niewidzialna?

Na samą myśl o tym poczułam nerwowy ucisk w żołądku. Zawsze wiedziałam, że moje istnienie utrzymywane było w tajemnicy. Jednak teraz okazało się, że jestem niedostrzegalna. Tak, jakby moje życie nic nie znaczyło. Jasne, w mojej obecnej sytuacji mogłam mówić o sporym szczęściu, ale równocześnie świadomość ta w jakiś sposób była przykra. Nagle opanowało mnie dzikie pragnienie, by zawołać: *Spójrzcie na mnie!*

Kilka osób zauważyło stłuczkę bota i przyglądało mi się teraz z zaciekawieniem.

– Dobrze się czujesz, młodzieńcze? – spytała jakaś starsza kobieta.

Najchętniej podniosłabym na nią wzrok – był to pierwszy człowiek w prawdziwym świecie, który okazał mi sympatię. Uniosłam nieco głowę, ale spojrzałam na nią spod spuszczonej rzesy. Gdyby zobaczyła moje kalejdoskopowo barwne tęczęwki, momentalnie zrozumiałaby, że nie wszczepiono mi soczewek. Stałoby się jasne, że jestem drugim dzieckiem.

Zsunęłam nisko na czoło daszek mojej złocistej szkolnej czapeczki i mruknęłam coś pod nosem.

– Nic dziwnego – zauważył ktoś inny z przyganą. – Przecież osły z Kalahari mają za słabe głowy, żeby pić *akvavit*.

Nigdy nie próbowałam *akvavitu*. Wiedziałam tylko, że to mocny, pikantnie przyprawiony alkohol.

Podnosząc się z ziemi, rzuciłam ukradkowe spojrzenie w bok. Niedaleko przystanęła grupka młodych mężczyzn w sportowych koszulkach. Domyślałam się, że należą do drużyny ze szkoły rywalizującej z Kalahari, do której chodzi Ash.

– Nie bądź taką cnotką – stwierdził inny z chłopaków, po czym zwrócił się do mnie. – Słuchaj, młody, jeśli szukasz imprezy dla uczniów Kalahari, to idź do klubu Las Deszczowy. To niedaleko, przy następnej ulicy.

Przypomniałam sobie, że Ash wspominał coś o tej imprezie. Zjawić się na niej mieli wszyscy z jego rocznika, żeby świętować zakończenie sesji zimowej. Wszyscy z wyjątkiem Asha. Nasza rodzina nigdy nie mogła za bardzo udzielać się towarzysko. Ash nie był typem chłopaka, który budziłby podejrzenia służb porządkowych, ale zawsze istniało ryzyko, że skumpluje się z nieodpowiednimi osobami, powie o jedno słowo za dużo i może się to skończyć rewizją w naszym domu. A to byłaby dla nas tragedia. Dlatego niemal zawsze mój brat unikał wszelkich imprez.

Być może kierował się też moim dobrem. Może wyobrażał sobie, że będę mu zazdrościć, kiedy on będzie się świetnie bawił, podczas gdy ja będę tkwiła w domu. Ash nie wiedział nawet, jak wielkim przerażeniem napawała mnie sama myśl, że mogłabym się znaleźć na imprezie:

wielkie skupisko ludzi, wszyscy mi się przypatrują, mówią coś do mnie...

Teraz jednak nie miałam wyboru. Przechodnie co prawda z wolna zaczęli tracić zainteresowanie wypadkiem, który przerwał ich nocną beztroską zabawę, jednak ci, którzy nadal mi się przyglądali, sądzili najwyraźniej, że uczęszczam do Kalahari i wybieram się teraz na szkolną imprezę. Pozostawało mi jak najszybciej oddalić się w tamtym kierunku, nie podnosząc głowy. Postanowiłam, że pójdę w kierunku Lasu Deszczowego i dopiero, gdy zejdę tym ludziom z oczu, zawrócę do domu. W ten sposób nie ściągnę na siebie podejrzeń.

Kiedy oddalałam się przez nikogo niezaczepiana, zastanawiałam się nad słowami starszej kobiety, która nazwała mnie „młodzieńcem”. W luźnych spodniach i obszernej kurtce, z włosami zaczesanymi do góry i schowanymi pod czapkę, pewnie faktycznie wyglądałam na chłopaka. Prawdopodobnie do złudzenia przypominałam mojego bliźniaka, Asha. Ta myśl dodała mi pewności siebie – wprawdzie ja byłam wyrzutkiem w tym świecie, jednak on przecież do niego należał. Jeśli będę udawała, że jestem moim bratem, stanę się śmielsza.

Musiałam jednak przez cały czas pamiętać, że grozi mi niebezpieczeństwo. Nie tylko moje oczy, ale też inne drobne szczegóły mogły mnie zdemaskować. Dołączałam do grupki przechodniów, żeby nikt nie zorientował się, że ulica nie rozświetla się pod moimi stopami. Poza tym jednak, ubrana w lekko połyskliwy szkolny mundurek, niczym nie różniłam się od innych uczniów, którzy krążyli po mieście tej nocy. Po paru minutach dotarłam do klubu Las Deszczowy. W środku panował już tak wielki ścisk, że samo wejście graniczyło z cudem. Z wnętrza dobiegała głośna rytmiczna muzyka, widziałam sylwetki tańczących ludzi, słyszałam ich podniesione głosy, gdy próbowali przekrzyczeć muzykę. To nie było odpowiednie miejsce dla mnie. Przygryzłam wargę i odwróciłam się, żeby odejść.

I w tej samej chwili dostrzegłam funkcjonariusza zielonych koszul, który wyłonił się zza rogu przecznicy. *Bikk!* Niewiele myśląc, weszłam do klubu i od razu otoczyły mnie jaskrawe światła, dźwięki i goście. Wnętrze urządzono w taki sposób, by kojarzyło się z wymarłymi dawno temu lasami deszczowymi, tyle że wszystkie drzewa były tu syntetyczne, a ptaki, żaby i oceloty to małe robociki. W tle muzyki rozbrzmiewały przenikliwe piskliwe dźwięki, zapewne wydawane przez sztuczne owady przycupnięte w koronach drzew.

Ze zdenerwowania oddychałam coraz szybciej. Niemal przez cały czas miałam przymrużone oczy, skupiając się tylko na wąskim paseczku posadzki. Ruszyłam ku tyłom sali, próbując odeprzeć zmasowany atak bodźców na wszystkie moje zmysły. Czułam się przytłoczona tym, co tu zastałam.

Nagle wpadłam na kogoś (na razie większość moich interakcji w świecie zewnętrznym przypominała przypadkowe kolizje) i zaskoczona instynktownie uniosłam spojrzenie. Wygląd tej osoby wzbudził mój niepokój: był to człowiek, ale nie do końca. Całkiem możliwe, że kiedyś był człowiekiem, ale teraz wyglądał jakoś inaczej. W pierwszej chwili pomyślałam, że ma

pomalowaną skórę, jednak kiedy przyjrzałam się mu uważniej, doszłam do wniosku, że to nie rysunek, ale rodzaj płaskorzeźby – pod powierzchnię naskórka wprawiono jakiś implant, który nadał jej dziwną fakturę. Pokrywające jego ciało barwne tatuaże wzmacniały tylko efekt. Skóra w miejscach, gdzie nie zakrywały jej ubrania, przypominała misterną siatkę węzowych łusek. Szok był tak wielki, że popełniłam błąd i spojrzałam mu ze zdumieniem w oczy. Były złote, a w miejscu gdzie powinna być źrenica, biegł pionowy, wąski czarny pasek. Przy nich moje oczy wyglądały zupełnie zwyczajnie! W pewnym momencie nasze spojrzenia się skrzyżowały, na szczęście oczy miałam schowane w cieniu daszka czapeczki. W tej samej sekundzie ujrzałam, jak z ust człowieka-węża wysuwa się długi język. Był rozdwojony na końcu, zupełnie jak języki prawdziwych gadów, które oglądałam na filmikach z historii środowiska. Po chwili człowiek-wąż, poruszając się zygzakiem, wśliznął się w tłum i zniknął mi z oczu.

Słyszałam kiedyś, że istnieje w Edenie garstka fanatyków, którzy czują się do tego stopnia związani z wymarłymi gatunkami ziemskich zwierząt, że rodzi się w nich potrzeba stania się którymś z nich. Zjawisko to spotykano rzadko w kręgach wewnętrznych. Jednak podobno im dalej od Centrum, tym więcej było chętnych gotowych wydać fortunę, by upodobnić się z wyglądu do pewnych zwierząt. Ash twierdził, że niektórzy mają poczucie, iż urodzili się w niewłaściwych ciałach i że tak naprawdę powinni przyjść na świat jako zwierzęta, a nie ludzie. Fanatycy ci określali się mianem bestialców.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że kiedyś ujrzę na własne oczy jednego z nich. To trochę tak, jakbym spotkała prawdziwego węża. Po chwili odnalazłam go w tłumie – tańczył z ramionami wyrzuconymi nad głowę, poruszając na boki wąskimi, zgrabnymi biodrami.

W klubie roiło się od takich dziwolągów. Oprócz nich wielu gości ubranych było w jaskrawe jednokolorowe szkolne mundurki. Rozpoznałam sporo osób w złocistych barwach szkoły Asha, Kalahari. Ale pośród nich byli też nieco starsi goście, tacy którzy ukończyli już szkołę, a dzisiaj przyszli przebrani za wymarłe zwierzęta, by złożyć im w ten sposób hołd. Jakaś dziewczyna cała pokryta była plastikowymi piórami, jednak na podstawie filmików przyrodniczych, jakie widziałam, nie umiałam rozpoznać, jakiego ptaka chciała w ten sposób upamiętnić. Inna pomalowała się w łaty, a krótkie włosy zaczesła do góry w taki sposób, że przypominały trochę kocie uszy. W porównaniu z człowiekiem-wężem wyglądało to jednak mało przekonująco. Domyślałam się, że kiedy zabawa dobiegnie końca, wszyscy odczepią sztuczne pióra, zmyją malunki i znów staną się zwykłymi ludźmi. Do czasu następnej imprezy, kiedy wcielą się w inne zwierzę – rybę albo wilka.

W końcu dotarłam do końca sali i stanęłam w ciemnym rozgałęzionym korytarzu, prowadzącym do kuchni (rozchodził się stamtąd jakiś pyszny zapach) oraz do toalety. Po krótkim namyśle uznałam, że w ubikacji będę przyciągać mniej uwagi, dlatego ruszyłam w tamtą stronę. Liczyłam, że gdzieś niedaleko znajdę tylne drzwi.

Kiedy je wypatrzyłam, ruszyłam ku nim biegiem. Uchyliłam je i już miałam zanurzyć się w cudowną ciszę jakiejś bocznej uliczki, kiedy dobiegł mnie zza pleców czyjś głos:

– Ash, to ty?

Odwróciłam się i w mrocznym korytarzu dostrzegłam Lark. Ash milion razy pokazywał mi jej zdjęcia, dlatego znałam jej twarz na pamięć.

Ubrana była w żółto-zieloną sukienkę, której barwa przywodziła na myśl świeże wiosenne listki.



POCZUŁAM NAGLE, JAKBY CIEMNE CHMURY, które zasłaniały niebo przez całe moje życie, rozstały się i jakby zalały mnie cudowne promienie słońca. Kiedy spoglądałam na Lark, ogarnęła mnie osobiwa tęsknota. Większość uczuć, których ostatnio doświadczałam, była mi zupełnie obca i niezrozumiała. Wydawało mi się teraz, jakbym zawsze znała tę dziewczynę i jakbyśmy wspólnie stanowiły doskonale dobraną parę przyjaciółek. Miałam wrażenie, że dotychczas brałam udział w maratonie, który nigdy nie miał się skończyć, aż nagle w osobie Lark dojrzałam linię mety.

– Ash, co się stało? – spytała głosem słodkim niczym miód, produkowany przez dawno już wymarłe pszczoły. Nie sądziłam, że ludzki głos może brzmieć tak cudownie.

Korytarz był nieoświetlony i po chwili dotarło do mnie, że Lark nie może w tym półmroku dostrzec, jak dziwnie wyglądają moje oczy. Musiałam dla niej wyglądać zupełnie jak mój bliźniak. Włosy miałam schowane pod czapczką, a moje kobiece krągłości ginęły w fałdach obszernej kurtki. Nie mieliśmy z Ashem identycznych rysów, jednak ponieważ byłam ubrana w jego szkolny mundur, Lark w sposób naturalny założyła, że ja to mój brat.

Wiedziałam jednak, że gdy tylko się odezwę, czar pryśnie.

A ja wcale nie chciałam wyprowadzać jej z błędu, dlatego tylko potrząsnęłam milcząco głową, dając jej do zrozumienia, że wszystko gra. Lark podeszła wtedy krok bliżej.

Wiedziałam, że powinnam odejść. Mogłabym odwrócić się i wyjść, nie oglądając się za siebie. Jeszcze jeden krok i dziewczyna dojrzy moje pozbawione implantów oczy. A jeśli się odezwę, wówczas iluzja pryśnie na pewno i stanie się jasne, że nie jestem Ashem.

– Masz atak? – dopytywała Lark, nachylając się ku mnie.

Unosił się wokół niej przyjemny aromat perfum. Nie był słodki, raczej pikantny i ziemisty – tak pachniał mech na dziedzińcu naszego domu, kiedy zmoczył go deszcz.

– Jeśli zapomniałeś inhalatora, mogę dać ci swój. Mam zapasowy.

A zatem Ash i Lark byli blisko związani. Dziewczyna nie tylko wiedziała o jego przypadłości, ale też nosiła przy sobie lekarstwo na nią.

Nie mogłam już odejść. Przypatrywałam się zachwycona liliowym włosom Lark. Widziałam, że z jej szeroko otwartych szarych lśniących oczu wycierają troska i sympatia. Spoglądanie na nią przypominało trochę... podziwianie jakiegoś dawno wymarłego zwierzęcia, które znałam tylko z edukacyjnych filmów. Rajskiego ptaka. Jaguara. Spotkanie kogoś takiego jak ona było

dla mnie zawsze równie mało realne jak zobaczenie na żywo jednego z takich zwierząt. Wiedziałam, że ta chwila to tylko złudzenie, podobnie jak iluzją były obrazy wymarłych zwierząt. Miałam świadomość, że gdy tylko Lark zorientuje się, kim jestem, zacznie krzyczeć z przerażenia i wzywać służby porządkowe. Tak naprawdę przecież przyjaźniła się z Ashem, a nie ze mną.

Jednak teraz, jeszcze przez krótką chwilę, mogłam poudawać, że jest inaczej.

Równocześnie starałam się utrwalić w pamięci wszystkie szczegóły tego spotkania, tak bym potem mogła się nimi nasycić. Łakomie przypatrywałam się jej włosom w kwietnym kolorze – wydawały się lekko lśnić w półmroku, a długie miękkie loki były nieco rozwichrzone. Jej postawa zdradzała, że ma ochotę przysunąć się jeszcze bliżej – przesunęła ciężar ciała na wysuniętą do przodu nogę, jakby przygotowywała się do zrobienia kroku, ale z jakiegoś powodu jeszcze się wahała.

Była to magiczna chwila – chwila, w której miałam przyjaciółkę.

Chwila cudowna.

A zarazem straszna niczym tortura, bo w każdym momencie czar mógł prysnąć.

– Ash? – odezwała się Lark nieco zdziwionym głosem.

– Nic mi nie jest – zapewniłam, próbując nadać głosowi niskie brzmienie.

Zabrzmiało to chyba dość dziwnie, bo Lark zmarszczyła lekko brwi – między nimi pojawiły się dwie pionowe linie. Przechyliła lekko głowę na bok, niczym jakiś ptak.

A chwilę później nagle usiadła na niskiej ławeczce stojącej przy ścianie korytarza. Ostrożnie zajęłam miejsce na drugiej ławce, stojącej naprzeciwko. Ustaliłyśmy w ten sposób swoje terytoria, dla których granicą było dzielące nas przejście. Lark nie próbowała się już do mnie przysuwać. Może dzięki temu zdołam przedłużyć ten cudowny moment.

– Ash, wydajesz się dzisiaj jakiś... inny – odezwała się po chwili, na co wybuchłam śmiechem. Ten znajomy dźwięk sprawił, że jej twarz się wypogodziła. Ash i ja mieliśmy tak samo brzmiący śmiech: niski, ochryply chichot. – Obawiałam się, że nie przyjdiesz na imprezę.

Zanim odpowiedziałam, wzięłam dla uspokojenia głęboki oddech.

– Nie mogłem dziś usiedzieć w domu – stwierdziłam, a mój głos zabrzmiał dziwnie chropowato. – Musiałem... się z tobą spotkać.

Nawet w ciemności zobaczyłam, że Lark rumieni się na te słowa. W porównaniu z krzykliwym wystrojem głównej klubowej sali, ten korytarz wydawał się nagi i ponury, jednak dziewczyna rozświetlała go swoją obecnością niczym tysiąc lampionów.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście. Mam wrażenie, jakbym całe życie czekał na tę noc.

Lark milczała przez dłuższą chwilę, próbując odszukać spojrzeniem moją twarz. Wiedziałam, że powinnam się odwrócić, ale nie byłam w stanie. Mogłam się tylko modlić do dobrej Ziemi, by

dziewczyna nie dostrzegła w półmroku moich przedziwnych tęczówek. W tym momencie nawet gdyby zależało od tego moje życie, nie mogłabym się od niej odwrócić.

– Jesteś dzisiaj jakiś inny – powtórzyła, a ja momentalnie pochyliłam głowę. – Nie, nie. Nie chodzi mi o twoje oczy. Nie widzę ich, bo chowasz je pod daszkiem – stwierdziła szybko, a ja znów podniosłam na nią spojrzenie. Lark przypatrywała mi się bez słowa dłuższą chwilę. W końcu powiedziała: – Coś się zmieniło w twoim wyrazie twarzy. Co to takiego? Już wiem, nie martwisz się. Teraz dla odmiany jesteś szczęśliwy.

Posłała mi promienny uśmiech, który zupełnie mnie rozbroił. Odwzajemniłam go.

– To prawda – odpowiedziałam stłumionym od emocji głosem.

Wiedziałam, że nie powinnam się tak czuć. Groziło mi niebezpieczeństwo. Nawet jeśli zdołam wrócić do domu, moje życie wkrótce zostanie wywrócone do góry nogami, może nawet zniszczone. Mimo to w tej chwili przepełniało mnie absolutne szczęście.

– Ash, kumplujemy się, odkąd zamieszkaliśmy w tym kręgu. Czasami wydaje mi się, że jesteś moim najlepszym przyjacielem. A jednak zawsze istniał między nami pewien dystans, i nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego. Zawsze coś przede mną ukrywałeś. Martwiło mnie to, ale nie chciałam być wścibska. Pozwalałam, by jakaś część ciebie pozostawała dla mnie niedostępna.

Nie miałam pojęcia, jaki jest Ash, kiedy wychodzi z domu. Wiedziałam tylko tyle, ile sam mi opowiadał na temat życia w zewnętrznym świecie. Zawsze zazdrościłam mu tych wszystkich rzeczy, których sama nigdy nie mogłam zaznać (choć bardzo rzadko pozwalałam sobie na okazanie tej zazdrości). Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że brzemień rodzinnej tajemnicy Ash zabierał ze sobą też do świata. Sądziłam, że tylko ja muszę się z tym zmagać. Teraz stało się jasne, że on również ciężko znosił tę sytuację, i to do tego stopnia, że Lark zauważyła jego niepokój.

– Nie musimy teraz o tym rozmawiać – dodała Lark. – Cieszę się, że nareszcie nauczyłeś się spoglądać z nadzieją na świat jak na miejsce, w którym można się po prostu cudownie poczuć.

Po tych słowach Lark wstała, podeszła do mnie, po czym schyliła się, żeby mnie niezgrabnie przytulić. W pierwszej chwili całe moje ciało stężało pod jej dotykiem, jednak zaraz potem rozluźniłam się, gdy poczułam, jak ciepło jej dłoni przenika przez moje ubrania. Jej twarz była teraz tuż przy mojej, niemal dotykałyśmy się wargami... i nagle Lark otwarła szeroko oczy i odsunęła się nieco. Jej uchwyt na moich ramionach stał się bardziej kurczowy.

– Ach – westchnęła, spoglądając w moje mieniące się wszystkimi barwami oczy. – Teraz rozumiem...

Byłam pewna, że zawoła o pomoc, ucieknie albo powie coś strasznego. Jednak usiadła tylko obok mnie, jedną ręką wciąż obejmując mnie za ramię, a drugą szukając mojej dłoni.

– Jesteś drugim dzieckiem, bliźniakiem. Nie wiedziałam o tym – odezwała się łagodnie, po czym wybuchła perlistym śmiechem, który brzmiał dla mnie jak muzyka. – No jasne, że nie

wiedziałam. To sporo tłumaczy. Jak masz na imię?

Oddychałam szybko przepełniona mieszaniną przerażenia i uniesienia. Nareszcie zdradziłam komuś swoją tajemnicę, a mimo to nie zostałam natychmiast potępiona. A najcudowniejsze, że powierniczką stała się właśnie ona – Lark, dziewczyna, o której przyjaźni marzyłam przez tyle lat! Próbowałam wydusić z siebie coś sensownego, jednak ze zdenerwowania zrobiło mi się nagle przeraźliwie zimno i zaczęłam szczękać zębami. Moje palce, które Lark zamknęła w swojej dłoni, były lodowate. Chcąc mnie rozgrzać, zaczęła trzeć kciukiem zewnętrzną stronę mojej dłoni.

– Nie martw się – mówiła kojącym głosem. – Skoro jesteś od Asha, jesteś dla mnie kimś bliskim. Zaopiekuję się tobą, masz moje słowo.

– Rowan – odezwałam się w końcu własnym głosem. – Mam na imię Rowan.

Lark uśmiechnęła się do mnie i nagle odniosłam wrażenie, jakbym po raz pierwszy w życiu została przez kogoś dostrzeżona.

Zaczęłyśmy gawędzić, jakbyśmy znały się od wieków. W pewnym sensie była to prawda. Wysłuchiwałam historii o Lark od tak dawna, że dziewczyna stała się częścią mojego życia. Natomiast ona pewnie dostrzegała we mnie Asha, przez co miałam wrażenie, że zna również mnie. Podczas rozmowy przypatrywała mi się, przechylając głowę lekko na bok, przez co przypominała skowronka. Kiedy moje słowa przeczyły wyobrażeniu, jakie sobie o mnie wyrobiła, marszczyła brwi. A kiedy jakaś moja reakcja albo niuans zachowania potwierdzały jej wyobrażenie na temat tego, jaka jestem albo jaka powinnam być, jej twarz rozjaśniał uśmiech. Podejrzewałam, że jestem dla niej równocześnie znajoma i zagadkowa.

Opowiadałam o tym, jak wygląda moje życie. Odmalowałam jej wszystkie te niekończące się samotne lata, kiedy za całe towarzystwo starczyć musieli mi Ash, mama i tata. Opowiadałam o swoich maratońskich biegach donikąd, o codziennych wspinaczkach na mur otaczający nasz dziedziniec i o tym, że do dzisiaj nigdy nie odważyłam się go pokonać. Zwierzyłam się jej ze swojej samotności i pragnienia wyrwania się do świata, które towarzyszyły mi niczym nieustannie trawiąca ciało gorączka. Przysłuchując się mojej opowieści, Lark niekiedy potakiwała, brała mnie za rękę albo gładziła po ramieniu. Byłam już pewna, że jest bez reszty po mojej stronie.

A jednak mimo że nareszcie miałam komu się zwierzyć, w głowie nieustannie rozbrzmiewały mi przestrogi matki: *Nigdy nikomu nie ufaj. Twoje istnienie musi być za wszelką cenę zachowane w tajemnicy.*

Starałam się ignorować ten wewnętrzny głos, podczas gdy Lark opowiadała mi o sobie i swoim spojrzeniu na życie. Z jej słów wyłaniała się wizja Edenu, z której istnienia w ogóle nie zdawałam sobie sprawy. Dla niej miasto było takim samym więzieniem jak dla mnie mój rodzinny dom.

– Skąd możemy wiedzieć, czy tylko my ocaleliśmy na Ziemi? – zastanowiła się na głos.

Moja wiedza ograniczała się do tego, co zobaczyłam na filmikach edukacyjnych. Wynikało z nich, że nasi przodkowie to jedyna garstka ocalonych z kataklizmu przed dwustu laty. Na filmikach mówiono wprost, że poza Edenem nie przetrwali żadni ludzie. Nie zachowały się też żadne zwierzęta – jedynie trochę porostów, glonów, bakterii i prostych organizmów.

– Ale ja uważnie studiowałam ekologię i historię środowiska – tłumaczyła mi żarliwie Lark. – Życie nie poddaje się tak łatwo, umie się dostosować do zmiennych warunków. Wiem, że człowiek to straszna, niszczycielska istota, jednak Ziemia jest silna. Nie wiem, co takiego musielibyśmy zrobić, by zniszczyć ją doszczętnie. Jasne, mogliśmy spowodować kryzys ekologiczny i masowe wymieranie gatunków, doprowadzić do załamania łańcucha pokarmowego. Nie wierzę jednak, że *nic* poza nami nie przetrwało.

Znowu mogłam odpowiedzieć jej tylko wyuczoną formułką z podręcznika: że poza Edenem świat to jedno wielkie martwe i jałowe pustkowie.

Szybko stało się jasne, że szczególnie duży niepokój Lark wywołuje realizowana w Edenie polityka jednego dziecka.

– Ludzie stanowią część przyrody – zauważyła. – Jesteśmy zwierzętami niewiele różniącymi się od innych gatunków, które zamieszkiwały kiedyś Ziemię. A w naturze każdego zwierzęcia leży rozmnażanie się, rozwój i wzrost.

– Ale przecież Eden nie przetrwa, jeśli ludzka populacja się rozrośnie – próbowałam protestować, choć przecież argument ten zarazem przesądzał o mojej zgubie.

– No nie wiem – odpowiedziała w zamyśleniu Lark. – Cała ta teoria nie trzyma się kupy. Z filmów edukacyjnych puszcanych nam w szkole wiemy, że pierwsi osadnicy, którzy założyli Eden, zostali wybrani. A to znaczy, że ktoś – może sam twórca Ekopanu, Aaron Al-Baz – zdecydował, ile osób ma liczyć grupa osadników. A skoro ustalił określoną ich liczbę, w jakim celu teraz się ją uszczupla?

– Może powodowało nim współczucie? – podpowiedziałam. – Chciał ocalić tak wielu ludzi, jak tylko mógł, wychodził bowiem z założenia, że późniejsze pokolenia będą umiały poradzić sobie z przeludnieniem Edenu.

– Był naukowcem – odpowiedziała Lark, potrząsając głową. – Programistą komputerowym. Praktykiem i pragmatykiem. Sądzę, że nie popełniłby na początku takiego błędu i ustaliłby właściwą liczbę osadników. Ale posłuchaj tego... – Siedziałyśmy już blisko siebie, jednak Lark nachyliła się jeszcze bliżej. Poczułam muśnięcie jej liliowych włosów na policzku i przeszedł mnie dreszcz. – Moja mama pracuje w wydziale rozdziału zasobów. Pewnego razu musiała zostać w pracy na weekend i zabrała mnie ze sobą. Gdy była zajęta, mogłam do woli szwendać się po archiwach instytucji. Zabieranie dzieci do pracy jest zakazane, ale akurat w archiwach nikomu nie rzucałam się w oczy. Kogo by interesowały stare rozpiski i listy zaopatrzenia? Ale

sama wiesz, jak to ze mną jest: kiedy widzę zapisaną kartkę, nie umiem się powstrzymać i muszę ją przeczytać.

W tym momencie do Lark dotarło chyba, co powiedziała, i zaniósł się niskim śmiechem. Wymieniłyśmy porozumiewawcze spojrzenia: prawda była taka, że faktycznie ją znałam. Od lat wiedziałam o niej między innymi to, że uwielbia czytać. Pożerała słowo pisane w taki sposób jak ludzie oddychają: nieustannie i kierowana głęboką potrzebą.

– Przeglądałam jakieś stare zapisy wydrukowane na syntetycznym papierze. To były różne trywialne dokumenty, nie wartościowe źródła, jakimi zajmuje się w pracy twoja mama: stare rozpiski dotyczące dystrybucji artykułów żywnościowych, dokumentacja związana z wydajnością farm glonowych i obrotem wody. Nikt się tym nie interesował. Większość materiałów nie była nawet skatalogowana. W pierwszej chwili pomyślałam: ale nuda. Ale po pewnym czasie sprawy przybrały znacznie bardziej interesujący obrót.

Z opowieści Lark wynikało, że cała ta góra papierów pochodziła sprzed co najmniej stu lat.

– Po przekopaniu się przez stosy przerażająco nudnych list i rozpisek odkryłam, że liczba zasobów dostępnych w Edenie na przestrzeni lat nie zmniejszyła się ani trochę.

Musiła upłynąć dłuższa chwila, zanim dotarł do mnie sens jej słów.

– Chcesz powiedzieć, że w Edenie nie wyczerpuje się pożywienie, woda i energia?

Przecież w ten właśnie sposób władze uzasadniały politykę jednego dziecka. O ile nie ograniczymy populacji, zasoby Edenu wyczerpią się i nasza oaza nie przetrwa.

– Mało tego – oznajmiła konspiracyjnym szeptem Lark. – Wygląda na to, że przynajmniej w tej dzielnicy zasobów stopniowo przybywa.



KIEDY PO GODZINIE WRACAŁAM Z LARK DO domu, nie opuszczało mnie wrażenie, że śnię. Choć sen ten był po części koszmarem. Dotychczas paleta najsilniejszych emocji, jakich doznawałam, ograniczała się do znudzenia, samotności i rzadkich przeblysków nadziei. Teraz natomiast nie tylko poznałam cały wachlarz nowych uczuć, ale też odkryłam, że mogę doświadczać jednocześnie nawet tych pozornie wykluczających się. Kiedy przekradałyśmy się w kierunku mojego domu, czułam równocześnie radosne uniesienie i strach. Oba te uczucia wywoływały zresztą podobne objawy: przyspieszone bicie serca, miękkie nogi i niespokojne strzelanie oczami na wszystkie strony.

Kiedy wyszłyśmy z klubu, nagle zorientowałam się, że w rzeczywistości nie mam bladego pojęcia, gdzie jestem. Sądziłam, że znam na pamięć plan tej dzielnicy, jednak nic z tego. Wiedziałam, że dotarcie do domu nie powinno nastęczać mi żadnych trudności. I faktycznie, odnalazłabym go bez trudu, gdybym była spokojniejsza. Eden składał się z szeregu koncentrycznie ułożonych kręgów, połączonych poprzecznymi alejami, a więc w gruncie rzeczy wystarczyłoby kierować się szmaragdowym okiem Centrum i posuwać przez cały czas ku wnętrzu, aż w końcu dotarłabym do swojego kręgu. Wydarzenia tej nocy wstrząsnęły mną jednak do tego stopnia, że nagle poczułam się zupełnie skołowana.

– Tędy – odezwała się łagodnym głosem Lark, prowadząc mnie boczną uliczką przeznaczoną dla botów.

W pewnym momencie przystanąłam i pociągnęłam ją za rękę.

– Jesteś pewna, że to właściwa droga? – spytałam. Lśniąca zielona kopuła rysowała się na tle nieba z zupełnie innej strony niż powinna. – Myślałam, że...

– Za dużo zielonych koszul kręci się dziś w okolicy. Jest ich więcej niż zwykle w tym kręgu. Jesteś pewna, że nikt cię wcześniej nie zauważył?

– Raczej tak... – odpowiedziałam ostrożnie. Wołałam nie wspominać o dziwnym spotkaniu z młodym funkcjonariuszem, żeby nie martwić Lark.

– Tej nocy dzieje się coś ważnego, skoro wzmożono patrole. Dlatego pójdziemy naokoło. Cofniemy się do kręgu bardziej wysuniętego na zewnątrz i dopiero z niego spróbujemy przedostać się bliżej środka. W ten sposób nie będziemy na siebie ściągać uwagi.

Mimo zdenerwowania miałam do niej zaufanie.

– Mówisz, jakby to dla ciebie nie była pierwszozna – zauważyłam.

– Wymyślałam się już ukradkiem kilka razy – przyznała Lark, posyłając mi szelmowski uśmiech. A kiedy uniosłam zdziwiona brwi, dodała: – Spotykam się z ludźmi o podobnych zapatrywaniach na świat, takimi, którzy nie dowierzają, że wszystko w Edenie układa się jak powinno. W takich sytuacjach im mniej rzucam się w oczy, tym lepiej. Niektóre z tych spotkań odbywają się w zewnętrznych kręgach, więc sama rozumiesz, że najbezpieczniejszą metodą jest poruszać się ukradkiem.

Domyślałam się, że kiedy Lark wspomina o bezpieczeństwie, chodzi jej nie tylko o służby porządkowe, ale też o podejrzany element zamieszkujący zewnętrzne kręgi. Ash nigdy ani słowem nie wspominał o takich eskapadach. Wyglądało więc na to, że dziewczyna też ma swoje sekrety.

Praktycznie nie dostrzegałam teraz ostrych świateł i ekstrawaganckich strojów przechodniów. Dotarliśmy już do rozrywkowej części bardziej zewnętrznego kręgu. Nie mogła się ona równać pod względem przepychu z rozrywkową dzielnicą usytuowaną najbliżej mojego domu, była nieco bardziej zapuszczona i mniej szykowna. Mimo to również tutaj buzowało nocne życie, a szaleństwo kolorów i dekoracji przyprawiało o zawrót głowy.

– Uwaga! – szepnęłam ostrzegawczo, kiedy przed nami jak spod ziemi wyrósł funkcjonariusz zielonych koszul.

Reakcja Lark była błyskawiczna – chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Funkcjonariusz nie dostrzegł nas wcześniej, jednak teraz nasz przyspieszony krok sprawił, że spojrzał za nami. Całe moje ciało stężało, przygotowując się do biegu. W tej samej chwili Lark nieoczekiwanie wybuchła głośnym śmiechem i pochyliła się do mnie, jakby chciała mi wyznać na ucho jakiś sekret.

– Uśmiechaj się – poinstruowała mnie szeptem. – On nie ma pojęcia, kim jesteśmy. Wyglądamy jak zwyczajne dziewczyny, które wyskoczyły nocą na miasto, żeby się zabawić.

Siłą woli przywołałam na usta uśmiech i faktycznie po chwili funkcjonariusz odwrócił się w drugą stronę. Najwyraźniej nie stanowiłyśmy w jego oczach zagrożenia.

Powoli zaczynałam się rozluźniać. Mając Lark za przewodnika, nie czułam się może całkiem bezpiecznie, ale przynajmniej wiedziałam, że jestem w dobrych rękach. Głośna muzyka ani tłumy obcych ludzi już nie budziły we mnie takiej grozy. Teraz czułam się, jakbym była ich częścią. Czułam, że należę do tego świata. A wszystko dlatego, że byłam tu z przyjaciółką.

– Orientujesz się, gdzie będziesz mieszkała, gdy już przeniesiesz się do swojej rodziny zastępczej? – spytała dziewczyna, ale potrząsnęłam tylko głową. Uciekłam z domu, zanim zdążyłam poznać jakieś szczegóły. Lark tymczasem ciągnęła: – Mam nadzieję, że gdzieś niedaleko. Ale nawet jeśli wylądujesz gdzieś dalej, zawsze możesz użyć autopętli. Odkąd przyspieszyli połączenia, możesz dostać się w dowolne miejsce w Edenie w przeciągu zaledwie paru godzin.

Miałam straszny mętlik w głowie. Kilka godzin temu dowiedziałam się, że czeka mnie przeprowadzka i rozłąka z rodziną. Kto wie, kiedy znów będę miała okazję ich spotkać. Miałam zamieszkać z obcymi ludźmi. Ta myśl była straszna, ale równocześnie... napawała mnie szczęściem. Kiedy uciekałam z domu parę godzin temu, wydawało mi się, że wali się cały mój świat. Teraz jednak kiełkowałam we mnie nadzieja, że zdołam go na nowo złożyć w całość. Jasne, nic nie będzie już takie jak kiedyś. Ale, kto wie, może to lepiej.

Czyżby była to zasługa Lark, że nagle ujrzałam świat w jaśniejszych barwach niż wcześniej? Zyskałam przyjaciółkę, wyznałam jej swój sekret – i teraz wydawało mi się, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Oczywiście żaden z moich problemów nie zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jednak myślami byłam już gdzie indziej. Zastanawiałam się teraz nad wszystkim, co powiedziała mi Lark na temat zaopatrzenia i polityki jednego dziecka. Rozmyślałam nad jej mętnymi teoriami, że z Edenem jest coś nie tak. Ale w sumie jakie to miało znaczenie? Świat jest, jaki jest, powtarzałam sobie – obumarły na zewnątrz, a w środku żywy – a ja musiałam po prostu znaleźć w nim dla siebie miejsce. Jakie znaczenie miało dla mnie to, co dzieje się w rządzie, jak wygląda sytuacja z zaopatrzeniem albo w jaki sposób funkcjonuje elektroniczne serce Ekopanu? Przecież to nie mój problem.

Wreszcie mój puls uspokoił się na tyle, że mogłam naprawdę rozejrzeć się wkoło. Żwawym krokiem przemierzałyśmy teraz kolejny krąg rozrywkowy. Ten położony najbliżej mojego domu i Centrum wydawał mi się hałaśliwy i rozkrzyczany, jednak okazało się, że w porównaniu z tym, w którym znalazłyśmy się teraz, był spokojny, kulturalny i stateczny. Ludzie spacerowali tam powoli i grzecznie ustępowali sobie miejsca na chodniku, za to tutaj wszyscy gnali przed siebie jak szaleni i się przepychali. Miałam wrażenie, że zgromadziło się tu znacznie więcej osób. I więcej służb porządkowych. Czyżby Lark popełniła błąd, wybierając tę drogę?

– Stróżę porządku mają inne zmartwienia – odezwała się Lark, jakby czytając mi w myślach. – Spójrz tam.

Niedaleko dostrzegłam jakiegoś mężczyznę, który stanął na małym składanym taboreciku, górując dzięki temu ponad tłumem przechodniów. Docierały do mnie strzępy jego natchnionej przemowy.

– ... Panowanie nad ziemią i morzem, nad zwierzętami chodzącymi po ziemi i rybami pływającymi w morzu...

Niewielu przechodniów zwracało na niego uwagę. Większość przechodziła obojętnie i tylko czasami ktoś się zatrzymał i rzucił w jego kierunku jakieś przekleństwo. W pewnym momencie w stronę mówcy poleciały nawet resztki czyjejś kanapki. Mężczyzna najwyraźniej niewiele sobie robił z tych oznak wrogości. Przemawiał dalej, tocząc wkoło płomiennym wzrokiem fanatyka.

– Co za kretyn – skwitowała Lark, posyłając mu gniewne spojrzenie. – Dokładnie takie

poglądy sprawiły, że Ziemia znalazła się w tak opłakanym stanie.

– Czym właściwie jest to całe Panowanie? – spytałam.

Pojęcie to obilo mi się już o uszy, ale miałam jedynie mgliste wyobrażenie o tym, co się za nim kryje.

– To sekta albo ruch polityczny, w zależności od tego, z kim będziesz rozmawiać – wyjaśniła Lark. – Jego członkowie wierzą, że ludzie z natury są stworzeni do sprawowania rządów nad Ziemią, a doprowadzenie do jej zniszczenia to część bardziej złożonego planu.

– Czyjego planu?

– Powołują się na pewną księgę spisana przed tysiącami lat, która rzekomo daje im prawo do mordowania, niszczenia i podbijania wszystkiego, na co przyjdzie im ochota. O ile wiem, nikt nigdy nie czytał ani nawet nie widział tej książki. Wyznawcy Panowania przepowiadają, że kiedy Ziemia wreszcie zostanie uleczona, ludzie znów będą mogli zająć należne im miejsce na samym szczycie łańcucha pokarmowego, zarzynać zwierzęta i obracać wszystko w perzynę.

Na myśl o tym przeszedł mnie dreszcz. Jak to możliwe, by ktokolwiek głosił takie teorie? Pamiętałam z jakiegoś podręcznika do historii środowiska, że w zamierzchłej przeszłości hodowano wielkie zwierzęta, takie jak krowy i owce, tylko po to, by potem je zabić i zjeść. Gdyby teraz ulicami Edenu przedefilowała żywa krowa, wszyscy mieszkańcy z zachwytem padliby na kolana.

Wszyscy z wyjątkiem członków Panowania. Ci pewnie zabraliby się do wykrawania mięsa na steki.

– Panowanie nie myli się w jednej sprawie – odezwała się po chwili Lark.

– To znaczy? – spytałam nerwowo. Wiedziałałam, że za wszelkie związki z tą organizacją grozi więzienie.

– Oni wierzą, że człowiek powinien żyć w świecie zewnętrznym, a nie tkwić zamknięty w mieście-więzieniu.

– Ale przecież tylko Edenowi zawdzięczamy, że jeszcze żyjemy! Niby jak mielibyśmy przeżyć na zewnątrz? – spytałam, wskazując ręką krańce miasta.

– Wcale nie twierdzę, że to możliwe – wzruszyła ramionami Lark. – Powiedziałam tylko, że tam jest nasze miejsce. Jesteśmy częścią przyrody, a nie tego sztucznego raju.

Jeszcze raz obrzuciłam spojrzeniem ulicznego kaznodzieję.

– Czemu go nie aresztują?

– Zostanie aresztowany, jak tylko ktoś zacznie się przysłuchiwać jego tyradom i zgadzać z nimi. Nic mu nie grozi, dopóki pozbawiony jest słuchaczy. Na razie nie ma żadnego poparcia, służy więc jedynie za dowód głupoty tego ugrupowania. Ale niedługo i tak trafi za kratki.

Znów przeszedł mnie dreszcz. Przecież jeśli zostanę schwytana, czeka mnie taki sam – jeśli nie gorszy – los.

– Nie martw się – uspokoiła mnie Lark. – Dopóki jesteś ze mną, nic ci nie grozi. Znam te ulice jak własną kieszeń.

Sformułowanie, jakiego użyła, natychmiast przypomniało mi o mamie i przyniosło uspokojenie. Lark była taka nieustraszona, że jej pewność siebie zaczęła mi się udzielać. Kiedy miałam ją u boku, czułam się bezpieczna.

Zanim dotarliśmy do mnie, musiałyśmy pokonać długą, okrężną drogę. W pewnym momencie przechodziłyśmy nawet obok domu Lark, ale wspomniała mi o tym dopiero, gdy już go minęłyśmy. Kiedy się odwróciłam, dostrzegłam ciepłe, delikatne światło w jednym z okien.

Lark była gadułą, co stanowiło dla mnie pewną nowość. Wprawdzie Ash zawsze opowiadał mi o swoim dniu zaraz po powrocie do domu, a mama codziennie, choćby padała ze zmęczenia, znajdowała chwilę, żeby ze mną porozmawiać przed snem, jednak i tak codziennie spędzałam w ciszy wiele godzin. Teraz natomiast mogłam do woli przysłuchiwać się potokowi słów Lark. Czasami łapałam się na tym, że tracę wątek i zaczynam wsłuchiwać się w melodię jej głosu, zachwycając się tym, że wszystkie te słowa skierowane są właśnie do mnie. Wyobrażałam sobie, że niedługo tak właśnie będzie wyglądało moje życie: pełne przyjaciół i rozmów. Ale najważniejsza już zawsze będzie dla mnie Lark.

Poza tym miałam szczęście, że to ona wzięła na siebie ciężar podtrzymywania rozmowy. Przez większość czasu nie wiedziałam, co powinnam powiedzieć, jak zareagować na jej słowa. Lark sprawiała wrażenie, jakby rozumiała, co się ze mną dzieje. Ilekroć z mojej winy zapadało krępujące milczenie, wyrzucała z siebie kolejny potok słów. Sprawiała, że przebywanie wśród ludzi stało się dla mnie prawie proste.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do kręgu, w którym stał mój dom, Lark zatrzymała się gwałtownie i ścisnęła mnie kurczowo za rękę.

– O co chodzi? – spytałam przestraszona.

Lark zamarła. W końcu, po kilku sekundach, rozluźniła się, jednak wciąż nie puszczała mojej dłoni.

– Myślałam... – zaczęła. – Zresztą nieważne.

– Powiedz mi – nalegałam.

Westchnęła ciężko, wreszcie uśmiechnęła się i powiedziała:

– Po wszystkim, co mi wyznałaś, nie mam chyba prawa ukrywać nic przed tobą. Od czasu do czasu miewam napady...

Następnie wytłumaczyła mi, że występują one na skutek pewnej wady w budowie mózgu.

– Przypomina to trochę burzę z piorunami, która nagle wybucha w mózgu. Neuronom wtedy zupełnie odbija. Zazwyczaj to nic groźnego i niemal zawsze umiem przewidzieć, że zbliża się atak. Świat zaczyna wtedy wyglądać... trochę inaczej. Jakby obraz pływał mi przed oczami. Kręci mi się też trochę w głowie. Poczułam przed chwilą, jakby świat lekko zawirował, zaczęłam

tracić równowagę. Dlatego pomyślałam, że zaraz zaczniesz się atak. Czujesz, jak poruszyła się ziemia?

Potrząsnęłam przecząco głową. Serce biło mi tak szybko i tak głośno, że nie byłam w stanie zarejestrować żadnych innych nietypowych zjawisk wokół mnie.

Lark uśmiechnęła się tylko do mnie i ruszyliśmy dalej, nadal trzymając się za ręce.

W końcu doszliśmy pod mój dom. W pierwszej chwili prawie go nie poznałam. Zawsze widywałam go od środka. Jediną szansę na przyjrzenie się mu od tej strony miałam dzisiaj, kiedy uciekłam, jednak wtedy nie byłam w nastroju, by oglądać się za siebie. Po przepychu, jaki oglądałam w mieście, nasz dom wydał mi się teraz dziwnie staroświecki. A szary kamień, który posłużył do jego budowy, sprawiał wrażenie... naturalnego.

Całe miasto było królestwem sztuczności: piękne, jasne, ale pozbawione organicznego charakteru.

Na widok prawdziwych, lekko omszałych kamieni nagle ogarnęła mnie tęsknota, by jak najszybciej znaleźć się w środku. Przecież to moje miejsce, nie mogłam go porzucić! Nie mogłam...

– Szczęściara z ciebie, że mieszkasz w takim miejscu – odezwała się Lark, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Czemu? – spytałam, spodziewając się jakiejś grzecznościowej uwagi o pięknie budynku. Słowa Lark spadły jednak na mnie jak grom z jasnego nieba.

– To musi być niesamowicie ekscytujące: mieszkać w domu Aarona Al-Baza. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego na murze nie ma tablicy pamiątkowej.

– Chcesz powiedzieć, że w naszym domu mieszkał twórca Ekopanoptikonu? – zapytałam, spoglądając na nią w osłupieniu.

– Nie wiedziałaś? – spytała ze zdziwieniem Lark, a kiedy potrząsnęłam głową, dodała: – Mój tata opowiedział mi kiedyś o tym. Aaron Al-Baz był jedynym człowiekiem w całym Edenie, któremu wolno było zamieszkać w domu zbudowanym z prawdziwego kamienia. Wszystkie pozostałe budowle w Edenie wykonane są z materiałów sztucznych. Jemu jednak zależało, by utrzymać kontakt z ziemią. Ludzie przekonywali go, że kamienie są martwe, na co odpowiadał, że w rzeczywistości kamienie to kości ziemi.

Musiła upłynąć dłuższa chwila, zanim przetrzymałam te nowiny.

– Chcesz powiedzieć, że mieszkam wewnątrz szkieletu – odezwałam się w końcu.

Lark przechyliła głowę na bok i wybuchła śmiechem.

– No cóż, na to wygląda. Mieszkasz w kostnicy, w kościanym domu.

– Dlaczego nic o tym nie wiedziałam?

– Wszyscy mamy swoje małe tajemnice – stwierdziła Lark, puszczając mi oko. – Co czeka cię w domu? Będziesz miała jakieś problemy?

Prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia, jakie powitanie zgotują mi rodzice.

– Dziękuję, że mnie tu bezpiecznie doprowadziłaś – powiedziałam. Domyślałam się, że powinnam wykonać teraz jakiś formalny gest: ukłonić się, uścisnąć jej dłoń. Zamiast tego zaczęłam się jąkać: – Naprawdę cię polubiłam... To znaczy, to spotkanie było dla mnie...

– Uda ci się jutro wymknąć? – spytała nieoczekiwanie Lark.

– Jasne! – odparłam bez zastanowienia.

Ale tak naprawdę wcale nie wiedziałam, czy będzie to wykonalne. Po dzisiejszej ucieczce trudno mi będzie wykiwać rodziców. Czy starczy mi odwagi na kolejną eskapadę? Wystarczyło jednak spojrzeć w oczy Lark i zobaczyć jej szczerze spojrzenie, bym zyskała pewność, że odnajdę w sobie siłę, aby powtórzyć swój wyczyn.

– Świetnie. W takim razie spotkajmy się tutaj jutro, o zmierzchu. Nic się nie martw, nie powiem Ashowi o twoich planach.

Wcześniej poprosiłam Lark, by o niczym mu nie mówiła. Sama nadal nie wiedziałam, czy przyznam się Ashowi do ucieczki i spotkania z Lark. Chyba raczej nie, w każdym razie nie od razu. Chciałam, żeby było to coś, co należy tylko do mnie. Nie miałam ochoty się tym dzielić.

Lark odchyliła głowę i spojrzała na mur. Kosmyki liliowych włosów ześlizgnęły jej się z twarzy, kiedy tak stała z zadartą głową.

– Naprawdę zdołasz się wspiąć na górę? – spytała z powątpiewaniem.

Wcale nie byłam tego taka pewna. W pamięci miałam ostatni etap pokonywania muru, kiedy musiałam zjechać po nim na brzuchu. Wypatrzyłam jednak jakiś maleńki występ nad głową i napięłam mięśnie, by go uchwycić i się na nim podciągnąć.

– Zaczekaj, głuptasko – odezwała się Lark, kładąc mi rękę na ramieniu i delikatnie odwracając mnie w swoją stronę. – Nie pożegnasz się nawet ze mną?

No dalej, powiedz „do widzenia”, poganiałam się w myślach. Jednak słowa nie chciały mi przejść przez usta. Lark przyglądała mi się spokojnie, a na jej ustach igrał dziwny uśmiezek. Pomyślałam wtedy, że pożegnania mają w sobie coś nieznośnie tragicznego.

– Do zobaczenia jutro – rzuciłam w końcu, na co ona wybuchła śmiechem i wzięła mnie w ramiona.

– Do jutra – powtórzyła. Zabrzmiało to tak, jakbyśmy właśnie wypowiadały jakieś zaklęcie.

Nagle zapragnęłam jakoś jej zaimponować. Lark była taka odważna, prowadząc mnie przez miasto i kojąc mój niepokój. Teraz nadeszła pora, bym to ja pokazała, jaka jestem silna i sprawna. Czując na sobie jej spojrzenie, podskoczyłam i zdając się na instynkt, natychmiast odnalazłam idealne uchwyty w ścianie. Były to zaledwie maleńkie szczeliny w murze, szerokie na włos, jednak to w zupełności mi wystarczyło – palce dłoni i stóp zdawały się teraz przywierać do muru, jakby przytwierdzone klejem. Płynnie, ukrywając wysiłek pod maską czystej gracji, pokonałam połowę drogi w górę, po czym zatrzymałam się i odwróciłam, żeby spojrzeć na Lark.

To nie było zbyt rozsądne z mojej strony, ewolucja na chwilę pozbawiła mnie równowagi... Ale przecież cała ta noc upłynęła mi właśnie pod znakiem takiej lekkomyślności.

Ku mojemu zadowoleniu dostrzegłam u dołu sylwetkę dziewczyny – przyglądała mi się zdumiona z otwartymi szeroko ustami. Jej liliowe włosy niemal świeciły, były jedynym jasnym punktem w otaczającej mnie teraz kamiennej szarości.

– Rowan, nie spodziewałam się tego po tobie... – odezwała się półgłosem Lark. Wypowiedziała te słowa tak cicho, że niemal do mnie nie doleciały.

Uradowana resztę drogi na szczyt muru pokonałam, nie popełniając żadnego błędu. Kiedy dotarłam na górę, zatrzymałam się na moment i posłałam jej jeszcze jedno długie spojrzenie. Następnie przerzuciłam nogi na drugą stronę, by powrócić do swojego więzienia, gdzie miałam odbyć ostatnie kilka dni odsiadki.

Przygotowana byłam na wszelkie scenariusze: możliwe, że zastanę zanoszącą się płaczem mamę, dostanę burę od ojca, a może dom będzie pusty, bo wszyscy szukają mnie po całym mieście. Ku mojemu zaskoczeniu wewnątrz panował spokój, wszystkie światła były zgaszone. Zakradłam się do środka, zdjęłam buty i na palcach ruszyłam do sypialni mamy i taty. Zastałam tam lekko uchylone drzwi, a kiedy zerknęłam ostrożnie, dostrzegłam w mroku kształty rodziców śpiących w łóżku. Ojciec leżał na plecach po swojej stronie, a mama zwinęła się w kłębek daleko po przeciwnej stronie łóżka. Czyżby nie zorientowali się, że uciekłam? A może wiedzieli o tym i po prostu odechciało im się mnie szukać?

Pewnie mama, jak zwykle wrażliwa na moje potrzeby, uznała, że chcę pobyć sama, i zostawiła mnie na dziedzińcu, gdzie, jak sądziła, użalam się nad sobą. Zamknęłam drzwi do sypialni rodziców i ruszyłam do mojego małego pokoiku.

Po drodze minęłam pokój Asha i zatrzymałam się przy drzwiach.

On też spał, oddech miał miarowy, choć nieco ochrypliwy. Przez dłuższą chwilę nie mogłam oderwać oczu od jego twarzy. To była przecież niemal moja twarz. Nagle z całą mocą powróciła uraza, jaką do niego dziś poczułam – dlaczego to on dostał wszystko, podczas gdy ja, pierworodne i zdrowsze dziecko, zostałam z niczym?

W pewnym momencie jego oddech zamarł. Często zdarzało mu się to przez sen. Ile razy, czuwając przy jego łóżku, sama wstrzymywałam dech, czekając, aż znów zacznie oddychać normalnie? Dotychczas zawsze oddech Asha powracał. Bałam się jednak, że pewnego dnia tak się nie stanie.

W myślach liczyłam sekundy: siedem..., osiem..., dziewięć... Wreszcie zaczerpnął głęboko powietrza, po czym rozległo się ciche pochrapywanie. Denerwujący, ale równocześnie uspokajający dźwięk. Chrapanie Asha to cichutkie przypomnienie, że nadal oddycha, że żyje.

Podkrađłam się do łóżka i zaczęłam się przyglądać twarzy brata. Kiedy spał, wydawał się taki spokojny i młodszy, znacznie młodszy, niż sama się teraz czułam. A po chwili wróciła gorzka

świadomość, że przecież w rzeczywistości jestem od niego starsza.

Jak mogłam w ogóle poczuć się zazdrosna o Asha? Nagle dotarło do mnie, dlaczego mama pozbawiła mnie przywileju pierworodnego dziecka, dlaczego wołała, by świat uwierzył, że to on jest pierwszym, i jedynym, potomkiem. Musiała przeczuwać, że chorowity i nadwrażliwy Ash nie poradziłby sobie w brutalnym świecie, podczas gdy ja zniosę wszelkie przeciwności losu.

Myślami cofnęłam się do nieprzeliczonych samotnych tygodni, miesięcy i lat, które musiałam spędzić pod tym dachem. Jakimś cudem zdołałam odnaleźć szczęście albo choćby zadowolenie. Oczywiście czasami płakałam. Zdarzały się też chwile, gdy dawałam się porwać wściekłości. Jednak jakoś zdołałam przetrwać ten czas. A teraz, choć perspektywa przeprowadzki wydawała mi się straszna, jednocześnie wiedziałam, że dam sobie radę. Będzie ciężko, ale poradzę sobie.

Na myśl o tym ogarnął mnie spokój. Złość minęła. Czyżby była to zasługa spotkania z Lark? A może zadziałał ten sam mechanizm zgody na to, co nieuchronne, który pomagał mi przez całe życie?

Padalam ze zmęczenia, ale równocześnie przepełniało mnie dzikie szczęście. Mama miała rację – w życiu każdego dziecka nadchodzi moment, gdy musi opuścić rodzinne gniazdo. U mnie po prostu ta chwila nadeszła wcześniej niż u innych, no i wyprowadzka odbędzie się w nieco dziwniejszych okolicznościach. Niezależnie jednak od tego, jaką tożsamość przyjmę, będzie mi wolno spotykać się od czasu do czasu z moją biologiczną rodziną. Byłam tego absolutnie pewna. Mama nie pozwoliłaby na inny układ. Poza tym teraz, gdy poznałam Lark, mogłam być spokojniejsza – gdziekolwiek zamieszkać, ona będzie moją przyjaciółką.

Odróciłam się już do drzwi, kiedy usłyszałam, jak Ash porusza się na łóżku.

– Rowan?

Był zaspany. Wiedziałam, że gdybym chciała, mogłabym bez problemu wymknąć się do swojego pokoju, żeby w samotności rozmyślać o wolności, Lark i przyjaźni. Mimo to zawróciłam i usiadłam na łóżku brata.

Kiedy poczuł, że ugięło się ono pod ciężarem mojego ciała, uchylił powieki.

– Gdzie byłaś? – spytał zaspanym głosem.

– Na dziedzińcu.

– Nieprawda.

– Ależ tak... Po prostu mnie nie widziałeś. A może kiedy poszedłeś mnie szukać, akurat wróciłam do domu.

Uśmiechnął się, ale już po chwili otworzył szerzej usta i śmiech przeszedł w ziewnięcie.

– Rowan, nasz dom jest duży, ale nie aż tak wielki. Gdzieś się podziewała? Zajrzałem do wszystkich twoich kryjówek.

Nic nie odpowiedziałam.

– Wymknęłaś się do miasta, przyznaj się – powiedział to takim tonem, jakby znał już

odpowieź.

– Możliwe – odpowiedziałam, wysuwając prowokacyjnie brodę.

Ash zaczął energicznie przecierać oczy.

– Zwariowałaś? Przecież mogłaś zostać schwytana, zabita!

Na usta cisnęły mi się słowa przeprosin. Ale w rzeczywistości wcale nie było mi przykro.

– Nic złego mi się nie stało. Były... – Urwałam w pół słowa. Mało brakowało, a powiedziałabym „byłyśmy”. Postanowiłam wcześniej, że nie przyznam się Ashowi do spotkania z Lark. W każdym razie jeszcze nie teraz. Niektóre rzeczy, które spotykają nas w życiu, są zbyt cenne, by się nimi dzielić. Miałam wrażenie, jakby opowiadanie o wydarzeniach ostatnich godzin mogło w jakiś sposób pozbawić je magii. – Byłam bezpieczna, nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Nie uśmierzyłam jednak jego złości. Albo strachu.

– Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego? – zapytał. – Pomyślałaś w ogóle, jaki los spotkałby naszą rodzinę, gdybyś została schwytana?

Oblałam się rumieńcem i zwiesiłam głowę. Słabo przemyślałam potencjalne konsekwencje mojej eskapady.

– Dobrze wiesz, co by się z tobą stało, gdyby twoje istnienie wyszło na jaw.

Prawdę mówiąc, nie wiedziałam. Nikt mi nigdy nie wyjaśnił wprost, co się stanie w takiej sytuacji. Z aluzyjnych napomknięć rodziców mogłam jednak wywnioskować, że grożą mi tortury, więzienie, niewola lub nawet śmierć. A jednak warto było zaryzykować! Próbowałam wytłumaczyć Ashowi, jak wielką radość – i strach – zrodził we mnie widok tylu nowych twarzy, światła, dźwięk muzyki i zmieszanych głosów tylu ludzi.

W końcu kiwnął lekko głową, jakby rozumiał moją dotychczasową samotność i pragnienie wyrwania się do świata.

– Mama powiedziała mi, że niedługo założą ci soczewki – odezwał się w pojednawczym tonie.

Sposób, w jaki to powiedział, sugerował, że mama nie zdradziła mu, że zostanę w naszej rodzinie już tylko parę dni.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Nie boisz się? – spytał, przykrywając moją dłoń swoją. A zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodał: – Jasne, że nie. Ty się niczego nie boisz.

– A czego tu się bać, kiedy całe życie spędzasz w czterech ścianach? – odpowiedziałam, uśmiechając się ponuro.

– Już sam fakt, że się żyje, może napawać człowieka lękiem – stwierdził poważnym głosem. Domyśliłam się, że analizuje teraz własne odczucia. – Strachem, że w każdej chwili można stracić ten wielki skarb: życie. Ty jednak jesteś inna. Nigdy nie widziałem cię przestraszonej.

– Tego wieczoru bałam się – wyznałam. – W każdym razie na początku.

– Nie wierzę – potrząsnął głową Ash. – Może byłaś zdenerwowana, czułaś niepokój, niepewność. Ale na pewno nie strach. Znam cię dobrze, Rowan. Jesteś nieustraszona. Nawet jeśli dotychczas musiałaś zmagać się tylko z nudą i samotnością, wiem, że zawsze stawiałaś im dzielnie czoła. Doskonale wiem, co się stanie, kiedy wreszcie zaczniesz żyć w świecie zewnętrznym: momentalnie przyćmisz wszystkie moje osiągnięcia. Za każdym razem gdy coś mi się nie udaje, myślę o tobie, o tym, jak ty zachowałabyś się na moim miejscu. Kiedy na przykład wydaje mi się, że jacyś ludzie się ze mnie nabijają. Albo kiedy próbuję opowiedzieć Lark o tym, jak się czuję...

Przypomniałam sobie teraz ten moment, gdy Lark sądziła, że jestem Ashem, z jedną tylko subtelną różnicą. Pamiętałam, jak blisko moich były jej usta. W ciemności oblałam się rumieńcem.

– Rowan, jestem tchórzem – zwierzył mi się brat, a jego następne słowa sprawiły, że do oczu napłynęły mi łzy. – To ty powinnaś być pierworodnym dzieckiem. Z ciebie Eden miałby jakiś pożytek. A w każdym razie na pewno większy niż ze mnie.

Cóż mogłam powiedzieć? Próbowałam przekonywać brata, że jest cudownym człowiekiem i wartościowym członkiem społeczności, że nie ma wad, a tylko drobne dziwactwa. Zapewniłam go, że jest kochany.

I że ja kocham go szczególnie, ponieważ jest inną wersją mnie.

Co pocznę, kiedy go zabraknie?

Jak on poradzi sobie beze mnie?

– Śpij już, Ash. Pogadamy rano.

Do moich myśli zakradła się melancholia, która otoczyła je teraz niczym ponure pustkowia okalające Eden. Kiedy zasypiałam, w głębi moich myśli pozostawał jednak punkt jasny, niczym nasze rozświetlone miasto.

Spałam do późna w moim skromnie urządzonym pokoiku. Kiedy w końcu wstałam, Ash był już w szkole, a mama w pracy. Odkrycie to przygnębiło mnie: przecież powinni chyba te ostatnie wspólne dni spędzić ze mną w domu? Kto wie, kiedy wolno mi będzie znów się z nimi spotkać. Przecież mogę wylądować w jakimś odległym kręgu na drugim krańcu Edenu i będę mogła ich widywać tylko raz w miesiącu. Będziemy spotykać się w jakimś publicznym miejscu na herbatę i indyjskie placuszki ćapati.

W pewnym momencie usłyszałam jakieś hałasy dobiegające z kuchni. A więc tata został w domu. Natychmiast instynktownie zacisnęłam zęby, jednak zmusiłam się, by się z nim przywitać. Ojciec przygotowywał akurat smoothie z wodorostów – tylko glony i woda, żadnych syntetycznych dodatków smakowych. Fuj.

Wycie blendera zagłuszyło moje wejście do kuchni. Dopiero kiedy tata nalewał zielony płyn do wysokiej oszronionej szklanki, odwrócił się i lekko wzdrygnął na mój widok. Reagował

w taki sposób, jakby moja obecność w domu była dla niego zaskoczeniem. Strużka lepkiego płynu ściekała po ścianie szklanki, zbierając się między jego kciukiem a palcem wskazującym.

– A więc już wstałaś – zauważył ojciec.

Moja ograniczona wiedza na temat ludzkich zachowań nie pozwalała mi stwierdzić, czy wypowiedzianie takich banałów to popularny sposób rozpoczynania rozmowy. W każdym razie mój tata był w tym mistrzem.

Sięgnęłam po leżącą w koszyku drożdżówkę i wgrzyłam się w nią z apetytem.

– Gratuluję nominacji na wicekanclerza.

– To jeszcze nic pewnego.

– Spokojnie – powiedziałam drwiącym tonem – nie pisnę nikomu ani słówka.

Niby przed kim miałabym się wygadać, przynajmniej przez kilka najbliższych dni? Może Lark. Postanowiłam, że w ramach buntu wspomnę jej o tym już dziś wieczorem.

– Muszę doprowadzić do końca twoją sprawę, zanim nominacja zostanie oficjalnie ogłoszona – stwierdził ojciec, po czym wytarł ubrudzone zielonym płynem usta w nieskazitelnie białą chusteczkę, którą następnie wyrzucił do zsypu na rzeczy przeznaczone do recyklingu.

– Doprowadzić moją sprawę do końca? – powtórzyłam gorzko. – A więc tyle dla ciebie znaczą? Jestem sprawą, którą musisz załatwić? Bałaganem wymagającym uporządkowania?

Czyżby mój ojciec naprawdę mnie nienawidził? Ta myśl towarzyszyła mi od chwili, gdy podrosłam na tyle, by rozumnie spoglądać na otaczający mnie świat.

– Rowan, to nie takie proste... – próbował tłumaczyć. – Twoje istnienie stwarza pewne... trudności.

Przez usta przebiegł mi nerwowy skurcz. Chciałabym, żeby powiedział coś więcej, jednak rozgoryczenie wzięło górę:

– Niedługo i tak będziesz mnie miał z głowy. To pewnie dla ciebie spora ulga.

Ojciec upił jeszcze jeden łyk, krzywiąc się, jakby dopiero teraz poczuł wstrętny smak koktajlu.

– W pewnym sensie – odpowiedział wymijająco.

Spoglądałam na niego ze spokojem. W głowie miałam mętlik, jednak podobnie jak wcześniej, złość przeważała w końcu nad smutkiem. Ostatnio działo się to coraz częściej.

– Teraz w życiu twoim i mamy nareszcie zapanuje harmonia, którą zaburzyłam wam szesnaście lat temu. Niedługo będzie tak, jakbym nigdy nie istniała.

Ojciec nie odpowiedział ani słowem. W milczeniu dopił resztkę napoju, po czym wyszedł z kuchni.



TEN DZIEŃ NICZYM NIE RÓŻNIŁ SIĘ OD wszystkich pozostałych – no *prawie*. Podobnie jak codziennie przez ostatnie szesnaście lat, spędziłam sama w domu większość czasu. Spędzałam go na zajęciach, które pozwalały mi nie zwariować – naukę, rysowanie, biegi i ćwiczenia. Dzięki nim mogłam zmęczyć ciało i uspokoić umysł.

Jednak dzisiaj wokół wszystkiego, co robiłam, unosiła się liliowa poświata.

Podczas rysowania łapałam się na tym, że szkicuję twarz Lark.

Kiedy biegłam, wyobrażałam sobie, że biegnę na spotkanie z nią.

A kiedy włączałam na komputerze moje bloki danych i filmy edukacyjne, natychmiast skupiałam się na sprawach, o których wczoraj rozmawiałyśmy. Próbowałam znaleźć jakieś informacje o sekcie Panowanie, jednak były bardzo skąpe. W sumie nic dziwnego, pomyślałam z tym nowym cynizmem, który zrodził się we mnie po rozmowie z Lark. Decydenci nie życzyli sobie, by mieszkańcy Edenu mieli styczność z informacjami na temat złowrogiej sekty, nawet jeśli informacje te ukazywałyby ją w negatywnym świetle. *Wszelkie* wzmianki dotyczące Panowania mogłyby zjednać jej nowych wyznawców.

Dlatego podczas nauki skupiałam się na innych zagadnieniach. Chciałam poszerzyć swoją wiedzę, tak bym miała o czym rozmawiać z Lark. Najbardziej intrygował mnie wczesny etap istnienia Edenu. Chciałam poznać więcej informacji związanych z jego pierwotną populacją, o której wspominała wczoraj Lark. Interesowało mnie, w jaki sposób wybrano tych pierwszych mieszkańców: czy byli oni mieszaniną przypadkowych ocalonych, czy może zostali specjalnie wyselekcjonowani? Chciałam zrozumieć, jak to się stało, że z początku nasza populacja była liczna, a teraz ją zmniejszano. Sprawa ta dotyczyła mnie osobiście, ponieważ należałam do osób uważanych za nadliczbowe.

W materiałach naukowych nie znalazłam praktycznie żadnych informacji, których bym nie znała. Wszystkie źródła powtarzały to samo w niemal identyczny sposób, niczym mantrę albo modlitwę: *Niedobitki ludzkości schroniły się w Edenie, by oczekiwać, aż Ziemia się zregeneruje*. I tyle. Brzmiało to tak, jakby ludzie byli zwierzętami wędrownymi, którym instynkt każe zbierać się w większe grupy i zapadać w hibernację do czasu, aż przeminie długa zima. Nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi na to, jak skąpa w szczegóły jest nasza historia. Dotychczas rzadko kwestionowałam zastane prawdy, przyjmując bezkrytycznie wszystko, co we mnie wpajano.

Następnie zaczęłam wyszukiwać informacje na temat naszego ojca-założyciela: Aarona Al-

Baza. W materiałach naukowych rozpisywano się o nim szeroko i niezmiennie w czołobitnym tonie. Wyłaniał się z tego obraz człowieka bardziej kojarzącego się z bohaterem legend niż postacią historyczną. Jak wszystkie dzieci w Edenie, przyswoiłam sobie już dawno wszystkie te informacje, jednak teraz, kiedy odkryłam, że mieszkam w jego domu, nagle zyskały one dla mnie nowe znaczenie.

Czytałam o tym, jak Al-Baz jako młody człowiek wyznający radykalne poglądy przepowiadał, iż świat czeka zagłada, przez co narażał się na drwiny sobie współczesnych. Zdołał mimo to zgromadzić wokół siebie liczne grono zwolenników, chociaż inni potępiali go i wytykali błędy w jego teoriach. Został ostatecznie wykluczony ze społeczności naukowej, a jego twierdzenia na temat zgubnych skutków relacji człowieka i Ziemi zostały poddane totalnej krytyce.

Z zapartym tchem czytałam o wygnaniu, na jakie sam się heroicznie skazał, pragnąc poświęcić życie ratowaniu planety. Ten okres jego życia owiany był tajemnicą, zachowało się z niego zaledwie kilka faktów, pozostała większość informacji to tylko anegdota. Al-Baz próbował powstrzymać rządy przed realizacją polityki szkodliwej dla środowiska i o ile dobrze rozumiałam, metody, jakich się imał, nie zawsze były zgodne z prawem. Kiedy przywódcy państw ignorowali jego apele, uznał, że zmusi ich, by go posłuchali. Było to w epoce wielkiego rozwoju technologii cyfrowych, kiedy zmierzano do tego, by wszystkie sterowane komputerowo systemy na planecie połączyć siecią internetową. A uzdolniony informatyk mógł bez trudu zmusić rządy do posłuchu.

Nazywano go hakerem, technoterrorystą, jego metody określano jako cyfrową wojnę partyzancką. Jednak Al-Baz nigdy nikogo nie skrzywdził – ani człowieka, ani zwierzęcia, ani nawet rośliny – w przeciwieństwie do rządów i kontrolowanych przez nie niszczycielskich broni i technologii. Al-Baz przejmował kontrolę nad pewnymi systemami tylko po to, by dowieść swoich racji – żeby udowodnić ludziom, że kroczą drogą wiodącą ku zgubie oraz by zaproponować im alternatywę. Był wielokrotnie poddawany przesłuchaniom, skazywany na areszt domowy, a jego środki finansowe blokowano.

Jakimś cudem przez wiele lat zdołał uniknąć więzienia. Aż wreszcie zdarzyła się Ekokłęska.

Z opracowania, które teraz czytałam, wynikało, że rządy planowały podjąć walkę z globalnym ociepleniem, modyfikując skład atmosfery ziemskiej. Była to bez wątpienia chwalebna inicjatywa, jednak Al-Baz od razu przestrzegł decydentów, że będzie ona bezskuteczna. Próbował nawet udaremnić rządowe wysiłki, atakując systemy komputerowe, które miały rozpylić cząsteczki w atmosferze. Nie zdołał ich jednak powstrzymać i trafił do więzienia. A kiedy odbywał karę, Ziemia umarła. Gdy został uwolniony przez swoich zwolenników, pozostało niewiele czasu, by wcielić w życie plan, nad którym od dawna pracował: Eden. Al-Baz stworzył program, który całą ocalałą technologię zaprzęgał do realizacji dwóch powiązanych celów: ożywienia planety i ocalenia ludzkości.

Wykazując się wielką wspaniałomyślnością, uratował Ziemię oraz ludzi, którzy wcześniej go zdradzili – a w każdym razie tak wielką część ludzkości, jak tylko zdołał. Ocalił ludzi, którzy wcześniej nie umieli się zatroszczyć o własną planetę. Dał nam wszystkim drugą szansę, możliwość odpokutowania za nasz egoizm i głupotę.

Całe życie spędziłam w tym domu, nie wiedząc, kim był jego wcześniejszy lokator.

Jak tylko mama wróciła z pracy – przed Ashem i tatą – spytałam:

– Jak to się stało, że zamieszkaliśmy w domu Aarona Al-Baza?

– Możemy porozmawiać o tym później? – spytała, a ja dopiero teraz dostrzegłam, że ma podkrążone oczy. Jej włosy były w nieładzie. Mama zawsze była bardzo starannie uczesana, jednak teraz luźne kosmyki sterczały jej na wszystkie strony. – Mamy wiele innych spraw do omówienia.

– Ale to ważne – upierałam się. – Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– A po co mielibyśmy o tym wspominać? To nic wielkiego – odpowiedziała, wruszając ramionami. – Jesteśmy dalekimi krewnymi, chyba po linii jego siostry. Ale to stare dzieje. Skąd się o tym dowiedziałas?

Nie miałam żadnej gotowej odpowiedzi, jednak moje przedłużające się milczenie nie wzbudziło chyba jej podejrzeń.

– Znalazłam wzmiankę o tym we wczesnej historii Edenu – wyjaśniłam w końcu. – Jest tu coś, co kiedyś należało do niego?

– Nie, nic – odpowiedziała bez zastanowienia mama. – Upłynęło zbyt wiele czasu.

– Nieprawda, dwieście lat to wcale nie tak wiele pokoleń.

Było jasne, że mama nie ma zamiaru ze mną o tym rozmawiać. Szybko zmieniła temat:

– Twoje soczewki są już gotowe.

Rzuciłam się jej na szyję, czym chyba trochę ją zaskoczyłam. Pewnie sądziła, że będę się nadal dąsać z powodu tego, że mam zamieszkać z inną rodziną. Jasne, smuciło mnie to, jednak odkryłam, że przede wszystkim liczy się dla mnie teraz fakt, iż łatwiej mi będzie wieczorem poruszać się po ulicach, kiedy będę się wymykać na spotkania z Lark. Moje oczy nie będą już różniły się od oczu innych mieszkańców Edenu, a co więcej, zostaną powiązane z tożsamością innej osoby. Odtąd będę mogła spokojnie paradować pod samym nosem zielonych koszul.

– No to kiedy idziemy na zabieg?

– Soczewki są już przygotowane, ale na wszczepienie musisz jeszcze trochę poczekać. Co najmniej kilka dni.

– A kiedy już mi je założą, będę mogła uchodzić za oficjalną obywatelkę Edenu? Stanę się pierworodną?

– Owszem. Te, które dostaniesz, są znacznie nowocześniejsze niż soczewki dostępne na czarnym rynku, którymi posługują się przestępcy. Stare modele mają pewne ograniczenia

technologiczne. Tanie, zdejmowalne wersje mają co prawda filtr chroniący przed zmodyfikowanym po Ekoklęsce promieniowaniem słonecznym oraz chipy pozwalające zidentyfikować tożsamość, jednak istnieją głębsze poziomy zaawansowania technicznego, których nikt nie potrafił podrobić. To znaczy nikt do czasu, gdy trafiliśmy na trop pewnego genialnego specjalisty. W normalnym trybie soczewki produkowane są w fabryce, a następnie przesyłane do Centrum, gdzie Ekopanoptykon dokonuje na nich dalszych modyfikacji. Cyberchirurg, którego odnaleźliśmy, zdołał włamać się do sieci Centrum i wykraść dokładne specyfikacje. Nic się nie martw, soczewki będą działać bezbłędnie. Inne drugie dzieci nie mają tyle szczęścia co ty.

– Co znaczy „inne”?

Nigdy dotychczas nie słyszałam, by w ogóle ktoś wspominał o istnieniu innych drugich dzieci. Najwyraźniej ten dzień niósł ze sobą mnóstwo niespodzianek.

– Może kilkoro z nich ma dostęp do tych nowych soczewek – ciągnęła mama. – Ale większość używa tanich, zdejmowalnych wersji. Moi informatorzy nie są zbyt rozmowni, jak pewnie się domyślasz. Z tego, co od nich usłyszałam, wnioskuję, że podrabiane soczewki kiepskiej jakości wykorzystują kryminaliści, buntownicy, mężowie i żony zdradzający swoich partnerów...

Doborowe towarzystwo, zauważam zgryźliwie w myślach. Po chwili jednak skupiłam się znów na drugich dzieciach.

– Ile nas żyje w Edenie?

Mama zacisnęła na krótką chwilę usta.

– Niewiele. Mój informator twierdzi, że być może dwudziestka takich jak ty nadal kręci się po ulicach.

– O rany, aż... – Z wrażenia aż mnie zatkało. – Chwileczkę, co znaczy „nadal”?

– Skarbie, nic się nie martw. Człowiek, który stworzył dla ciebie soczewki, to prawdziwy geniusz. Poza tym wystaraliśmy się o najmniej ryzykowną tożsamość, przekupiliśmy wszystkich co trzeba urzędników...

– Jak to? Co chcesz powiedzieć?

– No cóż... – odezwała się niepewnie mama, przygryzając wargę. – Zdaniem mojego informatora wskaźnik przeżycia wśród drugich dzieci próbujących się zintegrować społecznie... nie jest tak wysoki, jak byśmy sobie życzyli.

– To znaczy, że umieramy?

– Ależ skąd – zachnęła się mama. – Parę osób zostało złapanych. Ale wiele innych po prostu... przepada bez śladu.

Nagle lodowaty dreszcz przebiegł mi po plecach.

– O nic się nie martw, skarbie. Tobie się to nie przytrafi. Powzięliśmy wszelkie należyte

środku ostrożności – tłumaczyła mama, potrząsając głową, jakby próbowała odgonić nieprzyjemne myśli.

Moja wyobraźnia pracowała już jednak na pełnych obrotach: co tak naprawdę działo się z drugimi dziećmi, po których nie pozostał żaden ślad? Z opowieści mamy wynikało, że po prostu rozplywały się w powietrzu. W rzeczywistości za ich znikaniem stało zapewne Centrum. Wyłapano osoby trafiały do jakiegoś mrocznego miejsca i ginął po nich śluch.

Dla mamy temat był już zamknięty. Choćbym naciskała, wiedziałam, że nie powie ani słowa więcej. A kiedy ze szkoły wrócił Ash, wymieniliśmy z mamą porozumiewawcze spojrzenia: nie będziemy przy nim poruszać żadnych trudnych i niepokojących tematów. Stres mu nie służył. Na usta cisnęły mi się inne pytania: dokąd się przeprowadzę? Czy rodzina, która mnie przygarnie, jest bezdzietna? Czy będę udawała sierotę, którą adoptował daleki krewny? A może będę miała brata albo siostrę? Ciekawe, czy się polubimy.

Członkowie mojej nowej rodziny musieli być dobrymi ludźmi, skoro gotowi byli zaryzykować, przyjmując do domu czyjeś sekretne drugie dziecko. Na pewno będą wspaniałomyślni, kochający, cierpliwi i opiekuńczy. Na pewno ułatwią mi wkroczenie w prawdziwe życie. Muszą być właśnie tacy, przecież gdyby zabrakło im tych cech, nie byłiby gotowi sprzeniewierzyć się zasadom panującym w Edenie tylko po to, by pomóc czyjemuś dziecku.

Poza tym jak miałabym się tym zbytnio przejmować, skoro lada moment czekało mnie spotkanie z Lark? Rodzinny obiad dłużył się nieznośnie. Wiedziałam, że powinnam cieszyć się ostatnimi chwilami spędzonymi na łonie mojej prawdziwej rodziny, jednak myślami mimo woli ciągle wybiegałam do dzisiejszego wieczoru.

Zanim poszłam do łóżka, stanęłam przed lustrem w łazience, żeby przyjrzeć się moim dziwnym wielobarwnym oczom. Jak będę się czuła, kiedy staną się jednokolorowe i nijakie? Przecież wówczas przestanę być sobą.

Wszyscy ludzie, z jakimi się spotkałam w życiu (było ich tylko czworo, nie licząc tłumu przechodniów ubiegłej nocy), mieli te same jednobarwne, jakby pozbawione życia oczy. Jednak myśl, że niedługo sama się takich doczekam, wywoływała we mnie szok. W tych przygaszonych szarych oczach było coś nienaturalnego; zaczynałam rozumieć to dopiero teraz, gdy mnie też to czekało. Wkrótce będę musiała się pożegnać ze świetlistością i różnorodnością mojej tęczołki, a oczy przybiorą nudną szaro-błękitną barwę. Mój wzrok się nie zmieni, jednak będę odtąd wyglądać jak niewidoma.

W pewnym momencie do łazienki zajrzała mama, a ja szybko zamrugałam oczami, żeby ukryć łzy.

– Razem z tatą bierzemy jutro wolne, żeby spędzić z tobą więcej czasu. Ash też zostanie w domu. Urządźmy sobie prawdziwą rodzinną uroczystość. Przygotuję twoje ulubione

smakołyki. I będziemy mogli omówić... – zawiesiła głos, po czym dodała: – ... ważne sprawy, o których musisz wiedzieć.

Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. Nie rozumiałam, dlaczego mama zwleka do ostatniej chwili, żeby ze mną o czymś porozmawiać.

Niedługo potem wszyscy poszli spać. Przez jakiś czas udawałam, że śpię, jednak pod łóżkiem miałam schowaną torbę z ciuchami, które planowałam założyć na nocną eskapadę. Oddychałam powoli i cicho, nasłuchując odgłosów domu: przewracającego się na łóżku przez sen Asha, a także miękkich dźwięków, jakie wydają ściany, kiedy nocą spada temperatura. Kiedy byłam pewna, że wszyscy domownicy już głęboko śpią, wstałam, wzięłam torbę i wykradłam się na dziedziniec.

Po drugiej stronie muru czekał na mnie świat. I Lark. Z przejścia drżały mi palce. Zdjęłam pidżamę i stanęłam niemal naga w ciemności. Nad moją głową blado migotały gwiazdy. Odchyliłam lekko głowę do tyłu, pozwalając, by obmyło mnie ich delikatne światło. Moja wiedza na temat gwiazd była praktycznie zerowa – nie znałam ich nazw ani związanych z nimi teorii naukowych. Mimo to uwielbiałam wpatrywać się nocą w tworzone przez nie świetliste konfiguracje, ponieważ przypominały mi, że poza tym dziedzińcem, a nawet poza Edenem, istnieje jeszcze inny świat. Ich widok przypomniawszy mi teraz o moim największym skarbie: wiekowej, rozsypującej się ze starości fotografii świata sprzed Ekokłęski, którą mama wykradła dla mnie z archiwum. Wzięłam to zdjęcie ze sobą, żeby pokazać je Lark. Moja nowa przyjaciółka umiała dochowywać tajemnicy.

W ciągu dnia więcej myślałam o tym, jak się ubrać tej nocy, niż o mojej zbliżającej się wyprowadzce. Było mi trochę głupio z tego powodu, ale wiedziałam, że gdyby nie Lark i perspektywa nocnego wyjścia do miasta, umierałabym ze strachu przed tym, co mnie wkrótce czekało.

Po długim namyśle i wielokrotnym przetrząśnięciu mojej skromnej garderoby (w większości składały się na nią duplikaty szkolnych mundurków i zwykłych ubrań Asha) postanowiłam założyć ciemnoczerwoną spódniczkę z plisowaniem do połowy uda; było to jedno spośród moich niewielu typowo kobiecych ubrań. Materiał, z którego była uszyta, skrzył się delikatnie, kiedy padało na niego światło.

Czerwoną spódniczkę uzupełniłam czarnymi elementami garderoby, po części dlatego że nie miałam zbyt wielkiego wyboru, po części zaś kierowana instynktem, który podpowiadał mi, że w ten sposób łatwiej mi będzie ukryć się w ciemności, jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli. Miałam teraz na sobie czarne legginsy, miękkie buty za kostkę, a na ramiona narzuciłam dopasowany sweterek z syntetycznej wełny o luźnym splocie. Domyślałam się, że na tle jaskrawych kolorów ubrań, które upodobali sobie mieszkańcy Edenu: magenty, ultramaryny czy kanarkowego, będę prezentować się dość ponuro. Pocieszałam się jednak, że czerwona

spódniczka poprawi efekt. Miałam nadzieję, że spodoba się Lark.

Nie chcąc ryzykować, że uruchomię alarm, postanowiłam znów wspiąć się na mur. Podczas wspinaczki natychmiast przypomniałam sobie, dlaczego unikałam noszenia spódniczek. W końcu wdrapałam się na szczyt muru i przykucnęłam skulona, żeby nie rzucać się w oczy. W pierwszej chwili, ku mojemu przerażeniu, nie mogłam nigdzie dostrzec Lark. W końcu jednak wynurzyła się z cienia – światło gwiazd zatańczyło na jej liliowych włosach i mogłam odetchnąć z ulgą.

W pamięci miałam wciąż wszystkie odkryte poprzedniego wieczoru podpórki na murze, dlatego schodzenie tym razem nie nastręczyło mi większych trudności. Żeby się popisać przed przyjaciółką, ostatni odcinek dzielący mnie od ziemi, liczący ponad metr, pokonałam jednym skokiem.

– Jesteś niesamowita! – zawołała Lark, podbiegając. – Jak ty to robisz? Kiedy się wspinasz, poruszasz się zwinnie jak wiewiórka albo jak... gekon!

– Za to ty wyglądasz pięknie jak kwiat – wypaliłam w odpowiedzi, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

Pochyliła na chwilę głowę. Kiedy znów ją uniosła, oczy jej lśniły.

– Proszę – odezwała się, podając mi okulary. Ich fasetowane szkła mieniły się tęczą barw: różem, błękitem i lila. Lark miała też drugą parę identycznych okularów, którą od razu założyła. – To okulary ważki. Są przepiękne, prawda? Nosi je wiele osób, nawet nocą. Kiedy je założysz, przestaniesz budzić jakiegokolwiek podejrzenia.

Szybko zrobiłam, o co mnie prosiła. Mimo że szkła z wierzchu były fasetowane, w żaden sposób nie zniekształcały obrazu. Kiedy się przez nie patrzyło na świat, wszystko skąpane było w różowo-fioletowym blasku. Nagle Eden zakwitł niczym różany ogród.

– Chodź, mam ochotę pobiegać – powiedziała Lark, biorąc mnie za rękę.

I już po chwili pędziłyśmy przed siebie ulicą. Biegłyśmy, nie puszczać swoich dłoni, zanosząc się głośnym śmiechem, nic sobie nie robiąc z tego, że ktoś może nas usłyszeć. Byłyśmy teraz po prostu dwiema zwyczajnymi dziewczynami, które cieszą się życiem. Dlaczego ktoś miałby zwracać na nas uwagę?

Chwilę później, kiedy dopiero zaczynałam się rozgrzewać, Lark była już zdyszana. Miałam wrażenie, że mogłabym tak biec z nią bez końca.

– Nie mogę dotrzymać ci kroku – wysapała, zatrzymując się. – Jak to możliwe, że jesteś taka szybka i silna?

– Nie miałam nic innego do roboty przez całe życie: mogłam tylko biegać, wspinać się, rozciągać i ćwiczyć.

Lark obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym podziwu.

– Jesteś taka... – Nie dokończyła, potrząsając głową. – Wiesz, jaką przewagę daje ci twoja

szybkość? Nikt nie będzie cię w stanie złapać. Zielone koszule w porównaniu z tobą to cieniasy. Założę się, że mogłabyś prześcignąć nawet bota ochrony. A wspinaczka też się może przydać komuś, kto... – Znow zamilkła. – Nie powinniśmy o tym rozmawiać, dopóki tam nie dotrzemy.

– To znaczy dokąd?

– Wystarczy na razie, że ja to wiem – wyjaśniła, uśmiechając się tajemniczo. – A ty dowiesz się już niedługo.

Po tych słowach wzięłyśmy się pod rękę i ruszyłyśmy do najbliższej stacji autopętli.



JAK TYLKO MINEŁYŚMY BRAMKĘ OBROTOWĄ, ogarnęła mnie panika. Kręcenie się po ulicach pełnych ludzi zajętych swoimi sprawami to jedno, a przejście przez coś w rodzaju posterunku, gdzie wszyscy pasażerowie muszą kupić bilet – to już zupełnie co innego. Przerazona próbowałam się nawet wycofać, ale moje udo zderzyło się z barierką bramki, która się za mną zamknęła.

– Teraz możemy już tylko iść do przodu – odezwała się półgłosem Lark, chwytając mnie za ramię. A nieco głośniej, tak żeby usłyszeli ją ludzie stojący za nami w kolejce, którzy zaczęli się już denerwować z powodu przestoju, dodała: – Nie martw się, ubikacje są też po tej stronie bramki.

– A co jeśli oni... – Nie dokończyłam, bowiem Lark ścisnęła mnie porozumiewawczo za ramię.

– Nic się nie martw. Oba bilety opłacę z własnego chipa. Spróbuj zachowywać się naturalnie.

Bikk! Racja, pieniądze! Kompletnie wyleciało mi to z głowy. Świat roił się od detali, które mogły mnie zaskoczyć. Nie miałam przecież żadnych pieniędzy, a nawet gdybym miała, nie wiedziałabym, jak ich użyć ani w ogóle jakie są ceny.

Lark ruszyła przodem, żeby zademonstrować mi, jak uiszczą się opłatę za przejazd. W sumie było to całkiem proste. Przy wejściu na peron autopętli znajdowało się coś w rodzaju lustra. Lark stanęła przed nim, zdjęła okulary i uśmiechnęła się do lustra, równocześnie zalotnie poprawiając sobie fryzurę.

– Poproszę dwa bilety – rzuciła beztroskim tonem.

Lustrzana powierzchnia pociemniała, po czym znów rozbłysła podczas przeprowadzania skanu soczewek Lark. Z jej konta zostały pobrane środki pieniężne, a po chwili na podstawkę pod lustrem wypadły dwa niewielkie bileciki. Lark ruszyła korytarzem w kierunku peronu. Wszędzie wokół roiło się od mundurowych. Na szczęście dostrzegłam tylko jednego funkcjonariusza zielonych koszul – stał na przeciwnym krańcu peronu oparty o ścianę i obgryzał skórę przy paznokciu. Oprócz niego kręciło się tu sporo pracowników autopętli, a ich sztywne, oficjalnie wyglądające mundury przypomniały mi o gęsią skórę. Na klapach ich marynarek widniały emblematy Centrum w formie okręgu tworzącego środek tarczy. Byli tylko stojącymi nisko w hierarchii służbowej funkcjonariuszami, tym niemniej reprezentowali władze, a więc mojego wroga, na którego terytorium właśnie próbowałam się wdrzeć.

Ash mylił się, kiedy stwierdził, że jestem nieustraszona. Teraz było już jasne, że się boję.

Jakoś jednak wzięłam się w garść, a kiedy podeszłam do kontrolera biletów, zdobyłam się nawet na figlarny uśmiech. Z pozoru miał on świadczyć o mojej otwartości, jednak w gruncie rzeczy chodziło o coś przeciwnego – chciałam przymrużyć oczy na wypadek, gdyby kontroler zdołał podejrzeć z boku, co kryje się za moimi okularami. Mężczyzna odebrał tylko bilet i przepuścił mnie dalej.

Ten drobny sukces wprowadził mnie w doskonały nastrój. Nie dałam się pożreć tremie. Może na tym właśnie polega odwaga, by robić swoje, nie zważając na strach. Może mimo wszystko Ash nie mylił się co do mnie.

Z wysoko podniesioną głową, jak prawowite pierworodne dziecko, ruszyłam za Lark na peron. Po paru minutach podjechała kolejka autopętli i wsiadłyśmy do wagonu. Kiedy zamknęły się za nami pneumatyczne drzwi, wzdrygnęłam się na myśl o tym, że znalazłam się w pułapce. W ciasnej przestrzeni cała moja szybkość i zwinność na nic by się nie zdały, gdybym nagle musiała uciekać. Lark jak gdyby nigdy nic usiadła na limonkowitzelonym fotelu i pochyliła się do przodu, tak że kolanami dotykała krawędź ustawionego naprzeciwko fotela w kolorze fuksji. Szybko usiadłam obok niej i przyjęłam taką samą pozę, a po chwili kolejka autopętli ruszyła. Błyskawicznie rozpedziła się, mknąc po jednoszynowym torze, który spiralnie oplatał cały Eden, łącząc Centrum z kręgami zewnętrznymi.

– Dokąd... – zaczęłam, ale Lark znów mnie uciszyła.

– Po prostu chłoń widoki. To twoja pierwsza okazja, by przyjrzeć się innym zakątkom Edenu. Ciekawa jestem, jaka będzie twoja reakcja – powiedziała, po czym wstała i przez chwilę chybotwała się na nogach w rytm rozpedzonego wagonu. Wreszcie zamieniłyśmy się miejscami, tak że teraz ja siedziałam przy oknie.

Za nim rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok. Świat Edenu był znacznie bardziej żywy niż ten, który znałam z filmów w blokach danych. Gnałyśmy autopętlą z taką szybkością, że obraz zamazywał mi się przed oczami. Gdy tylko coś przykuło moją uwagę – budynek o dziwnym kształcie, wypełniona wirującą zielenią iglica wodorostów – musiałam błyskawicznie odwracać głowę, żeby w tej samej sekundzie nie stracić tego z oczu. Wszystko przemykało obok mnie z oszałamiającą prędkością. Moje ciało, moje życie gnało do przodu w tempie, o jakim nigdy nawet nie śmiałam marzyć.

Po chwili znalazłyśmy się w części miasta o wyraźnie innym charakterze. Krzykliwe barwy dominujące w kręgach wewnętrznych ustąpiły miejsca przygaszonym pastelom, a zamiast osób paradujących w szykownych strojach wieczorowych ujrzałam ludzi ubranych w ciemniejsze, bardziej zwyczajne stroje. Zrozumiałam, że w ekspresowym tempie mkniemy ku kręgom zewnętrznym.

W końcu, gdy miałam już wrażenie, że nasza podróż trwa bardzo długo, kolejka zaczęła

zwalniać. Ludzkie kształty przestały być rozmazanymi plamami, stając się znów ludźmi.

W wewnętrznym kręgu rozrywkowym, który zwiedzałam wczoraj, ludzie spacerowali parami, a niekiedy w luźnych grupkach. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy się tam znali, jakby niezależnie od wieku należeli do tej samej społeczności. Czasami ktoś odłączał się od jednej grupy i płynnie dołączał do innej. Wszyscy bez wyjątku mieli radosne twarze, śmiali się – byli szczęśliwi.

Tutaj, w zapuszczonym kręgu zewnętrznym, ludzie poruszali się w niewielkich grupkach lub samotnie. Grupy sprawiały wrażenie jednorodnych, ich członkowie trzymali się blisko siebie. Nie byli ubrani jednakowo, lecz mimo to w sposób zdradzający ich przynależność do danego grona. Zauważyłam na przykład grupę w czerni, której członkowie mieli dopasowane połyskliwe ubrania, gdzieś błyskały jakieś metalowe elementy. Nie mogłam się zorientować, czy to ozdoby, broje czy może broń. Po chwili wypatrzyłam też grupkę osób wyglądających podobnie jak fascynujący człowiek-wąż, na którego wpadłam w klubie Las Deszczowy. Przywodziło to na myśl jakieś pokojowo usposobione (a równocześnie dzikie) królestwo, w którym żyły obok siebie ptaki z kotami i wilki z owcami.

Gdzieś dostrzeżałam też ludzi krążących w pojedynkę. Większość szła pochylona i zamknięta w sobie, ze wzrokiem utkwionym w ziemi, unikając wszelkiego kontaktu z innymi.

Zauważyłam też parę osób wyróżniających się z tłumu. Kiedy kolejka dojeżdżała do stacji, moją uwagę przykuło parę przechadzających się pojedynczo osób – byli to mężczyźni i jedna kobieta – których wygląd sugerował, że odnaleźliby się z łatwością wszędzie, nawet w tamtej odzianej na czarno grupie. Szli wyprostowani, dumnym krokiem, a w ich postawie było coś wyzywającego. Zachowywali się tak, jakby cała Ziemia należała do nich.

Zanim kolejka się zatrzymała, moją uwagę przyciągnął mężczyzna stojący na peronie. Był niewiele starszy ode mnie, miał jasnokasztanowe włosy i wyrazistą twarz. Nie był może tak postawny jak inni z tutejszych samotników, jednak od razu zorientowałam się, że dla niego nie ma to żadnego znaczenia. Sprawiał wrażenie człowieka, który jest absolutnie pewien, że zdoła stawić czoła wszelkim problemom. Na chwilę zwrócił się do mnie przodem i wtedy dojrzałam bliźnę w kształcie półksiężyca, ciągnącą się od lewego oka w dół kości policzkowej. Szybko odsunęłam się od okna, żeby mnie nie zauważył. On jednak przyglądał się tylko wagonom kolejki wtaczającej się na stację. Po chwili zatrzymaliśmy się na zadaszonym peronie.

Lark zerwała się na równe nogi. Wyglądała na bardzo podekscytowaną.

– Chodź! – powiedziała, ciągnąc mnie za sobą w stronę drzwi. Oprócz nas wstało kilkoro pasażerów, najwidoczniej turystów zwiedzających tylko tę część miasta.

– O ile się nie mylę, to gang Śmiercionośnej Nocy – stwierdziła jakaś kobieta, zwracając się do swej sztywnie ubranej koleżanki. – Widzisz, jaki piękny okaz? To Jaguar. Podobno jednej nocy zamordowała pięciu mężczyzn.

– A ja słyszałam, że czterech mężczyzn, kobietę i dziecko – odparła koleżanka i aż zadrżała z udawanej grozy. Obie kobiety zachichotały, zakrywając dłońmi usta.

Zwiedzanie tętniących życiem, lecz spokojnych kręgów wewnętrznych było dla mnie nie lada przeżyciem. Czyżby Lark naprawdę oczekiwała, że zanurzę się teraz w zaludnionej przez dziwne odmiany człowieka dżungli kręgów zewnętrznych, gdzie na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo?

– Ufasz mi? – spytała Lark, widząc moją niepewną minę.

Przez chwilę w myślach powróciła do mnie twarz mamy i jej słowa: *Nie ufaj nikomu z wyjątkiem rodziny. Zależy od tego twoje życie.*

– Ufam ci bez reszty – odparłam stanowczo, a Lark wzięła mnie za rękę i ruszyliśmy na spotkanie świata zewnętrznych kręgów.

Cóż mogę powiedzieć o wydarzeniach tej nocy? Gdybym stwierdziła, że żadne moje dotychczasowe doświadczenia nie mogły się z nimi równać, nie powiedziałabym nic sensownego, bo przecież moje wcześniejsze życie było całkowicie puste. Więc może lepiej tak: wydarzenia tej nocy przerosły moje najśmielsze marzenia? Ale przecież moja szczupła wiedza na temat świata, ludzi i ich rozrywek nie starczała nawet, bym cokolwiek mogła sobie wyobrazić.

– Dziewczyna, która nie traci głowy w stresującej sytuacji, nie ma się czego obawiać – powiedziała mi Lark, kiedy przechadzałyśmy się słabo oświetlonymi ulicami. – Ci ludzie nie są źli, tylko ubodzy. Większość w ogóle nie chce wyrządzić nikomu żadnej krzywdy. No chyba że czymś im podpadniesz.

Zaraz jednak dowiedziałam się, że ilość błędów, jakie mogę popełnić, jest potencjalnie nieograniczona. Lark opowiedziała mi na przykład o pewnym gangu, którego członkowie zaatakują mnie, jeśli w ich obecności splunę. Akurat tym nie musiałam się przejmować: nawet gdyby zabrakło mi ogłady i zechciałabym pluć pod nogi, i tak nic by z tego nie wyszło, bo w ustach zaschło mi ze zdenerwowania. Członkowie innego gangu wymagali, by wszyscy ludzie, których mijają, natychmiast przystawali i odwracali się do nich plecami.

– Uważają, że przyglądanie im się to oznaka braku szacunku; traktują takie zachowanie jako poważną obelgę. Jeśli odwrócisz się do nich plecami, uznają, że okazujesz im zaufanie, i zostawią cię w spokoju.

Zrozumiałam wtedy, kolejny już raz, że nie poradziłabym sobie bez Lark.

W końcu wylądowałyśmy w jakimś klubie. Panował tam spokój, ale równocześnie to miejsce wydało mi się dzikie. Nikt nie tańczył. Pod ścianami umieszczono odgródzone boksy dla gości i stoły; wnęki w ścianach ukryto za zasłonami. Goście popijali tu gorzką czarną kawę (a przynajmniej coś do niej zbliżonego, to znaczy rozpuszczalną syntetyczną kofeinę), przysłuchując się komuś występującemu na scenie. Mówca wypowiadał wiele głębokich

i brzmiących rewolucyjnie myśli, od których zakręciło mi się w głowie. Nie wszystko rozumiałam, ale kiedy mówił o wolności, niezależności i nieskończonych otwartych przestrzeniach, czułam, jak moje serce wyrywa się do tych wizji. Usiadłyśmy w jednym z wolnych boksów i zaczęłyśmy się przysłuchiwać toczonym wokoło rozmowom. Szybko zorientowałam się, że każdy z gości miał wyrobione zdanie na wszelkie tematy. Ludzie zaczęli mówić podniesionymi głosami. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. W pewnym momencie ktoś podniósł krzesło i rzucił je przed siebie.

– Wolę zginąć, niż żyć w kłamstwie! – krzyknął.

Zaraz potem wybuchła bójka. Po chwili do akcji przystąpili rośli ochroniarze o ciałach pokrytych tatuażami w kształcie liści paproci. Rozdzielili bez trudu walczących i wywlekli ich z lokalu. Zaraz potem jak gdyby nigdy nic pozostali goście wdali się na nowo w namiętne dyskusje na wszelkie możliwe tematy.

To miejsce było absolutnie cudowne.

Na całym ciele czułam dreszcze podniecenia, choć może tak podziałała na mnie kofeina. W końcu Lark zapłaciła rachunek i wyprowadziła mnie z klubu.

– Ale mi się tam tak podobało! – próbowałam protestować.

To było idealne miejsce dla mnie – mogłam podziwiać rozgrywające się wewnątrz fascynujące przedstawienie, przez cały czas zachowując bezpieczny dystans. Nikomu nie przeszkadzało, że unikam kontaktu wzrokowego ani nie biorę udziału w dyskusji. Wszyscy byli zbyt zajęci tym, co sami mają do powiedzenia, zbyt zakochani w brzmieniu swoich głosów, by się mną przejmować. Poczułam się tam, jakbym była w klasie na lekcji zachowań społecznych.

– Następne miejsce spodoba ci się jeszcze bardziej – zapewniła Lark. – Skoro nakręciłyśmy się już kofeiną, teraz musimy się trochę poruszać.

Nie byłam pewna, o co jej chodzi. Zrozumiałam dopiero, kiedy weszłyśmy do jakiegoś magazynu, którego wystrój przywodził na myśl dżunglę. Od razu stało się jasne, że Deszczowy Las był tylko nieudolną namiastką tego, co stworzono tutaj. Tam wszystko opierało się na pewnej liczbie stylizowanych rekwizytów, które miały wywołać wrażenie, że jest się w lesie. Natomiast tutaj twórcy wykonali wierną kopię pierwotnego lasu. Można było odnieść wrażenie, że odtworzyli pokaźny fragment puszczy sprzed Ekokłęski, łącznie z intensywną wonią ziemi i mchów, kolczastymi pnączami i popiskującymi zwierzętami, które ocierały mi się o stopy. Wrażenie było piorunujące – jakbym nagle znalazła się w prawdziwym lesie wraz ze wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie mogą w nim czyhać na człowieka.

W środku panował półmrok, rozpraszany tylko blaskiem sztucznego wypukłego księżyca zawieszzonego u sufitu. Jednak po chwili dostrzegłam jakieś ludzkie postacie, które przebiegały przez odkrytą przestrzeń, szukając kryjówki.

– Co to za miejsce?

– Matecznik – odparła Lark, wkładając mi do ręki karabin.

Przez następną godzinę buszowaliśmy jako dwuosobowy oddział po zaroślach, próbując dosięgnąć laserami naszych przeciwników. Walka toczyła się między ludźmi, jednak dodatkowym, trzecim uczestnikiem, była dzika przyroda. Dżungla nie opowiadała się po żadnej ze stron. Sztuczne węże kęsały nas po nogach, powodując lekkie porażenie elektryczne i wyłączając nasze karabiny na parę minut. A kiedy już miałyśmy zdobyć punkt, przygoździły nas do ziemi roboty-jaguary.

Pod koniec Lark, a wraz z nią niemal wszyscy pozostali zawodnicy, została wyeliminowana z gry. Walczyłam teraz przeciwko trzyosobowemu oddziałowi. Moi przeciwnicy ubrani byli w dopasowane do siebie kolorystycznie mundury; musieli mieć spore doświadczenie w tej grze. Mimo że Lark nie mogła mnie już osłaniać, zdołałam wspiąć się na drzewo i z wysokości dziesięciu metrów wystrzelać ich jak kaczki.

Kiedy zabawa dobiegła końca, byłam zdyszana, spocona i wykończona. Ale też totalnie szczęśliwa.

– O rany, Lark – wysapałam, kiedy zsunęłam się już z pnia sztucznego drzewa. – To cudowne, naprawdę cudowne. Dziękuję, że mnie tu zabrałaś!

Lark nachyliła się do mnie, ale zaraz znów się odsunęła.

– To jeszcze nie koniec – stwierdziła, posyłając mi szelmowski uśmiech.

W głowie mi się nie mieściło, że ma dla mnie jeszcze coś w zanadrzu. Cóż to mogło być – tańce, wyścigi, a może jakieś sporty walki?

Okazało się, że to coś zupełnie innego. I nieporównanie lepszego.

Opuszczona wieża wodorostów.

– Nie działa już od wielu lat – wyjaśniła Lark. – Mój ojciec pracował przy reperacji systemu pomp, jednak nie zdążył tego dokończyć, bo władze zdecydowały o wyłączeniu wieży. Podwędziłam mu kartę magnetyczną.

Po chwili zamek ustąpił, a kiedy dziewczyna otwierała na oścież drzwi, rozległ się zgrzyt starych zawiasów.

W środku panowała nieprzenikniona ciemność. Przestraszona zatrzymałam się na progu, jednak Lark, która szła przodem, pociągnęła mnie za sobą i zamknęła za nami drzwi. Po chwili usłyszałam jej głos:

– Władze odcięły dopływ prądu, ale znam drogę.

Głos Lark był teraz dla mnie niczym latarnia morska w oceanie ciemności. Wyciągnęłam przed siebie rękę, próbując na oślep odnaleźć jej dłoń, jednak natrafiałam tylko na pustkę.

– Gdzie jesteś? – zawołałam.

Kiedy znów się odezwała, jej głos dobiegał z daleka.

– Idź przed siebie – poleciała.

Nie miałam pojęcia, jak duże jest pomieszczenie, do którego weszliśmy, ani jaki ma kształt. Nie wiedziałam też, co może się w nim kryć.

– Gdzie jesteś? – zawołałam znowu. Nagle poczułam się zagubiona i zdezorientowana. – Zaczekaj na mnie!

Rozległ się niski, gardłowy śmiech Lark.

– Nic ci nie grozi. Po prostu chodź.

– Ale nic nie widzę! – odkrzyknęłam.

A co jeśli w ciemności kryje się jakaś przeszkoda, szczelina w posadzce albo przyczajony funkcjonariusz zielonych koszul? Ta myśl mnie zmroziła.

– Ufasz mi? – spytała znów Lark.

Tak, ufałam jej. Nie miałam może wielkiego doświadczenia z ludźmi, jednak w głębi duszy byłam przekonana, że ta dziewczyna nigdy mnie nie skrzywdzi. Zacerpnęłam głęboko powietrza i zrobiłam krok w atramentową ciemność.

Szłam powoli, powłóczęc nogami, jednak w końcu wymacałam w ciemności dłoń Lark. Nasze palce splotły się niczym pędy winorośli. Otaczała nas nieprzenikniona ciemność, ale oczami wyobraźni mogłam niemal zobaczyć, jak Lark się uśmiecha.

– A teraz pójdziemy do góry! – zapowiedziała, pomagając mi odnaleźć dłońmi szczeble drabiny.

Wspinałyśmy się bez końca. Miałam wrażenie, że pokonałyśmy ponad sto metrów. Cała ta sytuacja była całkowicie surrealistyczna. Przez cały czas nic nie mówiłyśmy, słyszałam tylko oddech Lark nade mną i stukot jej stóp na śliskich metalowych szczebelkach. Ponieważ pozbawiona byłam wszelkich wzrokowych punktów zaczepienia, czułam się, jakby cała ta wspinaczka odbywała się we śnie. I w tym śnie Lark wiodła mnie przez cały czas wyżej i wyżej, do miejsca, którego nigdy nie umiałabym sobie wyobrazić.

Wreszcie, gdy nasza trwająca całe wieki wspinaczka dobiegła końca, usłyszałam zgrzyt metalowej zasuw, a po chwili ujrzałam, jak z ciemności nade mną wyłania się sylwetka Lark skąpana w lekkiej księżycowej poświacie. Dziewczyna wdrapała się na górę przez wąski właz, a kiedy dołączyłam do niej, moim oczom ukazała się panorama Edenu. Połyskujące bladezielonym światłem koncentrycznie ułożone kręgi miasta sięgały poza linię horyzontu, oddalając się stopniowo od migoczącego oka Centrum. Stojąc tak wysoko, poczułam się, jakbym sama była okiem Ekopanu, spoglądającym z góry na to, co ocalało z ludzkości.

– Jakim cudem znalazłaś to miejsce? – spytałam, a zanim Lark zdążyła otworzyć usta, dodałam: – I co taka dobrze urodzona dziewczyna z wewnętrznego kręgu robi na takim zadupiu?

Znajdowałyśmy się teraz daleko od domu. Mimo że z tej wysokości i pod osłoną nocy ulice u dołu wyglądały całkiem efektownie, jednak nawet stąd w oczy rzucała się wszechobecna nędza, straszyły zapuszczone budynki, a przechodnie przemykali chyłkiem u stóp wieży.

– Mieszkałam tu kiedyś.

Z wrażenia odebrało mi mowę. Wiedziałam, że Lark przeprowadziła się z innego kręgu, gdy miała około dziesięciu lat. Kiedy pierwszy raz zjawiała się w szkole Kalahari, to Ashowi przydzielono zadanie oprowadzenia nowej koleżanki. Opowiedział mi o Lark wieczorem tego samego dnia, a potem opowiadał już codziennie. Dotychczas zakładałam, że przeprowadziła się z kręgu leżącego bardziej na zewnątrz, jednak przylegającego bezpośrednio do naszego. Tego typu przeprowadzki zdarzały się całkiem często, jednak nigdy nie słyszałam, by ktoś wykonał równie wielki skok, przenosząc się z tak bardzo odległego kręgu zewnętrznego niemal pod samo Centrum.

Pamiętałam, że przybycie rodziny Lark do naszego elitarnego kręgu wywołało spore zamieszanie. Ash opowiedział mi, że niektórzy uczniowie z klasy nie zapraszali jej na przyjęcia urodzinowe, a jej rodzice spotykali się z ostracyzmem. A któregoś dnia nawet nasz ojciec przy obiedzie zaczął głośno zastanawiać się, czy przypadkiem Ash nie powinien zakończyć znajomości z tą, jak to ujął, nisko urodzoną dziewczyną.

Miejsce, w którym teraz przebywałyśmy, nie leżało wprawdzie na samych obrzeżach miasta, ale całkiem niedaleko. Od slumsów rogatek dzieliły je tylko ze dwa kręgi. Nie mieściło mi się w głowie, że Lark mogła tu kiedyś mieszkać.

Opowiedziała mi wtedy w dużym skrócie swoją historię, a ja przez cały ten czas musiałam się pilnować, by nie okazać zdziwienia czy, Ziemio uchowaj!, wstrętu. Pochodziła z pracowitej robotniczej rodziny, która zajmowała mieszkanie w piętrowej kamienicy w tej dzielnicy. Z trudem wiązali koniec z końcem, ale byli szczęśliwi. Oczywiście, borykali się z różnymi problemami – czasami odcinano im prąd albo z kranu płynęła rdzawa woda. Bywało, że zielone koszule aresztowały jakiegoś sąsiada. Pewnego dnia pod domem Lark znalazła martwe ciało.

– Ale wcale nie było nam tak źle. Wiedzieliśmy, kto jest naszym przyjacielem, a kto nie. No i wszyscy miejscowi potrafili dochować tajemnicy.

Następnie opowiedziała mi, jak kiedyś jej ojciec odkrył coś podczas prac przy systemie wodociągowym pod wieżą.

– Był zwykłym robotnikiem budowlanym. Kładł rury, naprawiał zawory. I pewnego dnia... coś znalazł.

Oczywiście umierałam z ciekawości, co takiego, jednak Lark wzruszyła tylko ramionami.

– Nie chciał mi powiedzieć. Nie przyznał się nikomu, nawet swojemu szefowi. Zdołał jednak dotrzeć do urzędnika Centrum i poinformować go o znalezisku. Niemal natychmiast po tym spotkaniu zaproponowano mu posadę w wydziale urbanistyki Centrum. I właśnie wtedy przeprowadziliśmy się do wewnętrznego kręgu.

– I nadal nie wiesz, co takiego odkrył?

– Nie mam pojęcia. Zdradził nam tylko, że natrafił na coś, dzięki czemu uśmiechnął się do nas

los. Równocześnie dał nam do zrozumienia, że zobowiązany jest do dochowania tajemnicy i że stawką jest jego życie. A potem... – Lark umilkła na chwilę, marszcząc brwi. – Po paru latach próbowałam znów poruszyć z nim ten temat, ale odniosłam wrażenie, jakby ojciec w ogóle nie pamiętał tamtego zdarzenia. Twierdził, że awansował dzięki zaprojektowaniu nowego modelu zaworu odcinającego. Rzekomo urzędnicy Centrum byli pod wrażeniem jego wynalazku i chcieli zapewnić mu w nagrodę lepszy byt.

– Może po prostu przekonująco kłamał – podpowiedziałam. – Może w ten sposób chciał cię chronić.

– Możliwe – przyznała Lark, jednak już po chwili potrząsnęła gwałtownie głową, tak że liliowe włosy musnęły jej policzki. – Ale nie traćmy teraz czasu na roztrząsanie starych dziejów. Przyprowadziłam cię tutaj, żebyś mogła podziwiać ten widok. Spójrz w górę.

Całą moją uwagę pochłaniało dotychczas rozciągające się u naszych stóp miasto, o którego zobaczeniu przez całe życie marzyłam. Ani razu nie spojrzałam nawet w niebo. Podążyłam teraz za spojrzeniem Lark – i to, co zobaczyłam, wydało z mojej piersi westchnienie. Szczyt wieży wodorostów wznosił się spiralnie ponad naszymi głowami, jednak nad jego ostrym zwieńczeniem moim oczom ukazał się... wszechświat!

Moja dłoń bezwiednie powędrowała do kieszeni, gdzie znajdowała się starodawna fotografia. Tutaj, w kręgu zewnętrznym, gwiazdy na niebie zdawały się być znacznie jaśniejsze i większe. Z dziedzińca przy naszym domu wyglądały jak maleńkie jasne punkciki, których blask tłumiała jaskrawa miejska iluminacja.

– Niesamowite – westchnęłam oczarowana.

Widziane stąd gwiazdy układały się w konfiguracje, których nigdy jeszcze nie widziałam. Z podręczników starożytnej historii wiedziałam, że kiedyś ludzie nadawali nazwy gwiazdozbiorom: Niedźwiedzicy, Smoka, Raka. Miałam teraz wrażenie, że we wzorach migoczących na niebie punktów mogę niemal dopatrzeć się kształtów tych istot.

– To Orion, myśliwy – wyjaśniła Lark, wskazując trzy jasne gwiazdy tworzące pas Oriona, a następnie jego gwiaździsty miecz. – A tam widać Wielką Niedźwiedzicę.

Dziewczyna położyła się na chłodnej, gładkiej posadzce i splótłszy ręce na karku, wpatrywała się dalej w niebo. Poszłam za jej przykładem i po chwili leżałyśmy tuż obok siebie, tak blisko, że nasze ciała się stykały.

– Mój tata uwielbia gwiazdy – powiedziała Lark. – Nauczył mnie ich nazw, konfiguracji, ruchów. Właśnie tego widoku najbardziej mi brakowało po tym, jak przeprowadziliśmy się do wewnętrznego kręgu. Teraz z domu mogę dojrzeć tylko niewielki ułamek tego, co widać tutaj. Dlatego kiedy tylko mogę, przyjeżdżam tu, żeby spoglądać w gwiazdy, rozmyślać i snuć marzenia.

– A o czym marzysz? – spytałam, czując, jak powoli wpadam w dziwny trans szczęścia. Nagle

życie osiągnęło jakiś zawrotny poziom cudowności.

– O wielu rzeczach. Na przykład o wydostaniu się z Edenu. Marzę o tym, by móc wędrować przez prawdziwy las. O rządzie, który nie będzie nas karmił kłamstwami...

Odwróciłam się do niej, a mój oddech musnął jej policzek.

– Zresztą zapomnij o tej ostatniej sprawie. O tym możemy porozmawiać jutro – poprawiła się szybko. Na myśl o tym, że czeka mnie jeszcze jakieś „jutro”, zakręciło mi się w głowie. Nagle zapragnęłam przeżyć jeszcze tysiąc takich dni. Dziesięć tysięcy. – Jestem zaangażowana w parę akcji z osobami z tego kręgu. To niebezpieczne sprawy, dlatego dobrze mieć takie miejsce jak ta wieża, gdzie można się ukryć. Ale na razie się tym nie przejmuj.

Prawdę mówiąc, w tej chwili nie byłam chyba zdolna przejąć się czymkolwiek.

– A o czym ty marzysz? – zainteresowała się Lark.

– O znalezieniu kogoś – wypaliłam bez zastanowienia. – Kogoś, komu będę mogła zaufać, i kto sprawi, że będę się czuła kompletna. Wiem, że to głupie. Ale tak naprawdę w moim życiu nie było nikogo, kogo sama bym wybrała lub kto sam wybrałby mnie.

Lark odwróciła się do mnie, podpierając się na łokciu. Spojrzała mi głęboko w oczy i powiedziała poważnym głosem:

– *Ja* cię wybrałam.

A już w następnej chwili powoli nachyliła się nade mną i nasze usta się zetknęły. Spod jej liliowych włosów widziałam, jak na niebie migoczą gwiazdy. I nagle, o Ziemio!, zobaczyłam, że gwiazdy wirują, tańczą!

Kiedy dotarłam do domu i wsunęłam się do łóżka, długo nie mogłam zasnąć, a w głowie miałam mętlik. Nie wiedziałam, co właściwie powinnam czuć. Przez głowę przelatywało mi tysiąc sprzecznych myśli. W jednej chwili czułam wielkie uniesienie, które zaraz potem przeradzało się w niepokój i lęk, po czym znów wracało podniecenie. A nad wszystkimi tymi uczuciami górowała ekscytacja. Zanim się rozstałyśmy, podarowałam Lark mój największy skarb – starodawną fotografię gwieździstego nieba nad skalną przepaścią, zrobioną tuż przed Ekokłeską. Kiedy ją zobaczyła, w pierwszej chwili zmarszczyła brwi.

– O co chodzi?

– Sama nie wiem. To zdjęcie przypomina mi... o czymś. Nie umiem tego wyjaśnić. Zastanowię się i powiem ci jutro.

Jutro.

W końcu zasnęłam.

Nie minęła godzina, kiedy mama potrząśnięciem wyrwała mnie ze snu. Usłyszałam, jak szepcze mi do ucha:

– Wstawaj, musimy uciekać. Natychmiast!



ZASTRZYK ADRENALINY BYŁ TAK POTĘŻNY, ŻE poczułam, jakby w jednej chwili w moim ciele rozszalała się burza z błyskawicami. Wskoczyłam z łóżka, zanim jeszcze upewniłam się, że na pewno nie śnię.

– Tylko nie to – mamrotałam, ruszając mechanicznie przed siebie.

Marzyłam jedynie o tym, by matka pozwoliła mi powrócić do moich błogich snów o szczęściu. W tych pierwszych chwilach po przebudzeniu w głowie kołatała mi tylko jedna myśl, przy której bladły wszystkie inne: nie mogę pozwolić, by cokolwiek przeszkodziło mi w spotkaniu z Lark następnej nocy. Nie miałam pojęcia, co znaczył ten pocałunek – ani dla niej, ani dla mnie. Nie wiedziałam też, jakie uczucia we mnie obudził. Potrzebowałam więcej czasu, żeby to zrozumieć.

Dopiero po chwili dotarła do mnie straszna prawda: to, co teraz się działo, nie powodowało, że moje plany jedynie lekko się zmieniły i że nie będę mogła spotkać się wieczorem z Lark. Ten alarm nie oznaczał zwłoki w spełnieniu moich nadziei. Musiało wydarzyć się coś znacznie gorszego – życie, jakie znałam, dobiegło właśnie kresu.

– Władze dowiedziały się o nas. Wiedzą już o twoim istnieniu – powiedziała mama, wrzucając do worka na śmieci moje ubrania.

Z wrażenia usiadłam z powrotem na łóżku. Szok był tak wielki, że pierwsze słowa, jakie z siebie wydusiłam, brzmiały:

– Dlaczego nie mogę spakować się do walizki?

– Musimy natychmiast spalić wszystkie twoje rzeczy. Pozbędziemy się wszystkiego, co jest w jakiś sposób z tobą związane. Kiedy znikniesz, zdezynfekujemy cały dom, usuniemy wszystkie ślady twojej bytności. Nie może po tobie pozostać żaden ślad, łącznie z materiałem DNA.

Mój umysł nie pracował jeszcze na pełnych obrotach – byłam zaspana, a moje myśli krążyły wokół Lark.

– Mamo, ale w co ja się ubiorę?

Z jakiegoś powodu moim otumanionym snem myślom sprawa ubrania wydawała się pierwszorzędną. Zасыpiając, rozmyślałam, jak ubiorę się na spotkanie z Lark, a teraz...

– Obojętnie, to nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Po prostu załóż cokolwiek – rzuciła mama zrozpaczonym głosem. Wywlekała ubrania z półek, rzucała na podłogę i próbowała

upychać w workach. – Szybko, ubieraj się!

W końcu rzuciła mi związywaną paskiem tunikę w kolorze szafranowo-pomarańczowym oraz połyskliwe złote spodnie ze szkolnego mundurka Asha.

Powoli założyłam spodnie i odwróciłam się, żeby rozpiąć pidżamę. Górna część tuniki wykonana była z mięciutkiego materiału, który miał imitować irchę. Nigdy wcześniej jej nie nosiłam. Mama kupiła mi ją tydzień wcześniej, tunika nadal miała przyczepioną metkę ze sklepu: kosztowała fortunę.

Stanęłam przy łóżku, zamierzając ściągnąć przez głowę górę od pidżamy, i wtedy w mojej głowie zrodził się pewien plan, na razie dość mglisty.

– Pośpiesz się! – rzuciła znów matka.

Zrozumiałam wtedy, że jest przerażona. Pomysł, który na chwilę rozbłysnął w mojej głowie, przepadł bez śladu. Przebrałam się szybko w tunikę, ściągnęłam pasek i uklękłam obok matki, która przygotowywała się właśnie do wyrzucenia do śmieci całego mojego życia.

– Mamo, uspokój się na chwilę i wytłumacz mi, co się dzieje – poprosiłam. Próbowałam nadać mojemu głosowi spokojne brzmienie, jednak jej paniczny lęk był zaraźliwy. Zaczerpnęła głęboko powietrza raz i drugi, próbując uspokoić skołatane nerwy. Zastanawiała się pewnie, ile może mi powiedzieć. – Chcę wiedzieć wszystko.

– Właśnie dostałam cynk od naszego znajomego pracującego w Centrum. Twierdzi, że władze dowiedziały się, że mamy drugie dziecko. Nie zdradził mi zbyt wielu szczegółów, dlatego nie wiem, jakim cudem się dowiedzieli. Wszystkim nam grozi teraz śmiertelne niebezpieczeństwo.

O, wielka Ziemi! Byłam zaślepiona egoizmem! Przez cały czas myślałam tylko o sobie, o tym, by wziąć sprawy w swoje ręce i wyzwolić się z więzienia. Marzyłam o poznawaniu świata, o zawarciu pierwszej w życiu przyjaźni. Uważałam przy tym, by nie dać się złapać, ale przecież martwiłam się tylko o siebie. Sądziłam, że sama mogę zaryzykować, że jeśli będę uważać, nic mi się nie stanie. A kiedy poznałam Lark, uznałam, że z jej znajomością świata nic mi nie grozi.

Tak naprawdę we wszystkich tych kalkulacjach w ogóle nie brałam pod uwagę mojej rodziny – nie zastanawiałam się nad tym, co ją spotka, jeśli ktoś dowie się o moim istnieniu. Zdawałam sobie mgliście sprawę z tego, że pociągnie to za sobą jakieś konsekwencje, jednak nigdy nie odczuwałam z tego powodu strachu, który przedarłby się do mojej świadomości.

Dopiero teraz, spoglądając w rozbiegane oczy mojej matki, zrozumiałam, co narobiłam. Naraziłam na niebezpieczeństwo ją, Asha i ojca.

Ale jak właściwie władze mogły się dowiedzieć o moim istnieniu? Przecież gdybym została zidentyfikowana podczas skanu albo spotkania z botem, natychmiast rzuciłyby się na mnie zielone koszule. W takim wypadku na pewno nie pozwoliliby mi wrócić jak gdyby nigdy nic do domu. Gdybym faktycznie została zdemaskowana, wiedziałabym o tym. Reakcja służb

porządkowych byłaby natychmiastowa i bezwzględna.

Chyba że ktoś mnie wsypał. Ktoś, z kim podzieliłam się swoimi sekretami. Ktoś, komu bezgranicznie zaufałam.

Potrząsnęłam głową, odganiając tę myśl: nie, to nie mogła być Lark. Niemożliwe, by mi to zrobiła. Przypomniałam sobie płomień, jaki rozpałał się w jej oczach, kiedy mówiła o problemach nękających Eden, o nierównościach społecznych i niesprawiedliwości. Pamiętałam łagodne i zaciekawione spojrzenie, którym mnie obdarzała.

Mimo że była to sprawa zasadniczej wagi, wiedziałam, że nie mogę teraz zaprzętać sobie tym głowy. Musiałam przede wszystkim uspokoić mamę i zastanowić się nad sytuacją.

– Naprawdę musimy uciekać już w tej chwili? – spytałam, gładząc ją uspokajająco po ramieniu. – Jesteś pewna, że grozi nam teraz nalot?

– Nie wiem tego. Możliwe – odparła mama, wzdychając głęboko. – Nasz informator wspomniał tylko, że pojawił się raport dotyczący drugiego dziecka, które zauważono w naszym kręgu. Nie zrobiłaś nic głupiego, prawda? Wiem, że czasami wspinałaś się na szczyt muru, żeby popatrzeć na miasto.

Przy tych słowach mama chwyciła mnie za rękę i ścisnęła ją kurczowo. Schyliłam tylko głowę, zawstydzona. Na usta cisnęło mi się wyznanie: Mamo, gdybyś tylko wiedziała, co robiłam.

– Parę razy nawet chciałam ci tego zakazać – ciągnęła matka. – Ale wiem przecież, jak trudno ci było żyć w zamknięciu przez tyle lat. Jak mogłam odmówić ci tej namiastki wolności i złudzenia, że choć w ten sposób poznajesz lepiej świat? Zaslugujesz na znacznie więcej.

– Przepraszam, mamo. Wątpię... żeby ktoś mnie zauważył.

Z wyjątkiem funkcjonariusza zielonych koszul, Lark i może jeszcze paru innych osób. Jak mogłam być taką idiotką i egoistką?

– Nie wierzę, żebyś to ty popełniła jakiś błąd. A wcale nie chodzi o ciebie. Przecież w Edenie nie brakuje innych drugich dzieci. Nasz znajomy sądzi, że służby nie namierzyły jeszcze konkretnej osoby. Na razie po prostu przeszukują nasz krąg w poszukiwaniu intruza. Ale to tylko kwestia czasu, nim wpadną na twój trop. A kiedy przyjdą na rewizję, nie może pozostać po tobie żaden ślad. Do tego czasu musisz zniknąć.

Skinęłam głowę. Mama miała rację. Oczywiście był to dla mnie wielki szok. Wiedziałam, że przez jakiś czas po przeprowadzce nie będę mogła się wychylać, jednak kiedy poszukiwania spełzną na niczym i zostaną odwołane, znów będę mogła spotkać się z moją prawdziwą rodziną. I z Lark. (Chyba że to ona... Nie, wolałam nawet nie zapuszczać się myślą tak daleko).

– Strasznie mi przykro, że to wszystko potoczyło się w tak zawrotnym tempie. Sądziałam, że spędzimy więcej czasu razem. Są pewne sprawy... Zresztą porozmawiamy o tym potem. Zabiorę cię teraz do człowieka, który przeprowadzi operację wszczepienia implantów. A stamtąd trafisz

prosto do rodziny zastępczej. Jest tyle spraw, o których muszę ci jeszcze opowiedzieć!

Po tych słowach zamknęła mnie w objęciach, a ja poczułam się przez krótką chwilę, jakbym znów była małą dziewczynką, która może schronić się w matczynych ramionach przed całym złem.

– Nie martw się, mamusiu – próbowałam ją pocieszać. – Upłynie trochę czasu, ale kiedy was odwiedzę, będziesz mogła...

Nie pozwoliła mi jednak dokończyć. Spojrzenie, jakie mi posłała, zmroziło mnie.

– Rowan, *nigdy* nie będziesz mogła do nas wrócić.

Jej słowa sprawiły, że poczułam, jakbym nagle zawisała u szczytu muru wysokiego niczym góra. Trzymałam się uczepiona pojedynczego uchwytu i właśnie zaczynałam się zsuwać w przepaść. Rozpaczliwie próbowałam się uchwycić jakiegokolwiek nadziei.

– Chcesz powiedzieć, że nie będę mogła wrócić, dopóki nie będzie znów bezpiecznie?

– Nie, kochanie. Nigdy już nie wrócisz do nas. Nigdy więcej się nie spotkamy.

W tej chwili rozluźniłam uchwyt i runęłam w przepaść.

Mama zaczęła mi tłumaczyć, ile czasu zajęło im znalezienie rodziny zastępczej, która może zagwarantować mi szansę na zupełnie nowe życie. Życie, w którym mogę być prawdziwym, akceptowanym członkiem społeczności Edenu i spacerować po jego ulicach jako wolny człowiek. Ogłuszona dowiedziałam się, dlaczego nowa rodzina zgodziła się mnie przygarnąć, co wprawilo mnie w jeszcze większe pomieszenie. Sądziłam, że ci obcy ludzie przyjmą mnie do siebie kierowani miłością i wiarą, że każdy zasługuje na szansę, by żyć. Nic z tego, okazało się bowiem, że robią to wyłącznie dla pieniędzy.

Podczas gdy moja rodzina ukrywała mnie – nadliczbowe dziecko – przed całym światem, inne rodziny ukrywały przed państwem fakt, że ich dziecko zmarło. Ich pobudki miały czysto finansową naturę. Zamiast zgłaszać do Centrum śmierć dziecka, starali się na wszelkie sposoby stworzyć złudzenie, że ich dziecko ma się znakomicie. Niektórzy opowiadali sąsiadom, że córka przeniosła się na pewien czas do innego kręgu, żeby pomóc swojej babci. Albo twierdzili, że rozchorowała się i dlatego rzadko wychodzi z domu. A równocześnie gorączkowo, przy pomocy ludzi działających na czarnym rynku, poszukiwali osób gotowych pozbyć się swojego drugiego dziecka, które mogłoby zastąpić ich nieżyjące. Rzecz jasna, rodzina zastępcza była hojnie wynagradzana. Płacone w takich sytuacjach kwoty wystarczały, by zapewnić rodzinie zastępczej przeprowadzkę do nowego, bardziej prestiżowego kręgu, o ile oczywiście ludzie ci zdołali w sensowny sposób wytłumaczyć ten nieoczekiwany przypływ gotówki.

Naturalnie zazwyczaj chętni do przygarnięcia niechcianego dziecka i wzbogacenia się jego kosztem, to gorzej sytuowani ludzie z zewnętrznych kręgów. Mama poinformowała mnie, że zamieszkać z rodziną żyjącą w kręgu graniczącym z tym najbardziej wysuniętym na zewnątrz. W slumsach, w części miasta jeszcze bardziej zapuszczonej niż ta, z której pochodzi Lark.

A więc byłam po prostu elementem transakcji finansowej. Na myśl o tym ogarnęły mnie mdłości.

– Mamo, władze na pewno nie wiedzą, kim jestem ani gdzie mieszkam. Przecież mogłabym poddać się operacji, a potem... – Chciałam powiedzieć: „ukryć się u przyjaciółki”, ale w porę ugryzłam się w język. Nie mogłam przecież zdradzić mamie, że poznałam Lark. Gdyby dowiedziała się, co zrobiłam, zawiodłaby się na mnie. I oczywiście uznałaby, że to przyjaciółka mnie wsypała, że zdradziła nas wszystkich. A ja nie mogłabym znieść tych podejrzeń.

Dopóki zmagalam się w myślach z wątpliwościami wobec Lark, mogłam sobie z tym poradzić. Jednak gdybym usłyszała je od matki, stałyby się zbyt realne. A ja wcale nie chciałam dawać im wiary. Nie mogłam.

– Mogłabym przecież ukryć się na jakiś czas, przez kilka dni jeździć po mieście autopętłą albo znaleźć jakiś kąt w zewnętrznych kręgach i się przycziąć. A potem, jeśli przez parę dni albo nawet tygodni, nikt nie zapukałby do naszych drzwi z nakazem rewizji, mogłabym...

Mama potrząsnęła tylko głową ze smutkiem.

– Musisz zniknąć już teraz. Raz na zawsze.

Następnie, jakby zbierając siły na to, co ma nastąpić, wstała, odwróciła się do mnie plecami i wróciła do wrzucania wszystkich moich rzeczy do worków na śmieci. Poczułam się zraniona, jednak rozumiałam, że mama, jak zawsze, próbuje mnie chronić. Gdyby dała teraz upust emocjom, załamałaby się, a tym samym utraciłaby zdolność chronienia córki – co w tym przypadku oznaczało oddanie jej spragnionym gotówki obcym ludziom.

Zazgrzytałam zębami. To moje życie! Wystarczyły dwa wieczory spędzone na mieście, bym zyskała pewność, czego chcę, i siłę, by do tego dążyć. Postanowiłam w tej chwili, że choć na razie muszę podporządkować się planom mamy, nie zamierzam do końca życia tkwić u obcych ludzi. Poddam się operacji wszczepienia implantów, dzięki czemu przestanę się wyróżniać i będę mogła żyć jak wszyscy inni mieszkańcy Edenu. Zamieszkać z rodziną najemników, którym bardziej zależy na pieniądzach moich rodziców niż na mnie. Ale tylko do czasu. W końcu nadejdzie moment, kiedy będę mogła wrócić do moich prawdziwych rodziców. I do Lark. Będę wówczas mogła być sobą, taką, jaką tylko zechcę, mimo że jestem tylko drugim dzieckiem.

Nie miałam teraz jak przeciwstawić się przygotowanym przez moich rodziców planom. Wiedziałam jednak, że nadejdzie moment, gdy stanę do walki. Stanowczym ruchem chwyciłam ulubionego pluszaka – wystrzępionego szympansa, z którym spałam, odkąd byłam mała – i wrzuciłam go do jednego z worków na śmieci.

W tym samym momencie do pokoju zajrzał zaspany Ash, przecierając oczy. Mama, odwrócona do niego plecami, posłała mi szybkie, twarde spojrzenie i niemal niedostrzegalnie potrząsnęła głową. Zrozumiałam w mig, co mi chce przekazać: *Nie mów zbyt wiele Ashowi.* Zaraz jednak ogarnęły mnie wątpliwości: czy to w porządku wobec niego? I wobec mnie samej?

– Co się dzieje? – spytał brat. – Dlaczego wyrzucasz rzeczy Rowan?

– Nic nie wyrzucam, głuptasie – odparła mama, próbując nadać swojej twarzy spokojny wyraz. Łatwość, z jaką skłamała, wprowadziła mnie w osłupienie. – Nastąpiła mała zmiana planów. Okazało się, że lekarz, który przeprowadzi zabieg, jutro nie będzie miał czasu. Dlatego musimy już teraz zawieźć Rowan do kliniki. I uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli zaraz po operacji uda się do nowego domu. Jesteśmy już spóźnieni, nie mamy czasu, żeby wszystko starannie spakować. – Po tych słowach zwróciła się do mnie: – Ale tobie to nie przeszkadza, prawda, złotko?

Przełknąwszy głośno ślinę, zdołałam wydusić z siebie parę słów:

– Jasne, że nie. Najwyżej ciuchy trochę się pogniotą. Wyprasuję je, jak dotrę na miejsce.

Czyżby mama naprawdę chciała zataić przed Ashem całą prawdę? Nie powie mu, że władze być może są już na moim tropie? I że gdy wyjdę z domu, prawdopodobnie nigdy więcej tu nie wrócę? Otwierałam już usta, żeby wyjawić bratu prawdę, jednak w ostatniej chwili się powstrzymałam. Byłam tchórzem. Na myśl o tym, że w jego oczach ujrzę rozpacz, obleciał mnie strach. Jak skończona egoistka zrzuciłam to brzemień na mamę – niech ona mu o wszystkim powie i stawi czoła jego smutkowi. Zastanawiałam się tylko, czy kiedy już Ash dowie się prawdy, zdoła mi przebaczyć. Teraz nie mogłam dopuścić do tego, by nasze ostatnie chwile razem upłynęły w atmosferze żalu i wyrzutów. Tak, będę trzymała język za zębami, chroniąc nas oboje. Już to, co wiedział Ash, było wystarczająco smutne.

Brat zniósł rewelacje mamy nadspodziewanie dobrze. W pewnym momencie mama przeprosiła nas i wyszła z pokoju (po chwili dobiegło mnie jej łkanie), zaś Ash opróżnił jeden z worków i zaczął starannie składać usypane w bezładny stos ubrania. Potrzebował chyba zajęć się mechaniczną, powtarzalną i wymagającą precyzji czynnością, dzięki czemu łatwiej było mu się skupić. Składając ubrania, mówił do mnie spokojnym głosem o tym, co działo się zeszłego dnia w szkole. Wspomnił o sprawdzianie z historii środowiska, na którym nie umiał odpowiedzieć na jedno pytanie; o nowym trendzie w modzie, który każe młodzieży wplatać we włosy maleńkie opalizujące roboty-motyle. Napomknął też o Lark, zauważając, że przez cały dzień sprawiała dziwne wrażenie: zmęczonej, ale szczęśliwej.

Rozumiałam, co nim kieruje. Ash kurczowo uczeplił się resztek normalności. Nie godził się na to, by wszystkie wzorce, jakie wypracowaliśmy przez ostatnie szesnaście lat, zmieniły się z dnia na dzień.

– Nie wiem, co bez ciebie pocznę – wypaliłam w końcu.

Koszula, którą akurat trzymał w rękach, opadła na jego kolana.

– A co ja mam powiedzieć? – zaśmiał się nerwowo. – Jak ja sobie poradzę, kiedy zabraknie siostry, która zawsze się mną opiekowała?

– Niby jak się tobą opiekowałam? Przecież nigdy mnie przy tobie nie było.

– Rowan, pozornie byłaś daleko, ale w rzeczywistości zawsze mogłem na ciebie liczyć. Za każdym razem, gdy potrzebowałem rady, wsparcia, jakiegokolwiek pomocy, wiedziałem, że mogę się do ciebie zwrócić. Zawsze. Coraz więcej rozmyślałem o tym, jaka jesteś odważna. Byłaś dla mnie inspiracją. Wiesz co, chyba teraz wreszcie dojrzałem do tego, żeby zaprosić Lark na randkę.

Jęknęłam cicho, ale szybko przygryzłam wargę.

– No co? – spytał, a jego ton stał się nieco napastliwy. – Uważasz, że to zły pomysł? Sądziś, że da mi kosza?

– Ja... tak naprawdę nie znam się na związkach – wyznałam szczerze. – Powinieneś postąpić tak, jak podpowiada ci serce.

Kiedy Lark mnie pocałowała, poczułam, że dzieje się właśnie coś takiego. Ale różniło się to diametralnie od wszelkich moich wyobrażeń na temat tego, jak może wyglądać romans.

– Nie zwracaj sobie tym głowy – poradził Ash, siląc się na beztroski ton. – Masz wystarczająco wiele zmartwień. Słuchaj, ze wszystkich sił staram się teraz nie rozbeczeć. Może zastanówmy się lepiej, kiedy spotkamy się następnym razem. Chyba niedługo, co?

Wydawał się szczerze w to wierzyć. Smutek ścisnął mi gardło.

– Na pewno – wydusiłam z siebie, po czym zarzuciłam mu ręce na szyję.

Na ramieniu poczułam jego łzy. Sama też płakałam. To niesprawiedliwe, Ash powinien poznać prawdę.

W następnej chwili do pokoju wpadła mama, która przez cały czas musiała kręcić się w pobliżu, i powiedziała, że musimy lecieć.

Ash chwycił mnie za rękę i razem poszliśmy w głąb domu.

– Wyprowadzisz się tylko na jakiś czas – szepnął mój bliźniak. Podejrzywałam, że bardziej niż mnie próbuje w ten sposób sam siebie pocieszyć. – Niedługo znów będziemy razem.

Z mojego gardła wydobyło się zduszone łkanie, przytuliłam się mocno do brata.

– No dalej, musimy już wychodzić – popędzała mama.

– Ale musisz przecież pożegnać się z tatą – zauważył Ash, a jego twarz przybrała ten sam niepewny wyraz, który pojawiał się, ilekroć wspominaliśmy o relacjach łączących mnie z ojcem. Dlatego z mamą starałyśmy się unikać tematu ojca przy Ashu. Spojrzałyśmy teraz na siebie pytająco.

– Racja – przyznała mama, skinąwszy głową. – Jest w naszej sypialni. Leć, tylko wracaj szybko.

Wolałabym tego uniknąć, jednak ponieważ Ash mi się przyglądał, musiałam udawać do końca, że między mną a ojcem istnieje jakiś cień normalnego uczucia. Zastukałam delikatnie do drzwi sypialni rodziców. A kiedy nie doczekałam się żadnej odpowiedzi, uchyliłam powoli drzwi.

Siedział na skraju łóżka, ubrany w pasiastą pidżamę.

– Jeszcze tu jesteś? – zdziwił się na mój widok.

Och, tato, a więc nawet teraz, nawet na sam koniec, nie umiesz zdobyć się na małe kłamstwo i poudawać, że coś nas łączy? Nie powiesz: powodzenia, albo: będę za tobą tęsknił? Naprawdę nie masz mi w ogóle nic do powiedzenia?

Nic. Starając się opanować, chłodnym, lecz wyraźnie drżącym głosem odparłam:

– Tak, jeszcze przez krótką chwilę.

Skinął głową, utkwivszy spojrzenie w swoich kolanach. Wpatrywałam się w jego twarz, próbując dojrzeć ślady jakichś ludzkich uczuć: smutku, złości – jednak nic z niej nie wyczytałam. Sprawiał wrażenie, jakby po prostu czekał. Od szesnastu lat czekał, kiedy wreszcie zniknę z jego życia. A teraz wiedział, że jeśli wytrzyma jeszcze chwilę, spełni się jego wielkie marzenie.

– No to do widzenia, tato – przerwałam milczenie, przełykając nerwowo ślinę.

Odczekałam jeszcze chwilę, jednak o tym, że w ogóle mnie słyszy, świadczyła jedynie pogłębiająca się pionowa zmarszczka między jego brwiami.

Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, wyszłam z pokoju. Jedynym pozytywem, jaki dostrzegałam w mojej nowej sytuacji, był fakt, że wreszcie uwolnię się od tego człowieka.



WYCHODZĄC FRONTOWYMI DRZWIAMI JAK normalny człowiek, czułam się trochę dziwnie. Mama zerknęła na mnie co chwilę, spodziewając się chyba, że pierwsze wyjście do zewnętrznego świata spowoduje we mnie wielki szok. A ja próbowałam zachowywać się tak, jakbym faktycznie była pod wrażeniem. Rozglądałam się wkoło w osłupieniu, udając, że po raz pierwszy w życiu spoglądam na świat z perspektywy wolnego człowieka.

Mama zaprowadziła mnie do niewielkiego budynku gospodarczego o łukowatym sklepieniu, w którym rodzice trzymali nasz mały samochód. Czytałam kiedyś, że pojazdy produkowane przed Ekokłeską były olbrzymie i pożerały zawrotne ilości paliw kopalnych. Spalały benzynę, a w ich silnikach dochodziło do kontrolowanych wybuchów, które wprawiały auta w ruch. Miliardy takich maszyn gnały przez świat z niepowstrzymaną siłą niczym gigantyczne wędrowne stada jakichś niszczycielskich istot.

Słowo „samochód” pozostało w użyciu, jednak tych kilka pojazdów, które nadal poruszały się po Edenie (niemal wszystkie w obrębie kręgów wewnętrznych), w niczym nie przypominało swych imienników z przeszłości. Należący do mojej rodziny pojazd napędzany był wodą i miał elegancki jajowaty kształt. Pomalowany był na jaskraworóżowy kolor, a jego szyby wykonane były z cieniutkiego, prześwitującego materiału, który światu na zewnątrz nadawał różowawy odcień. Przypominało to nieco obraz, jaki widziało się przez okulary Lark.

Zajęłyśmy miejsca w wygodnej kabinie, a mama przełączyła sterowanie na ręczne. Większość ludzi zdawała się na autopilota. Wystarczyło powiedzieć, dokąd chce się dostać, a pojazd samodzielnie wykonywał resztę pracy. Można było zamknąć oczy i słuchać muzyki do momentu, aż samochód dojechał pod wskazany adres. Podobnie jak boty śmigające po całym mieście, auta w Edenie były zaprogramowane w taki sposób, by unikać kolizji, i w większości przypadków poruszały się bez pomocy kierowcy. Tylko nieliczni mieszkańcy korzystali z ręcznego sterowania. Teraz mama zdecydowała się na to rozwiązanie, ponieważ nie życzyła sobie, by nasza trasa została zapisana w bazie danych.

Muszę wziąć się w garść, powtarzałam w myślach, obserwując zmieniający się krajobraz za oknami pojazdu. Teraz, po paru nocach spędzonych na zewnątrz, widoki te wydawały mi się już niemal znajome. Powoli zaczynałam sobie uświadamiać powagę sytuacji. Dotarłam do punktu, gdzie wszystko, co znane, odchodziło w przeszłość. Nagle z całą wyrazistością zrozumiałam, że

grozi mi niebezpieczeństwo. Kiedy się wymykałam z domu – jasne, odczuwałam strach, jednak zawsze towarzyszyła mi ekscytacja, jak choćby ubiegłej nocy, kiedy z Lark grałyśmy w laserowe polowanie w Mateczniku. Nocna eskapada miała w sobie coś z gry, a kiedy wracałam do domu, zaznawszy przygody i nowych doświadczeń, czułam się triumfatorką.

Teraz jednak wszystko się zmieniło – to już nie była zabawa, ktoś autentycznie mnie ścigał. Nagle niebezpieczeństwo stało się realne.

W pewnym momencie chwyciłam mamę za rękę, tak że musiała prowadzić samochód tylko jedną. Zaskoczona posłała mi szybkie, pełne miłości spojrzenie, po czym znów skupiła się na drodze. Dochodziła trzecia w nocy i ulice były praktycznie zupełnie puste. O tej porze nawet boty sprzątające zjeżdżały do stacji dokujących, żeby podładować akumulatory. Mimo to mama wiedziała, że musi uważać. Wypadek miałby dla nas katastrofalne konsekwencje.

– Wreszcie wyszłaś na świat – odezwała się mama, ściskając moją dłoń, kiedy mknęłyśmy jedną z poprzecznych ulic łączących poszczególne kręgi, oddalając się od błyszczącego zielonego oka Centrum. Po chwili dodała żartobliwie: – I nawet nie musiałaś pokonywać muru wokół dziedzińca. Zawsze wiedziałam, że moment wyjścia z domu będzie dla ciebie trudny. Ale teraz moja dzielna dziewczynka staje się dorosłą kobietą. Rowan, nawet nie wiesz, jaka jestem z ciebie dumna.

Słowa te wypowiedziała z naciskiem, jakby chciała, by zapadły mi głęboko w pamięć.

– W końcu będziesz mogła cieszyć się wolnością, na którą zasługujesz.

– Ale za jaką cenę!

– Zapłaciłabym... to znaczy zapłacilibyśmy każdą kwotę, byle zapewnić ci normalne życie.

Na szczęście stać nas teraz na to.

– Nie o to mi chodzi.

– Wiem – odparła łagodnym głosem. – Ale każda decyzja ma swoje konsekwencje. Od chwili gdy przyszłaś na świat, płacę wygórowaną cenę wyrzutów sumienia za to, że skazałam cię na takie życie. A twój ojciec... – Przerwała, a kiedy spojrzałam na nią, pierwszy raz zauważyłam, że w chwilach wielkiego napięcia zaciska szczęki w taki sam sposób jak ja. Chyba nigdy tak naprawdę nie widziałam jej zmartwionej, zmieniło się to dopiero parę dni temu. Zawsze wydawała się taka spokojna, zrównowazona, szczęśliwa... Ciekawe, czy przypadkiem nie była to tylko maska, którą zakładała w domu, żeby nie utrudniać nam życia.

– Co z nim? – spytałam obcesowo.

– Nic, nic – odparła, jednak jej ton oraz drganie napiętych mięśni szczęki wskazywały na coś zgoła przeciwnego.

– Mamo, to nasze ostatnie wspólne chwile. Powinnaś być ze mną szczerą, nie sądzisz? – spytałam, na co ona skrzywiła się lekko. – Ojciec mnie nienawidzi, a ja nie rozumiem dlaczego. Chodzi o to, że utrudniłam mu życie? Stałam się przeszkodą na drodze jego kariery?

– Kochanie... – zaczęła mama, a ja po jej tonie od razu zorientowałam się, że chce skłamać. W końcu stwierdziła tylko poważnie: – Rowan, on nie czuje nienawiści do ciebie, tylko do siebie.

Następnie łamiącym się głosem opowiedziała mi o tym, co sama odkryła dopiero przed paroma laty. Ojciec był tamtego dnia pijany, przytłaczało go poczucie winy i nie miał już siły dłużej trzymać tego w tajemnicy.

Kiedy dowiedział się, że mama spodziewa się bliźniaków, nie pytając jej o zgodę, postanowił samodzielnie spróbować usunąć jeden z płodów. W tym celu podczas jednego z rutynowych badań prenatalnych posłużył się stworzonym przez siebie aparatem ultradźwiękowym, aby uśmiercić jedno z nas.

Czy świadomie wybrał ofiarę, czy może zdał się na ślepy traf, który miał zadecydować, które z nas – Ash czy ja – będzie pierwszym i jedynym dzieckiem? A może dopuszczał też możliwość, że żadne z nas się nie urodzi?

Otóż nie – ojciec pragnął syna.

W czasach gdy na Ziemi żyły jeszcze miliardy ludzi, mężczyźni i kobiety nie zawsze byli traktowani na równi. Zaśmiewaliśmy się z tego z Ashem, kiedy studiowaliśmy podręczniki historii starożytnej: no bo jak ktoś mógł sądzić, że kobiety są istotami niższej kategorii niż mężczyźni? Żyłam w przekonaniu, że w naszym nowym świecie, Edenie, tego typu uprzedzenia nie mają już racji bytu.

Teraz jednak okazało się, że mój kochany tatuś wymarzył sobie potomka na własne podobieństwo, chłopca, którego będzie mógł ukształtować podług własnego wzoru. Chłopca, który pójdzie w jego ślady i w przyszłości zostanie znanym lekarzem albo politykiem.

– Nakierował urządzenie wysyłające ultradźwięki... – opowiadała mama, jednak weszłam jej w słowo.

– Mamo, nazwij tę rzecz po imieniu: wycelował broń.

Oczami wyobraźni ujrzałam siebie, razem z Ashem, przycupniętych w ciepłe macicy. A zaraz potem wyobraziłam sobie, jak ojciec przystawia mi do główki lufę karabinu.

– No więc wycelował w ciebie i coś się wtedy stało. Jego zwierzenia były nieskładne, a potem nigdy już nie wracaliśmy do tego tematu. Zrozumiałam jednak, że w ostatniej sekundzie, kiedy miał już pociągnąć za spust, poruszyłaś się. Byliście oboje bardzo blisko siebie, przytuliłaś się do Asha, przyłgnęłaś do niego całym ciałem i strumień ultradźwięków zamiast w ciebie trafił w niego. Ojciec momentalnie wyłączył urządzenie, ale było już za późno. Strumień ugodził twój brata w klatkę piersiową i uszkodził jego płuca.

Ku mojemu zaskoczeniu opowieść mamy wywołała we mnie niemal współczucie dla potwora, jakim okazał się mój ojciec. Przez szesnaście lat musiał żyć z poczuciem winy za zbrodnię, którą popełnił. Każdego dnia spoglądał na chorego syna i powtarzał sobie w myślach: *To moja winna*.

I codziennie zmuszony był też patrzeć na swoją córkę, a wówczas w głowie pojawiała się myśl: *Próbowałem ją zabić, jednak nie udało mi się.*

Na myśl o tym poczułam mdłości.

Jedna rzecz nie dawała mi spokoju.

– Przebaczyłeś mu?

Matka nie odzywała się przez długą chwilę. Pokonywałyśmy akurat trudny odcinek drogi, która łukiem okrążała wieżę wodorostów. W końcu mama westchnęła ciężko.

– Nie, ale uznałam, że nie możemy się rozstać. Rowan, wiem, że chciałabyś o tym dłużej porozmawiać, ale to tak naprawdę jest już bez znaczenia. Przeszłości nie da się zmienić. Musimy ją po prostu... zaakceptować. Posłuchaj, włożyłam coś do twojego plecaka. Znalazłam to w domu przed laty, niedługo po twoim urodzeniu. To... zmieniło sposób, w jaki patrzę na świat. Dzięki temu uwierzyłam, że... *Bikk!*

Nagle otworzyła szeroko oczy.

– Wielka Ziemia, tylko nie to!

Przed nami w ciemności pulsowały niebiesko-zielone światła – znak, że zbliżamy się do punktu kontrolnego zielonych koszul. Chwilę wcześniej skręciłyśmy w jedną z wąskich ulic łączących kręgi ze sobą. W bok nie odchodziły od niej żadne boczne uliczki, jezdnia była tak wąska, że z trudem mieścił się na niej pojedynczy samochód. Mogłybyśmy co prawda spróbować zawrócić, jednak taki manewr byłby dla funkcjonariuszy jednoznacznym sygnałem, że próbujemy uniknąć kontroli. Pogoń ruszyłaby za nami momentalnie.

Na twarzy mamy odbijały się przelatujące jej przez głowę możliwe rozwiązania. Dominowało wśród nich pragnienie, by zaryzykować ucieczkę. Ja też nie wiedziałam, co powinnyśmy począć. Gdybym poruszała się na piechotę, i była sama, oczywiście spróbowałabym uciekać. Jednak samochody w Edenie miały ograniczenie prędkości do czterdziestu kilometrów na godzinę, a gdybyśmy uciekały pieszo, mama nie zdołałaby dotrzymać mi kroku. Poza tym służby porządkowe szybko odkryłyby, na kogo zarejestrowany jest pojazd.

Mama wpadła jednak na pewien pomysł.

– Udawaj, że śpisz. Naciągnij daszek czapki głęboko na twarz. I ułóż się na boku twarzą do drzwi. Może uda mi się ich przekonać, żeby nas puścili – rzekła mama, po czym zaśmiała się ponuro. – W końcu jestem zatrudniona w Centrum i mam wysoko postawionych znajomych.

Domyślałam się, że wspomnienie nazwiska ojca też może ułatwić nam przejazd. Na ironię losu zakrawał fakt, że tym razem mogłam zawdzięczać mu życie.

Byłam pewna, że nam się uda. Wiedziałam, że zielone koszule z wielkim szacunkiem odnoszą się do wszystkich mieszkańców Edenu, którzy w dokumentach mają potwierdzone związki z Centrum. Mimo to, kiedy zwijałam się w kłębek na fotelu, drżałam ze zdenerwowania. Sunęłyśmy powoli w kierunku punktu kontrolnego. Wydawał się on teraz tak bardzo oddalony,

że nagle pomysł, by kontynuować jazdę, zamiast zawrócić i oddalić się, wydał mi się dość niemądry. Musiałam jednak zaufać, że mama wie, co robi.

Kiedy zbliżyliśmy się do szlabanów i migających świateł, mama mówiła półgłosem:

– Klinika chirurgiczna mieści się na tyłach salonu modyfikacyjnego o nazwie Serpentina. – Domyślałam się, że to miejsce, gdzie trafiają osoby wierzące, że powinny urodzić się jako zwierzęta. To tam wszczepiane są im łuski, szpony i rogi. – Salon znajduje się we wschodniej części przedostatniego zewnętrznego kręgu. Budynek pomalowany jest na pomarańczowo, w odcieniu przypominającym twoją tunikę. Ogrodzony jest płotem pod napięciem, jednak w trzecim panelu od lewej w południowoschodnim rogu ogrodzenia wyłączany jest dopływ prądu. Przerwa w napięciu trwa godzinę, między trzecią a czwartą nad ranem. Wtedy możesz się na niego bezpiecznie wspiąć. Następnie podejdź do tylnych drzwi i zapukaj – dwa razy w górną część drzwi i trzy razy w dolną. Zapamiętasz?

– Tak – mruknęłam w rękaw, którym zasłaniałam twarz.

– Cokolwiek się stanie, pamiętaj, że musisz chronić plecak. On jest najważniejszy.

Chwileczkę... mam chronić *plecak*? Sądziłam, że to *ja* jestem ważniejsza.

– Co...? – zaczęłam, ale uciszyła mnie szybko.

– Ciii. W środku znajdziesz coś dla siebie. Coś... Schyl się! Funkcjonariusze idą w naszą stronę. Mają przy sobie broń – jęknęła mama. – Czy to możliwe, żeby uzbrojeni byli w *prawdziwe* karabiny?

Nie mogłam już dopytać, o co dokładnie jej chodzi. Miałam jednak straszne przeczucie, że wiem. Wszystkie zielone koszule uzbrojone były w broń, która emituje elektryczne ładunki w formie plazmy. Wiedziałam jednak, że przed Ekoklęską nazwa „karabin” odnosiła się do bardziej śmiertelnych narzędzi. Wystrzeliwały one metalowe pociski, które rozrywały ludzkie ciało. W Edenie tego typu uzbrojenie było prawnie zakazane. Czyżby zatem mamie chodziło o to, że...?

Próbowałam leżeć bez ruchu, domyślałam się jednak, że gdy zielone koszule przyjrzą mi się uważniej, zdradzi mnie przyspieszony oddech. Próbowałam go uspokoić, ale bez skutku. Żeby o tym nie myśleć, wyęczałam słuch.

– Proszę wysiąść z pojazdu – polecił opryskliwym tonem jeden z funkcjonariuszy.

Po tonie głosu, którym odezwała się mama, mogłam się domyślić, że przywołała na twarz uśmiech. Byłam pełna podziwu dla jej umiejętności aktorskich.

– To sprawa służbowa, jadę z polecenia Centrum – wyjaśniła, a ja byłam pewna, że w tej chwili zwraca się do funkcjonariusza, tak żeby ułatwić mu skan jej oczu. – Razem z asystentką zbierałyśmy materiały archiwalne w zewnętrznych kręgach, jednak nas zawrócono. Chyba się zgubiłam. Może podpowie mi pan, w którą stronę teraz jedziemy: do centrum czy na zewnątrz?

Funkcjonariusz puścił jej pytanie mimo uszu.

– Proszę opuścić pojazd.

– Przecież tłumaczę panu, że to podróż służbowa – powtórzyła mama nieco bardziej zdecydowanym tonem. – Wiozę bardzo wartościowe dokumenty, które muszą...

– Wysiadać – nakazał funkcjonariusz. – Natychmiast!

W głosie mamy wyczuwałam narastającą rozpacz, jednak miałam nadzieję, że dla zielonej koszuli brzmi to po prostu, jakby była poirytowana.

– Mój mąż, doktor...

Rozległ się szcęk otwieranych drzwi, a po chwili dźwięki przepychanki i szamotaniny.

– Co pan wyrabia? – pisnęła mama. – Wie pan, kim jestem? Utrudnia pan prowadzenie badań zleconych przez Centrum.

– Milczeć! – rozkazał funkcjonariusz. – Mam rozkaz przeszukania wszystkich bez wyjątku pojazdów opuszczających wewnętrzne kręgi. Proszę poprosić asystentkę o opuszczenie samochodu, tak żebyśmy mogli przeprowadzić skan. Potem będą mogły panie kontynuować jazdę.

– Ale ona... śpi. Kazałam jej przepracować dwie zmiany. Proszę jej nie budzić. – Wyczuwałam, że mama plecie teraz, co jej ślina na język przyniesie. Najchętniej rzuciłabym się jej na pomoc, pamiętałam jednak, co jej obiecałam: miałam leżeć zwinięta w kłębek niczym dziecko w macicy. Dlatego nie zareagowałam nawet, kiedy usłyszałam okrzyk bólu: – Puszczaj!

Trwałam bez ruchu, powtarzając w myślach, że muszę zaufać mamie, muszę wierzyć, że mnie ochroni. W pewnym momencie usłyszałam, jak ktoś chwyta za klamkę po mojej stronie. A zaraz potem poczułam, że drzwi, o które się opierałam, ustępują, a moje ciało poczyna wysuwać się na zewnątrz. W ostatniej chwili stłumiłam gniewne warknięcie, pozwalając sobie tylko na jęk właściwy dla zaspanego człowieka. Przez cały czas uważałam, żeby nie otworzyć oczu. Nieopodal rozległ się chrzęst szybkich kroków.

– Zostawcie ją! To moja asystentka, podróżuje na moich papierach. Nie macie prawa!

Zaraz jednak poczułam, jak ktoś chwyta mnie pod pachami, próbując wywlec z samochodu. Najchętniej kopałabym, waliła na oślep pięściami albo uciekała z krzykiem, jednak nic z tego – mogłam tylko nadal uparcie zwijać się w kłębek i nie otwierać oczu. Nie cierpiałam chwil, w których czułam się bezradna. Ale przecież mama kazała...

Wreszcie ten, który mnie szarpał, puścił, a chwilę później usłyszałam coś, co sprawiło, że momentalnie otworzyłam oczy: głośne, suche plaśnięcie, jakie wydaje dłoń opadająca na czyjś twarz. Czyżby funkcjonariusz uderzył mamę?

Rozejrzałam się wkoło, podczas gdy moje oczy próbowały się przystosować do ciemności. W końcu dostrzegłam dwie sylwetki: jedna stała, a druga leżała u jej stóp. Po chwili, kiedy wrócił mi wzrok, zorientowałam się jednak, że to mama stoi. Dyszała, ściskając w dłoni skaner wyrwany zielonej koszuli. Funkcjonariusz leżał tymczasem na ziemi, pojękując cicho. Na jego

skroni dojrzałam krwawiącą ranę. Zakrwawiona była też obudowa skanera.

Nieraz zdzieralam sobie kolana podczas skoków z muru. Zdarzyło mi się też wracać do domu z pokaleczonymi palcami, jeśli podczas wspinaczki wybrałam złe uchwyty. Nigdy jednak nie widziałam na własne oczy rany, która była efektem przemocy. Ten mężczyzna był moim wrogiem, jednak i tak na widok krwi przeszedł mnie dreszcz.

Od strony punktu kontrolnego doleciały nas krzyki i w naszym kierunku ruszyło czterech innych funkcjonariuszy. Niezbyt dobrze ich widziałam, bo mama mi ich zasłaniała. Stała wyprostowana. Sprawiała wrażenie niesamowicie zdecydowanej.

– Biegiem! – syknęła.

Ja jednak nie mogłam oderwać wzroku od powalonego na ziemię mężczyzny.

W końcu mama ujęła mnie za ramię i gwałtownie mną potrząsnęła.

– Rowan, biegnij ile sił w nogach. Nie zatrzymuj się, dopóki nie znajdziesz się daleko stąd. Znajdź sobie jakąś kryjówkę, a jutro spróbuj przedostać się do kliniki chirurgicznej. Obiecuj mi, że teraz pobiegiesz i nie będziesz się oglądać za siebie. Musisz mi obiecać, że nie pozwolisz, by to wszystko poszło na marne.

Schyliła się do wnętrza samochodu, po czym wynurzyła się z plecakiem i rzuciła mi go.

– Kocham cię, Rowan. Nigdy o tym nie zapominaj – szepnęła, po czym popchnęła mnie tak silnie, że aż się zatoczyłam. – A teraz uciekaj, biegnij!

Zrobiłam, co mi kazała. Nie miałam innego wyjścia, w końcu to moja matka. Przecież tak właśnie powinny się zachowywać dobre córki, prawda?

A dobre matki zawsze do samego końca chronią swoje dzieci.

Nie zważając na cenę, jaką im przyjdzie zapłacić.

Kiedy odwracałam się, by pobiec w głąb ulicy, kątem oka zarejestrowałam jeszcze, jak mama, niczym pantera, skacze na pierwszego z nacierających mundurowych. Na ułamek sekundy zamarłam bez ruchu, nie wiedząc, co powinnam zrobić. W bladym świetle wczesnego świtu metalicznie błysnął jakiś przedmiot. Czyżby funkcjonariusz mierzył do mnie z karabinu? W tym samym momencie rozległ się ogłuszający huk wystrzału. Spudłował tylko dlatego, że musiał równocześnie walczyć z mamą. Kolejny wystrzał zabrzmiał niczym eksplozja i w tej samej sekundzie coś śmignęło tuż obok mojej głowy.

A więc uzbrojeni są w prawdziwe karabiny na ostrą amunicję!

Zatrzymałam się, gotowa w każdej chwili podjąć dalszą ucieczkę, i ujrzałam, jak mundurowy kolejny raz pociąga za spust. Widziałam, jak mama zatacza się po strzale, a na jej piersi rozkwita purpurowa plama krwi. Omiotła mnie ostatni raz gasnącym spojrzeniem, jednak nawet wtedy w jej oczach mogłam dojrzeć zdumienie i lęk o to, co ze mną będzie. Z jej oczu wyzierało nieme pytanie: *Co ty tu jeszcze robisz?*

I dlatego w końcu pognałam przed siebie. To przecież umiałam robić najlepiej – biec. Byłam

teraz czystą prędkością, uwolnioną od wszelkich myśli i uczuć, nieczującą bólu. Byłam samymi mięśniami, oddechem i wyrywającym się do przodu ciałem, z każdą sekundą oddalając się coraz bardziej od mojej konającej matki.



BIEĞŁAM NIE JAK CZŁOWIEK, ALE JAK MASZYNA – bezmyślnie, bez emocji. Poruszałam się teraz z jakąś zawrotną prędkością wprawiającą mnie w cudowne odrętwienie, dzięki któremu nie musiałam nic czuć. Liczyło się tylko jedno – pozostawanie w ruchu. Praktycznie wyparłam ze świadomości nawet powód, dla którego biegłam. Wyrzucić do przodu najpierw jedną, potem drugą nogę, i powtórzyć tę operację – tylko to się liczyło. Biegłam najszybciej, jak umiałam, i nie zwolniłam nawet, gdy ucichły dźwięki wystrzałów, okrzyki i łomot ciężkich butów za moimi plecami. Gnałam przed siebie jak wariatka, bo nic innego mi nie zostało.

Kiedyś biegłam tak po dziedzińcu, a monotonne przebieganie nogami pozwalało mi odegnąć frustrację. Zmęczenie po biegu było niczym balsam uśmierzający wszelkie troski. Nigdy jednak nie podejrzewałam, że wszystkie moje treningi były rozgrzewką przed biegiem, który w końcu pozwoli mi zabić w sobie najstraszniejszy ból. Nie biegłam teraz, żeby uciec ścigającym mnie zielonym koszulom. Uciekałam przed tym, co dojrzałam w gasnących oczach mojej matki, które mówiły, że z chęcią oddaje swoje życie po to, bym ja mogła żyć dalej. To było dla mnie za dużo, nie chciałam żyć z brzemieniem jej poświęcenia.

Powinnam była zostać z mamą, dać się razem z nią zabić.

Zamiast tego pędziłam teraz na oślep, byle dalej. Straciłam już rozeznanie w kierunkach. Szarzało, miałam jeszcze jakieś dwie godziny, nim zrobi się całkiem jasno. Miałam teraz wrażenie, jakbym biegła przez nicość, pustkę. Zatraciłam nawet poczucie własnego ciała.

Dlatego gdy wiele kilometrów dalej moja stopa zahaczyła w końcu o coś, czego nie zauważyłam, a całe moje ciało wygięło się i runęłam na ziemię, w pierwszej chwili nic nie poczułam. W mgnieniu oka zerwałam się na nogi i podjęłam bieg. Jednak zrobiłam trzy kroki i nagle okazało się, że kuleję. Skręciłam kostkę u lewej nogi.

To nic! Wiedziałam, że muszę przez cały czas posuwać się do przodu. Pałam przed siebie siłą woli, mimo że każdy krok sprawiał mi nieznośny ból. Czułam, jak skóra na kostce napina się, w miarę jak narastał obrzęk.

Nie! Nie mogłam pozwolić, by to mnie powstrzymało. Domyślałam się, że jeśli poczuję ból skręconej nogi, wówczas nie będzie już dla mnie ucieczki przed innymi jego rodzajami. Przypadłam do najbliższego muru i posuwałam się teraz, podskakując na jednej nodze. Co kilka podskoków musiałam opierać się na kontuzjowanej nodze, żeby dać odpocząć tej zdrowej. Moją

twarz wykrzywił wtedy grymas cierpienia. Miałam wrażenie, jakby przy każdym kroku ból promieniował od kostki w górę ciała... docierając aż do samego serca. W końcu schroniłam się w jakiejś mrocznej bramie i upadłam. Chwilę później moim ciałem wstrząsnęły spazmy szlochu, a z oczu pociekły łzy.

Dopiero teraz, kiedy już nie biegłam, ból zaatakował z całą mocą. Cała byłam opuchnięta i obolała. Dopóki biegłam, nie mogłam się zatrzymać. Za to teraz miałam wrażenie, że nigdy się nie ruszę z tej bramy, będę w niej tkwiła po kres czasów. W końcu moje ciało połączy się z martwą Ziemią i nigdy już nie zmartwychwstanie.

Szlochałam, dopóki starczało mi tchu. Moje łkanie przerodziło się w końcu w chropowate czkanie i sapanie. A kiedy wyrzuciłam już z siebie wszystko – gdy zabrakło mi łez i sił – poczułam, jak ogarnia mnie dziwny spokój. Kryjąc się we wnęce bramy, obserwowałam, jak wstaje słońce.

Z mojego schronienia dostrzegałam cieniuteńki pasek nieba między budynkami. Kiedy zaczęło ono różowieć, otuliłam ramionami zadarte kolana i patrzyłam, jak wkoło mnie budzi się nowy dzień. Wiedziałam wprawdzie, że smutek zaraz powróci i że nigdy już mnie nie opuści, jednak w stanie krańcowego wyczerpania psychicznego i fizycznego, w jakim się znalazłam, mogłam teraz odbierać świat wokół po prostu zmysłami. Ciekawa byłam, czy tak właśnie doświadczają życia zwierzęta: zanurzone bez reszty w danej chwili, nie czując żalu ani oczekiwania, po prostu *będąc*.

Nie umiałam sobie przypomnieć, czy podczas biegu kogokolwiek mijałam. Wszystko było zamazane i niewyraźne. W miarę jak wstawał dzień, zaczęłam dostrzegać pierwszych nielicznych przechodniów, przemykających po ulicy. Sprawiali wrażenie, jakby chcieli jak najszybciej znaleźć się u celu i nie życzyli sobie, by ktokolwiek im się przyglądał. Światło słoneczne wydobywało brud i nędzę miejsca, w którym się znalazłam. Na ulicach walał się gruz, a chodnik pełen był dziur, jakby doświadczył trzęsienia ziemi. Nigdy dotychczas nie widziałam, ani nawet nie wyobrażałam sobie, niczego podobnego. Nie miałam pojęcia, jaką trasą biegłam, jednak wszystko wskazywało na to, że dotarłam do któregoś z zewnętrznych kręgów. Kto wie, może nawet do kręgu na rubieżach Edenu.

Żeby powstrzymać drżenie ust, zacisnęłam zęby. Znalazłam się w najbardziej niebezpiecznej części Edenu. Tutaj groźba, że zostanę schwytana przez zielone koszule, traciła na znaczeniu. Pamiętałam, jakie przerażające historie dotyczące zewnętrznego kręgu szeptem opowiadała ojcu mama, sądząc, że Ash i ja nie słyszymy.

Jeśli funkcjonariusze mnie tu znajdą, może mi się poszczęści i zostanę skazana na dożywocie.

Jeśli choćby połowa historii na temat najbardziej zewnętrznego kręgu była prawdziwa, moja sytuacja była nie do pozazdroszczenia – przebywałam w miejscu, w którym przetrwać mogli tylko najtwardsi i najbardziej bezwzględni. Wszystkich innych czekała pewna śmierć.

Spróbowałam przywołać w pamięci wszystko, co Lark opowiadała mi na temat zewnętrznych kręgów. Ten, z którego pochodziła, był znacznie mniej zapuszczony, jednak musiały istnieć między nimi jakieś podobieństwa. Podczas dwóch spędzonych wspólnie nocy przyjaciółka opowiedziała mi wiele historii na temat różnych gangów. Poradziła też, jak poruszać się po ulicach, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Wspominała nawet o niezauważalnych dla przeciętnego człowieka, malowanych lub wydrapywanych na drzwiach znakach, które informowały, czy potrzebujący znajdzie w danym domu zatrudnienie lub strawę. Istniały też znaki, które ostrzegały przed pewnymi domami lub całymi budynkami. Lark wspominała również o takich, które służyły ludziom do informowania o przynależności do różnych grup oraz intencjach, jakimi się one kierowały.

Ale wszystko to powiedziała mi mimochodem. Tak naprawdę temat był drugorzędny, chodziło głównie o to, byśmy mogły słyszeć swoje głosy. Gdyby tylko Lark przekazała mi więcej informacji na ten temat, gdyby zdradziła więcej szczegółów. Jaka szkoda, że zamiast skoncentrować się na tym, co mówi, niemal całą uwagę skupiałam na łuku jej poruszających się warg.

Teraz musiałam skupić się na przetrwaniu. Jasne, najłatwiej byłoby siedzieć tu w nieskończoność, jednak czułam, jak coś we mnie zaczyna się burzyć przeciwko bezruchowi. Jakiś wewnętrzny głos nakazywał mi działać, ratować się. Oczami wyobraźni widziałam zwróconą ku mnie twarz mamy, jej pełne miłości, zmartwione spojrzenie. Szybko odepchnęłam jednak tę wizję. Jeszcze będzie niejedna okazja do płaczu z powodu jej śmierci, i to pewnie niedługo. Teraz musiałam poszukać jakiejś kryjówki, w której będę mogła spokojnie zastanowić się, jak przetrwać najbliższą godzinę.

Albo minutę. Nagle zorientowałam się, że ktoś przeciął ulicę i kieruje się prosto na mnie.

Mężczyzna – w każdym razie tak mi się wydawało, bo był pokaźnej postury – nadchodził, powłócząc nogami i kolebiąc się na boki. Owinięty w brudne łachmany, z daleka przypominał poruszającą się szmacianą kukłę ludzkich rozmiarów. Podpierał się grubym kijem, który przy każdym kroku wydawał głucho uderzenie.

Jak powinnam się zachować – wstać, rzucić się do ucieczki? Przypomniałam sobie momentalnie fragment podręcznika do historii środowiska dotyczący drapieżników. Autor twierdził, że każdy drapieżnik, jeśli zobaczy, że coś biegnie, nie będzie umiał poskromić chęci, by ruszyć w pogoń. Jeśli potencjalna ofiara wytrwa na swoim miejscu, wówczas być może tygrys nie zaatakuje. Gdyby natomiast odwróciła się i próbowała uciekać, tygrys rzuci się na nią i złamie jej kark.

Tkwiałam więc w mojej wnęce w murze, czekając, aż kulawy mężczyzna doczłapie do mnie. Kiedy znalazł się bliżej, zauważyłam, że całą jego twarz pokrywa skorupa brudu. Po jej lewej stronie dojrzałam jakąś wypukłą szramę, która mogła być zaschniętą krwią albo śladem po

glinie. Na nosie osobnik miał okulary w czarnej pękniętej oprawce i o zasmarowanych brudem szklach. Nie byłam w stanie stwierdzić, w jakim był wieku. Z bliska cuchnął moczem i spleśniałym chlebem. Budził we mnie obrzydzenie, ale równocześnie jakaś część mnie zapragnęła mu pomóc. Nie miałam jednak pieniędzy ani jedzenia. Mój dobytek ograniczał się do ubrań, zbyt zresztą krzykliwych jak na tę okolicę. Byłam zbiegiem, za którego ujęcie władze wyznaczyły już zapewne nagrodę.

Przypatrywałam się temu człowiekowi jak urzeczona z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia, i dlatego za późno zorientowałam się, że gapię się na niego szeroko otwartymi oczami.

Bikk! No to po mnie, pomyślałam. Nie miałam pojęcia, jaką kwotę Centrum mogło wyznaczyć za informację pomagającą w ujęciu mnie, jednak na pewno były to pieniądze, o których ten menel dotychczas mógł tylko pomarzyć. Nagle stało się jasne, że doniesie na mnie pierwszemu przedstawicielowi władz, jaki mu się nawinie pod rękę (choć na razie nie zauważyłam tu żadnych zielonych koszul ani innych funkcjonariuszy), a wówczas pogoń ruszy na nowo.

Doskonale wiedziałam, co powinnam teraz zrobić. Musiałam rzucić się na niego, jakbym to ja była drapieżnikiem, obalić go na ziemię, a następnie bić do utraty świadomości albo i dłużej, żeby zapewnić sobie szansę ucieczki. Byłam pewna, że tak właśnie wygląda tutaj życie.

Mogłam tak postąpić. Wprawdzie byłam wyczerpana, ale nadal czułam się silna. Mieszanina lęku i smutku sprawiła, że napięłam mięśnie i zacisnęłam pięści. Mogłabym podciąć mu nogi, przewrócić na ziemię i zrobić to, czego wymagały okoliczności. Przygotowując się do skoku, czułam nerwowy ucisk w żołądku...

Zanim jednak zdołałam wykonać jakiś ruch, mężczyzna cofnął się o krok.

– Wtop się w tłum i przeczekaj – wymamrotał, kreśląc swoją lachą na ziemi jakiś numer. Ziemię w tym miejscu pokrywał pył z kruszących się murów budynku, pod którym siedziałam. Przyjrzałam się rysunkowi: 6572. Nędzarz odczekał chwilę, po czym zdeptał numer stopami, aż wokół jego nóg podniósł się obłok pyłu. Następnie zdjął pozlepiane taśmą, brudne okulary i upuścił je tuż obok moich stóp. A kiedy odwrócił się do mnie, ujrzałam – a przynajmniej tak mi się zdawało – jego mieniące się wszystkimi kolorami tęczy oczy: piwno-jasnozielono-żółciste.

Spotkałam człowieka, który tak jak ja był drugim dzieckiem! To znaczy, oczywiście nie był on już dzieckiem, lecz starcem, choć pokrywająca jego ciało skorupa brudu nie pozwalała mi jednoznacznie stwierdzić, w jakim jest wieku. W każdym razie zdołał przetrwać w tym świecie długie lata. A skoro on tego dokonał, mnie na pewno też się uda.

Nędzarz zaczął oddalać się, szurając nogami, a ja odprowadzałam go wzrokiem. Najchętniej pobiegnęłam za nim i zasypała go pytaniami. Gotowa byłam nawet błagać go o odpowiedź.

Nagle do głowy przyszła mi myśl: czy takie przeznaczenie mnie czeka? Czy tak będzie wyglądać moja przyszłość? Mam odtąd żyć jak zwierzę na obrzeżach społeczeństwa?

Zanim zdecydowałam, co robić, mężczyzna zniknął. Szybko sięgnęłam po okulary i ukryłam

oczy za szklami. Po chwili zastanowienia uznałam, że nędzarz miał rację: w tym ubogim kręgu za bardzo wyróżniałam się z tłumu. Na ulicy wypatrzyłam zaledwie parę osób, które przemyczały chyłkiem, nie zwracając na mnie uwagi. W przeciwieństwie do mieszkańców mojego rodzimego kręgu ludzie ci ubrani byli w ciemne, ponure barwy, wśród których dominowała spłowiała czerń i odcienie brunatnego. Ja natomiast, mimo że zakurzona, spocona i rozczochrana, przykuwałam uwagę swoim ostentacyjnie jasnym i kosztownym strojem. Nagle dotarło do mnie, że dotychczas nie zdawałam sobie sprawy, jak wygodne życie wiodłam. Na myśl o tym ogarnął mnie wstyd.

Musiałam szybko przebrać się w coś innego. Nie miałam co prawda pieniędzy, więc atak z ich powodu mi nie groził, ale przecież ktoś mógłby napaść mnie tylko po to, by zdobyć moje drogie ubrania. Wyobraziłam sobie, jak zostaję porzucona naga na ulicy.

Albo, co gorsza, z towarzystwem.

Powinłam zamienić się z kimś na ubranie, jednak nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. Uznałam, że będę musiała po prostu wybrudzić to, które miałam na sobie. Mogłam tylko mieć nadzieję, że zdołam w ten sposób ukryć jego elegancki połysk. Gdybym żyła w czasach sprzed Ekokłęski, zadanie takie nie nastęczałoby trudności: w tamtych czasach istniał jeszcze prawdziwy pył. Ulica, na której się znajdowałam, była teraz wprawdzie brudna, jednak była to wina pyłu sypiącego się z budynku, walających się resztek jedzenia i jakichś widocznych gdzieś gdzieś podejrzanych kałuż. Nabrałam w dłoń trochę brudu z bramy, w której siedziałam, po czym wtarłam go w pomarańczowo-żółte rękawy mojej tuniki. Potem to samo zrobiłam z moimi spoconymi i zapłakanymi policzkami. Na koniec rozplotłam warkocz i rozpuszczone włosy zaczesalam palcami na twarz.

Efekt był średnio zadowolający. Nie wyglądałam już na dziewczynę z wewnętrznego kręgu, która się zgubiła – teraz przypominałam bardziej dziewczynę z wewnętrznego kręgu, która jest szalona. Na razie jednak musiało mi to wystarczyć. Kwestią otwartą pozostawało, czy powinnam zaufać menelowi. Dał mi okulary, żebym mogła ukryć za nimi oczy, ale co z numerem wypisanym przez niego w pyłe ulicy? To pewnie numer domu. A może jakiś kod? Ale kod do czego? Tak czy inaczej nie mogłam sterczeć tu cały dzień. Niby przycupnęłam z boku i nikomu nie wadziłam, jednak prędzej czy później ludzie zaczną mi się przyglądać, a tego akurat wcale sobie nie życzyłam.

Było jasne, że chcąc znaleźć jakąś porządną kryjówkę, będę musiała opuścić mój kącik i rozejrzeć się po okolicy.

Udawaj, że się nie boisz. Tak powtarzała mi Lark, kiedy oblatywał mnie strach podczas naszych przechadzek pośród biedoty, bezdomnych i członków gangów w jej rodzimym kręgu (który teraz wydawał mi się miejscem niepozbawionym elegancji). *Zachowuj się tak, jakbyś była stąd. Nie nawiązuj kontaktu wzrokowego, ale też nie spuszczaaj oczu. Zachowuj się tak, jakbyś była panią przestrzeni, w której się poruszasz.*

W końcu zebrałam się na odwagę i wyszłam na ulicę. W świetle wstającego dnia miejsce, do którego trafiłam, przypominało pobojowisko. Jakim cudem ludzie w ogóle mogli tu żyć? W końcu udało mi się też sprecyzować wątpliwość, która nie dawała mi spokoju przez ostatnie dni: jak to możliwe, by na terenie Edenu istniały strefy tak wielkiej biedy? Nadrzędną ideą przyświecającą istnieniu miasta-oazy było zapewnienie warunków, w których możliwe będzie jego trwanie. Władze gotowe były zabić mnie i wszystkie inne drugie dzieci, aby utrzymać w wyznaczonych granicach liczebność populacji, dzięki czemu dla wszystkich miało wystarczyć pożywienia, wody i innych niezbędnych do życia zasobów.

Dlaczego zatem niektórzy mieszkańcy Edenu opływali w luksusy, podczas gdy inni zmuszeni byli wegetować na ulicy? Przecież to bez sensu. Ludzie z wewnętrznych kręgów mogliby się obyć bez egzotycznych nocnych klubów, wystawnych uczt i luksusowej odzieży. Gdyby ich majątek był choć trochę mniejszy, ludzie z rubieży Edenu mieliby nieco więcej. Wszędzie wokół widziałam powybijane okna, wychudzone dzieci, które wyciągały do przechodniów miski, żebrając o jakiegokolwiek jedzenie. Na samym środku ulicy ział wielki dół, który przypominał lej po bombie. Nigdzie nie dostrzegłam żadnego bota sprząającego, żadnego bota ochrony...

Dlaczego Ekopanoptikon nie rozdzielał dóbr po równo?

Z rozmyślań wyrwał mnie widok poruszającej się zdecydowanym krokiem grupy. Liczyła sześć lub siedem osób; wszystkie odziane były w szaty w kolorze kości słoniowej, ozdobione wzorem w formie kropek. Na tle wszechobecnego brudu sprawiały wrażenie czystych. W pierwszej chwili poczułam ulgę, dopiero kiedy znaleźli się bliżej, dostrzegłam, że to, co wzięłam za abstrakcyjny wzór kropek na ich ubraniach, było rozbryzgami świeżej krwi.

– Zgubiłaś się, dziewczynko? – spytał jeden z nich z fałszywą troską w głosie.

– No to już się znalazłaś – odpowiedziała towarzysząca mu kobieta, a cała reszta rechem nagrodziła jej marny dowcip.

Po chwili byłam już otoczona przez ludzi w jasnych ubiorach.

– Co masz w kieszeniach?

– Przecież ona nie ma kieszeni.

– No ale coś na pewno *gdzieś* schowała – domyślił się jeden, czyniąc oblesną aluzję. – Poszukajmy.

Jak tylko poczułam na sobie dotyk ich rąk, coś we mnie pękło. Rąbnęłam stojącego najbliżej mężczyznę prosto w nos – trysnęła krew, a ja momentalnie pożałowałam, że włożyłam w cios tyle siły, bo stłukłam sobie przy okazji dłoni. Kolejnego z napastników poczęstowałam uderzeniem z łokcia. Ta metoda o wiele bardziej przypadła mi do gustu. W pierwszej chwili agresorzy byli w tak wielkim szoku, że w ogóle nie reagowali. Pewnie nie spodziewali się, że dziewczyna z wewnętrznego kręgu będzie umiała się bronić. Niektórzy próbowali nawet śmiechem bagatelizować obrażenia, jakie odnieśli koledzy. To najlepszy dowód, jak bardzo byli

pewni, że nie stanowią prawdziwego zagrożenia.

I w pewnym sensie mieli rację, ale równocześnie byli w błędzie, jeśli sądzili, że pozwolę im się obrabować albo dręczyć. W następnej chwili zrobiłam to, w czym byłam najlepsza: puściłam się biegiem przed siebie.

Unoszący się wokół nich aromat alkoholu i syntetycznej mescaliny świadczył o tym, że mieli za sobą długą noc. Próbowali mnie co prawda gonić, ale głównie na pokaz. Moja kostka przeraźliwie bolała przy każdym kroku; biegłam, kulejąc, ale i tak zdołałam ich zgubić po niespełna kilometrze.

Z oczu znów popłynęły mi łzy, jednak tym razem płakałam z frustracji. Czy tak ma wyglądać odtąd moje życie? Czy teraz na przemian ścigać mnie będą zielone koszule i zwyczajni bandyci, aż pewnego dnia którzyś wreszcie zwyciężą? Czy przypadkiem nie żyję w społeczeństwie niemal doskonałym, oazie resztek ludzkości? Dlaczego bliżej Centrum ludzie są przyjaźnie nastawieni, szczęśliwi, zamożni i wyluzowani, a tutaj wszyscy skaczą sobie do gardeł?

Nagle usłyszałam, jak ktoś się zbliża.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – krzyknęłam ostrzegawczo i zaraz potem zobaczyłam, jak postać kuli się i oddala chyłkiem.

Była to kobieta w średnim wieku, z jakimś zawiniątkiem pod ręką. Nie stanowiła (chyba) żadnego zagrożenia, a mimo to potraktowałam ją jak potwora. Co się ze mną dzieje?

Musiałam odnaleźć dom, który wskazał mi tamten menel. O ile numer, który mi podał, odnosił się w ogóle do jakiegoś budynku. Większość budowli nie była tu oznaczona. Na niektórych zachowały się numery, ale niekompletne. Inne miały numery wymalowane farbą w sprayu na murach, jednak te częściowo ginęły pod graffiti rywalizujących gangów. Odnalazłam dom z numerem 5994 wymalowanym ciemnozieloną farbą, następnie natrafiłam na budynek nr 6003. A zatem poruszałam się w dobrym kierunku. Ten maleńki sukces sprawił, że zrobiło mi się nieco lżej na duszy. Co jednak napotkam na miejscu? Może zasadzkę przygotowaną przez inny gang albo urzędników Centrum, a może będzie tam na mnie czekał ten dziwny nędzarz? Kto wie, może miał w zwyczaju zwabiać w ustronne miejsce zagubione dziewczynki...

Mijani po drodze ludzie przyglądali mi się z zaciekawieniem, inni z wrogością, jeszcze inni taksowali mnie oceniającym spojrzeniem. Wszystkim odpowiadałam gniewnym wzrokiem. W końcu odnalazłam dom, do którego skierował mnie nędzarz. Był to dosyć przysadzisty, szary budynek, wokół którego kłębił się tłum ludzi. Unosił się wokół niego zapach jedzenia, na co mój brzuch zareagował burczeniem. Jak to możliwe, że moje ciało nadal wyobraża sobie, że takie zjawiska jak głód mają jeszcze jakieś znaczenie?

Okazało się, że to jadłodajnia dla bezdomnych. Innymi słowy, dla wszystkich mieszkańców zewnętrznego kręgu nie dość silnych, by samemu zdobyć lub utrzymać to, co im niezbędne do życia. W pewnym momencie z wnętrza budynku wybiegły bose dzieci, trzymające w rękach

pajdy chleba posmarowane młdą, ale pożywną pastą z wodorostów. Myślami cofnęłam się do mojego rodzimego kręgu – niesamowite, jak wielki wybór smaków mieliśmy do dyspozycji! Nasze jedzenie smakowało identycznie jak to sprzed Ekoklęski (tak przynajmniej twierdziły władze), mimo że nie było produkowane z prawdziwych owoców czy warzyw. W miejscu, do którego trafiłam, coś takiego jak smak przestawało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Dzieci pochłaniały łąpczywie chleb z wodorostami, jakby w obawie, że w każdej chwili ktoś może im wyrwać jedzenie z ręki.

W pewnym momencie stało się właśnie to, czego się obawiałam – jakaś koścista dziewczynka krzyknęła rozpaczliwie, kiedy większy od niej chłopak wyrwał jej kromkę. Spoglądała teraz ponuro na okruchy, które zostały jej w garści. Nagle dojrzałam mojego znajomego nędzarza, jak manewrując w tłumie i powiewając łachmanami, rusza w stronę dziewczynki. Poruszał się sprawnie, po jego niedawnym utykaniu nie pozostał ślad. Zdzielił chłopaka lachą w ramię. Ten wypuścił z rąk ukradziony chleb i rzucił się do ucieczki. Kromka wylądowała na ziemi, posmarowaną stroną do dołu. Dziewczynka najwyraźniej zamierzała zjeść ją mimo zabrudzenia, jednak nędzarz chwycił ją za rękę i delikatnie zaprowadził z powrotem do budynku. Zauważyłam, że od naszego ostatniego spotkania zdążył załatwić sobie nowe okulary. Wolną ręką zdjął je na chwilę z nosa i mrugnął do mnie swoim złocistym okiem, po czym zniknął w środku. Postanowiłam, że wmieszam się w tłum i zaczekam, aż wróci. Ten człowiek musiał mi pomóc.

Obserwowałam kobiety z dziećmi ustawione w kolejce po jedzenie. Ich pociechy uganiały się wkoło, przytulały do matek, śmiały albo zanosily płaczem, czyli zachowywały się w sposób typowy dla znudzonych oczekiwaniem dzieci. Ubrania kobiet były znoszone i podarte, w ich oczach czaiła się rozpacz, jednak kiedy spoglądały na swoje maluchy, w ich spojrzeniach dojrzałam to samo ciepło, które widziałam w oczach mojej mamy. Wyzierała z nich miłość, opiekuńczość i niepokój. Te kobiety zrobiłyby wszystko dla swych pociech. Kiedy dwoje małych dzieci zaczęło bawić się w berka, chowając się za moimi nogami, ze wzruszenia łzy napłynęły mi do oczu. Ich matka przyjrzała mi się z zaciekawieniem, ale w jej wzroku nie wyczytałam potępienia. Po chwili przywołała dzieci i posłała mi błądy uśmiech, po czym odwróciła się w inną stronę. Najwidoczniej uznała, że nie stanowią zagrożenia. Zaczynałam już się uspokajać, ale natychmiast przekonałam się, że to kiepski pomysł.

Przez tłum przeszedł zbiorowy pomruk i nagle wszyscy ci ludzie poczęli mnie otaczać. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Wszyscy oni zachowywali się jak jedna wielka istota, jakiś wielokomórkowy organizm, kierowany tajemniczym, lecz przerażającym instynktem. Wokół mnie zamykała się ludzka ściana. Nikt na mnie nie spoglądał, czułam jednak ciepło emanujące z około dwudziestu ciał napierających na mnie coraz ciaśniejszym kręgiem.

W pewnym momencie skądś dobiegł donośny władczy głos:

– Szukamy dziewczyny z kręgu wewnętrznego. Widzieliście tu kogoś, kto nie jest stąd?

A więc ci ludzie próbowali mnie zamknąć w pułapce! Chcieli mnie pojmać, żeby zasłużyć sobie na nagrodę! Zaczęłam się rozpychać, roztrącając na boki matki i dzieci. W końcu zdołałam wyrwać się z okrążenia.

– Tam! – krzyknął funkcjonariusz zielonych koszul, kiedy kulejąc, zaczęłam oddalać się od tłumu.

Znów mogłam się zdobyć tylko na powolny, kuśtykający trucht. Zerknęłam szybko przez ramię – ludzka masa znów się poruszyła, zafalowała niczym ławica ryb albo stado szpaków na niebie. Przesunęła się pomiędzy mnie a dwie zielone koszule, które ruszyły w pościg. Stało się to w sposób tak płynny i naturalny, że mogło wyglądać na czysty przypadek. Funkcjonariusze pokrzykiwaniem i poszturchiwaniem torowali sobie drogę, zanim jednak przedarli się przez tłum, zdążyłam odbiec już całkiem daleko.

I wtedy usłyszałam, jak w mur, wzdłuż którego biegłam, trafia kula z karabinu. Mimo woli zatrzymałam się na chwilę i przyjrzałam wglębieniu, jakie wyłobił mknący pocisk. To nie był ładunek elektryczny. To ostra amunicja, która może rozerwać ludzkie ciało!

Mogłam biec tylko prosto przed siebie, przez co byłam łatwym celem dla zielonych koszul. Rozległ się kolejny strzał i kula przemknęła tuż obok mnie. Zaczęłam biec nieregularnym zygzakiem, licząc, że w ten sposób zdołam zmylić strzelca. Pomyślałam, że skoro już jestem celem, mogę utrudnić zadanie strzelającemu. *Bikk!* Dlaczego od ulicy, którą biegłam, nie odchodziła żadna boczna alejka? Nigdzie nie dostrzegałam nawet żadnej otwartej bramy, w której mogłabym się przycziąć.

– Wstrzymać ogień! – zawołał ktoś.

Skądś znałam ten głos. Usłyszałam tupot stóp, który wydał się daleki, lecz bynajmniej nie tak odległy, jak bym chciała. Pogoń była coraz bliżej!

Zmęczenie nie pozwalało mi biec szybciej. Jeszcze trochę i całkiem opadnę z sił. Dokuczała mi kolka, czułam, jakby jakieś pazury zaciskały się na moich żebrach. Spuchnięta kostka bolała, z coraz większym trudem łapałam oddech.

Nie mogłam dłużej zostać na otwartej przestrzeni. W końcu zauważyłam jakąś boczną uliczkę między dwoma budynkami. Momentalnie w nią zanurkowałam i zataczając się, pobiegłam dalej. Z każdym metrem uliczka zwężała się, aż wreszcie okazało się, że jest ślepa – u jej krańca piętrzyła się tylko sterta cuchnących śmieci.

Odwróciłam się błyskawicznie, ale było już za późno. Dwaj funkcjonariusze zielonych koszul zablokowali wylot z drugiej strony. Jeden z nich uniósł broń i wycelował. Przywarłam całym ciałem do muru, po czym upadłam na kolana i zwinęłam się w kłębek. Liczyłam już tylko na to, że śmierć przyjdzie szybko.

Nagle rozległy się dźwięki szamotaniny i głuchy odgłos padającego na ziemię ciała. Kiedy

uniosłam głowę, zobaczyłam, że jeden z mundurowych stoi, a drugi leży u jego stóp. Ten stojący trzymał w ręce karabin... jednak zamiast we mnie, wycelował go w nieprzytomnego kolegę.

Od razu go rozpoznałam – był to ten krzepki blondyn, na którego wpadłam podczas pierwszej eskapady do miasta. Rook, tak się chyba nazywał. Sprawiał teraz wrażenie przestraszonego. Czyżby bał się mnie? Mało prawdopodobne. Przez głowę przeleciała mi niemądra myśl, że może lęka się o moje bezpieczeństwo.

Przywołał mnie gestem, ja jednak nadal kuliłam się w stercie śmieci.

– No chodź! – szepnął głośno. – Inni zaraz się tu zbiegną.

Ostrożnie wstałam i podeszłam parę kroków. Miał młodą twarz, która zupełnie nie pasowała do potężnego ciała i groźnie wyglądającego munduru.

– Masz się gdzie ukryć? – spytał, a kiedy potrząsnęłam przecząco głową, zerknął w głąb ulicy, w stronę, z której przybiegliśmy. – No gdzie on się podziewa? – zastanowił się na głos. – Słuchaj, nie mogę się tobą zaopiekować. I tak trudno mi będzie wytłumaczyć, co tu się stało. Przyczaj się gdzieś i przeczekaj do zmroku, a potem wróć pod jadłodajnię. On cię tam znajdzie.

– Kto? – spytałam zdławionym głosem. Nic nie rozumiałam. – Czemu mi pomagasz?

Odpowiedź, której mi udzielił, najwidoczniej odnosiła się do obydwu moich pytań.

– Mój młodszy brat.

A więc Rook miał brata, który jak ja był drugim dzieckiem?

Zanim zdążyłam o cokolwiek spytać, Rook zaklął pod nosem.

– Biegnij! – syknął.

Z głębi ulicy nadciągali już kolejni funkcjonariusze zielonych koszul. Maszerowali różnym krokiem w bojowej formacji. Zatoczyłam się, chwytając za obolały bok. Rook natomiast stanął na środku ulicy, zasłaniając mnie i blokując linię strzału.

Po chwili usłyszałam, jak strzela w moim kierunku. I za każdym razem celowo pudłuje.

Rzuciłam się biegiem ku jednemu miejscu, gdzie mogłam schronić się przed zielonymi koszulami: pustkowiom rozciągającym się poza granicami Edenu.



WPRAWDZIE MOGŁAM TERAZ LICZYĆ NA pomoc Rooka, wiedziałam jednak, że nadal grozi mi niebezpieczeństwo. Miałam jednego sojusznika, a przeciwko sobie całą potęgę Centrum: zastępy zielonych koszul i chmarę botów ochrony, które bez problemu poradzą sobie ze mną. Zagrożenie stanowiły nawet małe boty sprzątające, które mogły powiadomić władze, gdy tylko mnie zauważą.

Kuśtykając, rozmyślałam nad swoimi szansami. Kto wie, może miałam więcej sojuszników, niż dotychczas sądziłam. Był przecież jeszcze tajemniczy brat Rooka. Na pomoc z jego strony mogłam liczyć tylko pod warunkiem, że zdołam jakoś przeżyć do zmroku, a potem prześlizgnąć się z powrotem do jądłodajni.

No i był jeszcze ten łachmaniarz o lśniących piwno-złocistych oczach drugiego dziecka, które zdawały się skrywać jakąś tajemniczą radę dla mnie. Co właściwie stało się pod kuchnią dla bezdomnych? Kiedy wszyscy ci ludzie – głównie matki z dziećmi – zaczęli tłoczyć się wokół mnie, byłam pewna, że skrzyknęli się, żeby mnie pojmać. Kiedy jednak zielone koszule zauważyły mnie i rzuciłam się do ucieczki, tłum łachmaniarzy zastąpił im drogę i uniemożliwił pogoń. A może tylko mi się wydawało? Jeśli jednak się nie myliłam, ich zachowanie rzucało nowe światło na to, co wydarzyło się wcześniej: zaczęłam ostrożnie zakładać, że może otaczający mnie ciasnym kręgiem tłum wcale nie próbował mnie pojmać, tylko ukryć i ochronić przed napastnikami.

Ale dlaczego ci ludzie mieliby mi pomagać? Przecież byłam dla nich obcym przybyszem z wewnętrznego kręgu. Poza tym jako drugie dziecko stanowiłam zagrożenie dla przetrwania Edenu. W takiej sytuacji *nikt* nie powinien wyciągać do mnie pomocnej ręki.

Część najbardziej zewnętrznego kręgu, którą widziałam dotychczas, przedstawiała żaloszny obraz: dominował brud, budynki chyliły się ku ruinie, była to kraina ubóstwa i rozpacz. Tym niemniej sprawiała wrażenie miejsca, w którym dało się żyć. W miarę jednak jak kierowałam się ku rogatom Edenu, otoczenie stawało się coraz nędzniejsze.

Budynki, które mijałam, sprawiały wrażenie, jakby jakaś siła wysadziła je z fundamentów i cisnęła na ziemię – gruzy z zawalonych domów tarasowały ulice niczym śpiący na ziemi pijacy. Wielkie dziury ziejące w nawierzchni przypominały leje po bombach. Czytałam o wojnach, jakie ludzie toczyli ze sobą przed Ekoklęską. Wystarczył byle powód, by całe narody rzucały się sobie do gardeł: kością niezgody bywały niuansy wyznawanych wierzeń albo

posiadanie toksycznych postaci paliwa, z którego w tamtych czasach pozyskiwano energię. Jednak te leje nie mogły przecież być pamiątką po wybuchach. Winne pewnie były pękające rury wodociągowe albo jakieś błędy konstrukcyjne przy budowie infrastruktury. Niemożliwe, by ostatnie niedobitki ludzkości zaangażowały się w coś tak nierozumnego jak wojna.

Niezależnie od tego, co spowodowało te zniszczenia, roгатki Edenu stanowiły krajobraz jak z innego świata – jak okiem sięgnąć, wszędzie wznosiły się pozostałe po zawałonych budynkach sterty gruzu, z których sterczały rury. W tej krainie panował wieczny mrok, którego nie rozpraszało nawet światło poranka. To miejsce było domeną smutku. Nigdzie nie mogłam dojrzeć żywej duszy. Jedynym dźwiękiem było wycie wiatru hulającego w ruinach.

Jednak samotność mi odpowiadała. Mogłam czuć się tu bezpieczna. Byłam pewna, że bez trudu znajdę w tym morzu zniszczeń miejsce, gdzie będę mogła spokojnie poczekać do zachodu słońca.

Nagle z tyłu dobiegły mnie głosy.

– Tam jest! Za nią!

Jednym susem wskoczyłam za najbliższy mur. Była to pozostałość budynku, w którym kiedyś mieścił się sklep odzieżowy. Zachował się nawet szyld – zwisał na jednej śrubie z kawałka muru, zachwalając najmodniejsze fasony w przystępnych cenach. Jak tylko zdążyłam się schować, mur podziurawiły pierwsze kule. Coś mi mówiło, że tym razem strzelec wcale nie chciał spudłować.

– Macie wziąć ją żywcem! – rozległ się czyjś krzyk. Nie mogłam się zorientować, czy to głos Rooka.

Zielone koszule i Centrum wcale nie musieli kierować się współczuciem, decydując się na zachowanie mnie przy życiu. Pojmana, mogłabym zostać poddana torturom i stać się źródłem cennych informacji. A potem zostać wystawiona na widok publiczny w charakterze przestrogi.

Wskoczyłam zza osłony i ile sił w nogach pognałam ku najbliższemu zrujnowanemu budynkowi. Kątem oka widziałam, jak napastnicy podążają za mną. Poruszali się powoli, w taktycznej formacji, jakby obawiali się, że ktoś ich może w każdej chwili zaatakować. Kto wie, może mieli powody, by się czegoś obawiać na tych wyjętych spod prawa obszarach. Mogłam tylko dziękować losowi – skręcona kostka spowalniała mnie już do tego stopnia, że byłabym bez szans, gdyby ścigali mnie w normalnym tempie. Dopóki zielone koszule będą prowadziły pogoń tak zachowawczo i ostrożnie, będę mogła zachować nad nimi pewną przewagę.

W każdym razie przez jakiś czas. W każdej chwili moja kostka mogła odmówić całkiem współpracy, istniała też obawa, że wybiorę niewłaściwą trasę i dam się zapędzić w kozi róg.

Dysząc ciężko, dopadłam muru pełnego otworów po kulach. Co tu się, u diabła, stało? Przeciążone mięśnie lewej nogi zaczynały się buntować, poza tym dokuczała mi kolka. Na

szczęście opuchlizna na kostce była tak wielka, że otępiłe nerwy nie bolały za bardzo. Wiedziałam, że nie potrwa to długo i w końcu poczuję znów przeszywający ból. Mogłam tylko liczyć na to, że skrzycona noga zdoła jakoś udźwignąć ciężar mojego ciała.

Wiedziałam, że nie powinnam tracić czasu na odpoczynek, jednak moje ciało miało inne zdanie na ten temat. W końcu zorientowałam się, że zbyt długo odpoczywam oparta o mur. Kiedy kula roztrzaskała fragment ściany nad moją głową, zebrałam resztkę sił i zmusiłam się do biegu. Poruszałam nogami w przeraźliwie ślamazarnym tempie.

Skręciłam za róg... i wpadłam prosto na tarasującą przejście górę poskręcane metalu, jakichś kabli i betonu. Była wysoka na sześć metrów i najeżona ostrymi krawędziami. *Bikk!* Wiedziałam, że jak tylko zielone koszule wypadną z za rogu, będę dla nich łatwym celem. Nigdzie nie zauważyłam żadnego przesmyku w górze gruzu. Do miejsca, w którym się znalazłam, prowadziła tylko jedna droga – ta, którą tu przybiegłam; ta, którą nadciągała pogoń. Spróbowałam się wspinać – byłam w tym przecież mistrzynią – jednak bez powodzenia: wszystkie miejsca, których mogłam się uchwycić, kaleczyły dłonie albo ustępowały pod moim ciężarem. Ściana gruzu wydawała się niemożliwa do sforsowania, ciągnąc się bez końca w obie strony.

Do oczu napłynęły mi łzy. Nie ze smutku – tym razem po prostu użalałam się nad sobą. Byłam wykończona. Ból stawał się nie do zniesienia. Dokuczało mi pragnienie, byłam zakrwawiona, poobijana, przeraźliwie rwała mnie kostka, a teraz do tego doszły jeszcze poobcierane dłonie... Nie miałam już siły dłużej uciekać. Słyszałam, jak nadciąga pogoń.

Straciłam resztę nadziei. Dotarłam do kresu.

Najchętniej położyłabym się na ziemi. Jaka to różnica, co zrobię? Ześlizgnęłam się po murze na ziemię, a wtedy poczułam przemożną ulgę płynącą ze świadomości, że nareszcie poddałam się sile grawitacji – i że w ogóle się poddałam. Ogarnęła mnie ochota, by wyciągnąć się wygodnie na ziemi, założyć ręce za głowę i jak gdyby nigdy nic spoglądać w niebo, oczekując na zbliżający się koniec.

Ale nie zrobiłam tego. Nie mogłam. Nie po tym, jak mama poświęciła życie, by mnie ratować. Gdybym teraz się poddała, zdradziłabym złożoną przez nią ofiarę.

Nie mogłam co prawda wspiąć się *na* mur, ale może zdołam przebić się *przez* niego?

Uklęknęłam i wczepiłam się w pozornie nieprzebytą ścianę, wygarniając z niej garście gruzu. I już po chwili ujrzałam tunel.

No dalej, popędzał mnie duch matki, a ja posłusznie położyłam się na brzuchu i zaczęłam wczolgiwać się w otwór głową do przodu.

– Stój! – ryknął ktoś z tyłu, kiedy moja głowa zniknęła już w tunelu.

W następnej chwili na ścianę gruzu spadł deszcz pocisków, zasypując moje oczy pyłem ze strzaskanego betonu.

– Nie! – rozległ się inny głos. Byłam niemal pewna, że należał do Rooka. Nie był to jednak rozkaz, jego krzyk brzmiał raczej jak błaganie. Zanurzyłam się w tunelu już na wysokość ramion. Dalej przejście zaczynało się wężać i żeby wślizgnąć się głębiej, musiałam wyginać całe ciało. – Zatrzymaj się!

W tamtej chwili myślałam już, że nie przepchnę bioder przez wlot. W końcu udało się, jednak swoimi manewrami wywołałam małą lawinę pyłu. Rook nie próbował mnie powstrzymać ze względu na kolegów. W jego głosie zabrzmiała autentyczna trwoga, jakby sądził, że to, co czeka mnie po drugiej stronie tunelu, jest znacznie gorsze niż perspektywa bycia schwytaną przez zielone koszule.

W końcu tunel połknął też moje nogi. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałam, był zrezygnowany głos jednego z mundurowych:

– Niech idzie. Po drugiej stronie i tak czeka ją śmierć.

Nie zatrzymywałam się ani na chwilę. Skoro i tak miałam umrzeć, stanie się to na moich warunkach.

Kiedy pełzłam przez kamienny labirynt, miałam wrażenie, że poruszam się po ruinach jakiejś starej cywilizacji. Nie mogłam pojąć, jak to możliwe, że w naszym idealnym społeczeństwie dopuszczono do tak strasznych zniszczeń. Czy wszyscy wiedzieli o tym, jak wyglądają roгатki Edenu, a tylko ja nie miałam o tym pojęcia, bo całe życie spędziłam pod kloszem? Podejrzywałam jednak, że Ash opowiedziałby mi o tym, gdyby był tego świadomy. O ilu jeszcze innych sprawach nie miałam pojęcia?

Przepychałam się, wykręcając całe ciało. Czułam, jak skórę rozcinają mi ostre kandy betonu i jak kłują mnie odłamki plastiku. Dlaczego nikt nie zajął się recyklingiem wszystkich tych materiałów? Przecież tyle można by z nich zrobić. W górze gruzu, przez którą pełzłam, znajdowały się całe tony materiałów nadających się do powtórnego użycia. Ściana rozciągała się na jakąś kolosalną długość i była też niezwykle gruba – zdołałam dotychczas pokonać jakieś dziewięć metrów tunelu i nadal nie widać było końca.

Ze zmęczenia zaczynałam niemal majaczyć i w tym stanie przyszło mi do głowy, że może mur nie ma końca. Nieraz miewałam podobne sny: na przykład próbowałam podejść do drzwi po drugiej stronie pokoju, jednak z jakiegoś tajemniczego powodu nie mogłam się do nich zbliżyć. W pewnym momencie uderzyła mnie myśl: a co jeśli mur, przez który się przedzierałam, wcale nie był ścianą gruzu? Co jeśli tak wygląda cały świat? Co jeśli Eden otoczony jest ze wszystkich stron niewyobrażalnie wielkim oceanem odpadków pozostałych po upadłych ludzkich cywilizacjach? Co jeśli wyprodukowaliśmy ich tak wiele, że szczelnie pokrywają całą Ziemię?

Kiedy miałam wrażenie, że przeciskam się przez tunel całe wieki, ten wreszcie się skończył. Ostatni odcinek wiódł przez wnętrze jakiejś starej maszyny, a konkretnie zadartą do góry rurę. Kiedy wreszcie wynurzyłam się na zewnątrz, moim oczom ukazał się widok rodem z jakiejś

potwornej baśni.

Mama, która miała na co dzień dostęp do starych dokumentów sprzed Ekoklęski, opowiadała mi nieraz o swoich znaleziskach. Były to historie, na które natrafiała w zakurzonych, rozpadających się ze starości książkach, wytwarzanych w dawnych czasach z martwych drzew. Miałam wśród nich swoją ulubioną historię i prosiłam mamę, żeby mi ją wciąż na nowo opowiadała. Nosiła tytuł „Jaś i magiczna fasola”. Opowiadała o chłopcu, który podjął z pozoru niemądrą decyzję: postanowił pozbyć się dającej mleko krowy dla ułudy zaczarowanej fasoli. Matka chłopca z początku była wściekła na syna, jednak koniec końców jego ryzykowna decyzja okazała się opłacalna: z ziarenka wyrósł gigantyczny pęd fasoli. Chłopiec dorobił się na nim fortuny oraz, co w oczach dziecięcego słuchacza miało o wiele większe znaczenie, przeżył wielką przygodę.

Kiedy wyszłam z tunelu i zadarłszy głowę, spoglądałam coraz wyżej i wyżej, przypominała mi się właśnie ta bajka. Rośliny, które ujrzałam, były monstrualnych rozmiarów i wznosiły się do nieba. Ich zieleń była tak ciemna, że niemal czarna. Dopiero kiedy przyjrzałam im się dokładniej, zrozumiałam, że nie są naturalne. Ich łodygi, wąsy i liście były syntetyczne, a w ich wędrówce ku słońcu napędzały je szepczące cicho silniczki. Przypominały zdobiące Eden „rośliny” umożliwiające sztuczną fotosyntezę, jednak te tutaj były olbrzymie. Pnie drzew mierzyły trzy metry średnicy, a ich liście szerokością dorównywały domom. Wysokością trzykrotnie przewyższały wieże wodorostów, najwyższe budowle Edenu.

I rosły ich tu tysiące.

Były tak wysokie, że prawdopodobnie ich wierzchołki można było dojrzeć z Centrum. Mimo to przecież nigdy ich nie widziałam ze szczytu muru wokół domu ani z porzuconej wieży wodorostów, na którą wspierałam się z Lark. Dostrzegałam wtedy tylko ciągnące się po horyzont miasto. Pamiętałam, że w oddali obraz drżał lekko, co wzięłam za efekt upału panującego na otaczających miasto pustynnych bezdrożach.

Nawet przy założeniu, że tutejszych drzew nie dało się dojrzeć z Centrum, powinnam była widzieć je, kiedy wędrowałam z Lark po zewnętrznych kręgach, podczas jazdy samochodem z mamą albo uciekając przed zielonymi koszulami. Przede wszystkim zaś powinny być widoczne nad murem z gruzu, który zagroził mi drogę ucieczki. Nagle uderzyła mnie myśl, że przecież te gigantyczne drzewa powinny zasłaniać słońce. Czyżby podniecenie i niepokój wywołane ucieczką zaślepiły mnie do tego stopnia, że nic nie zauważyłam?

Spojrzałam znów na delikatnie falujący las gigantycznych fasolopodobnych roślin. Nie, wykluczone, żebym mogła ich nie dostrzec wcześniej.

W końcu postanowiłam zanurzyć się w ten gąszcz. Kiedy w niego weszłam, wydawał się dziwnie nieruchomy, przez co sprawiał nienaturalne wrażenie. W sztucznych lasach, które wcześniej odwiedziłam – w Deszczowym Lesie i leśnej arenie zawodów laserowych – roilo się

od ptaków i robaków. Zewsząd dobiegały dźwięki przebiegających w poszyciu leśnych zwierząt. Miejsca te były sztuczne, lecz stworzono w nich namiastkę życia.

Tymczasem w tym gigantycznym sztucznym lesie panowały absolutny bezruch i cisza. Byłam tu sama.

Wędrowałam godzinami, aż w końcu straciłam rozeznanie kierunku. Światło słoneczne z trudem przedzierało się na dół, powstrzymywane przez korony drzew. Promienie, które zdołały się przebić ku poszyciu, docierały tu dziwnie rozszczerzone, rzucając nienaturalne cienie. Dwa razy zawędrowałam z powrotem pod ścianę gruzu, która musiała sięgać głęboko w ziemi sztucznych korzeni fasolowych drzew wczepiających się w beton. Wreszcie, zupełnie niespodziewanie, dotarłam na skraj lasu. Fasolowe drzewa tworzyły tu równą linię graniczną, a za nią moim oczom ukazała się złocista pustynia.

Na twarzy momentalnie poczułam podmuch upalnego powietrza. Zatoczyłam się, odwracając twarz od żaru. Uciekłam spojrzeniem ku chłodnemu cieniowi, jaki dawała ściana fasolowych drzew, żeby moje oczy zdążyły przystosować się do jasności pustyni. I nagle zrozumiałam, jak to możliwe, że będąc na terenie Edenu, ani ja, ani nikt inny nie mógł dojrzeć fasolowych drzew.

Zostały zakamuflowane.

Domyśliłam się też, że ten kamuflaż miał bardzo subtelną naturę. Kiedy przyglądałam się rosnącym najbliżej mnie roślinom, widziałam je całkiem wyraźnie. Wystarczyło jednak przenieść wzrok na te rosnące nieco dalej, a obraz stawał się rozmazany. Jedynie jego lekkie drżenie zdradzało, że istnieje coś poza pierwszym szeregiem drzew. Im dalej się spoglądało, tym rzędy drzew stawały się mniej wyraźne. W pewnej odległości połyskiwały metalicznie, a nieco dalej zachodził dziwny efekt podwójnego widzenia – dostrzegałam równocześnie rośliny i prześwitujące przez nie niebo.

Przez dłuższy czas przypatrywałam się uważnie ścianie drzew, zbliżając się o krok, to znów oddalając. W końcu odkryłam, że każdy liść i każda łodyga wytwarzały niemal idealny obraz znajdującego się za nimi fragmentu krajobrazu. W efekcie powstawało wrażenie, że żadnego drzewa tam nie ma. Każde z nich było niczym blok danych, który generował dla mnie sztuczny obraz.

Dopóki wędrowałam między roślinami, to złudzenie było niewidoczne. Dopiero gdy stanęłam poza jego granicami, z najwyższym trudem zdołałam zauważyć to dziwne zjawisko. Gdybym oddaliła się nieco bardziej, cały las zniknąłby bez śladu.

Jak to możliwe, że mieszkańcy Edenu nie mieli pojęcia o istnieniu tego gąszczy fasolowych drzew? Od urodzenia żyłam w przekonaniu, że jestem jedynym sekretem, jaki skrywa przed swymi obywatelami Eden. Teraz jednak nie wiedziałam już, co powinnam sądzić o moim idealnym mieście.

Nie miałam też pojęcia, co począć. Nie mogłam wrócić, przynajmniej nie od razu. Może

o zmierzchu uda mi się przekraść z powrotem do miasta i dotrzeć do jadłodajni dla bezdomnych.

Cofnęłam się do ściany lasu, chcąc ukryć się w cieniu syntetycznych fasolowych drzew. Obawiałam się, że żar bijący od pustynnego piachu może w każdej chwili poparzyć mi skórę. Kiedy znalazłam się w pasie cienia, poczułam się, jakbym przeniosła się z kuchenki do lodówki. Różnica temperatury między lasem a pustynią musiała dochodzić do czterdziestu stopni. Wystarczyło zrobić kilka kroków. Zaczęłam się zastanawiać, jakie funkcje pełni ten sztuczny las. Może oprócz pobierania energii słonecznej ochraniał też Eden przed żarem bijącym od pustyni, w jaką zamieniła się reszta Ziemi?

Nagle odniosłam wrażenie, że słyszę zbliżające się kroki. Nie byłam jednak pewna, czy to nie złudzenie. Może po prostu mechaniczne łądygi fasoli poruszyły się. Dźwięk był delikatny, dyskretny, lekko chrzęszczący. Gdyby wkoło nie panowała absolutna cisza, nie zarejestrowałabym go. Na razie nikogo nie dostrzegałam. Las był tu rzadki, przez co mogłam liczyć na to, że natychmiast zauważę, jeśli ktoś będzie nadchodził. Z drugiej strony każdy intruz również momentalnie mógł wypatrzeć mnie.

Chowanie się w lesie odpadało. Nie mogłam też uciekać – byłam zbyt obolała i zmęczona, by móc prześcignąć choćby nieporadnego rekruta z nadwagą.

Przyparta do muru podjęłam śmiertelnie niebezpieczną decyzję. Po raz ostatni zaczerpnęłam chłodnego powietrza, po czym, kulejąc, ruszyłam w głąb pustyni. Mogłam tylko mieć nadzieję, że ten, kto depcze mi po piętach, nie będzie na tyle głupi, by podążyć za mną.

W sumie to zabawne, że czasami przetrwanie może zależeć od tego, czy zdobędziesz się na bardziej kretyńskie zachowanie niż twój przeciwnik.

Wystarczyło kilka sekund, by płuca zapiekły mnie od gorącego powietrza. Było ono tu tak wysuszone, że żar tworzył wokół mnie drżące fale. Upał wysysał z mojego ciała całą wilgoć. Pociłam się, ale pot momentalnie wysychał. Wyschły mi też oczy, przy każdym mrugnięciu powieki lepiły się do gałek ocznych. Usta miałam tak spieczone, że łatwiej oddychało mi się przez nos. Miałam wrażenie, jakby z każdym kolejnym krokiem temperatura mojego ciała rosła.

Mimo to parłam przed siebie, ponieważ z jakiegoś powodu nagle ucieczka stała się dla mnie ważniejsza niż przeżycie. Całe życie spędziłam za murem. Wiedziałam, że nie mogę pozwolić, by znów zrobiono ze mnie więźnia. Nawet jeśli moi prześladowcy zamierzali mnie zabić zaraz po ujęciu, pozostawanie choćby przez moment w niewoli przerastało moje siły. Wołałam już umrzeć na pustyni.

Łatwo się mówi, co?

Z początku szło się całkiem nieźle. Piasek, kiedy zanurzałam w nim stopy, wydawał się sprężysty. Całe życie chodziłam po syntetycznych powierzchniach i teraz to nowe doznanie prawdziwego piachu pod nogami było niemal przyjemne. Delikatnie otulał moje obolałe stopy, kiedy kuśtykałam przed siebie.

Po chwili jednak stał się luźniejszy i głębszy. Zapadałam się teraz w niego po kostki i musiałam z mozołem stawiać każdy krok, jakbym brodziła w wodzie. W pewnym momencie potknęłam się i upadłam, parząc sobie obie dłonie. Podniosłam się jednak i brnęłam dalej przez bezlitosne piaszczyste morze.

Z każdym krokiem zapadałam się coraz głębiej. Byłam już tak odwodniona, że zaczynałam majaczyć, przez co nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje. Poczułam nagle, jakby moje zanurzone w piachu stopy stały się dziwnie chłodne. Było to przyjemne, dlatego przystanęłam na chwilę i cieszyłam się tym nowym doznaniem. Kiedy jednak spróbowałam wyciągnąć jedną nogę z piasku, odkryłam, że nie mogę – jakby coś uchwyciło ją i przytrzymało z całej siły. Z największym trudem zdołałam w końcu wyciągnąć stopę i zrobić następny krok. Moją uwagę przykuł wtedy piach, który w jakiś osobliwy sposób oblepił but na wyciągniętej nodze. Kiedy spróbowałam go strzepnąć, przykleił się też do mojej dłoni. Sprawiał wrażenie mokrego, jednak kiedy rozartałam odrobinę między palcami, nie wyczułam w nim żadnej wilgoci.

Zdezorientowana spróbowałam zrobić następny krok, jednak do tego musiałam uwolnić z piachu nogę, w której zwichnęłam kostkę. Towarzyszył temu ból tak straszliwy, jakbym próbowała wyrwać sobie stopę. Musiałam ugryźć się w język, żeby nie wrzasnąć. Nagle poczułam, że piach zaczyna mnie wsysać! Pod wpływem paniki spróbowałam się odwrócić, jednak osiągnęłam tylko tyle, że poruszyłam samym tułowiem, a nogi pozostały unieruchomione. W efekcie straciłam równowagę i, jakby w zwolnionym tempie, upadłam w lotne piaski. Próbowałam podeprzeć się na rękach, jednak wszystko wokół mnie się osypywało. W końcu wylądowałam twarzą do dołu. Usta i nos błyskawicznie wypełnił mi sypki piach. Musiałam teraz rzucać się na boki, żeby w ogóle zaczerpnąć powietrza. Przystawałam cokolwiek widzieć.

Całkiem niedawno uważałam, że wolę zginąć niż wpaść w ręce moich prześladowców. No cóż, zdążyłam już zmienić zdanie.

Rzucałam się, kopiąc wściekle powietrze, jednak niewiele to pomagało. W pewnym momencie zdołałam unieść głowę nad ruchome piaski i zaczerpnąć jeden rozpaczliwie wielki haust powietrza, ale zaraz potem zanurkowałam z powrotem w dół. Nie umiałam pływać, nigdy wcześniej nie znalazłam się w zbiorniku wodnym głębszym niż wanna w moim domu. Ale nawet gdybym umiała, niewiele by to pomogło w tym dziwnym, oblepiającym mnie ze wszystkich stron lotnym piasku. Miałam wrażenie, jakby wczepiał się we mnie potężnymi pazurami niczym żywa istota, próbująca mnie połknąć.

Jakby to sama Ziemia zaprażyła mnie pożreć.

Czułam, jak moje ciało szybko stygnie i staje się dziwnie bezwładne. W końcu przestałam się bronić. Na krótką chwilę przyniosło mi to ulgę; dobrze było się poddać ze świadomością, że wreszcie nie muszę już donikąd biec ani walczyć, ani dłużej znosić samotności.

Ale już w następnej chwili poczułam, jak ktoś chwyta mnie za ramię i wyciąga z jamy. Zostałam ułożona bezpiecznie na spalonej słońcem pustyni. Mało mnie obchodziło, czy ten, kto mnie uratował, to funkcjonariusz zielonych koszul, przykładający mi teraz do głowy lufę karabinu. Ważne było tylko to, że człowiek ten uratował mnie od uduszenia się. Gdybym miała dość siły, całowałabym go po stopach.

Poczułam, jak czyjaś dłoń delikatnie, niemal czule, wyciera piasek z moich ust i nosa. Oczy nadal miałam zalepione piachem i nie mogłam ich otworzyć. W głowie mi się kręciło, ciężko dyszałam – nadal wydawało mi się, że nie mam czym oddychać.

Zanim straciłam przytomność, usłyszałam jeszcze:

– Trudna z ciebie do ratowania dziewczyna.



ŚWIADOMOŚĆ WRACAŁA MI STOPNIOWO. Najpierw odkryłam, że nie mogę się ruszać. Nie bardzo nawet wiedziałam, czy w ogóle mam jakieś ciało. Czyżbym umarła? Jako pierwsze wróciły do mnie dźwięki, dopiero potem zaczęłam odbierać wrażenia dotykowe. Na początku usłyszałam pospieszny, pulsujący w uszach hałas. Pomyślałam wtedy, że pewnie tak musiał brzmieć ocean, którego wody bez końca rozbijały się o brzeg i cofały. Moja krew, niczym oceaniczny przypływ, powoli zaczynała na nowo krążyć w żyłach. Przez długi czas leżałam w ciemności, nie czując w ogóle, że mam ciało.

Następnie dotarł do mnie pewien delikatny zapach – był ciepły i miły. Powiedziałabym, że zwierzęcy, ale przecież nigdy nie spotkałam żadnego zwierzęcia. Wdychając go, czekałam w spokoju, aż moje ciało wybudzi się ze snu. W końcu poczułam palenie w mięśniach i chłód na skórze. Nadal jednak nic nie widziałam, nie wiedziałam nawet, jak zmusić się do otwarcia oczu.

Aż wreszcie poczułam przeszywający ból. To było jak zderzenie z kamienną ścianą. Wydałam z siebie niski, gardłowy jęk. Nagle odkryłam, że boli mnie wszystko – każda część ciała na inny, właściwy sobie sposób. Czułam piekący ból w mięśniach i ścięgnach, skaleczeniach, otarciach, oparzeniach... Bolało też złamane serce.

– Otwórz oczy.

Nie umiałam stwierdzić, czy ktoś rzeczywiście wypowiedział te słowa, czy głos ten rozległ się tylko wewnątrz mojej głowy. Po chwili jednak poczułam, jak czyjeś ręce, jakieś duże, lecz delikatne dłonie, usuwają skorupę wyschniętego piachu z moich powiek.

Wreszcie otworzyłam oczy. Wkoło panowały ciemności. Czyżbym była nieprzytomna przez cały dzień? Zamrugałam i po chwili odzyskałam całkiem świadomość, a świat stał się na nowo widzialny.

Nad sobą ujrzałam złociste, mieniące się kalejdoskopowo oczy. Ich tęczęwki były niesamowitą mieszanką kolorów jasnego orzecha, piwnego i miedzianego. Spoglądałam w oczy drugiego dziecka. Miałam wrażenie, że skądś je znam. Tylko że twarz, z której na mnie spoglądały, zupełnie do nich nie pasowała.

To były oczy tamtego łachmaniarza, który zaczepił mnie na ulicy. Teraz jednak spoglądał nimi na mnie młody mężczyzna, chłopak mniej więcej w moim wieku. Nieco dłuższe, odgarnięte do góry kasztanowe włosy ukazywały szerokie czoło. Na lewym policzku widniała blizna w kształcie półksiężyca. Miałam wrażenie, że widziałam już kiedyś tę szramę. Nie mogłam tylko

sobie przypomnieć u kogo.

Zdezorientowana zmarszczyłam brwi, na co młody mężczyzna zareagował śmiechem.

Nagle ogarnęła mnie złość – nieznajomy wyraźnie ze mnie kpił, za nic mając całe cierpienie, jakie musiałam znosić. Poza tym denerwowała mnie jego bliskość. Pochylał się nade mną, tak że czułam na skórze ciepło bijące od jego ciała. Bez zastanowienia odepchnęłam go gwałtownie, próbując zerwać się na nogi.

Niezbyt dobrze mi to wyszło. Całe ciało miałam odrętwiałe. Potknęłam się o swój plecak, po czym upadłam na podłogę. Próbowałam czołgać się przed siebie, ale w końcu się poddałam.

Byłam pewna, że mężczyzna będzie ze mną walczył. Kiedy jednak go odepchnęłam, on tylko zatoczył się do tyłu, jakby to była jakaś zabawa z niezdarnym dzieciakiem. A najgorsze było to, że nie przestawał się śmiać. Nabijał się z bólu, jaki odczuwałam, i z mojej nieporadności.

– Kim jesteś? – spytałam, kiedy odpełzłam kilka kroków dalej. Poczulałam się nieco pewniej, znalazłszy się w bezpiecznej odległości.

Mężczyzna, nadal udając, że zatacza się po moim ciosie, płynnym ruchem usiadł na ziemi.

– Coś mi się wydaje, że winien ci jestem wyjaśnienie. Wiesz, czym jestem, prawda? – spytał, przyglądając mi się uważnie szeroko otwartymi złocistymi oczami.

– Wiem, czym jesteś. Chciałabym jednak wiedzieć, *kim* jesteś.

– Mam na imię... Lachlan.

Zauważyłam, że zawahał się, nim zdradził, jak się nazywa. Czyżby zastanawiał się, czy powinien powiedzieć prawdę, czy skłamać? Nie mogłam być pewna, jaką decyzję podjął.

Skupiłam się na jego oczach, które wydawały mi się znajome, po czym spytałam na próbę:

– Jesteś synem tamtego starszego mężczyzny w łachmanach, którego spotkałam wcześniej?

Zauważyłam, jak w kąciku jego ust zalągl się uśmiešek. Zaraz jednak się opanował.

– Niezupełnie. To *ja jestem* tym mężczyzną w łachmanach.

Z wrażenia rozchyliłam usta.

– Całkiem niezłe przebranie, co?

Nie mogłam uwierzyć w to, co mówi. Spróbowałam w wyobraźni nałożyć na niego warstwy brudu i odoru, ujrzeć go z niemytymi i zmierzwionymi włosami, ubranego w postrzępione szmaty. Kiedy przyjrzałam mu się zmrużonymi oczami, okazało się, że to całkiem możliwe.

– Używam różnych przebrań. Raz jestem menelem, kiedy indziej uczniem, bestialcem albo kobietą. W ten sposób łatwiej mi poruszać się po Edenie, nie zwracając niczyjej uwagi – stwierdził, uśmiechając się znów dyskretnie. – W przeciwieństwie do ciebie nie jestem w stanie prześcignąć zielonych koszul. Byłem pod wrażeniem tego, czego dokonałaś.

– Widziałaś mnie?

Znowu zanim odpowiedział, zawahał się na mgnienie oka. Pewnie gdyby interakcje z ludźmi nie były dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem, na przemian fascynującym i przerażającym,

tego typu drobne różnice w zachowaniu umknęłyby mojej uwadze. Co takiego ukrywał ten mężczyzna?

– Widziałem tylko część twojej ucieczki. Samą końcówkę. Od dłuższego czasu cię szukałem.

– A więc wiedziałeś o mnie? – spytałam, wpatrując się w niego ze zdumieniem. A kiedy skinął głową, nagle w mojej głowie poszczególne elementy układanki zaczęły się łączyć w całość. – Jesteś bratem Rooka?

Lachlan skinął głową.

– Szkoda, że nie słyszałaś, jak o tobie opowiadał. Twierdził, że niespodziewanie pojawiłaś się znikąd. Drugie dziecko! I nagle tylko szerokie ramiona mojego brata odgradzały cię od kamer tamtego bota ochrony. Rook chciał powstrzymać cię przed znalezieniem się na linii skanu maszyny. Powiedział tylko: „Stój!”. A ty jak zareagowałaś?

Na wspomnienie tamtej chwili zwiesiłam głowę. Przypomniałam sobie, jak pchnęłam Rooka. A przecież on próbował mi wtedy pomóc. Dotychczas sądziłam, że zachowałam się wtedy bardzo dzielnie. A w rzeczywistości sprawiłam, że niemal mnie aresztowano. Kto wie, może tamto zachowanie zaalarmowało Centrum.

– Rook musiał unieszkodliwić bota i liczył, że ten nie zdołał przeprowadzić twojego skanu. Naraził się przełożonym i w rezultacie został na sześć tygodni przeniesiony do karnej jednostki patrolującej kręgi zewnętrzne. Ale w sumie obróciło się to na twoją korzyść.

– Gdyby Rook nie unieszkodliwił dzisiaj innego funkcjonariusza zielonych koszul, byłabym już trupem.

– Mój brat to dobry człowiek. Wstąpił w szeregi zielonych koszul tylko po to, żeby... mi pomóc.

Najchętniej zdradziłabym Lachlanowi, że dostrzegam wszystkie pauzy mające ukryć sprawy, o których mi nie mówi. W porę jednak ugryzłam się w język.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś drugim dzieckiem. Zawsze domyślałam się, że są też inne drugie dzieci oprócz mnie. Jednak nigdy nie sądziłam, że któreś z nich poznam. Jak wielu żyje nas w Edenie?

– Nie wiem – wzruszył ramionami Lachlan. Chciałam spytać, czy sam spotkał kiedyś inne drugie dziecko, jednak nie pozwolił mi dojść do głosu. – Jak to się stało, że zawędrowałaś tak daleko od domu?

– Wiesz, gdzie mieszkam? – spytałam podejrzliwie.

– Podejrzewam, że w którymś z kręgów wewnętrznych. Tam w każdym razie spotkał cię Rook, czy raczej to tam na niego wpadłaś.

Uśmiechnęłam się, a kiedy Lachlan zrewanżował się uśmiechem, oblałam się rumieńcem. Nie mogłam przestać spoglądać w jego oczy. A więc spotkałam kogoś, kto był taki jak ja! Poznanie Lark było fascynującym doświadczeniem, jednak znajomość z Lachlanem to coś zupełnie

innego. Miałam wrażenie, jakbym odnalazła rodzinę, bliskich mi ludzi. No dobrze, jedną bliską mi osobę.

– Dokąd się wybierałaś, kiedy znalazły cię zielone koszule?

Otwierałam już usta, jednak coś mnie powstrzymało. Przepęniała mnie niezwykła radość z powodu nawiązanej znajomości, pragnęłam ufać temu mężczyźnie, jednak równocześnie zdawałam sobie sprawę, skąd bierze się moja ekscytacja – Lachlan był, tak jak ja, drugim dzieckiem. A przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Po moich ostatnich przygodach przestawałam być czegokolwiek stuprocentowo pewna. Spotkałam przecież niedawno mężczyznę o oczach węża. A skoro on mógł sobie zafundować takie źrenice, przecież Lachlan też mógł mieć wprawione soczewki, które upodabniały go do drugiego dziecka. A co jeśli dałam się schwytać w pułapkę?

– Chciałam się rozejrzeć po okolicy – wyjaśniłam ostrożnie. – Wsiadłam w autopętlę, potem się zgubiłam i wylądowałam tutaj.

Lachlan skinął lekko głową, ale nie byłam wcale pewna, czy mi uwierzył.

– Dla takich jak my życie tutaj to nie bajka.

– Jak ci się udało przetrwać tak długo? Mieszkasz z rodziną?

Przygryzł wargę, przez co nagle wydał mi się znacznie młodszy.

– Nie – odparł krótko, a jego enigmatyczna odpowiedź tylko wzmogła moją ciekawość.

– Opowiedz mi o tym – nalegałam.

Lachlan przystał na moją prośbę. A kiedy jego opowieść dobiegała końca, mimo że sądziłam, iż dawno już wypłakałam wszystkie łzy, znów miałam wilgotne oczy.

Lachlan nie był bratem bliźniakiem, tylko nieplanowanym dzieckiem. Większość kobiet zaraz po urodzeniu dziecka poddawano sterylizacji. Kiedy jednak zachodziła obawa, że dziecko może nie przeżyć, zwlekano z tym zabiegiem do momentu, aż zagrożenie minęło. W takich sytuacjach okres, w którym kobiety pozostawały płodne, wynosił co najmniej kilka lat. Teoretycznie powinny w tym czasie stosować niezawodne metody antykoncepcyjne, jednak najwyraźniej ich niezawodność była mrzonką. Rook był wcześniakiem i słabowitym dzieckiem (spoglądając na niego, nigdy bym się nie domyśliła). Jego matka po raz drugi zaszła w ciążę dwa lata po urodzeniu Rooka. Rodzice mieszkali w jednym z pośrednich kręgów i zajmowali się handlem, prowadząc niewielką sieć sklepów spożywczych. Postanowili, że zachowają drugie dziecko i ukryją je przed światem.

– Moje życie przypominało pewnie twoje. Cały czas spędzałem sam, dręczony wiecznie niepokojem. Zawsze też byłem lekko sfrustrowany opowieściami o świecie zewnętrznym, w którym mój brat czuł się jak ryba w wodzie. Rodzice kochali mnie i otaczali opieką. Można powiedzieć, że miałem szczęśliwe życie. Domyślałem się jednak, że ciągły strach przed zaareztowaniem jest dla nich wielkim brzemieniem. Byli odważni, jednak ich odwaga miała

pewne granice. Okazało się, że przez cały czas szukali dla mnie rodziny zastępczej.

– I mieli rację – wtrąciłam. – Dla drugiego dziecka to jedyna szansa na normalne życie.

– I właśnie dlatego trzeba to zmienić – stwierdził, a w jego oczach zalśniła zawziętość.

Kiedy miał dziesięć lat, opuścił rodzinny dom i zamieszkał z obcymi ludźmi. Miałam szesnaście lat, a i tak trudno mi było zaakceptować taką perspektywę. Nie mieściło mi się w głowie, co musi czuć dzieciak, którego odrywa się od rodziny w tak młodym wieku. Rodzice obiecali mu, że czeka go cudowne życie z przybraną rodziną. A ponieważ starali się nie płakać, mały Lachlan również robił dobrą minę do złej gry. Powtarzał sobie, że może wcale nie będzie tak źle.

Mylił się. Życie w nowym miejscu było straszne.

Nie wchodził w szczegóły, a ja chyba wcale nie chciałam ich poznać. Kiedy o tym wspomniał, zauważyłam, że całe jego ciało się spięło. To, czego doświadczył w nowym domu, zapewne było gorsze, niż mogłam sobie wyobrazić.

– Zmuszali mnie do różnych rzeczy – stwierdził beznamiętnym tonem. – Ostrzegli, że jeśli komuś o nich wspomnę, doniosą władzom: na mnie i całą moją rodzinę. Nie miałem jak im się sprzeciwić, miałem tylko dziesięć lat.

Rodzice zastępczy obiecali, że wystarają się na czarnym rynku o soczewki dla Lachlana, żeby w przyszłości mógł wieść normalne życie. Jednak nigdy tego nie zrobili. Podejrzewał, że po prostu przywłaszczyli sobie pieniądze, które na ten cel przekazali im jego biologiczni rodzice. Tak więc nawet po przeprowadzce nadal musiał się ukrywać. Wychodził tylko nocami, żeby robić rzeczy, których wymagali od niego ci ludzie.

Kiedy miał szesnaście lat, zmarł jego zastępczy ojciec. Lachlan uciekł wtedy z domu. Wprawdzie nie powiedział tego wprost, jednak odniosłam wrażenie, że mógł w jakiś sposób przyczynić się do śmierci tego mężczyzny. Kiedy opowiadał o tym okresie swojego życia, mimowolnie zaciskał i rozluźniał wielkie dłonie.

Po ucieczce wrócił do domu rodzinnego. Nie łudził się, że wszystko będzie po staremu, ale liczył, że rodzice mu pomogą, że będzie mógł się u nich ukryć. Był przekonany, że nie mieli pojęcia, na jakie życie go skazali. Rook powitał brata ze łzami w oczach, ale i ze śmiechem. Szukał Lachlana od chwili, gdy zniknął przed sześciu laty. Za to jego rodzice...

Okazało się, że dziesięć lat ukrywania Lachlana było ponad ich siły. Sześćioletni okres, gdy żyli bez niego, przyniósł im upragniony odpoczynek. Oznajmili mu więc, że nie życzą sobie jego powrotu. Zatrzasnęli mu drzwi przed nosem.

– Wylądowałam na ulicy. Przeżyłam dzięki pomocy Rooka. Poznałem paru przyjaciół, jakoś nauczyłem się wiązać koniec z końcem. Teraz żyje mi się już całkiem nieźle.

Miałam ochotę powiedzieć, jak bardzo mu współczuję, jednak ugryzłam się w język. Lachlan opowiadał swoją historię w beznamiętny, rzeczowy sposób i domyśliłam się, że chyba nie życzy

sobie zbyt emocjonalnych reakcji. Rozmyślanie nad cierpieniem innego człowieka przytępiało ból, który sama odczuwałam. Najchętniej opowiedziałabym mu o śmierci mojej mamy, zwierzyła się ze wszystkich zmartwień, ale na razie nie ufałam mu jeszcze na tyle.

– Dobrze, że masz dom i ludzi, na których możesz polegać – stwierdził Lachlan. – Masz ich, prawda?

– No... – zaczęłam niepewnie. Przez ostatnie szesnaście lat byłam bezpieczna tylko dzięki temu, że umiałam żyć po kryjomu. Dopiero kiedy przestałam być dyskretna, moje życie runęło w gruzy. Straciłam swoją bezpieczną kryjówkę. Nadal darzyłam zaufaniem Lark. (Niemożliwe, żeby to ona mnie zdradziła. Czułam to). Jednak instynkt podpowiadał mi, że bym na razie za bardzo nie otwierała się przed tym mężczyzną. – Niby dlaczego miałabym ci zaufać?

Wpatrywałam się teraz w niego gniewnym wzrokiem. Lachlan ocalił mi życie, ale jeśli wydawałam się niewdzięczna, trudno. Nie umiałam teraz obdarzyć zaufaniem nikogo nowego. Jeszcze niedawno ufałam tylko mamie i Ashowi. Teraz pozostał tylko Ash, a on przecież nie mógł w żaden sposób mi pomóc. Mój brat był teraz niemal równie samotny jak ja.

Lachlan nie wydawał się jednak zaskoczony czy zmartwiony moim podejrzliwym tonem.

– Wcale nie powinnaś. A ja nie powinienem ufać tobie. Jasne, oboje jesteśmy drugimi dziećmi. Jeśli nas złapią, czeka nas ta sama kara. I wierz mi, będzie straszniejsza, niż możesz sobie wyobrazić.

– Gorsza niż śmierć? Co może być straszniejszego od niej?

Lachlan przełknął nerwowo ślinę. Widziałam, że próbuje powściągnąć emocje.

– Módl się do Ziemi, żebyś nigdy się nie dowiedziała. Jestem jednak przekonany, że jedno drugie dziecko mogłoby zdradzić inne, żeby zapewnić sobie w ten sposób bezpieczeństwo. Ludzie są słabi, samolubni, a czasami po prostu przerażeni, i dopuszczają się wtedy strasznych rzeczy. Ja sam na razie ci nie ufam... Ty jednak możesz chyba zaufać mi chociaż trochę, prawda? W końcu uratowałam ci życie, samemu narażając się na spore niebezpieczeństwo. Nanopiasek został zaprojektowany w taki sposób, by wessał każdy żywy organizm, który spróbowałby wędrować przez pustynię.

– Chcesz powiedzieć, że ten piach został przez kogoś stworzony? Sądziłam, że to naturalny piasek.

– Z pozoru przypomina naturalne lotne piaski. Tyle tylko że nanopiasek przemieszcza się zupełnie świadomie. Przez cały czas poszukuje śladów życia, tropi żywe istoty... i w końcu je pożera.

– *Požera?*

– Tak jest. Pochłania razem z kośćmi i całą resztą. Wydziela specjalne kwasy, które trawią wszelkie organiczne materiały.

Natychmiast zaczęłam nerwowo otrzepywać łuszczące się błoto i piach z ramion i nóg.

– Spokojnie! – odezwał się Lachlan, chwytając mnie za nadgarstek.

Zamarłam pod jego dotykiem, jemu też nagle zrobiło się chyba głupio. Momentalnie poczułam się skrępowana faktem, że jego palce dotykają mojej skóry. Puścił moją rękę, jednak nadal czułam ciepło w miejscu, gdzie mnie dotknął.

– Nie musisz się martwić, takie procesy zachodzą bardzo powoli. A poza tym w zetknięciu z powietrzem nanopiaszek traci swoje zdolności. Nic ci nie grozi.

Kiedy uniosłam na niego spojrzenie, naprawdę poczułam się przy nim bezpieczna. Zabawne.

Lachlan to pierwszy prawdziwy nieznajomy, którego poznałam w życiu. Lark to inna sprawa, ponieważ słuchałam o niej przez wiele lat i kiedy w końcu się spotkałyśmy, było tak, jakbym została przedstawiona mojej najlepszej przyjaciółce. W ostatnich dniach miałam też przelotny kontakt z paroma innymi osobami, na przykład graczami w laserowego paintballa w Mateczniku. Jednak dopiero teraz mogłam usiąść i spokojnie spojrzeć w oczy całkowicie obcemu człowiekowi.

Umysł ostrzegł mnie co prawda, żeby mu nie ufać – w tym momencie z zasady nie powinnam ufać nikomu – jednak jakaś część mnie, serce, skóra, krew, podpowiadała mi, że mogę na nim polegać. Czyżby to jego twarz budziła zaufanie? Wysokie czoło, prosta linia nosa, szeroko rozstawione, szczere oczy? Nie mogłam na to nic poradzić, Lachlan po prostu wydawał się uczciwym człowiekiem. Wszystko w nim zdawało się krzyczyć: zaufaj mi! I właśnie to rodziło we mnie pewne podejrzenia.

Ale z drugiej strony byłam wykończona, obolała i smutna. Jak dobrze byłoby wesprzeć się na tym mężczyźnie, zaufać mu.

– Nie tylko uratowałem cię przed śmiercią w odmętach nanopiasku – ciągnął Lachlan, pozwalając sobie znów na ironiczny uśmiezek w kąciku ust; łapałam się na tym, że zaczynam sobie wyobrażać, jak wygląda, kiedy szeroko się uśmiecha – ale też wyniosłem z pustyni, a potem jeszcze taszczyłem ponad półtora kilometra przez fasolowy las. Nawiasem mówiąc, nie jesteś wagi piórkowej. – Przy tych słowach puścił do mnie oko. Nikt do tej pory nie puścił do mnie oka. – A wcześniej musiałem się za tobą uganiać po całym kręgu zewnętrznym. Możemy więc chyba uznać, że ostro się natrudziłem, żeby cię uratować.

To prawda. Momentalnie zrobiło mi się głupio, że po tym wszystkim zachowuję się nadal podejrzliwie w stosunku do niego. Przecież Lachlan był bratem Rooka, który już dwukrotnie uratował mi życie. Poza tym Lachlan był drugim dzieckiem. Nie miałam powodu, żeby mu nie ufać. Gdyby nie jego pomoc, tkwiłabym teraz w nanopiaskowej jamie i powoli rozkładałabym się na czynniki pierwsze.

Dlatego w końcu, z pewnym wahaniem, opowiedziałam mu o tym, jak mama umówiła się z inną rodziną, że przeniosę się do niej po wszczepieniu implantów. Przywołałam wydarzenia ostatnich paru godzin: pobudkę w środku nocy, podróż do cyberchirurga, który miał

przeprowadzić zabieg, spotkanie z zielonymi koszulami w punkcie kontrolnym. Opowiedziałam też o tym, jak mama oddała na ulicy życie, żebym mogła uciec.

W końcu przytuliłam do piersi plecak i zaczęłam bezgłośnie łkać.

Poczułam, jak Lachlan zamyka mnie w objęciach. W pierwszej chwili zamarłam, jednak w końcu się rozluźniłam i przytuliłam do niego, pozwalając, by moje łzy moczyły mu ramię.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojej mamy.

– Teraz jestem całkiem sama – jęknęłam. – Nie mogę już wrócić do domu. Ojciec nie wpuścił mnie z powrotem, a nawet gdyby mnie przyjął... Zielone koszule niedługo ustalą tożsamość mojej mamy i idąc tym tropem, odnajdą ojca i brata. Co się z nimi stanie?

– Nie wiem – odparł łagodnie Lachlan. – Teraz musimy się skupić na tym, by zapewnić bezpieczeństwo tobie. A dopiero w drugiej kolejności może zdołamy pomóc twojej rodzinie.

Nie miałam pojęcia, jak niby mielibyśmy to zrobić. Było nas tylko dwoje, a przeciwko sobie mieliśmy całą potęgę Centrum. Jednak kiedy spoglądałam na Lachlana, budziła się we mnie na nowo nadzieja. Wydawał się taki pewny siebie, nie mógł się mylić.

Chociaż z drugiej strony może po prostu mówił mi to, co chciałam usłyszeć, żeby ułatwić mi przetrwanie tych trudnych chwil.

W każdym razie byłam mu wdzięczna.

– Dziękuję, że mnie ocaliłeś – powiedziałam nieśmiało, ukrywając twarz w zgięciu jego ramienia. Zwolnił wtedy uścisk, a ja usiadłam wyprostowana i odsunęłam się nieco od niego. –

Cieszę cię, że jesteś tu ze mną. I że jesteś, tak jak ja, drugim dzieckiem. Sądzisz, że nie ma innych?

Nie odzywał się przez długą chwilę, przyglądając mi się uważnie. W pewnym momencie chciałam odwrócić wzrok, jednak nie zrobiłam tego.

– Rowan – szepnął – drugie dzieci to cała moja rodzina.



Z WRAŻENIA ZABRAKŁO MI TCHU. A WIĘC istniały inne drugie dzieci? Cała ich *rodzina*?

– Masz siłę chodzić?

Skinęłam ochoczo głową. Jeśli Lachlan chce poznać mnie z innymi drugimi dziećmi, znajdę w sobie siłę na wszystko. Czas, gdy byłam nieprzytomna, uśmierzył ból, rany zaczęły się goić, nawet moja kostka była już mniej opuchnięta. W tym stanie raczej nie mogłam liczyć na zwycięstwo w żadnych wyścigach, ale przynajmniej byłam w stanie poruszać się o własnych siłach.

– Gdzie oni są? – spytałam.

Musiałam przy tym mieć naprawdę przejętą minę, bo Lachlan zaśmiał się i powiedział:

– Spokojnie. Czekalaś szesnaście lat, żeby poznać inne drugie dzieci. Nic się nie stanie, jeśli poczekaś jeszcze godzinę albo dwie.

– Czy kryją się gdzieś w fasolowym lesie? A może żyją w najbardziej zewnętrznym kręgu? – zasypałam go pytaniami, na co znowu zareagował szelmowskim, tajemniczym uśmiechem.

– W Edenie roi się od drugich dzieci – wyjaśnił. – Możesz mijać je na ulicy, zupełnie się nie domyślając, że to one.

Wstał szybko i podał mi rękę. Czułam się co prawda znacznie lepiej niż dwanaście godzin temu, ale z wdzięcznością przyjąłam jego pomoc przy wstawaniu.

– Musimy poruszać się szybko i nie rzucać się w oczy – stwierdził. – Co masz w tym plecaku? Może zostawisz go tutaj?

Sięgnęłam po plecak i zarzuciłam go na ramiona. Dotychczas nie sprawdziłam nawet, co w nim noszę. To była moja jedyna pamiątka po domu – i po mamie. Za żadne skarby nie chciałam się z nim rozstawać.

– Widzę, że nic z tego – zauważył Lachlan, ruszając przed siebie.

Spróbowałam dotrzymać mu kroku. Czułam, że sprawiłam mu zawód.

– Kiedy znajdziemy się na terenie miasta, masz robić to, co ci każę. Zrozumiano? Jesteś teraz poszukiwana przez służby porządkowe. W ciągu najbliższych godzin będzie ci groziło wielkie niebezpieczeństwo. Na szczęście znam kogoś, kto nam pomoże – rzekł, po czym zwolnił kroku, żebyśmy go dogoniła. – Dobrze, że jesteś wysoka. Będziesz wyglądała odpowiednio.

Lachlan znał inną drogę prowadzącą przez morze gruzu. Tym razem pokonałam je praktycznie

bez problemu. W końcu znaleźliśmy się na tyłach jakiegoś budynku, a mężczyzna wskazał drzwi, które ledwo wisiały na zawiasach.

– Czy to drugie dzieci? – spytałam, kiedy weszliśmy do środka.

W bladym świetle dostrzegałam jakieś postacie leżące po kątach na zaimprovizowanych posłaniach rzuconych na gołą posadzkę. W półmroku z trudem mogłam przyjrzeć się ich twarzom, ale sprawiały wrażenie wyniszczonych i wychudłych. Kiedy przechodziliśmy różnym krokiem przez pomieszczenie, moją uwagę przykuła jakaś młoda kobieta z ramieniem przewiązonym gumką. Pod przepaską nabrzmiały niebiesko-czarne żyły. W zgięciu ramienia dojrzałam sterczącą strzykawkę...

Lachlan ujął mnie pod ramię i lekko popchnął do przodu.

– Nie, nigdy byśmy nie dopuścili, by drugie dziecko upadło tak nisko. Troszczymy się o siebie nawzajem. Chronimy się przed Centrum, i przed nami samymi. Aż do śmierci.

Na te słowa lodowaty dreszcz przeszedł mi po plecach.

– A ci ludzie tutaj, mimo że nie są drugimi dziećmi, nie potrzebują ochrony? – zainteresowałam się.

Dotknęłam chyba czułego punktu.

– Oni dostali już od losu szansę na szczęśliwe życie – mruknął Lachlan. – Sami zadecydowali, że chcą je sobie zrujnować. To nie nasze zmartwienie.

Kiedy przyglądał się narkomanom, z jego oczu wyzierało jednak coś niepasującego do tych ostrych słów. Niedługo potem wynurzyliśmy się z budynku i weszliśmy w wąziutką uliczkę, a po paru metrach stanęliśmy przed kolejnym domem. Dostaliśmy się do niego przez okno w przyziemiu i po chwili znaleźliśmy się w pustej suterenie. Dalej droga wiodła jakimiś korytarzami, aż w końcu znaleźliśmy się znów na innej ulicy. W ten sposób poruszaliśmy się po mieście, wybierając piwnice, rozpadające się budynki, opuszczone magazyny i porzucone punkty handlowe. Na ulicę wynurzaliśmy się tylko na parę sekund, żeby znów dać nura do jakiejś budowli. Wykorzystywaliśmy je niczym siatkę tuneli pozwalających nam skryć się przed wzrokiem niepożądanych świadków.

Wkrótce straciłam poczucie kierunków. Nie miałam pojęcia, czy pokonaliśmy wielokilometrową trasę w kierunku Centrum, czy może kręcimy się w kółko. W końcu wynurzyliśmy się z jakiejś sutereny i przemknęliśmy do sąsiedniego budynku. Tam wspięliśmy się na piąte piętro, aż stanęliśmy przed drzwiami z zamontowanym skanerem odcisków palców. Lachlan przyłożył kciuk do czytnika i przez chwilę dociskał go, układając pod różnymi kątami.

– Pozwalasz pobrać swoje odciski palców – zauważyłam, marszcząc brwi. – Czy to na pewno rozsądne?

– Słuszna uwaga – pochwalił Lachlan. – Ale ten skaner to tylko atrapa. Tak naprawdę reaguje na rytm, jaki wystukasz na nim kciukiem. Owszem, skanuje odcisk palca, ale tylko u tych osób,

które nie podadzą właściwego kodu. Dzięki temu możemy potem namierzyć tych, którzy próbowali się tu wdrzeć bez upoważnienia.

Sprytne. Najwyraźniej w Edenie sztuka podstępów osiągnęła poziomy, których istnienia nigdy nie podejrzewałam.

Wewnątrz zastaliśmy kobietę w średnim wieku. Wyglądała dość poważnie, ubrana była w garsonkę noszoną zazwyczaj przez urzędników Centrum. Wzdrygnęłam się na jej widok, jednak odetchnęłam z ulgą, kiedy Lachlan zwrócił się do niej po imieniu.

– Cześć, Rose. Masz dzisiaj grafik?

Wychyliłam się zza jego ramienia, żeby przyjrzeć się oczom tej kobiety. Wydawały się matowe, na sto procent musiały to być implanty. A zatem Rose nie była drugim dzieckiem.

– Jasne, smarkaczu. A przypominasz sobie, żebym kiedyś go nie miała?

Lachlan uściśnął ją lekko i cmoknął w policzek.

– A to kto? – zainteresowała się Rose.

– Na razie nikt. Zabieram ją do pozostałych.

Rose uniosła brwi i zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– A poddałeś ją już testom? Dopóki nie zostanie przebadana, nie powinna tu w ogóle przebywać.

– W ciągu ostatniego dnia była poddana takim samym próbom jak niejedno z naszych drugich dzieci.

– Ale inne przeszły poważniejsze testy niż ona – upierała się Rose. – No ale w porządku, jeśli za nią rączysz...

– Owszem.

– W takim razie proszę za mną – odrzekła Rose i poprowadziła nas do pokoju na tyłach, gdzie wskazała nam szafę. W środku wisiało mnóstwo mundurów zielonych koszul.

– Lachlan, dla ciebie sprawdzony mundur porucznika, tak?

– Tak jest. Stopień niewiążący się ze zbyt wielką odpowiedzialnością, idealny dla mnie.

– Domyślam się, że dla twojej towarzyszkii mundur rekruta – stwierdziła Rose, po czym wyjęła z szafy dwa komplety umundurowania i rzuciła mi jeden z nich. – Proszę, tam się możesz przebrać.

Wsunęłam się posłusznie za parawan i szybko wyswobodziłam z moich brudnych, porwanych ubrań. Poczułam się trochę dziwnie, bo nagle znalazłam się naga w jednym pokoju z obcymi ludźmi. A ponieważ byłam wysoka, parawan sięgał mi tylko do połowy klatki piersiowej. W końcu, przebrana, wyszłam zza niego, żeby się zaprezentować, a Rose kilkoma energicznymi ruchami wyrównała na mnie mundur.

– Wszystko ma leżeć równo jak od linijki, rekrucie! – upomniała mnie, wyrównując pasek w stosunku do zamka błyskawicznego.

Kiedy spojrzałam w lustro, zobaczyłam siebie w mundurze wroga. W swoich oczach dostrzegłam przerażenie. Na szczęście Rose podała mi okulary o przyciemnianych szklach i po chwili wyglądałam już groźnie jak pierwszy lepszy funkcjonariusz zielonych koszul. Prawdę mówiąc, moje odbicie w lustrze budziło we mnie teraz strach.

Przebrani za stróżów porządku, mogliśmy teraz poruszać się po Edenie przez nikogo niezaczepiani. W kręgach zewnętrznych ludzie schodzili nam z drogi. Natomiast im bliżej byliśmy Centrum, tym więcej osób ignorowało naszą obecność. Niektórzy witali nas skinieniem głowy, jakby sądzili, że ich wysoka pozycja społeczna gwarantuje, iż nie mają się czego obawiać. Część drogi przebyliśmy autopętlą, potem znów poruszaliśmy się pieszo. Na cywilnym plecaku, który mógłby budzić podejrzenia, Lachlan umieścił plakietkę „Materiał dowodowy”. Odgrywałam teraz rolę rekruta, który zamyka jakąś sprawę.

W pewnym momencie rozpoznałam ulicę, którą przechadzałam się niedawno z Lark. Na myśl o tym poczułam ukłucie w sercu. Zaglądałam w twarze przechodniom w nadziei, że ujrzę moją przyjaciółkę. Wiedziałam jednak, że o tej porze Lark pewnie jest w szkole. Poza tym nie rozpoznałaby mnie w tym przebraniu, a ja i tak nie mogłabym jej zaczepić.

Nagle Lachlan przyspieszył kroku. Gnaliśmy teraz przez kolejne ulice i po chwili znów straciłam orientację w terenie.

– Ufasz mi? – spytał nieoczekiwanie.

– Tak – odparłam bez zastanowienia. Ostatnio ludzie często zadawali mi to pytanie.

– W takim razie chodź.

Po tych słowach pociągnął mnie gwałtownie w głąb bocznej ulicy, po czym kopniakiem otworzył metalową kratę prowadzącą chyba do kanału. Ujrzałam czarną jamę, która wydawała się nie mieć dna. Otwór był niewiele szerszy od moich ramion. Instynktownie cofnęłam się o krok.

– Nie myśl. Nie zadawaj żadnych pytań. Po prostu wskocz – polecił Lachlan.

Sprawił teraz wrażenie lekko podekscytowanego, jakby z zaciekawieniem czekał, co zrobię – posłucham go czy rozczaruję.

Wspinaczka nigdy nie budziła we mnie strachu. Co prawda nie miałam okazji wspinać się na prawdziwą górę, wiedziałam jednak, że nie miałabym z tym problemu, niezależnie od wysokości. Jednak spadanie, a więc przeciwieństwo wspinaczki, to co innego. Myśl o upadku wywoływała we mnie skrajne przerażenie.

A co jeśli to pułapka? Co jeśli Lachlan w rzeczywistości pracuje dla Centrum, a teraz namawia mnie do skoku, którego nie przeżyję? W sumie najłatwiej rozprawić się z drugim dzieckiem, jeśli nakłoni się je, by z własnej woli skoczyło w przepaść. Przecież ten kanał może być w rzeczywistości jamą pełną trupów...

Z rozmyślań wyrwało mnie gwałtowne pchnięcie.

Próbowałam rozpaczliwie uchwycić się krawędzi, jednak na próżno... spadałam... bezwładnie leciałam w dół zwężającego się tunelu. Jego ściany były idealnie gładkie, nie mogłam uchwycić się niczego, co pozwoliłoby mi nieco przyhamować. Ściany stopniowo zbliżały się do siebie. Nagle do głowy przysłała mi straszna myśl, że w końcu zaklinuję się i zostanę tu porzucona na pewną śmierć...

W pewnym momencie wyczułam jednak, że tunel lekko zakręca. Zamiast dalej spadać, ześlizgiwałam się teraz wzdłuż łagodnej krzywizny. Wreszcie dotarłam do miejsca, gdzie korytarz biegł już poziomo. I wtedy, łagodnie i bezboleśnie, zatrzymałam się. Dopiero teraz, gdy nagły przypływ adrenaliny minął, zrozumiałam, że w sumie cała ta jazda w dół była całkiem fajna. Nie miałabym nic przeciwko spróbowaniu tego jeszcze raz, już bez obawy, że się zabiję.

Znalazłam się w kamiennej sali. Nagle uświadomiłam sobie, że to prawdziwe kamienie, skały! Naturalne minerały, takie same jak budulec mojego rodzinnego domu. Domyśliłam się, że to pewnie jakiś podziemny system jaskiń. Pomieszczenie rozświetlał blask fluorescencyjnych pasów umieszczonych na posadzce. Przyglądałam się z zaciekawieniem spiralnie skręconym formacjom skalnym, które zwieszały się z sufitu niczym wyszczerbione kły. Byłam tak oczarowana ich widokiem, że nie pomyślałam, by odsunąć się od wylotu tunelu i zostałam staranowana przez nadjeżdżającego chwilę po mnie Lachlana.

– Miałaś robić dokładnie to, co ci każę – stwierdził obcesowo. – W życiu drugiego dziecka nie ma czasu na niezdecydowanie. Najmniejszy błąd może kosztować cię życie.

Pobiegliśmy płataniną skalnych korytarzy, która wprawiała mnie w coraz większe zdumienie. Próbowałam zachować poczucie kierunku, w którym zmierzamy, i co jakiś czas przystawałam, żeby podziwiać niesamowity system jaskiń. Dotychczas nie miałam bladego pojęcia, że coś takiego istnieje pod powierzchnią Edenu. Nie mogłam jednak zbyt długo zachwycać się podziemną architekturą, gdyż Lachlan nieustannie mnie popędzał. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że chyba trzeci już raz przebiegamy obok tej samej formacji skalnej.

Podziemny labirynt, którym się poruszaliśmy, był absolutnie zdumiewający. Szybko zrozumiałam, że płatanina korytarzy stanowi najlepszy z możliwych środków bezpieczeństwa, pewnie skuteczniejszy nawet niż uzbrojeni strażnicy. Nawet gdyby ktoś niepowołany odnalazł wejście, co wydawało się raczej mało prawdopodobne, musiałyby przedrzeć się przez niesamowicie skomplikowany labirynt. W ten sposób miejsce, do którego się kierowaliśmy, było zabezpieczone przed wtargnięciem wszelkich intruzów.

Wreszcie Lachlan zwolnił kroku. Korytarzyk, w którym się znaleźliśmy, niczym nie różnił się od wszystkich pozostałych – miał tak samo łukowato sklepione ściany, a u stóp żarzyła się taka sama jak w innych miejscach nikła poświata.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Lachlan z uśmiechem. – Gotowa? Zaraz poznasz swoich braci i siostry. Całą rodzinę drugich dzieci.

Po tych słowach wziął mnie za rękę i szybko ją uściskał, po czym puścił.

Mój oddech momentalnie przyspieszył; odwzajemniłam jego uśmiech. A więc poznam ludzi takich jak ja, drugie dzieci, które zdołały ułożyć sobie życie. Nie miałam pojęcia, jak może ono wyglądać, jednak na myśl, że zaraz się tego dowiem, zakręciło mi się w głowie.

Lachlan nacisnął ukryty przycisk u wylotu pomieszczenia i po chwili w kamiennej ścianie zarysowała się szczelina. Kamienne płyty powoli rozsunęły się, ukazując mroczną pustkę.

– Śmiało – zachęcił mnie, uśmiechając się radośnie.

Wolałam nie powtarzać błędu popełnionego przed wskoczeniem do jamy. Bez zbędnych pytań, i bez strachu, zrobiłam krok do przodu i znalazłam się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Zaraz wyczułam wokół siebie jakiś ruch, jakies niewidoczne ręce dotykały mojego ciała. W pewnym momencie na głowę zarzucono mi coś ciężkiego i wilgotnego. Nagle poczułam, że znalazłam się w pułapce, zaczęłam się dusić.

– Nie, puście ją! – dobiegł mnie z tyłu krzyk Lachlana. – Rowan, nie!

Rozległy się odgłosy szamotaniny, niewidzialni napastnicy odciągnęli mnie na bok. Poczułam ukłucie w ramieniu i na chwilę cały świat zawirował...

Kiedy odzyskałam przytomność, na głowie nadal miałam ciężki worek, ciasno związany na szyi. W ramiona wpijał mi się sznur, którym mnie związano.

– Obudziła się.

Usłyszałam chłupot wylewanej wody i na głowę runęła mi lodowata powódź. Przemoknięty worek natychmiast przylgnął mi do twarzy – przylepił się do nosa i ust. Nie mogłam oddychać! Dopiero kiedy potrząsnęłam głową, utworzyła się niewielka szpara między przemokniętym materiałem a moimi ustami, przez którą mogłam zaczerpnąć powietrza. Było go jednak zbyt mało, czułam, że kręci mi się w głowie. Tonęłam, mimo że znajdowałam się na suchym lądzie.

– Jak masz na imię?

Odwróciłam się w kierunku, z którego dochodził nieznajomy głos. Jakaś ręka chwyciła od tyłu worek, razem z moimi włosami, i szarpnęła. Siedziałam teraz z odchyloną do tyłu głową i odsłoniętym gardłem, byłam bezbronna.

– Skąd macie te mundury? Kim jest chłopak, który ci towarzyszy?

Przesłuchujący potrząsnął gwałtownie moją głową, aż zaszczękały mi zęby. Nie odezwałam się jednak ani słowem.

Przesłuchanie ciągnęło się bez końca. Wypytywali o to, kim jestem, o Lachlana, skąd pochodzę i dokąd się wybieram. Nic im nie powiedziałam, nie uciekłam się też do kłamstwa. Nie dałam się sprowokować, gdy bili mnie po twarzy ani kiedy posadzili pod kranem, przechylili do tyłu i pozwolili, by kapiąca woda z wolna nasączała worek, przez co znów zaczęłam się dusić. Chciwie wsysałam powietrze przez mokry materiał, jednak do moich płuc dostawało się w ten sposób więcej wody niż tlenu.

Dwa razy straciłam przytomność. Stawiano mnie wtedy do pionu i ściągnano worek z głowy, żebym mogła swobodniej pooddychać. Kiedy dochodziłam do siebie, cały proces powtarzano od początku. Nie wiedziałam, jak długo to trwało. Miałam wrażenie, że wiele godzin.

W pewnym momencie ktoś nachylił się nade mną i warknął do mojego ucha:

– Będzie coraz trudniej. Jeśli zaczniesz teraz sypać, masz jeszcze szansę się z tego wywinąć. Możesz wystąpić jako świadek Centrum zeznający przeciwko innym. – Głos przesłuchującego brzmiał teraz całkiem rozsądnie. – Ten chłopak ma cię gdzieś. Jesteś tylko pionkiem w jego zdradzieckiej grze. Wykorzystuje cię.

– Nie – wymamrotałam w końcu. – Ocalił mi życie. Zabrał mnie w bezpieczne miejsce.

– Dokąd?

– Nie wiem. Puśćcie mnie, proszę.

– Jak się nazywasz?

W ostatniej chwili ugryzłam się w język.

– A jak on ma na imię?

Potrząsnęłam tylko głową, a w następnej chwili poczułam cios w skroń.

I znów ruszyła lawina pytań, niczym w jakimś niekończącym się koszmarze. Miałam poczucie, że gdybym mogła zobaczyć moich prześladowców, spojrzeć im w oczy, łatwiej zniosłabym przesłuchanie. Uderzenia i napastliwe głosy atakujące mnie z ciemności były niemal ponad moje siły. Nie miałam zamiaru niczego im mówić. Obawiałam się jednak, że jeśli ta męczarnia potrwa znacznie dłużej, w końcu mogę się złamać.

Zaczęłam łkać i teraz przy każdej próbie zaczerpnięcia oddechu w ustach czułam słony posmak łez. Błagałam ich, by przestali. Przysięgałam, że nic nie wiem. Po pewnym czasie odniosłam wrażenie, że w głosie oprawcy pobrzmiwają triumfalne nuty: na razie co prawda nie wyciągnęli ode mnie żadnych przydatnych informacji, ale zaczęłam mówić, byłam przerażona i zdesperowana. Dla mojego dręczyciela był to znak, że jest tylko kwestią czasu, bym zaczęła sypać.

W końcu popełnił jednak błąd. Udając dobrego gliniarza, nachylił się do mojego ucha i obiecywał łagodne traktowanie w zamian za wyjawienie interesujących go informacji. Przysięgał, że jeśli odpowiem na jego pytania, włos mi z głowy nie spadnie. I właśnie wtedy powiedział coś, czego nie powinien.

– Nie po to umarła twoja matka, żebyś ochraniała taką szumowinę jak chłopak, z którym tu przyszłaś.

Natychmiast zapłonął we mnie gniew, który stłumił wszelki strach. Jak on śmie wspominać o mojej mamie! Czyżby to on ją zabił? A może nie on sam, ale jakiś jego ziomek?

Z wściekłości aż obnażyłam zęby pod przemoczonym workiem. Moja matka umarła, żeby *mnie* ratować. Poświęciła się, żeby dać mi szansę na przyzwoite, bezpieczne życie.

Nieważne, co obiecuje mi ten mężczyzna – nigdy nie będę współpracować z Centrum ani zielonymi koszulami. Tak, zostałam schwytana, może trafię do aresztu albo mnie zabiją. Pamiętałam jednak, co mówił mi Lachlan – w Edenie istnieje cała społeczność drugich dzieci, które wiodą bezpieczne, szczęśliwe życie, jakiego pragnęła dla mnie moja mama. I właśnie dlatego, ze względu na nie oraz na pamięć mojej matki, nie powiem nic temu człowiekowi.

Głowa przesłuchującego nadal była blisko mojej, wciąż cedził mi do ucha obietnice, a jego palce zaciskały się na moich ramionach.

– Zabieraj ode mnie swoje brudne łapy, zielona koszulo! – warknęłam, uderzając go czołem w nos.

Rozległ się miły dla mojego ucha chrzęst, po nim niewyraźne przekleństwo. I usłyszałam głos... Lachlana.

– Wystarczy, Flint. Chyba już dowiodła, że nie pęknie.



WRESZCIE ŚCIĄGNIĘTO MI Z GŁOWY MOKRY worek. Skalne ściany w pomieszczeniu, w którym się znajdowałam, miały nieregularny kształt. Była to duża, okrągła sala przypominająca jaskinię. Lachlan stał parę kroków dalej, jego twarz miała zacięty wyraz. W pomieszczeniu znajdował się też inny mężczyzna, potężnej budowy czterdziestolatek o czarnych włosach przyprószonych siwizną. Jego blade błękitnoszare oczy sprawiały wrażenie implantów, jednak czarno-błękitne obwódki wokół tęczywek kazały się domyślać, że są jednak prawdziwe; mężczyzna ten musiał być wobec tego drugim dzieckiem. Z lekko przekrzywionego nosa skapywała mu krew.

– Każdego można złamać, to tylko kwestia czasu – stwierdził obojętnie Flint.

– A więc to był test? – spytałam, przenosząc spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego. – To nie było prawdziwe przesłuchanie?

– Ależ takie rzeczy się zdarzają – odparł Flint. – Jeśli dasz się schwytać, tak właśnie, albo gorzej, będzie wyglądała rozmowa ze służbami porządkowymi. Musieliśmy się upewnić, że nas nie wydasz, gdyby do tego doszło. A przynajmniej nie od razu. Odpowiadam za bezpieczeństwo wszystkich przebywających tu drugich dzieci. Nie mogę ryzykować, że wpuszczę kogoś, kto jest słaby i niegodny zaufania.

Jakaś część mnie odczuwała ulgę – byłam przekonana, że przesłuchanie będzie się ciągnąć do momentu, aż stanie się nie do zniesienia. I że na końcu czeka mnie śmierć. Z drugiej strony przepełniała mnie wściekłość, że dałam się oszukać. Byłam zła na tych mężczyzn za to, że przerazili mnie i torturowali. Złamany nos Flinta był niewystarczającą zapłatą za moje cierpienie.

Bliżej mnie stał teraz Lachlan. Rany na knykciach po bójkę z członkami gangu zdążyły się już zagoić, jednak nie dbałam o to – niewiele myśląc, wymierzyłam mu potężny cios w kość policzkową. Trafiłam dokładnie w księżycowatą bliznę pod jego okiem i twarz Lachlana zalała się krwią. Przyjął mój atak ze stoickim spokojem – nie wykonał żadnego ruchu, aby się zemścić.

W następnej chwili Flint chwycił mnie w pól, bez trudu podniósł i przestawił w miejsce, skąd nie mogłam już dosięgnąć Lachlana. Cała się trzęsłam z wściekłości, złożyłam ręce, żeby nie zobaczyli, jak dygoczą... i żeby znowu któregoś z nich nie rąbnęła. Najwyraźniej jednak przemoc nie robiła na nich wielkiego wrażenia.

– Jak mogłeś mi to zrobić? – wrzasnęłam wściekłym i zbolonym głosem. – Lachlan, sądziłam,

że to będzie coś jak bractwo, rodzina drugich dzieci. Otworzyłam przed tobą serce. Dlaczego w zamian nie umiałeś mi zaufać?

Spodziewałam się przeprosin. Zamiast tego Lachlan spojrział na mnie poważnie i powiedział:

– Podziemie to coś, co przerasta pojedynczego człowieka. To coś więcej niż jedna noc wypełniona cierpieniem. Wiemy o tobie dopiero od kilku dni. W przypadku drugich dzieci zazwyczaj dysponujemy większą wiedzą. Zwykle odnajdujemy je, kiedy są jeszcze małe, czasami w wieku niemowlęcym, a nawet przed urodzeniem. Nasze metody są wyrafinowane, w każdym razie bardziej niż te stosowane przez Centrum. Mimo to kompletnie nie zdawaliśmy sobie sprawy z twojego istnienia, wpadliśmy na twój trop zupełnie przypadkowo. Większość drugich dzieci zjawia się tutaj w tak wczesnym wieku, że stają się częścią rodziny. Są lojalne. Jednak w twoim przypadku...

– Nie wiemy, komu tak naprawdę dochowujesz wierności – wtrącił Flint.

– Przez całe życie byłam więźniem, ponieważ tego wymagała polityka narzucona przez Centrum – wrzasnęłam. – Ciągle żyłam w strachu, że trafię do więzienia lub zostanę zabita. Rząd zabił moją matkę! Jak możecie jeszcze wątpić, wobec kogo będę lojalna?

– Ludzie są pełni niespodzianek. Czasami potrafią zaskoczyć samych siebie – rzekł Flint. –

Nie wiesz, jak byś się zachowała w najtrudniejszych sytuacjach, dopóki się w nich nie znajdziesz. Na razie jednak pozwalam ci wejść do Podziemia. Stajesz się teraz jedną z nas... siostrą.

Po tych słowach wyciągnął do mnie rękę. Przyjrzałam się jej z zastanowieniem. Rozumiałam, dlaczego postąpił wobec mnie w taki, a nie inny sposób. Tyle że rozumiałam to tylko w teorii. Tymczasem fakt, że zrobił to *mnie*, zmieniał wszystko. Jest wielka różnica między tym, co racjonalnie należy zrobić, a tym, jak powinien postąpić dobry, przyzwoity człowiek. Logika nie zawsze powinna zwyciężać.

Mimo to ująłm jego dłoń i ścisnęłam. W tej samej chwili poczułam, jak przez moje ciało przepływa strumień jakiejś energii. Od razu się zorientowałam, że Flint jest z natury przywódcą. Wystarczyło na niego spojrzeć, by domyślić się, że ten mężczyzna umie trzymać wszystko pod kontrolą. Był człowiekiem, który pobudzał do działania. Miałam poczucie, że mogę na nim polegać. Nazwał mnie... *siostrą*. A więc nie byłam już dłużej sama.

Kiedy jednak Lachlan wyciągnął do mnie rękę, spiorunowałam go wzrokiem, po czym demonstracyjnie odwróciłam się w drugą stronę. Przecież zwierzałyśmy się sobie, opowiadaliśmy o swoim życiu... Nie do wiary, że po tym wszystkim naraził mnie na takie cierpienie. Rozumiałam, dlaczego tak postąpił wobec mnie Flint, i już mu przebaczyłam. Lachlanowi jednak nie umiałam przebaczyć. Może to bez sensu, ale taka była prawda.

– Chodź – odezwał się Flint, dotykając lekko mojego ramienia. – Przedstawię cię Podziemiu.

Opuściliśmy salę tortur – która wydawała mi się już zwyczajnym, niewinnym

pomieszczeniem – i przeszliśmy do sali tak niezwyklej, że odebrało mi mowę.

Znalazłam się wewnątrz klejnotu – fasetowanego, lśniącego, wielobarwnego klejnotu.

– Jesteśmy... – wydukałam, nie wierząc własnym oczom – jesteśmy nadal pod Edenem?

Spoglądałam na gigantyczną kryształową jaskinię, szeroką na niespełna kilometr. Sklepienie i większość ścian tworzyły jasne, połyskujące kamienie, które przywodziły na myśl barwiony lód. Moim oczom ukazała się cała feeria lśniących barw – blade odcienie różu i fioletu, przydymiony srebrny, lazurowy oraz barwy najczystszej diamentu. Wszystkie one, połyskując w nikłym fluorescencyjnym blasku, lśniły tak pięknie, że przez chwilę nie dostrzegałam nawet niezwyklej rzeczy kryjącej się niżej. Na środku skrzęcej się kryształowej jaskini rosło drzewo, sięgające wierzchołkiem niemal do samego sklepienia; jego korona rozpościerała się na ponad dziewięćdziesiąt metrów szerokości.

Drzewo. Żywe drzewo.

Miało potężny pień o średnicy od sześciu do dziewięciu metrów, pokryty guzami i powykręcany. Jego korzenie wiły się wokół pnia, po czym nurkowały pod ziemię. Ziemię? Prawdziwą ziemię? Przecież to niemożliwe. Dno jaskini przypominało leśne runo, pokrywała je warstwa brązowych opadłych liści.

Moje oczy powędrowały znów w górę pnia i wtedy po raz pierwszy w życiu mimo woli wykonałam gest, który wykonują bywalcy świątyni. Uniosłam zaciśniętą pięść na wysokość twarzy i rozprostowałam palce, naśladując ziarno wypuszczające pędy. Ogarnął mnie nabożny zachwyt. Najchętniej uklęknęłabym i ukryła twarz, bo poczułam, że tak należy się zachować w obecności czegoś tak niewysłowienie pięknego i doskonałego.

W tej samej chwili nad zieloną koroną rozbłysło światło świtu, a wszystkie kryształy zamigotały, jakby nagle zaczęły tańczyć. Po policzkach spływały mi łzy.

– To nie może być prawda – szepnęłam.

Ale przecież czułam cierpko-słodką woń, która kryła w sobie też coś jeszcze bogatszego i wilgotnego. Tak pachniały liście i sama Ziemia. Żaden człowiek od wielu pokoleń nie czuł tego zapachu, a jednak jakaś głęboko ukryta część mnie momentalnie ją rozpoznała. Moja krew przechowywała głęboko wspomnienie przyrody i teraz witała ją z radością.

Kiedy na niewidocznym horyzoncie wzeszło słońce, niebo z szarego stało się perłoworóżowe, zalewając świat u dołu delikatnym światłem świtu. Domyślałam się, że to jakaś techniczna sztuczka. Znajdowaliśmy się przecież pod ziemią, otoczeni przez skały. Najwyraźniej jakimś cudem mieszkańcom Podziemia udało się jednak stworzyć perfekcyjną imitację świtu. Było to coś więcej niż tylko barwy i światło – nagle poczułam ciepło na skórze w miejscach, gdzie padały na nie słoneczne promienie. Kryształy tworzące sklepienie i ściany lśniły teraz przepięknie.

– Drzewo jest prawdziwe – usłyszałam za sobą głos Lachlana. Byłam tak oniemiała, że nie

pomyślałam nawet, by się od niego odsunąć. – Ziemia także.

– Ale przecież... żadne drzewa nie przetrwały – wydusiłam z siebie.

Tego uczyli ludzi w szkołach. Cały świat jest martwy, gleba stała się toksyczna. Nie przetrwały żadne żywe organizmy z wyjątkiem paru najbardziej odpornych porostów, jednokomórkowców... no i garstki ludzi.

– Jedno nadal żyje.

– Ale jak to możliwe?

– To oczywiście zasługa Aarona Al-Baza – odezwał się Flint nabożnym głosem. – Człowieka, któremu zawdzięczamy ocalenie. Temu, który ocalił świat. Stworzony przez niego Eden był doskonałą oazą, ale ludzie wypaczyli jego idee. Naszą misją jest uczynienie z Edenu na powrót raju, jakim pierwotnie miał się stać.

– Co to za miejsce?

– Zapasowy Eden – wyjaśnił Flint. – Al-Baz stworzył go na wypadek, gdyby nie zdołano na czas ukończyć prac nad wersją naziemną. Albo gdyby na powierzchni panowało zbyt wielkie skażenie. Podziemie było sekretnym zabezpieczeniem przygotowanym na wypadek, gdyby ludzka działalność kolejny raz uniemożliwiła życie na powierzchni. Podziemie jest całkowicie autonomiczne i samowystarczalne. Zarządzane jest komputerowo niezależnie od Ekopanoptikonu.

To niesamowite. Uczono nas, że Ekopan kontroluje wszystkie komputery i systemy elektroniczne istniejące na planecie.

– Al-Baz wiedział, że człowiek nie zdoła przeżyć bez kontaktu z naturą – ciągnął Flint. –

Dlatego zatroszczył się o to, by przetrwało to drzewo. Ziemia, na której rośnie, to prawdziwa organiczna gleba z powierzchni planety sprzed Ekokłęski: czysta, wartościowa, nieskażona. Sięga do głębokości piętnastu metrów, dzięki czemu drzewo mogło zapuścić głęboko korzenie. Panele ukryte w kryształach stwarzają imitację światła słonecznego. W ten sposób drzewo nie wie nawet, że znalazło się pod ziemią. Zapewniony ma tutaj dopływ światła słonecznego, wodę, składniki odżywcze. Zadbano nawet o stworzenie iluzji zmieniających się pór roku. Drzewo wytwarza wystarczająco dużo tlenu, żebyśmy mogli tu oddychać, mimo że jaskinia jest całkowicie odcięta od powierzchni.

– Rowan, pomyśl tylko, jak musiał nas kochać, skoro dał nam to wszystko – odezwał się Lachlan, jednak nadal nie patrzyłam na niego. – Kochał ludzi tak bardzo, że pragnął nas ocalić przed nami samymi.

– No dobra, obowiązki wzywają – przerwał mu obcesowo Flint. – Lachlan, oprowadź ją po Podziemiu.

Zanim zdążyłam zaprotestować, starszy mężczyzna odwrócił się na pięcie i odszedł.

Lachlan próbował wzięć mnie za rękę, jednak odtrąciłam jego dłoń, jak tylko mnie dotknął. Za

każdy razem gdy na niego spojrzałam, powracało wspomnienie mokrego worka na mojej głowie i duszenia się. Lachlan cofnął się o krok i skinął głową, gestem zapraszając mnie, bym ruszyła przodem. Zrozumiałam, że chce w ten sposób dać mi przestrzeń. Najchętniej nie ruszałabym się stąd, tylko wpatrywała się zachwycona w drzewo.

– Domyślam się, że chciałybyś go dotknąć.

Tej propozycji nie umiałam odrzucić. Ruszyłam przodem, nie czekając na niego. Nie potrafiłam powstrzymać dłużej uśmiechu.

Kryształowe ściany wznosiły się wysoko i kryły liczne piętrowo ułożone galerie. Wszędzie wokół dostrzegałam mnóstwo przypominających mniejsze jaskinie bocznych sal. Sala przesłuchania, do której najpierw trafiłam, usytuowana była na czwartym piętrze; mieściła się na łukowato wygiętej ścianie gigantycznego kryształowego holu. Ruszyłam biegiem w dół po wyciętych w skale schodach, skupiając na sobie uwagę mijanych mieszkańców. Nie chciałam im się teraz przyglądać, na to czas przyjdzie potem. Jeszcze kilka dni temu ekscytował mnie widok ludzi, jednak teraz najważniejsze było drzewo. Nagle cały świat przestał się liczyć.

Biegłam po gładkiej kamiennej posadzce i nagle pod stopami poczułam ziemię. Zatrzymałam się gwałtownie i utkwiałam spojrzenie w swoich butach.

– Zdejmij je – dobiegł mnie z tyłu głos Lachlana.

Zrobiłam, jak radził, i już po chwili poczułam, jak moje palce dotykają najprawdziwszej, naturalnej ziemi. Uklękłam i zanurzyłam w niej dłonie. Ogarnęło mnie tak wielkie uniesienie, że zaczęłam ją całować. Z boku musiałam wyglądać jak skończona idiotka, z ustami ubrudzonymi ziemią, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie sądziłam, że kiedykolwiek w życiu doświadczę czegoś takiego. Od wielu pokoleń wszyscy mieszkańcy Edenu musieli zadowalać się życiem w sztucznym środowisku. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia nasi potomkowie zaznają wspaniałości przyrody.

Uśmiechnięta uniosłam spojrzenie na Lachlana... i nagle wróciło wspomnienie tortur i przesłuchania. Uśmiech znikł z moich ust, wstałam i odwróciłam się do chłopaka plecami.

Przede mną wznosiło się drzewo. Było gigantyczne, a im bliżej podchodziłam, tym wydawałam się mniejsza w porównaniu z jego ogromem. Podniosłam z ziemi zwiędły liść i roztarłam go delikatnie w palcach. Niemal natychmiast poczułam tę ostrą, pobudzającą woń, która przenikała tu całe powietrze. Dzięki niej czułam się żywa i pełna energii.

A chwilę potem dotknęłam pnia drzewa. Z początku mój dotyk był ostrożny, jakbym właśnie odkrywała nowo znaną miłość. Jednak zaraz potem przywarłam policzkiem do jego chropowatej i wydzielającej ostrą woń kory. Rozpostarłam ręce i przytuliłam się do pnia. Moje łzy spływały na korę, wsiąkając w nią i znikając bez śladu.

Przytulona do pnia, brodą dotykając kory, uniosłam spojrzenie ku koronie drzewa, która wyglądała niczym misterna mozaika światła i zieleni. Kiedy spoglądałam w górę, jeden listek

odczepił się od gałązki i zaczął powoli opadać na ziemię, tańcząc z gracją w powietrzu. Złapałam go w locie. Czy mogłam go zachować? Ten liść miał dla mnie większą wartość niż najdroższe klejnoty. Wsunęłam go ukradkiem za koszulę, na wysokości serca. Jeśli mnie za to powieszają, trudno. Ten listek był darem, jaki otrzymałam od drzewa.

– Stać, uwaga! – rozległ się nagle jakiś obcy głos.

Odwróciłam się błyskawicznie w tamtą stronę. Byłam pewna, że zaraz rzuci się na mnie oddział zielonych koszul albo coś w tym stylu.

Dlatego zupełnie nie byłam przygotowana na to, co ujrzałam – bandę małych ludzi, w patchworkowych ubraniach, którzy gnali w moim kierunku.

Nigdy nie widziałam dzieci z wyjątkiem Asha. Ze zdziwieniem przypatrywałam się teraz zgrai tych małych piszczących i roześmianych istot, nie bardzo wiedząc, czego mogę się po nich spodziewać. Kompletnie nie znałam się na dzieciach.

Okazało się jednak, że wcale nie pędziły do mnie. Wszystkie rzuciły się na Lachlana, obskoczyły go ze wszystkich stron, Ignęły do jego nóg, piszcząc z radości albo udając, że są groźne. I nagle stało się coś dziwnego – ten postawny, twardy chłopak, który jeszcze niedawno zgadzał się na to, żebym została poddana torturom, pozwolił teraz dzieciom przewrócić się na ziemię. Po chwili gromada maluchów wskoczyła na niego, tak że praktycznie zniknął mi z oczu. Zanosząc się śmiechem, łaskotał je, pozwalał chwycić się za kark i ujeżdżać, jakby był koniem...

Który z Lachlanów był prawdziwy? Ten, który nie dostrzegał nic nagannego w torturowaniu mnie, czy raczej ten, który pozwalał teraz, by jakaś czteroletnia dziewczynka z warkoczykami ciągnęła go za włosy?

Zdążył mi jeszcze posłać szybki, niemal przepaszający uśmiech, a już w następnej chwili jeden z chłopców skoczył mu prosto na głowę, zakrywając go całkiem.

– Lach! – piszczwały dzieci. – Wróciłeś! Strasznie za tobą tęskniliśmy! Co nam przyniosłeś? Biłeś się z kimś? Opowiedz nam, jak jest u góry.

– Dzieciaki, wystarczy już tego dobrego – zawołała jakaś pulchna kobieta o matczynym wyglądzie, podbiegając do Lachlana. – Dajcie mu odetchnąć!

Dziewczyneczka z warkoczykami uniosła na kobietę spojrzenie swych wielkich szczerych oczu i powiedziała z naciskiem:

– Ale my lubimy Lacha!

– Już to słyszałam – odparła kobieta, posyłając figlarny uśmiech Lachlanowi, który właśnie wstawał i otrząpywał zakurzone ubranie. – Prawdę mówiąc, słyszę to trochę zbyt często.

I kiedy widziałam te wszystkie dzieci, które z takim uwielbieniem wpatrywały się w chłopaka, nagle zrozumiałam, dlaczego tak, a nie inaczej postąpił w sali tortur. Lachlan chronił w ten sposób te drugie dzieci. To ze względu na nie uznał, że wolno poddać torturom dziewczynę, która właśnie straciła matkę i ucieka przed pogonią. Te dzieci należało chronić za wszelką cenę.

Ale zaraz przysłała mi do głowy inna wątpliwość: czy ja na jego miejscu postąpiłabym tak samo? Nie wiedziałam, rozumiałam już jednak, dlaczego tak właśnie zachował się Lachlan. A mając tę wiedzę, nie mogłam już dłużej się na niego złościć.

– Witaj – rzekła kobieta, wyciągając do mnie rękę. – Nazywam się Iris, jestem opiekunką Podziemia.

Przedstawiłam się, po czym Iris zaproponowała, żebym zwróciła się do niej, jeśli będę potrzebować jakichś ubrań czy rzeczy osobistych.

– Straszny grubianin z tego naszego Lachlana – stwierdziła żartobliwie. – Oczywiście nie przyszłoby mu nigdy do głowy, że kobieta może potrzebować do szczęścia pewnych wygód, choćby balsamu czy pilnika do paznokci. W Podziemiu panują co prawda dość spartańskie warunki, jednak wolę żyć w przekonaniu, że udało nam się zachować tu najlepsze wartości cywilizacji.

Uścisnęła mnie na pożegnanie, po czym pogoniła dalej gromadkę dzieci. Wszystkie maluchy, mijając mnie, przywitały się, a ja od razu poczułam, że jestem tu mile widziana. Tylko dziewczynka z warkoczykami zachowywała się wobec mnie z pewną rezerwą. Uścisnęła mi dłoń w bardzo formalny sposób i stwierdziła:

– Możesz lubić Lacha, ale nie za bardzo. Powiedział, że to ja jestem jego ulubienicą. Pamiętaj o tym!

Następnie pogroziła mi palcem i popędziła przed siebie. Jakoś zdołałam zachować kamienną twarz, dopóki mała się nie oddaliła.

– Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Pewnie marzysz o prysznicu i przebraniu się w coś czystego – powiedział Lachlan, po czym wskazał mój plecak i spytał: – Masz ze sobą jakieś ubrania?

Tak naprawdę to nie wiedziałam. Nie miałam nawet czasu, żeby sprawdzić, co noszę w plecaku.

– Spróbuję wycyganić coś w twoim rozmiarze.

– Dzięki... Lach – odparłam, na co on wyszczerzył zęby w uśmiechu i ruszyliśmy do mojego nowego lokum.



KIEDY WRESZCIE ZOSTAŁAM SAMA, POCZUŁAM, jak bardzo jestem wyczerpana. Najchętniej rzuciłabym się na łóżko, zwinęła w kłębek pod świeżutką jasnozieloną pościelą i spała całe wieki. Byłam jednak tak brudna, że tylko zapaskudziłabym łóżko. Dlatego najpierw przeszłam do niewielkiej wnęki prysznicowej i odkręciłam wodę. Prysznic trwał dopóty, dopóki nie poczułam, że lodowata woda poradziła sobie z większością, o ile nie całym brudem.

Przebywając w tym stanowiącym część Podziemia pokoju, czułam się, jakbym była w samym sercu Ziemi. Sale mieszkalne zostały wykute w żywej skale – wszystkie powierzchnie tutaj były gładkie, jednorodne, nigdzie nie dostrzegałam żadnych ostrych krawędzi, rogów i złączeń, od których roiło się w Edenie. Jasne, te sale też były dziełem rąk ludzkich, a nie naturalnymi jaskiniami, jednak za sprawą materiału, w jakim powstały, sprawiały wrażenie, jakby to sama Ziemia przygotowała je dla ludzi.

To znaczy dla *nas*, poprawiłam się szybko. Przecież stałam się teraz częścią tej podziemnej społeczności.

Wreszcie, wciąż wilgotna i zziębnięta po lodowatym prysznicu, położyłam się do łóżka i utkwiałam spojrzenie w suficie. Odczuwałam równocześnie zadowolenie, smutek i przemożne zmęczenie. Na podłodze przy łóżku położyłam plecak. Wiedziałam, że powinnam przejrzeć jego zawartość, żeby zorientować się, co właściwie kryje. Powstrzymywała mnie jednak świadomość, że spakowała go przecież mama i kiedy do niego zajrzę, powróci znów smutek, który na razie udawało mi się ignorować. Nigdy nie pogodzę się z jej śmiercią, wiedziałam jednak, że nie mogę w nieskończoność jej opłakiwać.

Wolałam rozmyślać o tym cudownym i dziwnym miejscu, do którego trafiłam. Lachlan wspomniał, że żyje tu około dwustu osób, zarówno dzieci, jak i ludzi w podeszłym wieku; wszyscy oni byli drugimi dziećmi. Tutejsza społeczność rozwijała się od około pięćdziesięciu lat, to znaczy od chwili gdy pewne drugie dziecko odkryło ten ukryty podziemny świat. Co prawda wielu jego mieszkańców od czasu do czasu wychodziło na powierzchnię, żeby uzupełnić zapasy, tym niemniej społeczność była na tyle odseparowana od świata, że zdołała wytworzyć zupełnie odrębną kulturę.

Nie wiedziałam jeszcze, jak wyglądałoby tutaj życie, jednak różnice, choćby w ubiorze, rzucały się w oczy. W Edenie panowała moda na krzykliwe, ekstrawaganckie i prowokacyjne stroje.

Tutaj natomiast dominowały bardziej stonowane i naturalne barwy. Noszone stroje miały mniej wymyślny krój, były luźniejsze, często zszywano je w fantazyjny sposób z fragmentów różnych tkanin, przetykając je niekiedy z pozoru gryzącymi się z całością, lecz w gruncie rzeczy pasującymi elementami, które nadawały ubiorowi niezwykłego charakteru. Powstała w ten sposób pstrokata szata nie sprawiała wcale wrażenia czegoś zrobionego na siłę, kazała raczej domyślać się świadomego wyboru dokonanego przez twórcę, który dobrał najlepsze elementy z różnych całości i łącząc je, stworzył coś jeszcze ładniejszego.

Niemal wszyscy ludzie, których tu widziałam, nosili kryształowe ozdoby. Większość miała po prostu kryształowy kamień zawieszony na sznurku na szyi, jednak widziałam też długowłosą dziewczynę, która fioletowy kryształ miała wprawiony w przepaskę noszoną na głowie. Pewien starszy mężczyzna, który wdał się ze mną w rozmowę, nie miał co prawda żadnych kryształowych ozdób, w pewnym momencie zauważyłam jednak, jak sięga do kieszeni i wyjmuje z niej kawałek lśniącego, wypolerowanego kryształu. Kiedy mówił, pocierał go w nabożny sposób.

Nie dostrzegłam wprawdzie żadnej biżuterii u Lachlana, jednak zauważyłam, że na szyi zawieszony ma cienki sznureczek, spleciony z czerwonej i pomarańczowej nici we wzór przywodzący na myśl węzową łuskę. Możliwe więc, że on także pod koszulą miał jakąś kryształową ozdobę.

Dotychczas poznałam osobiście tylko Iris i dzieciaki, ale i tak czułam się już jak u siebie. Wszyscy zachowywali się tu w bardzo naturalny, niewymuszony sposób. Inaczej niż mieszkańcy wewnętrznych kręgów, ludzie tutaj nie żyli w pośpiechu, nie gnali do pracy ani żeby się rozerwać. Nie przypominali też mieszkańców zewnętrznych kręgów, wiecznie przemierzających ulice w poszukiwaniu zarobku albo uciekających przed zagrożeniem. Obywatele Podziemia sprawiali wrażenie, jakby ich zegar wewnętrzny odmierzał czas w zupełnie innym rytmie. Nikt tu nie wyglądał na osaczonego czy znękanego. Przyglądając im się, zrozumiałam, że mieszkańcy naziemnego Edenu są wiecznie nakręceny i zestresowani, jakby wypili za dużo kawy.

Może była to zasługa kojącego wpływu drzewa, życia bliżej natury. Może żyjący w Podziemiu nareszcie znaleźli się w miejscu, do którego należeli, i to przyniosło im ulgę.

W miarę jak wdychałam zapach liści, a na skórze czułam dotyk rześkiego powietrza wypełniającego jaskinię, zaczęło mi się udzielać ich odprężenie. Wreszcie uspokoiłam się na tyle, by przejrzeć zawartość plecaka.

Na widok pierwszej rzeczy, jaką wyciągnęłam, wzruszenie odebrało mi mowę – był to mój ukochany pluszowy szympan. Mama musiała wyjąć go z worka na śmieci i po kryjomu, kiedy nie patrzyłam, zapakować mi do plecaka. Przytuliłam go mocno do piersi... ale już w następnej chwili odłożyłam delikatnie na bok.

W plecaku znalazłam też jeden komplet ubrań na zmianę i parę miękkich butów, śliczną

srebrzystą ozdobę do włosów, którą często nosiła mama, a także szkicownik i zestaw ołówków.

Na dnie natomiast znalazłam notatnik, ciasno owinięty w folię.

Jego stronicie zrobione były z jakiegoś nieznanego mi materiału, chyba sztucznego. W Edenie wykorzystywaliśmy wyłącznie nadające się do recyklingu tworzywa. Z lekcji historii środowiska wiedziałam jednak, że w przeszłości stosowano takie, które nie rozkładały się zbyt łatwo. W rezultacie tony plastikowych odpadów zalegały w oceanach, szkodząc ich mieszkańcom. Kiedy dotknęłam notatnika, przeszedł mnie dreszcz. Przez głowę przeleciała mi jednak myśl, że tak wytrzymały materiał jest wymarzoną budulcem dla książki: wodoodpornym, niemal obojętnym na upływ czasu; cokolwiek zostanie utrwalone w takim materiale, przetrwa wieki.

Wewnątrz odnalazłam coś w rodzaju manifestu czy może wyznania. Jego lekturę utrudniał mało czytelny charakter pisma – niektóre słowa były zapisane bardzo wyraźnie, jednak zdarzały się też mniej zrozumiałe, niemal nieczytelne akapity. Można było odnieść wrażenie, że autor był w stanie przelać swe myśli na papier wyłącznie w formie takiej bazgraniny, notowanej bez żadnego namysłu, tak szybko, jak tylko możliwe.

Zanim jeszcze dotarłam do ostatniej strony, zaczęłam się domyślać, kto może być autorem. Ta ostatnia strona, mimo że znajdowała się rzeczywiście na końcu, stanowiła równocześnie środek notatek, bowiem najwyraźniej ktoś wyrwał, czy wręcz wyszarpał z notatnika połowę kartek. Na ostatniej stronie, która luźno trzymała się okładki w miejscu, skąd usunięto pozostałe kartki, atramentem w innym kolorze dodano podpis. Wpatrywałam się w niego przez długą chwilę.

Aaron Al-Baz. Prorok nadciągającej katastrofy. Twórca Edenu. Zbawca Ziemi.

A jeśli to faktycznie były jego zapiski – również człowiek obłąkany, potwór w ludzkiej skórze.

Zapoznałam się dokładnie z treścią notatek, a potem przeczytałam wszystko jeszcze raz, żeby upewnić się, że dobrze rozumiem. Całą godzinę zajęło mi zrozumienie zapisanej w notatniku historii. Kiedy wreszcie uznałam, że ją pojęłam, dalej nie mogłam w to uwierzyć. Aaron Al-Baz był bohaterem, człowiekiem, któremu ludzkość zawdzięczała przetrwanie i dzięki któremu pewnego dnia Ziemia znów się odrodzi po zniszczeniach, jakie jej zgotowaliśmy. Taką wersję przedstawiały wszystkie podręczniki. W każdej świątyni Aaron był sławiony niczym półbóg.

Nagle poczułam potrzebę, by natychmiast podzielić się z kimś swoim znaleziskiem. W tej samej jednak chwili rozległo się pukanie do drzwi, a zaraz potem, nie czekając na pozwolenie, do środka wszedł Lachlan. W mgnieniu oka wsunęłam notatnik pod pościel i przywołałam na twarz niewinny uśmiech. Zapewne niezbyt przekonująco to wypadło, ale chłopak powstrzymał się od komentarzy. Wiedział, że ostatnio miałam wiele powodów do zmartwień.

Potrzebowałam więcej czasu, żeby przetrawić to, czego się właśnie dowiedziałam. Trwałość społeczeństwa opiera się na podzielanych przez jego członków wierzeniach. Co się stanie, gdy te legną w gruzach? Musiałam się nad tym jeszcze zastanowić. Ta wiedza utrzymywana była

w tajemnicy przez ponad dwieście lat, więc dodatkowa godzina czy dwie nie powinny stanowić różnicy.

Kiedy jednak Lachlan zabrał mnie na spotkanie z ważniejszymi mieszkańcami Podziemia, czułam się dziwnie odrętwiała. Poznałam kucharzy, sukienników, muzyków, bazarzy, uzdrowiaczy, a nawet duchownych z miejscowej świątyni. Zawsze marzyłam, by wziąć udział w świątynnych modłach. Jednak teraz, mimo że nadarzała się taka okazja, wszystko w odprawianych w świątyni rytuałach wydało mi się podszyte fałszem.

Nie, nie wszystko. Autentyczny był głoszony tam przekaz nadziei, potrzeba uzdrowienia przyrody, nawiązania z nią zerwanych więzów, otaczania jej miłością, opieką i szacunkiem.

Kiedy jednak pomyślałam o głównym punkcie modłów, czyli postaci, której były poświęcone, twarz wykrzywił mi grymas. Z trudem skupiałam się na tym, co działo się wokół mnie. Nie udawało mi się w porę uśmiechać; zapominałam imiona, którymi przedstawiały się poznawane osoby. Stałam niema jak kołek w płocie.

Zanim zdążyłam poznać wszystkich, Lachlan wyczuł, że winien jest miejscowym wytłumaczenie.

– Rowan musi wypocząć. Potrzebuje spokoju. Dajmy jej czas.

Pełni zrozumienia, piękni, szczęśliwi i spokojni mieszkańcy Podziemia zajęli się swoimi sprawami. Najwyraźniej gotowi byli zaakceptować mnie, choćbym zachowywała się najbardziej grubiańsko.

Lachlan zaprowadził mnie następnie z powrotem ku korzeniom drzewa. Niektóre z nich wily się na powierzchni, po czym zanurzały pod ziemię. Jak tylko znalazłam się w ich pobliżu, spłynął na mnie spokój.

– Wiesz, co to za gatunek drzewa? – spytał Lachlan. Będąc tutaj, przemawiał łagodnym, spokojnym głosem.

Dawno temu Ziemię porastały tysiące gatunków drzew. W podręcznikach do historii środowiska znalazłam informacje poświęcone tylko kilku z nich: potężnym dębom, delikatnym brzozom o srebrzystej korze, klonom, z których pozyskiwano cenny słodki syrop i jodłom, które ówczesnie żyjący ludzie traktowali nader lekkomyślnie: z okazji zimowych świąt ścinał je i zanosili do domów, po czym ozdabiali lampkami.

Drzewo rosnące w Podziemiu nie przypominało żadnego z nich.

– To kamforowiec – wyjaśnił Lachlan. – Jak widzisz, z drzew tego gatunku wyrastają prawdziwe olbrzymy. W momencie Ekoklęski najstarsze z nich liczyło sobie ponad dwa tysiące lat.

– To dlatego... – zawahałam się na moment. Nazwisko tego człowieka nie chciało mi przejść przez usta. – To dlatego twórcy Podziemia wybrali właśnie ten gatunek?

– Po części dlatego, ale był też inny powód: zapach – stwierdził Lachlan, wdychając głęboko

aromatyczne powietrze. – Pomyśl tylko o tych wszystkich ciałach zgromadzonych na niewielkiej przestrzeni odciętej od dopływu świeżego powietrza. Gdyby nie woń liści kamforowych unosząca się w powietrzu, pewnie to miejsce nie pachniałoby zbyt miło.

Miałam wielką ochotę opowiedzieć mu o plecakowym znalezisku. Dzięki temu zrzuciłabym ciężący mi balast wiedzy. W porę jednak ugryzłam się w język.

– Drzewo to ma też pewne właściwości lecznicze – ciągnął tymczasem Lachlan. – Pozyskiwane z niego ilości oleju kamforowego są oczywiście bardzo skromne, ale w niewielkich dawkach ma on zbawienny wpływ na choroby płuc i serca. W większych dawkach natomiast może być śmiertelny.

Wszystko to było ciekawe, jednak największe moje zdumienie nadal budził sam fakt, że to drzewo w ogóle istniało. Chciałam znów go dotknąć, poczuć w palcach jego liście.

– To konkretne drzewo jest wyjątkowe na tle wszystkich pozostałych okazów jego gatunku. Stanowi symbol niezwykłej odporności przyrody, zdolności do przetrwania mimo wszelkich strasznych rzeczy, jakie wyrządził jej człowiek. Pamiętasz może z lekcji historii czytanekę poświęconą straszному konfliktowi zbrojnemu nazywanemu II wojną światową?

Coś tam pamiętałam, jednak w mojej pamięci wojna ta zlewała się ze wszystkimi innymi bezsensownymi konfliktami w historii ludzkości.

Lachlan przypomniał mi jeden z epizodów II wojny światowej – moment, w którym pewna grupa ludzi zrzuciła bombę atomową na inną grupę. I to nie na pole bitwy, tylko na miasto pełne dzieci w wieku szkolnym, matek, sklepikarzy, ogrodów i placów zabaw.

W mgnieniu oka całe miasto, wraz z mieszkańcami i roślinnością, zostało spalone na popiół. Uznano, że nic nie miało prawa przetrwać tej hekatombi oraz że nic już w tym miejscu nigdy nie urośnie.

Wraz jednak z nadejściem wiosny z kilku zwęglonych pni wystrzeliły świeże zielone pędy. Był to znak, że przyroda zniosła najstraszniejszy los, jaki mógł wówczas zgotować jej człowiek.

– To drzewo, pod którym teraz stoimy, pierwotnie było sadzonką pochodzącą z jednego z tamtych okazów, które przetrwały kataklizm – stwierdził Lachlan, dotykając nabożnie kory. –

Stanowi ono żywy symbol cudownej zdolności do odradzania się przyrody. Aaron Al-Baz sądził, a wszyscy nadal podzielamy jego wiarę, że Ziemia okaże się równie jak to drzewo wybacząca. Niestety ludzie nie wybacząją. Dokonujemy błędnych wyborów, zaniedbujemy bliźnich w potrzebie. Jesteśmy wszystkim, co pozostało z ludzkości, a mimo to części populacji odmawiamy prawa do życia. Oczywiście istnieje ryzyko, że jeśli nie będziemy kontrolować rozrodczości, wyczerpiemy zasoby. Jednak z drugiej strony jak to możliwe, byśmy, będąc cywilizowaną społecznością, z jakiegokolwiek powodu mordowali własne dzieci? Musi istnieć jakiś inny sposób przetrwania!

Mówiąc to, Lachlan uderzył pięścią w pień. Byłam w lekkim szoku, ale oczywiście na drzewie

nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Istnieje wiele aspektów działania Edenu, które wymagają naprawy. Zbyt daleko odeszliśmy od głoszonych przez Aarona Al-Baza ideałów dobroci i współczucia.

Mimo woli parsknęłam cicho, na co Lachlan zareagował zdziwionym spojrzeniem. Nie mogłam już dłużej ukrywać tego, co wiem.

– Rowan, to nie jest tak, że my, drugie dzieci, po prostu się tu ukrywamy. Nie chodzi tylko o przetrwanie i przeczekanie. Jesteśmy dziećmi Edenu – oświadczył, po czym zamilkł, pozwalając ostatnim słowom wybrzmieć w uroczystej ciszy. – Opracowujemy plan przejścia kontroli nad Edenem i uczynienia z niego miejsca, w którym wszyscy będą bezpieczni, równi i wolni. Mamy sojuszników na powierzchni.

– Takich jak twój brat?

– Tak, ale oprócz niego jest też wielu innych. Niedola, jakiej doświadczają drugie dzieci, to nic w porównaniu z cierpieniem, jakie znosić muszą ubodzy. Drugich dzieci jest kilkaset, tymczasem ludzi źle sytuowanych, ubogich i z trudem wiążących koniec z końcem są tysiące. Widziałas na własne oczy kręgi zewnętrzne. Jak to możliwe, by w rajku zaprojektowanym przez Aarona Al-Baza istniało tyle nędzy i zbrodni? Utopia, jaką stworzył, została zdeprawowana przez działania spragnionych władzy elit. Al-Baz nigdy by nam nie wybaczył, gdyby wiedział, że dopuściliśmy do tego, by wypaczono jego projekt.

Mówił teraz niskim, lecz dźwięcznym, zdecydowanym głosem. Wydawał się wyższy niż w rzeczywistości.

– Rowan, zbliża się dzień rewolucji. I potrzebujemy twojej pomocy.

Byłam tak zdumiona, że na moment zapomniałam o tym, co wyczytałam w manifeście Al-Baza.

– *Mojej pomocy?* A cóż ja mogę zdziałać?

– Możesz oddać nam swoje implanty.

Zamrugałam szybko, jakbym faktycznie miała już w oczach soczewki.

– Nie mam ich jeszcze.

– Ale wiesz, gdzie miała się odbyć operacja, prawda? I znasz tożsamość cyberchirurga, który miał ci je wszczepić.

Lachlan sprawiał teraz wrażenie niezwykle podekscytowanego. Przyjął wyczekującą, lekko pochyloną postawę, jakby lada moment miał ruszyć przed siebie biegiem.

– Mama zdradziła mi, dokąd jedziemy – odparłam. – Chyba umiem odszukać to miejsce.

– W takim razie powiedz mi, gdzie to jest.

W tym samym momencie wyczułam, że nie powinnam tego robić. Zalęgło się we mnie podejrzenie, że jeśli przekażę mu tę cenną informację, stanę się zbędna. Posiadanie jej obdarzało mnie czymś w rodzaju władzy, a w każdym razie dawało mi mocną kartę przetargową. Opis

miejsca, który w końcu podałam Lachlanowi, był celowo niejasny. Potrząsnął głową i stwierdził, że nie potrafi dopasować go do żadnego konkretnego miejsca.

– W którym kręgu znajduje się ta klinika?

– W jednym z zewnętrznych. Myślę, że mogłabym ją odnaleźć – zaproponowałam. – Mam przecucie, że kiedy już znajdę się w tamtej okolicy, przypomnę sobie dokładniej opis, jaki podała mi mama. A wtedy będę mogła cię tam zaprowadzić.

Lachlan przyglądał mi się długo bez słowa, jakby zorientował się, że zatajam przed nim część prawdy. Ponieważ jednak wyrażałam chęć zabrania go w to miejsce, uznał chyba, że to wystarczy.

– No to chodźmy! – rzekł w końcu. – Wypoczęłaś już?

– Jesteś pewien, że powinnam tak szybko wrócić na powierzchnię? – spytałam powątpiewającym tonem. – Czy to na pewno bezpieczne? Poza tym na powierzchni jest teraz dzień, prawda?

Tak przynajmniej sugerowały panele świetlne umieszczone na sklepieniu jaskini, choć moje ciało nie było wcale takie pewne, która może być godzina.

– Naturalnie, masz rację – zreflektował się Lachlan. – Jestem niecierpliwy, bo od dawna czekam na taką okazję. Wiesz, od kiedy szukamy zdolnego cyberchirurga umiającego stworzyć fałszywe implanty, które oszukałyby skanery? Jakiś czas temu dostaliśmy cynk, że ktoś taki istnieje. Dotyczył człowieka, do którego miałaś trafić na zabieg. Jednak nie mogliśmy go namierzyć. Krążą plotki o kimś, kto potrafi włamać się do wewnętrznego systemu komputerowego Ekopanoptykonu. Dotychczas nie mieliśmy jednak pojęcia, czy można im dawać wiarę. Żeby odnaleźć tego specjalistę i wynająć go, twoi rodzice musieli wykorzystać wszystkie swoje znajomości w rządzie, a także wydać mnóstwo pieniędzy.

Odparłam, że nie miałam dotychczas pojęcia o skali trudności tego przedsięwzięcia. Ze słów mamy wynikało, że już przede mną w Edenie żyły inne drugie dzieci z implantami pozyskanymi na czarnym rynku.

– To prawda – przyznał Lachlan – ale ich soczewki nie są zbyt dobre. Pozwalają co prawda udawać pierworodnego oraz oszukać proste skanery sprawdzające tożsamość, nigdy jednak nie stworzono jeszcze implantów, które umożliwiłyby nawiązanie pełnej łączności z sieciami neuronowymi, ani takich, które pozwoliłyby oszukać każdego urzędnika Centrum, każdego bota ochrony czy sam Ekopanoptykon. Jeśli w tych pogłoskach jest ziarno prawdy, człowiek ten umie tego dokonać. Muszę go odnaleźć i zdobyć soczewki, które przygotował dla ciebie.

Nagle ogarnęły mnie skrupuły – przecież mama oddała życie, żeby je dla mnie zdobyć. Te soczewki to dla mnie jedyna szansa na normalne życie. Gdzieś tam u góry czekała rodzina gotowa przyjąć mnie pod swój dach. Czy to w ogóle było jeszcze możliwe w mojej obecnej sytuacji? Czy władze wiedziały już zbyt wiele na mój temat i pierwotny plan stał się nieważny?

Zwiesiłam głowę – ależ oczywiście, że było już za późno. Zamiast normalnego życia na powierzchni skazana byłam teraz na egzystencję w Podziemiu. Nie tak to sobie wyobrażałam, ale całe moje życie nijak się przecież miało do marzeń. Jasne, mogłam oddać moje soczewki.

Ale zaraz uderzyła mnie inna myśl i nagle ogarnęła mnie złość:

– Czy to znaczy, że to ty będziesz miał wprawione moje implanty? Będziesz mógł uchodzić za pierworodnego i żyć odtąd na powierzchni Edenu?

Podczas gdy ja będę tkwiła tutaj, znowu jako więzień? Tej ostatniej myśli nie ubrałam oczywiście w słowa. Nie byłam gotowa powiedzieć tego na głos, ale urok życia w Podziemiu w pewnym stopniu wiązał się z faktem, że miałabym obok siebie Lachlana. Nie chciałam, żeby teraz zniknął.

– Planujemy zinfiltrować najwyższe poziomy Centrum. Pracujemy nad tym od lat, brakowało nam tylko jednej rzeczy: soczewek. Kiedy już je zdobędę, będę mógł zamieszkać w wewnętrznym kręgu u rodziny, która sympatyzuje z naszym ruchem. Czeka już na mnie miejsce w Akademii Dębów.

Była to najbardziej elitarna szkoła w Edenie, zarezerwowana dla dzieci dygnitarzy Centrum. Szkoła, do której uczęszczał Ash, była całkiem niezła, ale Akademia Dębów to inna półka – trafiały tam wyłącznie dzieci ścisłej elity Edenu.

– Uciekliśmy się do szantażu, przekupstwa i gróźb, żeby to wszystko zaaranżować. Flint odchodzi z tego powodu od zmysłów, ponieważ dotychczas to on odpowiedzialny był za wszystkie nasze operacje. Tutaj jednak potrzeba kogoś, kto przeniknie w pobliże wysoko stojących w hierarchii społecznej rodzin Edenu, a on się do tego zupełnie nie nadaje. Poza tym oczywiście jest za stary, żeby rozpocząć naukę w Akademii Dębów. Natomiast kiedy ja się do niej dostanę, z moją fałszywą tożsamością będę mógł z łatwością zinfiltrować Centrum dzięki znajomości z synami i córkami jego pracowników.

Ten plan wydawał się całkiem sensowny. Pojawienie się znikąd dorosłego pokroju Flinta budziłoby podejrzenia, natomiast młodemu człowiekowi udającemu sierotę, który wprowadza się do krewnych, łatwiej będzie wmieszać się w towarzystwo rówieśników. Lachlan był obdarzony tak wielką charyzmą, że chyba mógł tego dokonać.

Z drugiej strony zaczęłam już wyobrażać sobie, jak mogłaby wyglądać nasza przyjaźń w Podziemiu – nie chciałam go tak szybko stracić. Pewnie to dziwne, ale odkąd zostałam całkiem sama, tym bardziej potrzebowałam nowych znajomości. Nasza znajomość trwała zaledwie kilka godzin, ale prawdę mówiąc, polubiłam już Lachlana. Na przemian budził we mnie złość i oczarowanie. Chciałam poznać go lepiej.

– Zatem wyjdziemy jutro w nocy, zaraz po zachodzie słońca – oświadczył. – W międzyczasie możesz lepiej poznać Podziemie, no i wypocząć, zanim wyruszymy.

Perspektywa powrotu na powierzchnię Edenu lekko mnie przerażała. Dodatkowo niepokojąca

była zdobyta przeze mnie niedawno wiedza na temat Aarona Al-Baza. Na szczęście bardzo szybko przekonałam się, że przebywanie wśród mieszkańców Podziemia działa uspokajająco i kojąco. W ich towarzystwie momentalnie się odprężyłam; w pewnym sensie czułam się nawet jak w domu. Prowadzone przez nas rozmowy dotyczyły różnych tematów: czasami gawędziliśmy o zwyczajnych sprawach – mojej ulubionej potrawie, modowych trendach obowiązujących teraz w Edenie – kiedy indziej zaś prowadziliśmy ożywione dyskusje na temat polityki, równości i wolności. Z początku niechętnie się odzywałam, jednak z czasem za sprawą wszechogarniającego poczucia spokoju otworzyłam się i brałam żywy udział w dyskusjach.

Lachlan pojawiał się od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Za każdym razem kiedy zjawiał się u mego boku, miałam ochotę odciągnąć go na stronę i opowiedzieć o tym, czego się dowiedziałam na temat założyciela Edenu. Zanim jednak zdążyłam się przełamać, Lachlan znikał. To, co chciałam mu powiedzieć, zakrawało tu na bluźnierstwo. Wiedziałam jednak, że zarówno on, jak i Flint, i wszyscy mieszkańcy Edenu powinni poznać prawdę.

Gawędziłam akurat z pewnym starszym mężczyzną na temat głębszych jaskiń istniejących poniżej drzewa kamforowego, których ściany stanowić mogą nie lada wyzwanie dla wspinacza, gdy rozległ się ogłuszający dźwięk syreny alarmowej. Prerażona potoczyłam wkoło spojrzeniem, jednak nigdzie nie zauważyłam nic, co mogłoby mi bezpośrednio zagrażać.

Mimo to w mgnieniu oka przepadła gdzieś aura spokoju. Szczęśliwi i zrelaksowani mieszkańcy Podziemia w jednej chwili przemienili się w ludzi twardych i gotowych stawić czoła niebezpieczeństwu. W ich rękach nagle pojawiła się broń. Niektórzy biegli dokądś, żeby zająć pozycje bojowe; inni skradali się i mierzyli z broni do niewidocznych celów...

– Co się dzieje? – spytałam, chwytając za rękę przebiegającego Lachlana.

– Na ziemię! – rzucił mi w biegu.

Po chwili dotarł do niszy w skalnej ścianie, zarzucił sobie strzelbę na plecy, po czym zaczął się wspinać po pniu kamforowca.

Nadal nie wiedziałam, co nam zagraża. Jednak z każdą sekundą pulsujący dźwięk syreny wwiercał się głębiej w moją czaszkę. Nie miałam najmniejszej ochoty leżeć skulona na ziemi, a ponieważ nie wiedziałam, w którą stronę powinnam pobiec, postanowiłam wspiąć się na drzewo śladem Lachlana. Mój instynkt podpowiadał mi, że to najlepsze wyjście.

Kiedy Lachlan mnie zobaczył, na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, ale nie złość. Żałowałam, że nie mam więcej czasu, by nacieszyć się tą jedyną w swoim rodzaju wspinaczką. Różniła się znacznie od forsowania skalnych ścian i nie od razu złapałam właściwy rytm. W niższych partiach miałam do dyspozycji szczeliny i sęki w korze, natomiast wyżej musiałam obrać inną strategię – owijałam ramiona wokół grubszych konarów i przez chwilę zawisałam, huśtając się w powietrzu; następnie trzeba było uchwycić się nogami innego konaru i podciągnąć

się na niego. Taka wspinaczka dawała masę frajdy, ale była też bardzo forsowna.

Kiedy byliśmy już wysoko w koronie, całkiem niedaleko od kryształowego sklepienia, Lachlan stanął, opierając się o jedno z rozgałęzień. Spojrzeniem wskazał mi podobne stanowisko nieco wyżej. Kiedy wspinałam się tam, Lachlan ułożył się wygodnie na jednym z konarów i przytrzymując się udami, wycelował z karabinu w kierunku głównego wejścia do jaskini. Ze swojego stanowiska spoza liści widziałam wyraźnie wrota, jednak dla ludzi przekraczających je pozostawaliśmy z Lachlanem niewidoczni. Miejsce, w którym się zatrzymał, było wymarzoną stanowiskiem snajperskim.

Podziemie było gotowe do boju, jednak nic się nie działo. W pewnym momencie przeraźliwy ryk syreny umilkł, ale Lachlan nie odrywał oczu od celownika przez kolejne pięć minut. W oczekiwaniu przygryzałam nerwowo wargę.

W końcu rozległ się inny alarmowy dźwięk – tym razem łagodniejszy i buczący. W tym samym momencie dojrzałam, jak mężczyzna rozluźnia spięte mięśnie.

– Alarm odwołany – powiedział. – Niedługo dostaniesz polecenie wzięcia udziału w ćwiczeniach obronnych, ale już teraz mogę ci powiedzieć, że świetnie ci poszło. Uniknęłaś zagrożenia, trzymałaś się na uboczu. Z tej pozycji mogłabyś śmiało namierzać cele dla snajpera. Dobra robota.

Po tych słowach zarzucił strzelbę na ramię i zaczął schodzić. Ruszyłam za nim i bardzo szybko zrozumiałam, że schodzenie jest znacznie trudniejsze niż wspinanie się na szczyt drzewa.

– To znaczy, że nic nam nie groziło? – spytałam zbita z tropu. – To tylko ćwiczenia?

Zatrzymał się i spojrzał na mnie z dołu.

– Pamiętaj, że zagrożenie jest nader realne. Podziemiowi ciągle grozi śmiertelne niebezpieczeństwo – przypomniał, po czym dodał z cierpkim uśmiechem: – W końcu jesteśmy w stanie wojny.



PO WCZESNEJ WSPÓLNEJ KOLACJI, ZŁOŻONEJ z prostych, lecz przepysznych dań serwowanych przez dzieci (które na próżno starały się zachować powagę) postanowiłam, że pójdę od razu do łóżka. Domyślałam się, że ciężko mi będzie zasnąć tak wcześnie – myślami byłam już przy poszukiwaniach cyberchirurga, na które mieliśmy ruszyć tej nocy. Na powierzchni było już niemal całkiem ciemno, a w Podziemiu sufitowe panele imitowały zachód słońca: łagodne pomarańczowe światło sączyło się przez gałęzie kamforowca i oświetlało mi drogę, kiedy zmęczona wracałam do swojego pokoju.

Po wejściu zamknęłam za sobą drzwi. Były pozbawione zamka, co teoretycznie powinno mnie zaniepokoić, ale zaraz uświadomiłam sobie, że przecież nic mi tu nie groziło – zagrożenie mogło nadejść wyłącznie spoza Podziemia, ze Świata Nad, jak nazywano Eden na powierzchni Ziemi. Rzuciłam się na łóżko, przekonana, że czeka mnie teraz wielogodzinne wpatrywanie się w sufit. Musiałam jednak zasnąć natychmiast, bo zaraz potem zorientowałam się, że jestem w jakimś zupełnie innym miejscu.

Jakaś część mnie była świadoma, że to tylko sen, ale w żaden sposób nie osłabiało to jego niepokojącego wydźwięku. We śnie przechadzałam się po łące porośniętej dzikimi kwiatami i wysoką trawą. Dokładnie widziałam te rośliny, z każdym krokiem w powietrze wzbijała się oszałamiająca woń deptanych ziół. Świat, w którym się znalazłam, wydawał się całkowicie realny. W pewnym momencie przed sobą dostrzegłam jakieś kształty, jakby coś leżącego na ziemi. Ruszyłam z uśmiechem w ich kierunku, pewna, że to zwierzęta.

Zanim zbliżyłam się na tyle, by móc je rozpoznać, uderzył mnie bijący od nich odór. Były to rozkładające się ludzkie zwłoki. Leżały pośród tej pięknej kwitnącej łąki. Z przerażeniem spoglądałam na powykręcane, zniekształcone kończyny, twarze wykrzywione w przedśmiertnym grymasie, póki zgnilizna nie pochłonie resztek ciała. Proces rozkładu już się rozpoczął, nie było co do tego wątpliwości. Nagle zapach kwiatów wydał mi się zbyt słodki, przyprawiał o mdłości, a po chwili przeszedł w woń krwi i zgnilizny.

Z początku pod ciałami widziałam trawę. Jednak w miarę jak szłam – a ponieważ był to sen, nie mogłam się zatrzymać, rozplakać ani uciec – zwłok przybywało, tak jakby wyrastały spod ziemi niczym rośliny. Przypominało to jakieś makabryczne plony.

Brnęłam uparcie, niemal brodziłam, pośród nieżywych. W końcu dotarłam do miejsca, gdzie ciała leżały jedne na drugich. Musiałam wówczas wejść na nie i wspinać się niczym po

schodach, a wreszcie pełznąć na czworakach ku szczytowi góry zwłok. Czułam, jak moje palce zapadają się w gnijącym mięsie. Nie mogłam się zatrzymać, ponieważ widziałam, że na szczycie góry ciał stoi jakaś postać: wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnych włosach z równo przystrzyżoną kocią bródką. Wiedziałam, że muszę się do niego dostać.

Patrzył na mnie z góry, a jego spojrzenie było łagodne. Zachodziłam w głowę, jak to możliwe, skoro stał na górze gnijących ciał. Górze ciał ludzi, których zgładził. Człowiekiem tym był, oczywiście, Aaron Al-Baz.

Wyciągnął do mnie rękę, jakby chciał pomóc mi wspiąć się na sam szczyt, jednak nie zareagowałam. Przechylił wtedy lekko głowę na bok i przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

– Wymieranie to proces naturalny – rzekł.

Na usta cisnęła mi się odpowiedź: *To, co tu się stało, to nie jest naturalne wymieranie*, jednak nie odezwałam się ani słowem, ponieważ we śnie byłam zupełnie niema.

– Ludzie znaleźli się w punkcie, w którym mogli unicestwić cały swój gatunek – odezwał się znów mężczyzna łagodnym, rozsądnym głosem. – I koniec końców tak by się stało. Pozostawało tylko pytanie, jak wiele innych gatunków pociągną za sobą. Rozwiązanie, które obmyśliłem, było najsensowniejsze.

Senna wersja mnie zdobyła się na potrząśnięcie głową.

– Nie było to łatwe – przyznał, a przez jego twarz przemknął cień smutku – ale niewątpliwie słuszne. Przekonasz się w swoim czasie.

W końcu wbrew sobie sięgnęłam ku jego wyciągniętej ręce. Jednak zamiast pomóc mi wejść na szczyt, Al-Baz pchnął mnie gwałtownie do tyłu i zaczęłam staczać się w dół stoku – kociołkowałam, aż wreszcie wylądowałam zaplątana w członki rozkładających się ciał, które momentalnie zaczęły wciągać mnie niczym lotne piaski...

Obudziłam się z krzykiem.

Zanim na dobre oprzytomniałam, wyskoczyłam z łóżka i ruszyłam korytarzem. Na szczęście nikt się nie przebudził, nikt nie wyjrzał z sąsiednich pokoi. Grube kamienne ściany musiały stłumić moje krzyki.

Mogłabym pójść prosto do Flinta. W końcu to on był tu przywódcą, na nim spoczywała odpowiedzialność za wszystkich mieszkańców Podziemia, a teraz również za mnie. Powinnam, nie zwlekając dłużej, opowiedzieć mu o wszystkim, co wiem. Mogłam też skierować się do Iris i schronić się w jej matczyńskich ramionach, pozwolić, żeby ukoiliła moje troski, tak jakbym należała do gromadki drugich dzieci, którymi się opiekowała.

Ostatecznie poszłam jednak do Lachlana. Kiedy potrzebowałam pomocy, coś instynktownie popychało mnie ku temu chłopakowi.

Wcześniej, kiedy oprowadzał mnie po Podziemiu, pokazał mi, gdzie mieszka, ale nie zaprosił do środka. Jego pokój był jednym z niewielu zamieszkałych pomieszczeń w wyższej galerii.

Wbiegając po schodach, uświadomiłam sobie, że jeśli władze Edenu kiedykolwiek dowiedzą się o istnieniu Podziemia i przypuszczą atak, Lachlan, mieszkający tak wysoko, będzie pierwszym do odstrzału. Inna sprawa, że również jako jeden z pierwszych będzie miał szansę ustrzelić któregoś z nacierających. O ile go znałam (a o dziwo miałam wrażenie, jakbym znała go już całkiem nieźle), domyślałam się, że pewnie z tego właśnie powodu wybrał dla siebie taki, a nie inny pokój. W krytycznej chwili będzie ochraniał inne drugie dzieci, a w razie potrzeby umrze dla nich. Wiedziałam, że nie cofnie się przed niczym.

Wreszcie dotarłam na miejsce i zaczęłam łomotać do jego drzwi. Byłam zbyt roztrzęsiona, żeby grzecznie zastukać. Drzwi uchyliły się niemal natychmiast, jednak w szparze nie dojrzałam jego twarzy, lecz wylot lufy karabinu. Dopiero po chwili w ciemności dostrzegłam też błysk jego oka.

– Co się stało? – spytał szybko, po czym otworzył drzwi nieco szerzej i rozejrzał się po galerii, wypatrując niebezpieczeństwa.

– Miałam... straszny sen – wyznałam.

Rozluźnił się, a ja przez chwilę miałam wrażenie, że w jego twarzy dojrzałam rozczarowanie. Chyba oczekiwał, że umiem sama poradzić sobie z tak banalną rzeczą jak nocna mara. Oczywiście nie domyślał się, że to coś więcej – koszmarny sen na temat straszliwej prawdy.

– I tak nie spałem – westchnął, otwierając szeroko drzwi. – Wejdz.

Z jakiegoś powodu spodziewałam się, że wystrój jego pokoju będzie spartański i ascetyczny: wyobrażałam sobie gołe ściany i broń jako jedyną ozdobę. Tymczasem rzeczywistość była zupełnie inna. Wszędzie stały wieszaki z mnóstwem ubrań, które same w sobie wyglądały niemal jak dekoracje. Od razu domyśliłam się, że to kostiumy, w które przebierał się, żeby móc swobodnie poruszać się po mieście. Przeważały wśród nich jasne barwy, modne w wewnętrznych kręgach, jednak odnalazłam też trochę jednokolorowych mundurów – pracowników odzyskiwania surowców wtórnych, dostawców, a także innych robotników fizycznych Edenu, których na co dzień zupełnie się nie zauważało. W kącie dojrzałam nawet całą kolekcję zszytych z wielu części łachmanów, które zakładał, by wcielić się w rolę nędzarza; uzupełniała je peruka i sztuczna broda.

Najbardziej niezwykle były jednak ściany obwieszane w całości malunkami. Oczarowana podeszłam bliżej, żeby im się przyjrzeć. Większość była dziełem dziecka – były to barwne rysunki ukazujące grupki małych, patykowatych uśmiechniętych postaci, wyciągających ręce do wysokiej, równie patykowatej postaci męskiej, która najwyraźniej symbolizować miała samego Lachlana. Na wszystkich rysunkach przedstawiających Lachlana miał on wielką, przypominającą balon głowę, na której widniał szeroki uśmiech.

Wśród prac dzieci odnalazłam też parę rysunków bardziej wyrafinowanych, które musiały być dziełem dorosłego. Jeden był prostym szkicem zrobionym ołówkiem – ukazywał siedzącą

w kuchni starszą kobietę, przed którą na stole leżała kula wyrobionego ciasta. Kreska była oszczędna, lecz wyrazista. Spoglądając na szkic, mogłam niemal poczuć woń pieczonego chleba. W jednym rogu widniał tytuł pracy: *Babunia*, w drugim imię artystki: Iris. I nagle przed oczami stanęło mi całe życie kobiety: szczęśliwy okres, gdy wychowywała ją babcia, a potem, kiedy umarła, osamotnienie i smutek. A teraz żyła tutaj, sama będąc babcią dla licznej rodziny. Dlaczego akurat taki rysunek podarowała Lachlanowi? Czyżby w ten sposób chciała przypomnieć mu, że wszyscy tutaj należeli do jednej wielkiej rodziny?

Na jednej ze ścian dostrzegłam też kilka prac, które należałoby określić jako małe dzieła sztuki. Wykonane na prymitywnych podłożach, nieudolnie oprawione i przyklejone do ścian na klej, zdradzały jednak niezwykle zdolności autora.

Każdy z rysunków przedstawiał jakieś zwierzę uchwycone w pozie sugerującej, że nie ma ono pojęcia, iż jest obserwowane. Na jednym widniał leniwie rozparty na ziemi lampart; na innym wiewiórka, uczepiona tylnymi łapkami gałęzi, w przednich trzymająca orzecha. Był też rysunek ukazujący delfina wynurzającego się na spienioną powierzchnię morza, żeby zaczerpnąć powietrza; pod wodą zaznaczono nawet ledwie widoczne oko delfina.

Zwierzęta ukazano w ich naturalnym środowisku, przedstawionym z wielką dbałością o szczegóły. Dżungla, w której pozował lampart, była bujna i zielona. W wodzie, w której pływał delfin, unosiły się gronosty i pływał srebrzysty narybek. Bogactwo szczegółów największe było w centrum rysunków, natomiast malało przy krawędziach płótna, gdzie kolory stawały się coraz bardziej przytłumione. Można było odnieść wrażenie, że świat w tych miejscach zanikał. Nagle w oczach przedstawionych zwierząt dojrzałam świadomość tego, że ich dni są policzone.

W prawym rogu każdej z tych prac widniało, zapisane koślawymi czarnymi literami, imię artysty – Lachlan.

– Niesamowite rysunki – powiedziałam i zaraz pożałowałam. Z jakiegoś powodu ta pochwała zabrzmiała nieszczerze. Miałam ochotę zachwycić się pracami, opowiedzieć ich autorowi, jakie uczucia we mnie budzą – opowiedzieć o dziwnej nostalgii za czymś, czego nigdy nie doświadczyłam, o stracie, jaka dokonała się na długo przed moim urodzeniem. Byłam jednak zbyt zawstydzona i nie umiałam odnaleźć właściwych słów.

– To nic wielkiego – wzruszył ramionami Lachlan. – Rysuję, jak nie mam nic innego do roboty. Chociaż prawdę mówiąc, takie momenty są dość rzadkie.

Postanowiłam, że jednak spróbuję jakoś przekazać mu uczucia, jakie wywołują we mnie jego prace.

– Uchwyciłeś tu poczucie pewnej przemijalności. I to, że nie da się jej powstrzymać... Jestem pewna, że był taki moment, kiedy ludzie domyślali się, że nadciąga katastrofa i że nie da się już uciec przed Ekokłęską. Nadal jeździli samochodami, korzystali z klimatyzacji, zatruli swoje

zbiory pestycydami i udawali, że można tak żyć zawsze, a równocześnie w głębi ducha domyślali się, że ich świat powoli zaczyna się chylić ku upadkowi i że nie można już tego powstrzymać. – Szukałam właściwych słów, marszcząc brwi.

– Pewien człowiek mógł temu zaradzić – odezwał się stanowczym tonem Lachlan. – Aaron Al-Baz próbował uratować świat przed katastrofą, jaką zgotowała mu ludzkość. Ale nikt nie chciał go słuchać. A ponieważ Aaron Al-Baz nie zdołał powstrzymać ludzi przed zniszczeniem Ziemi, postanowił, że ocali przynajmniej nas. Musimy uszanować jego wolę, tak byśmy mogli z podniesionym czołem wyjść na spotkanie świata, gdy wreszcie się uleczy.

– To twój bohater, prawda? – spytałam łagodnym głosem.

– Jest bohaterem każdego z nas.

– A co jeśli był inny niż sądzimy? – wydusiłam z siebie.

Lachlan skupił się na majstrowaniu przy broni. Nie bardzo wiedziałam po co, najwyraźniej robił to mechanicznie, próbując skoncentrować się na tym, co powiedziałam. Chyba uznał, że zadałam mu intelektualną zagadkę – abstrakcyjny, hipotetyczny scenariusz do rozważenia.

– Jeśli nie byłby bohaterem, w takim razie jak wytłumaczysz to, że wszyscy nasi przodkowie mogli schronić się w ostatnim azylu ludzkości: Edenie? – spytał z roztargnieniem, dokonując jakiejś drobnej modyfikacji w celowniku karabinu.

Wreszcie zdobyłam się na nieco bardziej zdecydowany ton.

– Lachlan, mówię zupełnie poważnie. Co by się stało z ludźmi Edenu, a także mieszkańcami Podziemia, co by się stało z tobą, gdyby się okazało, że Aaron Al-Baz wcale nie był tak wspaniałym człowiekiem, za jakiego wszyscy go uważają?

Dopiero teraz skupił na mnie całą uwagę. Uniósł gwałtownie głowę i napiął wszystkie mięśnie, jakby nagle wyczuł zagrożenie.

– Chyba wystarczającym dowodem jego dobrych intencji jest fakt, że jesteśmy tutaj, podczas gdy wszystkie zwierzęta zginęły, nie sądzisz? – mówił teraz zadziornym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. Poczulałam, że najchętniej zmieniałabym temat. – Gdyby ludzie Edenu dowiedzieli się, że jest inaczej... – Zamilkł i przez chwilę sprawiał wrażenie zagubionego. Nie rozumiał, co chcę zasugerować ani jakie konsekwencje miałyby takie rozumowanie. – Wówczas wszystko, w co wierzą, ległoby w gruzach.

– Znalazłam coś... – odezwałam się cicho. – Zostawiła mi to matka, zanim... Znalazła to w naszym domu, tkwiło przez wiele lat ukryte w schowku za ścianą. Nasz dom przed Ekoklęską należał do Aarona Al-Baza.

Usiadłam na łóżku Lachlana i opowiedziałam mu o wszystkim, czego się dowiedziałam.

Aaron Al-Baz był wizjonerem, którzy znacznie wcześniej niż ktokolwiek inny przewidział nadciągający krach globalnego ekosystemu. Był też niewątpliwie geniuszem, który spróbował zaangażować technologię do powstrzymania katastrofy. A kiedy okazało się to nieskuteczne – do

naprawienia tego, co zniszczono. Sprawił, by wszystkie maszyny, komputery i programy wspólnie zaczęły pracować nad odwróceniem niszczycielskich procesów i uzdrowieniem planety. Był to długofalowy plan, który potrwać miał całe pokolenia. Na wstępie Al-Baz postanowił jednak pozbyć się pewnego czynnika, który zatruł i spalił planetę.

Ludzkość nie wyginęła na skutek Ekokłęski. To była sprawka Aarona Al-Baza. Skazał ludzi na wymarcie, by ocalić resztę planety.

Była to nieludzka, chora, jednak na swój sposób zrozumiała logika. Planeta umierała z winy ludzkości. Aaron stanął przed wyborem: albo spróbować naprawić szkody wyrządzone przez ludzi, albo skupić się na źródle całego zła. Szalony geniusz stworzył wirusa, który miał w przyszłości uśmiercić blisko sto procent ludzkiej populacji na Ziemi. Korzystając ze swych niezmiernych talentów, napisał program, który z kolei opracował niedający się powstrzymać patogen. Na koniec zlecił swym mechanicznym sługom wprowadzenie pomysłu w życie. A kiedy naukowcy wypuścili do atmosfery opracowane przez siebie cząsteczki, chcąc w ten sposób zaradzić globalnemu ociepleniu, Al-Baz równocześnie uwolnił stworzoną przez siebie chorobę.

Oczywiście wcześniej dopilnował, by samemu się na nią uodpornić. Zabezpieczył też swoją rodzinę. W przypadku pozostałej części ludzkości nie miał już takich skrupułów – tu miał zdecydować los.

W swoim manifeście nazwał to dobozem naturalnym.

W rezultacie licząca miliardy jednostek populacja ludzka skurczyła się do niewielkiego procenta. Następnie Al-Baz zebrał część ocalonych i zgromadził ich w Edenie, by oczekiwali dnia, w którym ludzie znów będą mogli zaludnić Ziemię.

Co się jednak stało z pozostałą częścią ocalałych, z tymi, którzy nie załapali się do Edenu? Porzucono ich w świecie, gdzie wraz z wszystkimi innymi zwierzętami czekała ich powolna śmierć.

– Nie – odezwał się beznamiętnym głosem Lachlan, kiedy skończyłam swoją opowieść.

Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedział przez cały ten czas. Dotychczas siedział obok mnie na łóżku nieruchomo i w milczeniu. Z jego twarzy nie mogłam nic wyczytać, zauważyłam tylko, że lekko zmarszczył brwi, kiedy słuchał.

– Mam dowód – upierałam się, sądząc, że po prostu mi nie wierzy. – Aaron Al-Baz wyznał to w swoim manifeście. Mogę ci go pokazać.

Chciałam wstać z łóżka, ale schwycił mnie za ramię i przyciągnął z powrotem.

– Nie – powtórzył łagodnym, lecz zdecydowanym głosem.

– Ale...

Nie puszczał mojej ręki, dlatego nawet nie próbowałam wstać. Jego knykcie poznaczone były mrowiem wypukłych białych blizn. Były to pamiątki po ciosach, jakie wymierzył, niezliczonych

bójkach, w których brał udział. Całe jego dotychczasowe życie wypełnione było walką. Teraz jednak zachowywał się spokojnie. Pomyślałam nawet, że jest coś nienaturalnego w tym spokoju. O tym, że jest podenerwowany, świadczył jedynie sposób, w jaki raz za razem pocierał kciukiem moją skórę na dłoni.

– Wspomniałaś już komuś o tym? – spytał, a kiedy potrząsnęłam głową, dodał: – Proszę, nikomu nie mów.

W jego oczach dojrzałam wtedy autentyczną troskę.

– Chyba ludzie zasługują na to, by poznać prawdę.

Utkwił spojrzenie w mojej dłoni, a ja zaczęłam zachodzić w głowę, co też może z niej wyczytać. Miałam krótko obcięte paznokcie, jednak sama dłoń, mimo że czysta po prysznicu, była mocno sfatygowana. Na koniuszkach palców miałam nagniotki od ciągłego wspinania się na mur wokół rodzinnego domu. Knykcie miałam poranione, jednak w przeciwieństwie do jego blizn moje rany były świeże i pokryte strupkami. To moje pierwsze pamiątki po walce. Czy po nich przyjdzie wiele kolejnych? Miałam poczucie, że znalazłam się w momencie przełomowym – to, co miało się wydarzyć, będzie wielkie, niebezpieczne i wzniosłe.

– Aaron Al-Baz nie jest tylko moim bohaterem – powiedział Lachlan. – To patron całego Edenu. Rewolucja, która da wolność i równość wszystkim obywatelom Edenu, przeprowadzona ma być właśnie w jego imieniu. Aaron Al-Baz jest centralną postacią i inspiratorem naszego ruchu.

– Ale przecież w rzeczywistości był potworem!

– Nikt nie musi o tym wiedzieć. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Taka rewelacja wywołałaby chaos. A to ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba. Centrum dopuszcza się strasznych zbrodni, ale przynajmniej zapewnia bezpieczeństwo Edenowi. Działają wodociągi, ludzie mają co jeść, a skażone środowisko na zewnątrz miasta nie ma do nas dostępu. Zależy nam na przeprowadzeniu możliwie najbardziej bezbolesnej zmiany ustroju.

– Jeszcze niedawno twierdziłeś, że trwa wojna.

– Owszem – skinął głową – ale to bardzo subtelna wojna. Walka toczona od wewnątrz, przy minimalnym rozlewie krwi. Pamiętasz te wielkie kratery w ziemi w zewnętrznych kręgach?

Oczywiście pamiętałam.

– To pamiątki po ostatniej rewolucji, jaką wszczęli mieszkańcy tamtych kręgów. Leje po bombach.

Szok był nawet większy niż wtedy, gdy zapoznałam się z manifestem Aarona Al-Baza.

– Co ty opowiadasz? Nigdy nie było żadnej rewolucji. Na terenie Edenu nigdy nie było bombardowań. W żadnym podręczniku historii nie ma o tym wzmianki.

– Zastanawiałaś się kiedyś, co w ogóle ujęto w tych podręcznikach? – spytał obcesowo Lachlan. – Starożytna historia sprzed Ekokłęski. Informacje o życiu Aarona Al-Baza. Historia

środowiska naturalnego. Czego jednak możesz dowiedzieć się z nich na temat pokoleń żyjących w Edenie?

Istniały podręczniki do wychowania obywatelskiego, tłumaczące, jak zorganizowane jest życie społeczne w Edenie. Były też książki poświęcone systemowi zarządzania Edenem, uwzględniające spisy dotychczasowych kanclerzy i ministrów. Mimo że wyteżałam pamięć, nie mogłam jednak przypomnieć sobie żadnych informacji na temat historycznych wydarzeń z okresu, kiedy ludzkość zamieszkiwała Eden. Dotychczas milcząco zakładałam, że w tym czasie po prostu nie wydarzyło się nic zasługującego na wzmiankę w podręcznikach historii. Ludzie żyli spokojnie, oczekując na moment, gdy będą mogli powrócić do zewnętrznego świata. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wewnątrz naszego rajy w ogóle może toczyć się historia.

– Książki milczą na temat historii Edenu, a pierwotodni... – Lachlan umilkł na moment i zaczął trzeć czoło w zamyśleniu – ... zachowują się tak, jakby nie mieli żadnych wspomnień. Próbowałem porozmawiać o tym z naszymi sojusznikami na powierzchni i za każdym razem ten temat wprawia ich w zakłopotanie, reagują śmiechem albo po prostu zaprzeczają, by cokolwiek się wydarzyło. Kratery? Ich zdaniem zawiniły podziemne zbiorniki z zapasami wody, które musiały się zawalić. Pamięć o wydarzeniach historycznych zachowują tylko drugie dzieci, w każdym razie te starsze. I to one przekazały ją nam.

Od wybuchu rewolucji upłynęło już siedemdziesiąt lat. Zubożałe masy z zewnętrznych kręgów próbowały wtedy wywalczyć dla siebie nieco więcej władzy. Ludzie stanęli do boju uzbrojeni w kamienie, laski i parę karabinów. Broni palnej było zdecydowanie zbyt mało, by mogli mieć jakieś szanse w starciu, a Centrum błyskawicznie przystąpiło do działań odwetowych. Odpowiedziało na zamieszki z całą brutalnością.

– Dlaczego pierwotodni nie pamiętają tych wydarzeń?

– Nie wiem – przyznał Lachlan. – Może zadziałał tu mechanizm prania mózgu? Może to niepisane porozumienie, by ignorować nieprzyjemne części egzystencji? Nie mam zielonego pojęcia. Morał z tego jest taki, że nie możemy stanąć do walki z Centrum, które dysponuje bronią i wyszkolonymi żołnierzami. W takim starciu poniesiemy sromotną porażkę, zginą ludzie, a życie ubogich stanie się jeszcze trudniejsze. Jedynym wyjściem jest infiltracja Centrum, przeniknięcie do samego jego serca. Dopiero gdy się tam zainstalujemy, będziemy mogli zacząć działać, wykorzystując zdobyte wpływy, stosując szantaż, a nawet uciekając się do przemocy. Liczymy na to, że zyskamy poparcie wszystkich klas społecznych Edenu: zamożnych i ubogich, pierwotodnych oraz drugich dzieci. I właśnie dlatego nie możemy dopuścić do tego, by reputacja Aarona Al-Baza została nadszarpnięta. Ludzie nie zjednoczą się wokół mnie czy Flinta. Al-Baz natomiast to postać, w którą wszyscy mogą uwierzyć. Musimy zdobyć masowe poparcie społeczne, ale prawdziwy impuls do zmiany musi przyjść od środka. Wówczas elity władzy będą musiały ustąpić i oddać rządę ludowi.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby się poddali. Dlaczego mieliby to zrobić?

– Nie pozostawimy im wyboru – oświadczył Lachlan nieznośnym sprzeciwu głosem, który sprawił, że całe moje ciało stężało. Musiał wyczuć to, trzymając mnie za rękę, bo zaraz dodał: – Nie martw się. Dopilnuję, żebyś nie musiała brać w tym udziału. Jedyne, co musisz zrobić, to zaprowadzić mnie jutro do cyberchirurga. Potem będziesz mogła się odprężyć i pierwszy raz w życiu poczuć się jak pełnoprawny członek społeczeństwa.

Położył się na łóżku, nie wypuszczając mojej dłoni. Uśmiechał się do mnie.

Jednak z jakiegoś powodu jego plany wydawały mi się niesprawiedliwe.

– A co jeśli chcę wam pomóc? Na pewno znajdzie się coś, co mogłabym robić.

Moja gotowość do włączenia się w walkę napawała go dumą. A mnie, kiedy zobaczyłam, że to docenia, zrobiło się ciepło na sercu.

– Wycierpiałas już wystarczająco wiele.

– Nie więcej od ciebie.

– To prawda, ale nikt nie powinien być narażony na to, czego doświadczyliśmy. Kiedy odniesiemy zwycięstwo, nikt już nie będzie musiał przez to przechodzić. Wówczas wszyscy obywatele Edenu cieszyć się będą mogli pokojem, bezpieczeństwem i dobrobytem.

Leżał na łóżku, wyczerpany, a równocześnie pełen żarliwości. Kiedy mu się przyglądałam, nagle poczułam, jak do głowy przychodzi mi pewien szalony pomysł. Przypomniałam sobie tamten moment, gdy Lark mnie pocałowała. Od tamtej chwili nasz pocałunek nie dawał mi spokoju, wprawiał w zakłopotanie i uniesienie. A teraz w głowie zaległa mi się myśl, czy całowanie się z Lachlanem zrodziłoby we mnie podobne odczucia.

Jednak chwilę później usiadł szybko, jakby nagle uświadomił sobie, że leżąc, jest zupełnie bezbronny.

– Mam coś dla ciebie – powiedział, po czym zaczął szperać w kieszeni i po chwili wyciągnął do mnie zamkniętą dłoń. Spomiędzy palców wystawał kawałek sznurka.

Wyciągnęłam rękę, a on nakrył ją swoją i rozpostarł palce. Poczułam, jak coś opada mi na dłoń. Kiedy spojrzałam na nią, zobaczyłam przepiękny kryształ w blad różowym kolorze. Był długi na pięć centymetrów, jego sześć gładko oszlifowanych ścianek mieniło się zachwycająco.

Był taki czysty! Uniosłam go do oka i spojrzałam przez niego na Lachlana. Jego twarz, oglądana przez pryzmat, wydawała się różowa.

– Każde drugie dziecko nosi przy sobie kryształ z jaskini. To symbol naszej jedności. A ty jesteś teraz jedną z nas.

– Jest przepiękny – powiedziałam, gładząc chłodny kamień. – Idealny.

Przytłoczona wspaniałością tego podarunku – a tym bardziej znaczeniem, jakie ze sobą niósł – nachyliłam się, chcąc cmoknąć Lachlana w policzek. Jednak w ostatnim momencie chłopak zmienił lekko położenie głowy, tak że nasze usta się zetknęły. Było to właściwie muśnięcie. Nie

odsunęłam się jednak – nasze spojrzenia, oczy drugich dzieci, utonęły w sobie. Czułam jego oddech na swoich ustach, czekałam, co zrobi. Co zrobię ja sama. Na ułamek sekundy powróciło wspomnienie pocałunku Lark, kiedy jednak znów spojrzałam na Lachlana, uleciało mi z pamięci. Nie miałam pojęcia, czego sama pragnę. Za to on wiedział.

Nagle jego dłoń powędrowała do moich włosów i poczułam, jak przyciąga mnie do siebie. Nasz pocałunek był namiętny i cudowny. W pierwszej chwili intensywność tego, co działo się teraz między nami, przeraziła mnie. Poczułam się nagle żywa w nieznanym mi dotychczas, dziki sposób. Kiedy jednak chciałam ująć jego twarz w dłonie, zanurzył palce w moje włosy i pociągnął do tyłu. Z wrażenia aż sapnęłam.

– Powinnaś się wyspać przed naszą akcją – stwierdził stanowczym głosem. Oddech miał jednak przyspieszony, a źrenice olbrzymie i lśniące.

Oczywiście miał rację, ale udawałam, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Nie chciałam być teraz sama.

– Świetny pomysł – powiedziałam, wyciągając się na łóżku tuż obok niego, wtulając głowę pod jego ramię. Słyszałam teraz wyraźnie, jak łomocze mu serce.

Nie kazał mi wrócić do swojego pokoju.

Było mi wygodnie, ale równocześnie cała ta sytuacja była dla mnie tak dziwna, że na początku nie mogłam zmrużyć oka. Miałam mętlik w głowie, przeskakując od strasznej prawdy o bohaterze Edenu do pocałunku, potem do Lark, i znów do manifestu.

Z czasem jednak, zasłuchana w kojący równy oddech Lachlana, zaczęłam się uspokajać, moje ciało rozluźniło się i w końcu zapadłam w sen...



OBUDZIŁAM SIĘ GWAŁTOWNIE, MYŚLĄC, że ktoś próbuje wyważyć drzwi. Kiedy odkryłam, że nie leżę w swoim łóżku w domu, poczułam się całkiem zdezorientowana. Wrażenie zagubienia spotęgował widok Lachlana wyciągniętego obok. Przez sen objęłam go ramieniem. Obudzony uporczywym dobijaniem się do drzwi, momentalnie uwolnił się z mojego uścisku i zerwał się z łóżka. Chwilę później trzymał już karabin.

– Co się stało? – spytał, otwierając drzwi.

Identyczne pytanie zadał, kiedy to ja niedawno dobijałam się do jego pokoju. Ten mężczyzna chyba zawsze miał napięte nerwy i spodziewał się najgorszego.

Kiedy uświadomiłam sobie, jak to musi wyglądać – leżałam przecież w środku nocy w jednym łóżku z Lachlanem – zrobiło mi się słabo. Byłam co prawda ubrana, mimo to u osoby stojącej na progu widok ten mógł budzić jednoznaczne skojarzenia.

– Nie możemy nigdzie znaleźć Rowan – rozległ się poirytowany głos Flinta. – Jej pokój jest pusty. Nie ma jej też w żadnym z ogólnie dostępnych pomieszczeń. Ręczyłeś za nią, twierdziłeś, że można jej zaufać. Jeśli wymknęła się i nas wydała...

Uśmiechając się zagadkowo, Lachlan otworzył szeroko drzwi.

– O... – wydusił z siebie Flint, kiedy zobaczył, że siedzę na łóżku gospodarza, a na mojej twarzy maluje się zakłopotanie. Mężczyzna, unosząc w zdziwieniu brwi, spojrział na Lachlana.

– To nie tak... – zaczęliśmy oboje tłumaczyć w tym samym momencie, jednak starszy mężczyzna nie pozwolił nam dokończyć.

– Wstawaj, Rowan. Jesteś mi potrzebna, i to zaraz – rzucił, podchodząc do łóżka.

– O co chodzi? – zainteresował się Lachlan.

Zauważyłam, że zajął taką pozycję, by odgrodzić mnie od Flinta. Ten instynktowny, opiekuńczy gest z jego strony wydał mi się niesamowicie wzruszający.

– Złapaliśmy intruza, który węszył w tunelach.

– A do czego jest ci potrzebna Rowan? – nie ustępował Lachlan, zerkając na mnie.

– Zaraz się przekonasz.

Nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić. Doprowadziłam do ładu rozczochrane włosy i ruszyłam za Flintem. Lachlan nie odstępował mnie na krok. W pewnym momencie zauważyłam, że odruchowo chce wziąć mnie za rękę, ale natychmiast się opamiętał. Byłam mu wdzięczna, że jest w pobliżu.

Flint poprowadził nas galerią, po czym zeszliśmy kamiennymi schodami dwa piętra niżej. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zamarłam w pół kroku zdjeta grozą – mieliśmy wejść do sali przesłuchań. W mgnieniu oka powróciło straszne wspomnienie duszącego mnie mokrego worka na głowie. Wspomnienie było tak świeże, że nagle poczułam, jak brakuje mi tchu, i zgięta w pół próbowałam na próżno zaczerpnąć powietrza.

Lachlan szybko objął mnie ramieniem i pochyłony nade mną powiedział:

– Wdech przez nos, wydech ustami. Powoli, spokojnie. Nic ci nie będzie.

Po upiornie długiej minucie oddech się wyrównał. Wyprostowałam się i próbowałam zachowywać z godnością, co było niezwykle trudne, gdyż nadal atakowały mnie wspomnienia koszmaru, jakiego doznałam w tym pomieszczeniu.

Flint wszedł pierwszy do sali przesłuchań, za nim podążył Lachlan. Jego szerokie ramiona zasłaniały mi widok, jednak zdołałam dostrzec wewnątrz dwie postacie. Jedną z nich była kobieta, z którą zamieniłam dwa słowa pod drzewem kamforowym. W ręce trzymała coś, co wyglądało jak niewielka skarpeta wypełniona piaskiem.

Druga osoba siedziała na krześle, była związana, a jej głowa tkwiła w worku. Ten widok sprawił, że znów poczułam skurcze w płucach. Mimo że zaczynałam się dusić, nie dawałam po sobie niczego poznać. Po chwili dostrzegłam pokryte siniakami ręce przesłuchiwanej osoby. W pewnym momencie kobieta z Podziemia – przypomniałam sobie jej imię: Flora – zamachnęła się i uderzyła więźnia w ramię.

Rozległ się jęk bólu.

– Proszę...

Wilgotny worek na twarzy więźnia tłumił wydawane przez niego dźwięki. Mimo to od razu rozpoznałam ten głos oraz złocisty meszek na posiniaczonych ramionach.

– Lark! – krzyknęłam, ruszając w jej stronę.

W tej samej chwili Flint chwycił mnie gwałtownie za ramiona i przytrzymał.

Głowa w worku odwróciła się w moją stronę. Zauważyłam, jak momentalnie całe ciało Lark wyprężyło się niczym struna, kiedy dziewczyna próbowała zerwać więzy. Usiłowałam wyrwać się Flintowi, jednak nie miałam szans. Lark zaczęła dygotać, rzucać wściekle głową do przodu i do tyłu. Po dłuższej chwili wyprężyła się znów, po czym jej ciało zwiotczało.

– Ona ma atak – zawołałam. Kopałam przy tym, celując w gołenię Flinta, ale nie przynosiło to żadnego skutku. – Pozwólcie mi jej pomóc!

– Przyprowadziłaś ją tutaj? – warknął mężczyzna, ignorując moje wysiłki.

Nagle uprzytomniłam sobie z całą mocą, że przecież siłuję się z mężczyzną, który jeszcze niedawno mnie torturował. Od tamtej chwili odnosił się do mnie z sympatią, był wręcz serdeczny i wylewny. Teraz jednak w jego głosie dosłyszałam głos Flinta-śledczego i odruchowo próbowałam jak najdalej się od niego odsunąć. Trzymał mnie jednak w stalowym uścisku swoich

rąk i potrząsając mną, zasypywał pytaniami:

– Przesłałaś jej jakąś wiadomość? Kim jest ta dziewczyna? Dla kogo pracuje?

– Puść ją – odezwał się Lachlan.

Wypowiedział te słowa łagodnym głosem, w którym jednak czaiła się groźba. Stał tuż obok z zaciśniętymi pięściami i wysuniętą do przodu szczęką. Wyglądał, jakby miał zamiar rzucić się na przywódcę Podziemia. Flora obejrzała się na niego przez ramię, wyraźnie zaskoczona, a w następnej chwili nieoczekiwanie Flint mnie puścił. Obaj mężczyźni mierzyli się przez chwilę nienawistnym wzrokiem. W końcu starszy cofnął się o krok.

– Znasz tę dziewczynę? – powtórzył pytanie, trzymając się jednak na dystans ode mnie... i od Lachlana.

– To moja przyjaciółka – odparłam.

Głowa Lark zwrócona była teraz w moją stronę. Najchętniej zerwałabym z niej worek i próbowała jakoś pocieszyć, ale nie miałam odwagi.

– Twierdziłaś, że przez całe życie Rowan trzymana była pod kluczem – zauważył Flint, zwracając się do Lachlana.

– Tak było. Zmieniło się to kilka dni temu – rzekł młodszy mężczyzna. – Nie mam jednak pojęcia, kim jest ta dziewczyna.

– To najlepsza przyjaciółka mojego brata – wyjaśniłam. – Poznałam ją, kiedy wymknęłam się do miasta. Wie, że jestem drugim dzieckiem, ale nikomu się nie wygada, nigdy! Pochodzi z zewnętrznego kręgu. Zajmuje się... niesieniem pomocy ludziom.

Tak naprawdę nie miałam pojęcia, czym zajmuje się Lark, wiedziałam jednak, że jest zaangażowana w ruch oporu zwalczający Centrum.

– Po co w takim razie tu weszła? – spytał Flint.

– A dlaczego sami jej o to nie spytacie, zamiast ją dręczyć? – odparłam, spoglądając na niego wyzywająco.

Po tych słowach stanęłam między dwoma mężczyznami. Nikt nie próbował mnie powstrzymać, kiedy zaczęłam rozplątywać sznurki, którymi przywiązano do szyi ofiary krawędź płóciennego worka. Sznury były jednak tak nasiąknięte wodą, że nie dało się ich rozplątać.

– Pomogę ci – zaproponował Lachlan, a zaraz potem w jego ręce zjawił się składany nóż o zakrzywionym ostrzu. Poradził sobie bez trudu ze sznurami. Ufałam Lachlanowi do tego stopnia, że choć śmiertelne ostrze znajdowało się tuż przy szyi mojej przyjaciółki, ani przez chwilę nie obawiałam się, że może ją zranić.

Ściągnęłam jej worek z głowy, ale spojrzenie Lark w pierwszej chwili padło nie na mnie, a na Lachlana. W tych dość nietypowych okolicznościach dwoje ludzi, z którymi się całowałam, spoglądało sobie teraz w oczy.

Po chwili Lark odnalazła mnie spojrzeniem, a na jej twarzy odmalowała się wielka ulga.

– A więc żyjesz – westchnęła.

Osuszyłam jej twarz rąbkiem mojej tuniki.

– Lark, co ty tu robisz? – spytałam, nachylając się jej do ucha. Moje usta znalazły się tak blisko jej twarzy, że był to niemal pocałunek.

– Szukałam cię. Wykorzystałam wszystkie kontakty, jakie tylko mogłam zdobyć od Krawędzi.

– Jesteś związana z Krawędzią? – wtrącił Lachlan.

– Banda amatorów – mruknął pod nosem Flint. – Wydaje im się, że mogą uszczęśliwić ludzi na siłę.

– Przynajmniej próbują zrobić coś dobrego – odparował Lachlan, posyłając mu pogardliwe spojrzenie. – Nie można ich za to winić. Lepiej próbować niż siedzieć beczynnie z założonymi rękami.

– Jasne, tylko że ci idioci mogą pokrzyżować nam plany, zdemaskować nas albo naprowadzić Centrum na nasz trop. Wystarczy, że będą węszyć tam, gdzie nie powinni.

– Czym jest Krawędź?

– To przeciwieństwo Centrum – wyjaśniła Lark. – Staramy się zjednoczyć ludzi reprezentujących wszystkie kręgi, niezależnie od zamożności i wykształcenia.

– Klub towarzyski – parsknął pogardliwie Flint.

Lark spiorunowała go wzrokiem. Mimo że nadal była związana, zachowywała się nieustraszenie. Jej odwaga i siła podnosiły mnie na duchu.

– Robimy, co w naszej mocy. Uświadamiamy ludziom z kręgów wewnętrznych problemy, z jakimi zmagają się mieszkańcy rubieży Edenu. Prowadzimy zbiórki pieniędzy, próbujemy pomagać najuboższym. Pomagamy też drugim dzieciom.

Flint nie wydawał się przekonany.

– Podaj mi konkretny przykład drugiego dziecka, jakiemu pomogliście – zażądał.

– Rowan. Była pierwszym drugim dzieckiem, jakie poznałam w życiu. Członkowie Krawędzi od tamtej chwili obserwowali jej dom i śledzili ją podczas eskapad do miasta, pilnując, żeby nie stało jej się nic złego.

W tej chwili spojrzeliśmy po sobie z Lachlanem, a ja poczułam, jak robi mi się słabo.

– Powiedziałaś komuś o mnie?

– Tylko kilku najbardziej zaufanym działaczom Krawędzi. Znam się z nimi od wielu lat. To ludzie, którym absolutnie można zaufać.

– Ty skończona kretynko! – ryknął nagle Lachlan. Ruszył ku niej rozwścieczony i przez chwilę myślałam, że się na nią rzuci. Po chwili jednak zorientowałam się, że zamiast tego znów staje w takim miejscu, by ciałem odgrodzić Flinta od potencjalnej ofiary jego ataku. Lachlan był zdenerwowany, kiedy jednak spojrzałam na twarz Flinta, ogarnęło mnie przerażenie. Przywódca Podziemia wyglądał teraz, jakby gotów był kogoś rozszarpać na strzępy. Gdyby Lachlan nie

stanął przed nim, Flint rzuciłby się chyba do gardła dziewczyny.

– Lark – odezwałam się łagodnym głosem – jak mogłaś mi to zrobić?

– Sądziłam... – wydukała, robiąc przestraszoną minę – sądziłam, że w ten sposób ci pomogę. Naprawdę ufam tym ludziom.

– Możesz być pewna, że jeden z nich jest zdrajcą – warknął Flint. – A tym samym ty również stajesz się zdrajczynią. Ta dziewczyna – mówił, wskazując na mnie palcem – była całkowicie bezpieczna do chwili, gdy raczyłaś opowiedzieć o niej jednemu ze swych „zaufanych znajomych”. Przez ciebie zginęła jej matka. A teraz, również z twojej winy, Rowan ścigana jest przez Centrum.

– Ale ja nie chciałam... – próbowała bronić się Lark.

– Twoi przyjaciele z Krawędzi przyszli tu za tobą? Kręcą się teraz gdzieś w pobliżu, naprowadzając na nasz trop Centrum? – dopytywał Flint, na co Lark pokręciła przecząco głową, posyłając mi rozpaczliwe spojrzenia.

Miałam mętlik w głowie. Odwróciłam się od Lark, mimo że widziałam, jak po policzkach płyną jej łzy. Wiedziałam, że moja przyjaciółka oczekuje teraz od mnie słów otuchy, musiałam się jednak zastanowić. Nigdy nie dopuszczałam myśli, że mogłaby mnie zdradzić. Oczywiście nie miała takiego zamiaru, jednak nie ulegało wątpliwości, że to z jej winy zginęła mama. A przecież tak jej ufałam.

– Rowan, przepraszam! – zawodziła Lark, próbując uwolnić się z więzów. Szamotała się na krześle i gdyby zdołała się wyrwać, chyba rzuciłaby mi się w ramiona. Miałam ochotę odejść i zostawić ją tutaj... jednak nie mogłam się na to zdobyć.

– Popeliła błąd – stwierdziłam stanowczo, zwracając się do Flinta i Lachlana. – Sądziła, że w ten sposób mi pomoże. Jednak to nie ona wydała mnie władzom, to nie ona mnie zdradziła. – Spojrzałam na jej piękną, smutną twarz, po czym dodałam: – Ufam jej.

Powiedziałam to z pełnym przekonaniem.

– Zaufanie – parsknął Flint, spoglądając na mnie wilkiem. Po chwili rozluźnił się nieco i wzruszył ramionami. – Nie ma znaczenia, jakie motywy nią kierowały. Co się stało, już się nie odstanie. Floro, pošlij patrole na górę, niech obserwują ulice w okolicy wejścia. Postaw wszystkich mieszkańców w stan gotowości. Od tej chwili do odwołania wszyscy powyżej dwunastego roku życia mają nosić przy sobie broń.

Flora skinęła szybko głową i ruszyła wypełnić rozkazy.

– Rowan, najlepiej będzie, jeśli też się oddalisz – rzekł Flint. Udawana łagodność w jego głosie sprawiła, że nabrałam złych podejrzeń.

– Nigdzie nie pójde – odparłam stanowczo.

– Nie powinnaś tego oglądać. Już dość się nacierpiałaś.

Skonsternowana spojrzałam na Lachlana.

– To naprawdę konieczne? – spytał Lachlan przywódcę.

– Ta dziewczyna nie jest drugim dzieckiem, a mimo to znalazła się w Podziemiu. Co innego nam pozostaje? – spytał Flint, po czym zwracając się do mnie, dodał: – Rowan, idź stąd.

Następnie otworzył szufladę w stoliku na kółkach i wyjął z niej strzykawkę.

Zanim zrozumiałam, co się dzieje, usłyszałam przeraźliwy pisk Lark:

– Nie, błagam! Przysięgam, że nikomu nic nie powiem. Wyjaśnię moim znajomym, że nakłamałam im na temat Rowan. Przekonam ich, że wcale nie jest drugim dzieckiem. Odejdę na zawsze z Krawędzi. Nie, nie możecie! – krzyczała, rzucając się na krzesło i próbując możliwie najdalej odsunąć się od Flinta. – Rowan, proszę, nie pozwól, by mnie zabili.

Przeniosłam zdumione spojrzenie na Flinta.

– Wiem, że trudno ci to zrozumieć – stwierdził. – Nie możemy dopuścić, by ktoś dowiedział się o naszym istnieniu. Musi upłynąć jeszcze sporo czasu, nim nadejdzie właściwy moment. Nie narażę na niebezpieczeństwo nas wszystkich: dzieci, rodzin i drzewa, żeby ocalić jedną głupią dziewczynę. Może faktycznie chciała dobrze i popełniła tylko niemądry błąd. Jej głupota może jednak mieć fatalne konsekwencje dla nas wszystkich. Nie wolno nam ryzykować. Ona musi umrzeć.

W następnej sekundzie rzuciłam się na Lark, zasłaniając ją swoim ciałem.

– Lachlan... – błagałam szeptem.

Wyglądał, jakby bił się z myślami.

– Flint, doceniam to, co robisz, by zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo. Ale to tylko młoda dziewczyna, nie funkcjonariusz zielonych koszul ani urzędnik Centrum. Musi istnieć inny sposób. Przecież na razie nie wiesz nawet, w jaki sposób zdołała trafić do Podziemia.

– To prawda, nie wiem – przyznał Flint. – Flora zameldowała, że nie zdołała jeszcze wydobyć od niej tej informacji. Dziewczyna zadziwiająco dobrze zniosła przesłuchanie.

Ostatnie słowa wypowiedział z powściągliwym podziwem.

– W takim razie pozwólmy jej opowiedzieć, jak tu trafiła. I co ją sprowadziło. I wstrzymajmy się z biciem. A kiedy już ochłonimy, pomyślimy spokojnie, co z nią począć.

– W ten sposób tylko będziemy odwlekać nieuniknione, przedłużać cierpienie Rowan i dziewczyny – upierał się Flint. – Możemy postąpić tylko w jeden sposób.

– Zawsze jest jakiś wybór – nie ustępował Lachlan.

Ostatecznie Flint niechętnie przystał na jego propozycję. Rozpoczęło się przesłuchanie, podczas którego nie odstępowałam Lark na krok, trzymając ją za rękę.

Kiedy pojechałam z mamą do kliniki, gdzie miałam się poddać zabiegowi wszczepienia soczewek, byłyśmy śledzone przez działacza Krawędzi, którego oddelegowano do obserwowania mojego domu. Członkowie tej organizacji byli świadkami wszystkiego, co wtedy

zaszło – widzieli, jak zatrzymuje nas patrol zielonych koszul przy posterunku, widzieli, jak funkcjonariusze zabijają mamę. Działacze Krawędzi nie mogli jednak w żaden sposób nam pomóc, gdyż oznaczałoby to dla nich natychmiastowe zdemaskowanie. Po tych wydarzeniach opowiedzieli Lark, gdzie mnie ostatni raz widzieli, a ona, wraz z innymi członkami organizacji, którzy wiedzieli o moim istnieniu, niezwłocznie ruszyła na poszukiwania. Nie zdołali już jednak wpaść na mój trop.

Po jakimś czasie zrozpaczona Lark wspięła się na szczyt gwiazdnej wieży, to znaczy nieczynnej wieży wodorostów, gdzie zastałam pierwszego w życiu pocałunku. Siedząc tam, spojrzała w dół i na skutek jakiegoś przedziwnego zbiegu okoliczności dojrzała mnie.

W pierwszej chwili była pewna, że oczy płątają jej figle. Jakim cudem miałyby wypatrzeć akurat mnie pośród mrowia mieszkańców Edenu? Mało brakowało, a uznałaby, że to przywidzenie, i została na dachu. Coś jej jednak kazało zbiec na dół. Zanim znalazła się na ulicy, upłynęło sporo czasu. Wypatrzyła nas jednak w ostatniej chwili, kiedy z Lachlanem ukradkiem schodziliśmy do kanału wiodącego do Podziemia.

Nie rozumiałam, jak zdołała wypatrzeć mnie ze szczytu tak wysokiej wieży. Oczywiście ja byłam tam w nocy, ale jakoś trudno mi było wyobrazić sobie, bym nawet w biały dzień zdołała wyłowić z tłumu i rozpoznać pojedynczą osobę. Czy w takim razie Lark mówiła prawdę? Bardzo chciałam w to wierzyć.

– Nikt poza mną nie wie, że tu przyszedłam – zarzekała się dziewczyna. – I tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczam fakt, że tu trafiłam.

– Dlaczego tak bardzo chciałaś odszukać Rowan? – spytał Lachlan.

– Nie chodzi o to, że chciałam, tylko że *musiałam* ją odnaleźć!

– Aż tak bardzo ci na niej zależy? – dopytywał Lachlan, a w jego głosie usłyszałam mieszankę podziwu i podejrzliwości.

– Tak – przyznała, łkając, Lark. – A poza tym musiałam ją znaleźć, żeby jej o czymś powiedzieć.

– O czym? – spytałam, nachylając się bliżej.

– Chodzi o twój brata, Rowan. Został zatrzymany.

W jednej chwili poczułam, jakby cały mój świat runął.

– Przez kogo? – wydusiłam z siebie, choć doskonale znałam odpowiedź.

– Kiedy zostałam uznana za zaginioną, zielone koszule zrobiły nalot w jego szkole. Wywlekli go z klasy podczas lekcji.

Nie mogłam w to uwierzyć. Tylko nie Ash. Niemożliwe, by podnieśli rękę na biednego, słabego, niewinnego i kochającego mnie Asha.

– Urządzono mu potajemnie szybki proces. Za trzy dni ma się odbyć egzekucja.

Mimo woli zakryłam dłonią usta. Przecież mój brat niczym nie zawinił! Powstrzymując

szloch, zmusiłam się jeszcze, by zapytać:

– A co z moim ojcem? Jego też zaaresztowali?

– Ach, Rowan – jęknęła Lark, a w jej głosie pobrzmiwał tak przejmujący smutek, jakbym to ja tkwiła związana w sali tortur, jakby to mnie groziła śmierć. – To twój ojciec wydał go władzom.



– ROZWIĄŻCIE JĄ – POLECİŁAM, A GDY NIKT się nie poruszył, wrzasnęłam: – Macie ją natychmiast wypuścić!

Czułam, że za chwilę oszaleję z rozpacz. Tylko nie Ash, tylko nie mój kochany, łagodny Ash...

– Rowan, chyba powinnaś... – zaczął Flint, ale nie pozwoliłam mu dokończyć.

– Nie! – krzyknęłam. Sama byłam zdziwiona, że mam w sobie odwagę, by sprzeciwić się tym dwóm mężczyznom. Kiedy w grę wchodziło bezpieczeństwo Asha, byłam zdolna do wszystkiego. Utkwiłam spojrzenie w Lachlanie i wycedziłam przez zęby: – Uwolnicie ją, żebyśmy mogli razem uratować Asha. A ty nam w tym pomożesz.

– Wykluczone – ubiegł Lachlana Flint. – Nawet zakładając, że pozwolimy jej żyć, co nawiasem mówiąc, jest nader wątpliwe, nigdy nie będzie już mogła opuścić Podziemia. Nie możemy podejmować takiego ryzyka. Przykro mi z powodu twojego brata, ale nie możemy mu pomóc. Ty też nie.

– Nie macie prawa mnie zatrzymywać – odwarknęłam przez zaciśnięte z gniewu gardło.

– Ależ mamy, i zrobimy to. Oczywiście nie będzie to zbyt przyjemne: zamkniemy cię i nafaszerujemy środkami odurzającymi. Zrobimy wszystko, co konieczne, by chronić Podziemie.

– A więc chcecie ze mnie zrobić więźnia, dobrze rozumiem? Sądziłam, że Podziemie miało być miejscem, w którym ludzie mogą cieszyć się wolnością, a drugie dzieci wieść normalne życie.

– Nie ma już czegoś takiego jak normalność na Ziemi – wtrącił Lachlan, ja jednak puściłam jego uwagę mimo uszu.

– Waszym priorytetem jest chronienie drugich dzieci, tak? No więc moja matka i brat przez szesnaście lat chronili jedno z nich. Moja mama oddała nawet życie, żeby ocalić mnie przed niebezpieczeństwem. Mój brat został aresztowany tylko dlatego, że przez tyle lat mnie chronił. Macie obowiązek mu teraz pomóc.

– Rowan – odezwał się łagodnym głosem Lachlan – twój brat osadzony jest pewnie w więzieniu na terenie Centrum. Współczuję jemu i tobie... Utrata wszystkich najbliższych osób w tak krótkim czasie musi być... – Przerwał, a do oczu napłynęły mu łzy. Zamrugnął szybko. – Nie możemy nic na to poradzić. Żadnemu z nas nie uda się przedostać do środka.

– Ja znam pewien sposób – nieoczekiwanie odezwała się Lark.

Wysłuchaliśmy z uwagą tego, co miała do powiedzenia. Plan Lark wydawał się wykonalny, ale miał też słabe punkty.

– Nie uda się – zawyrokował Lachlan. – W ten sposób, owszem, dostaniemy się do więzienia, ale będziemy wtedy musieli jakoś poruszać się po budynku, a do tego konieczne byłyby fałszywe dowody tożsamości, przepustki. Żaden z naszych kontaktów w Centrum nie zdoła nam załatwić takich dokumentów. Musielibyśmy znać kogoś wysoko postawionego w hierarchii Centrum, kto podałby nam kody bezpieczeństwa, hasła dostępu.

– A czy osoba pełniąca obowiązki wicekanclerza miałaby takie uprawnienia? – spytałam po chwili zastanowienia.

Następnie, wywołując ogólne zdumienie, poinformowałam wszystkich, że mój ojciec został wybrany przez kanclerza do pełnienia drugiej najbardziej zaszczytnej funkcji w Edenie.

– Ale przecież jeśli Lark mówi prawdę, on nigdy nie zechce ci pomóc – zauważył Lachlan, po czym zwrócił się do niej: – Naprawdę wydał własnego syna?

Dziewczyna skinęła ponuro głową.

– Mój ojciec podsłuchał, jak rozmawiali na ten temat jacyś pracownicy Centrum. Podejrzewam jednak, że poza ludźmi z kręgów rządowych nikt o tym nie wie. Nie mam pojęcia, jak tego dokonał, ale zapewnił sobie nietykalność. Własnoręcznie podpisał wyrok śmierci na swojego syna.

Lachlan westchnął głośno, a po chwili poczułam, jak kładzie mi dłoń na ramieniu. Strząsnęłam ją szybko.

– Nie potrzebuję twojego współczucia, tylko konkretnej pomocy. Dobrze wiem, że mój ojciec to chory człowiek, który nie cofnie się przed niczym, by chronić swoją skórę.

Mijałam się jednak z prawdą – w rzeczywistości nigdy, przenigdy przez myśl mi nie przeszło, że zdolny byłby postąpić w taki sposób wobec Asha, swojego ukochanego syna. Wiedziałam, że gdyby tylko mógł – gdyby nie oznaczało to cierpienia dla mamy i mojego brata – wyparłby się mnie i doniósł na mnie władzom. Jednak z Ashem to co innego. Ani przez chwilę nie sądziłam, że jest zdolny do tak bestialskiego czynu.

– Nie możemy ci pomóc – powtórzył Lachlan łagodnym głosem. – Ta misja nie może się powieść, to pewne samobójstwo. Nie możemy narażać na niebezpieczeństwo Podziemia i naszych planów na przyszłość.

Widziałam, że Lachlan toczy wewnętrzną walkę. Wierzył równocześnie w dwie przeciwstawne prawdy. Chciałby ocalić Asha, przede wszystkim ze względu na mnie, ale też dlatego że Ash chronił drugie dziecko, a poza tym najwyraźniej sądził, iż jego moralnym obowiązkiem jest pomaganie ludziom w potrzebie. Z drugiej strony kierowała nim niewzruszona

lojalność wobec Podziemia, która kazała mu ochraniać je, nie bacząc na cenę. Dla niego Lachlan gotów był oddać życie. Nie tylko swoje, ale też Asha.

Przez głowę przeleciała mi myśl, czy mnie też gotów byłby poświęcić dla dobra Podziemia.

– Wcale nie chodzi o to, że nie możecie, tylko o to, że nie chcecie – poprawiłam go, po czym spojrzałam mu wyzywająco w oczy i nie odwróciłam spojrzenia, dopóki nie zyskałam pewności, że rozumie, iż mówię śmiertelnie poważnie. – Jeśli wy nie pomożecie mi, ja nie pomogę wam.

Przez chwilę Lachlan poruszał bezgłośnie ustami, starając się wymyślić jakąś sensowną replikę. W jego oczach dojrzałam jednak błysk, który uznałam za znak, że zgadza się na moją propozycję. Wprawdzie teoretycznie nie mógł na nią przystać, ale teraz znalazł się w sytuacji, gdy postawiłam go pod ścianą...

Flint chwycił mnie za ramię i odwrócił do siebie. Tym razem, co zrozumiałe, Lachlan nie stanął w mojej obronie.

– Co chcesz powiedzieć?

– To proste – odparłam, spoglądając mu wyzywająco w oczy. – Jeśli nie pomożecie mi ocalić Asha, możecie zapomnieć o soczewkach, które miałam dla was zdobyć u cyberchirurga.

Flint się wściekł. Prawdę mówiąc, niezbyt teraz przypominał opanowanego przywódcę, którego dotychczas zgrywał.

– To jakiś absurd! Przygarnęliśmy cię, kiedy nie miałaś do kogo się zwrócić ani dokąd pójść. Jesteś całkowicie zdana na naszą łaskę. Gdyby nie my, zarówno ty, jak i wszystkie inne drugie dzieci byłyby już dawno martwe. Naprawdę wydaje ci się, że możesz nas szantażować?

Za odpowiedź musiało mu starczyć moje spokojne spojrzenie.

– Słyszałeś, co powiedziałam – stwierdziłam twardym tonem.

– Kretynko, sądzisz, że nie uda nam się *zmusić* cię, żebyś wyśpiewała wszystko, co wiesz?

Pod wpływem tej groźby poczułam lekki atak duszności, ale nie dałam po sobie nic poznać. Uniosłam tylko lekko brwi ze zdziwienia.

– Już tego próbowałeś – przypominałam, starając się nadać swojemu głosowi możliwie najbardziej pogardliwe brzmienie. – I chyba niewiele się dowiedziałaś, prawda? Nie wydobyłeś ode mnie żadnych cennych informacji, mimo że sądziłam, iż przesłuchuje mnie człowiek Centrum. Naprawdę sądzisz, że teraz lepiej ci pójdzie, skoro wiem, kim jesteś – zastraszonego drugim dzieckiem, które zaszyło się w podziemnej kryjówce, i skoro stawką jest życie mojego brata?

Cała ta tyrada sprawiała wrażenie, jakbym była znacznie odważniejsza, niż w rzeczywistości się czułam.

– Prędszej czy później byś pękła – odparł Flint, jednak bez przekonania.

– Owszem – przyznał ku mojemu zdziwieniu Lachlan. – Ale weźmy pod uwagę, ile czasu by to zajęło. My natomiast nie możemy dłużej zwlekać ze zdobyciem soczewek. Zwłaszcza że nie

możemy wykluczyć ryzyka, iż wie o nas zdrajca należący do Krawędzi. Żeby przystąpić do realizacji naszego planu, muszę mieć soczewki. Jasne, przesłuchanie by ją złamało, jednak pochłonęłoby to całe dni. A co jeśli by nie przeżyła tortur?

Doskonale rozumiałam, co próbuje zrobić Lachlan, jednak nie zdradzałam się z tym. Flint chyba stracił pewność siebie, przez co stawał się nerwowy. Niewiele wiedziałam na temat rządów, ale coś mi się wydawało, że człowiek, którego tak łatwo wytrącić z równowagi, nie nadaje się do roli przywódcy.

– Chcesz ocalić to, co kochasz – zauważyłam. – Ja pragnę tego samego.

– Wyjdźmy – rzucił Flint, zwracając się do Lachlana, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Kiedy Lachlan mnie mijał, mrugnął do mnie ukradkiem.

Gdy zostałyśmy same, szybko objęłam Lark i mocno ją przytuliłam. Czułam, że cała drży. Przytulałam ją tak długo, aż dreszcze ustąpiły.

– Co to za miejsce? – spytała.

Nie byłam wcale pewna, czy powinnam jej cokolwiek mówić. To, czego już się dowiedziała – lub zdołała się samodzielnie domyślić – wystarczyło, by zagrozić jej życiu. Ale przecież była moją najlepszą przyjaciółką, powinna poznać prawdę. Popełniła błąd, zdradzając komuś mój sekret. Teraz będzie już bardziej uważać.

– Nazywają je Podziemiem. Zostało zaprojektowane jako zapasowy Eden, na wypadek gdyby z tym pierwotnym stało się coś złego. Teraz stanowi sekretny azyl, w którym żyją drugie dzieci.

Twarz Lark rozpogodziła się, jakby w jednej chwili zapomniała o torturach i swej niepewnej przyszłości.

– A więc znalazłaś dom! Miejsce, w którym możesz żyć! Tak się cieszę. Ale... – Nagle spochmurniała, a na jej twarzy odmalował się wysiłek, jaki wkładała w szybkie łączenie faktów.

– Czy to znaczy, że nie będziemy mogły się spotykać? Ani ty nie będziesz mogła wyjść na powierzchnię, ani ja ciebie odwiedzić?

– Lark, jest tyle spraw, o których jeszcze nie wiem. Nie mam pojęcia, jak działa Krawędź. Wiem natomiast, że Podziemie to poważna sprawa. Życie wielu osób uzależnione jest od tego miejsca i od utrzymania w tajemnicy jego istnienia.

Lark zrobiła lekko nadąsaną minę, ale już po chwili potrząsnęła szybko głową, aż jej liliowe włosy zafalowały.

– Jakoś zdołasz się wymknąć – oznajmiła z wielkim przekonaniem, a w kąciку ust załagł jej się szelmowski uśmiezek. – Przyjdiesz do mnie, wiem o tym.

Mimo niebezpieczeństwa, jakie nam teraz groziło, czułam do niej nieodparty pociąg. Miała rację: cokolwiek się stanie, niezależnie od ryzyka, jakie się będzie z tym wiązało, postaram się z nią spotkać.

Kiedy Lachlan wrócił do sali, zamurowało go na nasz widok – przytulałyśmy się, niemal dotykając się twarzami, oczy Lark lśniły. Zauważyłam, jak po jego twarzy przemknął cień.

Odsunęłam się niezgrabnie od przyjaciółki, jednym palcem zahaczając o kosmyk jej splątanych włosów. Nie wiedziałam, na które z nich powinnam teraz patrzeć. Tak wiele zawdzięczałam im obojgu. A jednak moje emocje wobec nich nie wynikały z tego, że czułam się zobowiązana. Przeżywałam w tej chwili istną burzę nieznanymi mi wcześniej i dziwnymi uczuć. Nie wiedząc, jak sobie z nimi poradzić, wybrałam najprostsze rozwiązanie – postanowiłam je zignorować. Przypominało to trochę sytuację wspinacza onieśmiałego potęgą góry i perspektywą wspinaczki, mimo że na razie przeprawia się przez rwący nurt rzeki płynącej u jej stóp. Lachlan i Lark oraz ich pocałunki, wydali mi się w tej chwili takimi górami, które wznosiły się przede mną i przed którymi nie dało się uciec. Wiedziałam jednak, że nie muszę się tym zajmować teraz, dlatego po prostu skupiałam się na czym innym.

– No i co? – spytałam wyzywająco, biorąc się pod boki.

– Flint się zgodził – stwierdził Lachlan, jednak lekki grymas jego ust sugerował, że należałoby powiedzieć raczej: *został przekonany* – żebym pomógł ci uratować Asha.

Z westchnieniem ulgi wyciągnęłam do niego rękę... jednak zaraz się powstrzymałam.

– Pod pewnymi warunkami – dodał Lachlan. – Po pierwsze, zanim wyjdziemy na powierzchnię, Lark podane zostaną środki odurzające. Będzie nieprzytomna, a kiedy odzyska świadomość, pewnie będzie niewiele pamiętała z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Zgoda?

Spojrzałam pytająco na przyjaciółkę, a ona skinęła głową.

– Nie chodzi o to, że ci nie ufamy, ale... – zwrócił się do niej Lachlan, mrużąc lekko oczy – ludziom zdarza się popełniać błędy. Przyjdę po ciebie za jakiś czas, a wtedy przemycisz mnie do Centrum. Druga sprawa: nigdy więcej nie będziesz próbowała odnaleźć Podziemia ani skontaktować się z Rowan.

– Ale... – próbowałyśmy protestować.

– Nigdy więcej – powtórzył kategorycznie Lachlan. – Jeśli zauważymy, że kręcisz się w pobliżu któregośkolwiek z wejść do Podziemia, albo gdy będziesz widziana w towarzystwie Rowan, zostaniesz zabita. Nie damy ci drugiej szansy.

– Ale Lark jest moją przyjaciółką – tłumaczyłam.

Lachlan nie próbował się spierać. Zamiast tego chwycił mnie za rękę i spojrzeniem dał do zrozumienia, żebym się zgodziła, a potem się zobaczy.

Miałam już doświadczenie w tajnych i ryzykownych schadzках z Lark. Poza tym w tej chwili wydawało mi się to odległą przyszłością. Priorytetem był Ash. No i dopilnowanie, by moja przyjaciółka bezpiecznie opuściła Podziemie. W pierwszej kolejności musiałam skupić się na przeprawie przez rwącą rzekę. Góra nie ucieknie.

Ale już chwilę potem ogarnęły mnie wątpliwości: czy warunek, że nigdy więcej nie spotkam

się z Lark, na pewno postawił Flint czy może był to pomysł Lachlana?

Po jakimś czasie w sali zjawił się przystojny młody mężczyzna o ciemnozielonych oczach drugiego dziecka. W dłoni trzymał strzykawkę. Na jej widok Lark posłusznie wyciągnęła przed siebie rękę.

– Do zobaczenia po drugiej stronie – powiedziała.

A kiedy bezbarwna ciecz wsączyła się w jej żyłę, nagle przyszła mi do głowy straszna myśl. Zdjęta nagłą paniką, przyskoczyłam do Lachlana.

– Po tym zastrzyku straci tylko przytomność, prawda? Nie podajecie jej trucizny?

– Rowan, za kogo mnie masz? – obruszył się Lachlan. Sprawiał wrażenie, jakby moje podejrzenia naprawdę go zaboląły.

– Przysięgnij! – zawołałam, chwytając go za przód koszuli.

– Przysięgam, Rowan – powiedział, delikatnie ujmując mnie za rękę. – Zaufaj mi.

Niedługo potem Lark zaczęła tracić przytomność. Kiedy jej powieki stały się ciężkie, pocałowałam ją w policzek. Kątem oka widziałam, że Lachlan ucieka wzrokiem w bok. Po dłuższej chwili do sali wszedł jakiś potężnie zbudowany mężczyzna i bez najmniejszego wysiłku wziął dziewczynę na ręce, jakby była szmacianą lalką. Kiedy ją wyniósł, poczułam pustkę.

– Zanieś Lark do jej domu. Kiedy dotrą na miejsce, powinna już powoli odzyskiwać przytomność. Jeśli dopisze jej szczęście, zdoła całkowicie zapomnieć o przygodzie w Podziemiu.

– Ale będzie pamiętać wystarczająco wiele, by nam pomóc, czyż nie?

Lachlan przypatrywał mi się w zamyśleniu, a w końcu stwierdził:

– Mam wrażenie, że dla ciebie gotowa jest zrobić wszystko.

Przygryzając wargę, zastanawiałam się gorączkowo, jak zareagować na te słowa.

– Jak ci się udało przekonać Flinta? – spytałam w końcu. Mogłam tylko mieć nadzieję, że tak nagła zmiana tematu nie wyda mu się podejrzana.

W odpowiedzi Lachlan wybuchnął śmiechem, a ja odetchnęłam z ulgą. Uwielbiałam, kiedy się śmiał i żartował. W takich chwilach czułam się przy nim naprawdę spokojna i szczęśliwa... Jego inne wcielenia: wojownika, przywódcy i... mężczyzny, wprawiały mnie natomiast w zakłopotanie i w takich chwilach nie wiedziałam, jak się wobec niego zachować. Lachlan ściszył teraz głos do szeptu:

– Chyba uznał, że mogę zginąć podczas próby przedarcia się do Centrum, i to okazało się decydującym argumentem. Między nami zawsze dochodziło do sprzeczek. Flint uważa, że to jemu należą się implanty. Dlatego zgodził się, żebym ci pomógł. Ja, nikt inny. Jego rozumowanie wygląda następująco: kiedy zostanę zabity podczas akcji ratowania Asha, uzna, że Podziemie wywiązało się z naszej części umowy. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, a teraz pora, żebyś zabrała go do cyberchirurga.

Zaczynałam rozumieć, jak bezlitosnym człowiekiem jest Flint. Powodzenie starań o ocalenie

drugich dzieci nie powinno być uzależnione od walki o władzę toczoną między dwoma najbardziej charyzmatycznymi przywódcami Podziemia.

– Nawet gdybyś zginął, nie oddałabym mu soczewek.

Dotknął mojego barku, jednak w tej samej chwili uświadomił sobie, co robi, i szybko cofnął rękę.

– Rowan, podczas przesłuchania spisałaś się naprawdę świetnie. Ale nie łudź się: prędzej czy później Flint i tak by cię złamał. Jego metody są... inne niż moje. Uważam, że nowego społeczeństwa nie można zbudować na fundamencie cierpienia. W określonych okolicznościach nieodzowne może okazać się pozbawienie kogoś życia. Jednak świadome narażanie człowieka na cierpienia jest dla mnie nie do zaakceptowania. Świat pełen jest okrucieństwa i bólu, a dopóki mam wybór, nie przysporzę mu więcej cierpień.

Nagle poczułam, jak zalewa mnie fala wzruszenia: wypełniła mi klatkę piersiową, rozlała się wzdłuż członków i załaskotała w końcówkach palców. Dlaczego moje ciało reagowało w tak dojmujący sposób na tego mężczyznę? I dlaczego podobne reakcje budziła też we mnie Lark? Czy chodziło tylko o to, że byli to pierwsi ludzie, których poznałam? Może zakochana byłam w samej idei innych ludzi?

– Może jest jakiś sposób, żeby wpłynąć na Flinta?

– Myślisz w podobny sposób jak ja – zauważył Lachlan, puszczając do mnie oko. Policzki momentalnie oblał mi rumieniec. – Nie da się go przekonać, żeby ci pomógł. Ani żeby pomógł mnie. Ale z twoją pomocą możemy dopiąć swego. – Nachylił się i szeptał mi teraz na ucho. – Jest sposób, byśmy odwrócili tę sytuację na naszą korzyść, ale musisz się zgodzić. Tej nocy wybierzemy się razem do cyberchirurga po soczewki dla mnie.

Przez chwilę walczyłam jeszcze z wątpliwościami: a co będzie, jeśli pomogę Lachlanowi, a on potem zostawi mnie na lodzie i nie pomoże mi ocalić Asha?

Odepchnęłam szybko te mroczne myśli. Ufałam mu.

– Wtedy będzie już za późno, by Flint próbował zdobyć implanty dla siebie. A ja stanę się tak cenny dla Podziemia, że nie będzie mógł ryzykować, bym przedzierał się do Centrum w pojedynkę. Będzie musiał zapewnić mi wsparcie, a wówczas moje szanse wzrosną.

Tak, to był świetny plan. Nagrodziłam Lachlana promiennym uśmiechem, ale zaraz uświadomiłam sobie, że jest jeszcze pewien szczegół, który można w nim poprawić.

– Nie tylko *twoje* szanse – stwierdziłam – lecz *nasze*. Przedrzemy się do Centrum razem.

Oczywiście próbował odwieść mnie od tego zamiaru, ale na niewiele się to zdało. Nie mogłam pozwolić, by sam narażał się na niebezpieczeństwo.



TYLE DZIAŁO SIĘ TERAZ W MOIM ŻYCIU, I TO w zawrotnym tempie. Szesnaście lat spędziłam w stanie uśpienia, aż nagle w ciągu kilku dni doświadczyłam niebezpieczeństwa, rozpacz, zdumienia i całej palety innych emocji.

Wyruszyliśmy niedługo po rozmowie w sali tortur, wybierając inną drogę niż ta, którą schodziłam do Podziemia. Dzisiejsza wiodła labiryntem wijących się bez końca tuneli. W pewnym momencie myślałam, że zabrnęliśmy w ślepą uliczkę, ale Lachlan przesunął jakiś kamienny panel i po chwili ściana bezszelestnie rozstała się przed nami, ukazując niziutki tunelik. Przez pewien czas musieliśmy poruszać się na czworakach, aż w końcu dotarliśmy do miejsca, gdzie znów mogliśmy się wyprostować. Znacznie wcześniej straciłam poczucie kierunku, jednak Lachlan przez cały czas prowadził nas nieomylnie ku powierzchni.

Gdybyśmy nie przeforsowali naszego planu, spałabym teraz smacznie w swoim pokoju, podczas gdy Lachlan ryzykowałby dla mnie życie. Nie mieściło mi się w głowie, że Flint liczy na to, (albo przynajmniej dopuszcza możliwość), że mój towarzysz zginie podczas akcji. Lachlan natomiast wydawał się całkowicie opanowany, kiedy wiodł mnie niekończącymi się i pnącymi się coraz wyżej tunelami. Sprawiał wrażenie podekscytowanego, roznosiła go energia.

– Nawet nie wiesz, ile to dla nas znaczy – powtarzał raz za razem. – Dostęp do tych implantów sprawi, że wszystko stanie się możliwe.

Ilekoć próbowałam się dowiedzieć, jak konkretnie zamierza je wykorzystać, udzielał mi wymijających odpowiedzi albo szybko zmieniał temat. Wiedziałam, jaki jest pierwszy etap jego planu: zamierzał, udając ucznia elitarnej szkoły, przeniknąć do wysokich szczebli rządu. Ale co dalej? Na myśl o tym, jak niewiele wiem o jego planach, poczułam przypływ niechęci. Zaufałam mu już wiele razy – powierzając w jego ręce życie Lark, zdradzając sekret o przygotowanych dla mnie soczewkach. Oczywiście rozumiałam, jak niebezpiecznie jest zwierzać się komuś – przykład Lark, która opowiedziała o mnie osobom darzonym przez nią zaufaniem, świadczył sam za siebie – jednak czułam się dotknięta, że Lachlan nadal nie mówi mi wszystkiego.

– Musimy przedostać się do kręgu przylegającego do tego najbardziej zewnętrznego – poinformowałam go, kiedy w końcu wynurzyliśmy się na powierzchnię. Poruszaliśmy się teraz w nieprzeniknionej ciemności. Eden nie rozpoznawał Lachlana, podobnie jak mnie: chodnika pod naszymi stopami nie rozjaśniał najmniejszy nawet blask.

– O, nagle sobie przypomniałaś – prychnął Lachlan, spoglądając na mnie z rozbawieniem.

Nie wiedziałam, czy powinnam dłużej przed nim udawać. Zerknęłam tylko na niego przelotnie i rzuciłam:

– Powoli wraca mi pamięć.

Wybuchnął serdecznym śmiechem, od którego zrobiło mi się lżej na sercu.

– Nie przeszkadza mi, że na razie nie mówisz całej prawdy. Najważniejsze, że jesteś obok. Wiem, czemu dawkujeś mi informacje.

To dziwne, ale poruszanie się po Edenie wydawało mi się teraz czymś zupełnie normalnym. Oczywiście przemykaliśmy chyłkiem, a od czasu do czasu czailiśmy się w cieniu, uważając, żeby nie zwrócić na siebie uwagi nielicznych nocnych przechodniów. Mimo to jednak po raz pierwszy poczułam, że jestem częścią tego miasta. Niebezpieczeństwo nie znikło, ale nawet ono wydawało mi się w jakiś sposób naturalne. Całe moje ciało rwało się do życia, buzowało energią i ekscytacją. Czułam się gotowa do działania.

Na powierzchnię wyszliśmy w miejscu oddalonym tylko o jeden krąg od celu naszej wędrówki. Wkrótce przemierzaliśmy aleję łączącą kręgi, po czym skierowaliśmy się na prawo, ku wschodniej części dzielnicy.

– Gdzieś tu powinien znajdować się salon modyfikacyjny o nazwie Serpentina – powiedziałam, przywołując w pamięci słowa mamy.

– Wiem, gdzie to jest – odparł Lachlan. – Chętnie odwiedzają go bestialcy. Nie miałem jednak pojęcia, że prowadzi się tam też podejrzane interesy. To niezbyt bezpieczna dzielnica, ale sam salon jest bardzo popularny w pewnych środowiskach. Gdybyś wcześniej zdradziła mi, że chodzi o Serpentinę, mogłabyś teraz smacznie spać i śnić o lepszym świecie.

– Śnienie to żadne rozwiązanie – oświadczyłam. – Ja chcę *zrobić* coś, co przybliży ten lepszy świat, a nie tylko o nim śnić. Jeśli moja rola będzie niewielka, to trudno.

– Jesteś gotowa zrzec się implantów, które ci się należą – zauważył Lachlan, przystając na środku mrocznej ulicy. Kiedy na mnie spojrzał, na jego twarzy odmalował się szacunek i chyba nawet lekki podziw. – Pozbawiasz się szansy na stanie się częścią tego świata. Marzyłaś o tym całe życie. Równie dobrze mogłabyś porzucić Podziemie, mnie i wszystkich nas, żeby spróbować szczęścia w Edenie. Z implantami i nową rodziną, o którą wystarała się dla ciebie mama, mogłoby ci się udać.

– Coś mi się wydaje, że Flint by do tego nie dopuścił – odparłam z powątpiewaniem.

Przez twarz mężczyzny przemknął cień, jednak już po chwili uśmiechał się szeroko. Cały Lachlan – zawsze próbował we wszystkim dojrzeć pozytywną stronę.

– Chyba zorientowałaś się już, że mamy z Flintem nieco różne poglądy. Oczywiście, nawet gdybyśmy mu zaufali, twoje implanty mogłyby zapewnić ocalenie Podziemiu i przyczynić się do odmienienia Edenu na zawsze. Ja jednak wierzę w nadrzędną wartość wolnej woli i prawo do samostanowienia. Te wartości stanowią fundamenty świata, o który walczymy. Gdybyś

zdecydowała, że nie chcesz oddać swoich soczewek, nie próbowałbym cię zmuszać – oświadczył, a jego twarz na mgnienie oka znów się zachmurzyła. – Gdyby Flint chciał cię zmusić, powstrzymałbym go.

Ciekawe, kiedy ten konflikt między Lachlanem a formalnym przywódcą Podziemia przerodzi się w totalną wojnę. I jakie będzie to miało skutki dla sekretnego świata drugich dzieci?

Na razie nie mogłam jednak skupiać się na tych kwestiach. Miałam też mnóstwo innych wątpliwości, które musiałam w sobie stłumić. Wkrótce znaleźliśmy się przed Serpentyną.

Salon mieścił się w jaskrawopomarańczowym budynku, dokładnie tak jak opisała to mama. W przeciwieństwie do większości okolicznych zabudowań gmach Serpenty ny był delikatnie oświetlony; złocisty blask wykrawał w ciemności kształt budowli.

Wewnątrz oczekiwała mnie przemiana w normalnego obywatela Edenu. Gdybym zgodziła się na zabieg wszczepienia soczewek, mogłabym rozpocząć prawdziwe życie. Tyle że wiodłabym je z dala od mojej prawdziwej rodziny, odseparowana od mojej przyjaciółki. Jasne, życie, ale tak naprawdę byłoby to kolejne kłamstwo, inna forma ukrywania się.

Nie, zdecydowałam, nie chcę takiej egzystencji. Nie potrzebuję tych soczewek. Nie będę częścią społeczeństwa, które tak naprawdę wcale mnie nie chce. Ponieważ ten świat nie miał mi nic do zaproponowania z wyjątkiem scenariuszy, w których zawsze będę wyrzutkiem i zawsze będę się ukrywać, uznałam, że wolę pozostać tym, kim jestem: drugim dzieckiem pośród innych drugich dzieci.

W tej samej chwili poczułam wielką ulgę. Dotychczas zamierzałam co prawda przekazać soczewki Lachlanowi, jednak była to decyzja, którą powzięłam racjonalnie. Dopiero teraz nałożył się na nią również emocjonalny wybór. Uświadomiłam sobie teraz, że perspektywa pozostania drugim dzieckiem o kalejdoskopowo barwnych oczach napęnia mnie znacznie większym szczęściem niż świadomość, że zostanę poddana przez Centrum jakimś modyfikacyjnym zabiegom tylko po to, by pasować do miejsca, w którym, jak teraz wreszcie odkryłam, wcale nie chcę żyć.

Otoczające klinikę ogrodzenie pod napięciem mruczało groźnie. Lachlan przyglądał się długo płotowi, marszcząc brwi.

– Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś, że natrafimy tu na taką przeszkodę. Wyłączenie prądu zajmie mi sporo czasu. A wolałbym nie przebywać na powierzchni dłużej niż to konieczne.

– Wiem, jak dostaniemy się na teren kliniki – stwierdziłam, po czym powtórzyłam mu instrukcje, jakie przekazała mi mama. – Dopływ prądu wyłączany jest w trzecim panelu od lewej w południowo-wschodnim rogu ogrodzenia.

Zawahałam się na chwilę.

– A może chodziło o południowo-zachodni róg? – zastanowiłam się.

Lachlan posłał mi cierpkie spojrzenie.

– Zdajesz sobie sprawę, że napięcie jest tu zapewne tak wysokie, że kontakt z siatką grozi śmiercią?

– Południowo-wschodni róg, jestem pewna – powiedziałam, choć wcale nie miałam stuprocentowej pewności. – Między godziną trzecią a czwartą nad ranem następuje przerwa w dopływie prądu.

– Najwyraźniej do salonu zagląдают ludzie będący na bakier z prawem – zauważył Lachlan, zerkając na zegarek. – Miło ze strony gospodarzy, że pomyśleli o zorganizowaniu dla zaufanych klientów tylnego wejścia.

Przeszliśmy na tyły budynku i odnaleźliśmy trzeci od lewej segment siatki. Nachyliłam się, żeby sprawdzić, czy usłyszę ostrzegawcze brzęczenie. Cały płot buczał jednak cichutko, przez co nie mogłam mieć pewności, czy dopływ prądu do tego segmentu został już odcięty. Rozejrzałam się wkoło, szukając kawałka gruzu, którym można by rzucić w siatkę i sprawdzić, czy polecą iskry. Nie bardzo wiedziałam, czy to wystarczy.

– Możemy... – Zanim zdążyłam dokończyć, Lachlan zachował się we właściwy sobie sposób. Podskoczył i uczepił się siatki... która o dziwo nie usmażyła go na śmierć. Obejrzał się na mnie przez ramię, uśmiechając się szeroko.

– Idziesz?

Nie umiałam powstrzymać śmiechu i już chwilę później ścigaliśmy się, kto pierwszy osiągnie szczyt płotu. Mimo że Lachlan miał z początku przewagę, ostatecznie to ja wygrałam wyścig. Czuję się silna i sprawna.

Zeskoczyliśmy po drugiej stronie i ruszyliśmy do tylnych drzwi. Zgodnie z instrukcjami mamy zapukałam dwa razy w górną część drzwi, następnie odczekałam chwilę, po czym zapukałam jeszcze trzy razy u dołu. Przez długą chwilę nic się nie działo, jednak w końcu usłyszeliśmy zbliżające się kroki.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać – naukowca w średnim wieku czy może groźnie wyglądającego lekarza w białym kitlu? Tymczasem kiedy drzwi się otworzyły, stanęła w nich młoda kobieta o zaczesanych do góry rudych włosach, oczach mocno podkreślonych czarną kredką i przeraźliwie bladej twarzy. Jej bladość dodatkowo podkreślał biały strój. Nie była ubrana w typowy lekarski fartuch, w którym często widywałam ojca; krój jej kitla był odważny i ekstrawagancki, poszczególne części stroju zszyte były ze sobą, tworząc dziwne kąty, a całości dopełniały eleganckie stalowe wstawki. Na tle bieli zaczesane gładko do tyłu włosy kobiety wydawały się czerwone niczym rozpalona lava, a jej oczy przypominały żarzące się węgle.

Przez dłuższą chwilę przypatrywała mi się uważnie – a właściwie świdrowała mnie wzrokiem – po czym otworzyła nieco szerzej oczy.

– *Bikk!* Gdzieś się, do cholery, podziewała tak długo? – Po czym zwróciła swe żarzące się oczy na Lachlana i spytała: – A ten tutaj to kto?

– Nazywam się... – wydukał zbity z tropu Lachlan, jednak kobieta była zbyt zniecierpliwiona, by pozwolić mu dokończyć. Chwyciła nas za ramiona i wciągnęła do środka.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteście. Rowan znam już całkiem nieźle z opowieści jej matki, no i dzięki dokumentacji medycznej. Mam na imię Flame, Płomień – przedstawiła się kobieta, a ja momentalnie zauważyłam, że to imię idealnie do niej pasuje. – Dlaczego nie przyszedłaś wczoraj, tak jak się umawialiśmy?

Spokojnym głosem opowiedziałam jej o spotkaniu z zielonymi koszulami podczas kontroli na ulicy. I o zabójstwie mojej mamy.

– Tak, twoja mama wspominała, że ktoś cię ściga – zadumała się lekarka, po czym znów zaczęła przeklinać, równocześnie krążąc po pomieszczeniu. – *Bikk!* Powinam była zniszczyć te soczewki, jak tylko pojawiły się pierwsze problemy.

– Ale nie zrobiłaś tego, prawda? – spytał Lachlan. Cyberchirurg spiorunowała go wzrokiem.

– A co cię to obchodzi? Nieważne, co zrobiłam – odwarknęła, po czym zwróciła się znów do mnie. – Gotowa? Zabieg potrwa około godziny, jednak potem będziesz musiała jeszcze przez jakiś czas zostać pod obserwacją. Następnie przez trzy miesiące musisz zjawiać się na wizyty kontrolne. Upłynie około pół roku, zanim soczewki przyjmą się i nawiążą pełne połączenie z twoją siecią neuronową. Na koniec będziesz musiała przejść jeszcze jedno badanie. Jeśli w międzyczasie usuniesz je lub uszkodzisz, cały proces trzeba będzie zaczynać od początku. Ale jeśli przez pół roku nic się nie zdarzy, soczewki trwale zrosną się z twoim ciałem. Nie radzę ich psuć, bo to jedyna para, jaką zdołałam stworzyć. Po twoim zabiegu kończę działalność. Nie chcę żadnych problemów. Pieniądze, owszem, zawsze są mile widziane, ale nie mam ochoty dłużej ryzykować życiem.

Próbowałam wtrącić się i przerwać ten potok słów, jednak bez skutku – musiałam poczekać, aż cyberchirurgowi zabraknie tchu. Wreszcie wyrzuciłam z siebie:

– Nie chcę tych soczewek. Chciałabym, żeby założyła je pani mojemu przyjacielowi, Lachowi.

Jego pełne imię miałam już na końcu języka, ale w porę zorientowałam się, że podawanie go może nie być najlepszym pomysłem.

– Wykluczone – ucięła lekarka, nie zwalniając ani na chwilę kroku.

– Nie potrzebuję ich – tłumaczyłam, doganiając lekarkę. – Za to jemu soczewki są potrzebne.

Flame wykonała teatralny gest, zatykając sobie uszy.

– Nie chcę o tym słyszeć. Dostałam za to zlecenie tyle forsy, że stać by mnie było na przeniesienie Serpentyny o trzy kręgi bliżej Centrum. I nie interesuje mnie nic więcej. Możesz potem stanąć do walki z Centrum albo poddać się modyfikacjom zmieniającym cię w zółwia, albo poświęcić się karmieniu głodnych i pomaganiu biedakom – wszystko mi jedno. Nie chcę nic wiedzieć o twoich motywacjach.

– Nie pozna ich pani – nalegałam. – Chodzi mi tylko o to, żeby wszczepiła pani implanty jemu, a nie mnie.

– Dziewczynko, dalej nie rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć? Te soczewki są dla ciebie, nie dla kogoś innego.

– Wiem, że moja mama zapłaciła za nie, ale...

– Nie chodzi o pieniądze – stwierdziła kobieta, parskając śmiechem. – Powiem to tylko raz: zdajesz sobie sprawę, że dotychczas nikomu nie udało się zaprojektować soczewek, które by w pełni połączyły się z organizmem nosiciela i pozwalały łączyć się z Ekopanoptykonem? Te implanty to moje arcydzieło. Odebrałam znakomite wykształcenie, jestem utytułowanym lekarzem, a przez całe życie byłam skazana na wszczepianie łusek i rogów bestialcom. I wreszcie, po tylu latach, zdołałam stworzyć coś genialnego. To nie są pierwsze lepsze soczewki. Twoja mama przekazała mi dokładne skany twoich oczu, mózgu, charakterystykę osobowości, dane o ciepłocie ciała, metabolizmie... Implanty zostały dostosowane do ciebie, nikt inny nie będzie mógł ich nosić, ponieważ nie zadziałają...

Z wrażenia odebrało mi mowę. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Jeszcze niedawno marzyłam o normalności, kiedy jednak okazała się ona niemożliwa, uznałam, że nie potrzebuję soczewek. Zapragnęłam zachować moje naturalne oczy, moją tożsamość, nawet jeśli będę je musiała ukrywać przez resztę życia. Nawet jeśli przyplączę to śmiercią.

Na usta cisnęły mi się słowa: *W takim razie proszę zapomnieć o całej sprawie i zniszczyć implanty. Idziemy*, kiedy poczułam, jak Lachlan chwyta mnie za ramię. Zapewne nie chciał mi sprawić bólu, ale ścisnął tak kurczowo, że mimo woli się skrzywiłam.

– Musisz mieć te soczewki – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Zastąpisz mnie.

– Nie... – Potrząsnęłam głową, jednak Lachlan pociągnął mnie za sobą do drzwi sali. Kiedy cyberchirurg wykonała jakiś dramatyczny gest świadczący o wielkiej irytacji, Lachlan mruknął pod nosem: – Proszę nam na chwilę wybaczyć.

– To nasza jedyna szansa – syknął, jak tylko zostaliśmy sami. Przyciągnął mnie blisko do siebie. Nagle zrobiło mi się gorąco. – Zostało niewiele czasu na przeprowadzenie naszej misji. Zorganizowałam wszystko w taki sposób, że podjąć się jej może tylko osoba w wieku podobnym do mojego. Ktoś, kto będzie mógł zinfiltrować szkołę, przeniknąć do środowiska rodzin z wewnętrznego kręgu. W przeciwnym razie całą operację szlag trafi.

– Ale... ja nie jestem taka jak ty. Prawdę mówiąc, nie bardzo nawet wiem, o co w tym wszystkim chodzi!

– Jesteś do mnie podobna w większym stopniu, niż ci się zdaje. Wiem, że masz wszczepione poczucie sprawiedliwości. Wiem, że pragniesz, by drugie dzieci zyskały równe prawa. I że tego samego pragniesz dla wszystkich dzieci Edenu.

– Nie mogę tego zrobić. To ty jesteś...

– No jaki? – przerwał mi gwałtownie. – Co takiego umiem, czego ty nie jesteś w stanie zrobić, albo czego się szybko nie nauczysz? Nie jestem nikim wyjątkowym. Jestem zwykłym dzieciakiem, którym inni pomiatali tak długo, aż wreszcie postanowił stanąć do walki. Rowan, jesteś urodzoną wojowniczką.

Przy ostatnich słowach odruchowo uniósł dłoń i potarł policzek, w który go niedawno uderzyłam.

– Jestem tylko... sobą – wydukałam.

– Nie myśl nigdy w ten sposób – zaprotestował Lachlan. – Nie myśl, że bycie „tylko sobą” to za mało. Rowan, posłuchaj mnie. Wszystko zależy od tego, czy któreś z nas będzie miało te soczewki. Przez ostatni rok zajmowałem się wyłącznie przygotowywaniem akcji, trenowałem, nie myślałem o niczym innym.

– No właśnie, ty masz za sobą trening. A ja nie wiedziałabym nawet, co robić. Nie chcę...

Miałam już na końcu języka: *Nie chcę tego zrobić*, ale Lachlan nie pozwolił mi dokończyć. Sądził pewnie, że powiem coś wzniosłego, w rodzaju: *Nie chcę cię zawieść*. Ale mi wcale nie o to chodziło. Przywykłam już do myśli, że będę odtąd mogła żyć w spokoju w Podziemiu. Zyskam nowych przyjaciół, bezpieczeństwo. Nową rodzinę.

– Pomogę ci. Będę przez cały czas u twojego boku, a w każdym razie tak blisko, jak to możliwe. Będę wszystkim dyrygował.

Żeby mi zademonstrować, jak blisko będziemy, chwycił mnie za rękę i splótł swoje palce z moimi. Ogarnęło mnie uniesienie połączone z niepokojem. Co to znaczy, że będzie wszystkim dyrygował? Jakbym była kukielką, którą on będzie poruszał?

– To naprawdę proste. Najpierw po prostu musisz pójść do szkoły i poznać parę osób. Wystarczy, że będziesz zachowywała się naturalnie.

Na te słowa parsknęłam niepowstrzymanym śmiechem.

– To twoim zdaniem jest proste? Jeszcze trzy dni temu znałam trzy osoby, spośród których tylko dwie mnie lubiły. Chcesz, żebym zawierała przyjaźnie? I zachowywała się naturalnie? Jeśli cię zastąpię, spartolę twoją misję w pięć minut.

Uśmiechnął się łagodnie i lekko ścisnął moją dłoń.

– Jesteś bardziej urocza, niż sobie wyobrażasz – powiedział cicho. – Wierzę w ciebie, Rowan. Jeśli ty też uwierzysz w siebie, na pewno ci się uda. Gdybym nie był przekonany, że ci się powiedzie, nie składałbym ci tej propozycji. Ta misja jest zbyt ważna, bym powierzył ją komuś niekompetentnemu – zapewniał, gładząc kciukiem moje włosy. – Twoje życie jest zbyt ważne, bym proponował ci to zadanie, nie będąc przekonanym, że mu podołasz.

– Dlaczego niby moje życie jest takie ważne? – spytałam.

Nie próbowałam wcale sprowokować go do prawienia mi komplementów. Nie przemawiała przeze mnie próżność. Naprawdę byłam ciekawa, dlaczego przywiązuje tak wielkie znaczenie do

mojego życia.

W tej samej chwili Lachlan oblał się rumieńcem. Jego twarz w mgnieniu oka stała się dosłownie różowa. Utkwił spojrzenie w naszych splecionych palcach.

– Podam ci tylko jeden z wielu powodów – odezwał się, spoglądając mi znów w oczy, ale nie puszczając mojej dłoni. Nagle poczułam, że w niewielkim pomieszczeniu, do którego przeszliśmy, zrobiło się jeszcze goręcej. – Chodzi o to, jak walczysz o ludzi, na których ci zależy: o Lark, kiedy groziło jej niebezpieczeństwo. O twojego brata. W takich chwilach zapominasz o sobie, ważna staje się wyłącznie osoba, którą kochasz. I już choćby ta cecha czyni cię kimś wyjątkowym – westchnął ponuro. – Szkoda, że kiedyś ktoś nie walczył o mnie z takim zapałem.

Do głowy przychodziło mi tylko jedno pytanie.

– Jeśli się nie zgodzę, nadal będziesz chciał mi pomóc w ratowaniu Asha?

– Tak – odparł bez zastanowienia.

A ponieważ się zgodził, ja również nie mogłam mu odmówić.

Po paru minutach znalazłam się w jasno oświetlonej sali operacyjnej, gdzie przygotowano mnie do zabiegu. Kilka oddechów później zaczęłam tracić przytomność, osuwając się w ciemność...



... WYBUDZIŁAM SIĘ, SŁYSZĄC STRZAŁY. SZYBKO uznałam jednak, że sen nadal trwa. Niemożliwe, żeby to była jawa. Miałam co prawda szeroko otwarte oczy, jednak nadal przewijały się przed nimi sceny rodem ze snu. Czułam delikatne łaskotanie gałek ocznych, wibrowanie, które doprowadzało mnie do szału. To, co widziałam, nie miało większego sensu. Dostrzegałam jakichś ludzi w srebrzystym, jakby chromowanym pomieszczeniu. Wypełniała je niezdrowa zielonkawa poświata, której źródło znajdowało się chyba gdzieś u góry. Po chwili zauważyłam klatki, w których tkwiły bezbronni, pozbawione sierści zwierzęta o różowej skórze. Widziałam przewody sterczące z pojemników pełnych bulgoczącego żelu. Obrazy tańczyły mi przed oczami, nie układając się w żadną logiczną całość. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście je widziałam, czy może były tylko wytworem mojej wyobraźni. Słyszałam też jakieś krzyki, a w pewnym momencie rozległ się huk. Czyżby znowu ktoś strzelał? Ten hałas był prawdziwy, czy wyobraźnia płatała mi figle?

Dopiero po chwili zrozumiałam, że ten odgłos spowodowało moje własne ciało spadające na posadzkę. Ból rozszedł się promieniście po wszystkich kościach, oszczędzając tylko czaszkę. Czyjaś ręka podtrzymała mi głowę, dzięki czemu nie zderzyła się ona z ziemią. Poczułam jakiś ciepły ucisk, który sprawił, że ogarnęło mnie poczucie niewytłumaczalnego spokoju.

Kiedy w końcu zdołałam skoncentrować spojrzenie, ujrzałam nad sobą Lachlana. Leżał na mnie, przyciskając mnie do podłogi. Uśmiechnęłam się do niego. Nie byłam pewna, co z tego wszystkiego jest realne. Ale akurat z tym, co działo się teraz między nami, czułam się dobrze.

– Musimy cię stąd zabrać – odezwał się Lachlan. – Zraniłaś się, spadając?

Wolną dłoń, którą nie podtrzymywał mi głowy, zaczął obmacywać delikatnie całe moje ciało, szukając kontuzji. Kiedy jego palce przesunęły się po moich żebrach, zachichotałam, czując łaskotki. Lachlan przyjrzał mi się zdumiony i dopiero wtedy zrozumiałam, co dzieje się naprawdę, a co sobie tylko wyobrażam.

Znów zadudniły strzały. Z wolna zaczynałam sobie przypominać, co ostatnio się ze mną działo. Poddalam się operacji wszczepienia implantów. A teraz najwyraźniej byliśmy atakowani.

Przeżrana rozejrzałam się wkoło. Leżałam na brzuchu, niemal pod samym stołem operacyjnym. Posadzka pokryta była jakimiś ostrymi, dziwnie wyglądającymi przyrządami. Spróbowałam się podnieść, jednak Lachlan przytrzymał mnie na ziemi.

– Szturmują od frontu. Jest tam dwóch, może trzech funkcjonariuszy zielonych koszul. Na

szczęście twoja utalentowana pani cyberchirurg, jak się okazało, ma też smykałkę do hakowania. Udało jej się zhakować boty ochrony kliniki. Boty zwróciły się przeciwko zielonym koszulom i nie pozwalają im wdrzeć się na teren Serpentyny. Możesz wstać?

– Przed chwilą próbowałam – warknęłam.

Nadal docierały do mnie powidoki dziwnych obrazów, niczym pieczęć odcisnięta na wewnętrznej stronie powiek.

– Nigdzie nie widzę Flame – stwierdził Lachlan. Zauważyłam, że w garści trzyma pistolet. Nie miałam pojęcia, skąd go wytrzasnął. Kiedy tu szliśmy, nie widziałam, żeby był uzbrojony. – Musimy się stąd wydostać.

Wyczuwałam, że przygląda mi się jakoś dziwnie. Odruchowo uniosłam rękę do oczu. Chciałam zobaczyć, jak teraz wyglądają. Ale oczywiście w naszej sytuacji raczej odpadało szukanie lustra. Czułam, że powieki mam opuchnięte, a źrenice przewrażliwione, ale świat widziany przez nie niczym nie różnił się od tego wcześniej. Obrazy, które jeszcze przed chwilą mnie atakowały, to pewnie skutki uboczne narkozy.

– Strzały dobiegają od frontu – wymamrotałam, próbując wyobrazić sobie plan Serpentyny. – Może udałoby się nam wydostać przez zaplecze?

– Możliwe, ale ogrodzenie znów jest pod napięciem.

Rozwiązanie, które powinno chronić przed intruzami z zewnątrz, uczyniło z nas więźniów.

– Uda ci się wyłączyć prąd?

– Gdzieś muszą być bezpieczniki, ale...

Podążyłam spojrzeniem tam, gdzie patrzył.

– Pewnie są od frontu – stwierdziłam ponuro. – No to co zrobimy?

– Ty tu poczekaasz, a ja pomogę botom, które walczą po naszej stronie.

– Ale...

Spiorunował mnie wzrokiem.

– Naprawdę chcesz się ze mną spierać w takiej chwili? – spytał. Zacerpnęłam już powietrza, żeby zaprotestować, ale uciszył mnie, kładąc palce na moich ustach. – Ciii. Zostań tu.

Nie chcąc wchodzić mu w drogę (a może też dlatego, że po prostu się bałam), zrobiłam, co mi kazał, podczas gdy Lachlan, kucając, zaczął przekradać się w stronę wyjścia. Lufę pistoletu trzymał skierowaną do ziemi. Po chwili uchylił lekko drzwi. Odgłosy strzelaniny umilkły, nie było słyhać żadnego ruchu. Czyżby zielone koszule zostały pokonane, a może udało im się wyłączyć boty ochrony? Pierwsza możliwość powinna napawać mnie radością, ale zaraz wyobraziłam sobie Rooka w zakrwawionym mundurze. Nie chciałam, by ktokolwiek zginął. Nawet ci, którzy próbowali mnie zabić.

Lachlan wyglądał przez szparę w drzwiach i nasłuchiwał w milczeniu. Jego ciało zamarło bez ruchu, gotowe w każdej chwili rzucić się do ataku. Z tego miejsca miał dość ograniczony widok,

domyślałam się jednak, że pracują wszystkie jego zmysły. Po długiej chwili zauważyłam, że lekko rozluźnia ramiona.

Odwrócił się do mnie i posłał mi uspokajający uśmiech.

– Chyba czysto. Ale zostań tam, gdzie jesteś.

To był ułamek sekundy, choć miałam wrażenie, że błąd, który wtedy popełnił, widzę w zwolnionym tempie. Zanim odwrócił ode mnie swoją uśmiechniętą twarz, zdążył już uchylić drzwi nieco szerzej. I ten moment wystarczył. Czyżbym w takim razie to ja zawiniła? Może przez to, że spjrzałam wtedy na niego, zbyt długo był na mnie skoncentrowany?

Na krótką chwilę Lachlan stracił czujność. Rozległ się huk wystrzału. Brzmiał, jakby padł z bliska, był ogłuszający. Lachlan zatoczył się do tyłu i choć nie widziałam rany, dostrzegłam, jak w powietrze wzbija się fontanna krwi. Potknął się o niski taboret, po czym runął na ziemię. Był jeszcze na tyle przytomny, by przewracając się, kopniakiem zamknąć drzwi.

Przez chwilę łudziłam się, że nic mu nie jest... ale zaraz potem drzwi ustąpiły, gdy trafił je wojskowy buciur jednego z funkcjonariuszy. Mężczyzna wycelował w Lachlana. Jego broń, karabin, była znacznie większa niż pistolet mojego towarzysza. Nie wiedziałam, czy w tych sprawach wielkość ma znaczenie, jednak nagle w zestawieniu ze spluwą tamtego pistolet Lachlana wydał się mały i niegroźny jak zabawka.

Ponieważ leżałam dalej od drzwi, schowana pod stołem, funkcjonariusz nie widział mnie. Przynajmniej na razie.

– Wstawaj – warknął do Lachlana.

Ten wydał z siebie jęk bólu i przekręcił się na ranny bok. Kiedy mundurowy go kopnął, jedyne, co mogłam zrobić, to siłą woli powstrzymać się od krzyku. Widziałam, jak Lachlan wzdrygnął się i zwinął w kłębek. Nie widziałam, jak mocno krwawi, nie wiedziałam, jak poważna jest jego rana. Czyżby było z nim gorzej, niż sądziłam? Wydawało mi się, że został postrzelony w ramię. Ale przecież mógł zostać trafiony w klatkę piersiową, a kula, wychodząc, przeszła też ramię. Dlaczego nie próbował walczyć? Dlaczego tylko leżał bez ruchu? Żeby nie krzyczeć, musiałam zakryć usta dłonią.

Mundurowy krzyczał do Lachlana, żeby ten się podniósł. Kiedy mój towarzysz jednak się nie ruszył, funkcjonariusz, wykrzywiając usta w grymasie obrzydzenia, zawiesił karabin na ramieniu, odczepił od pasa kajdanki i uklęknął obok najwyraźniej nieprzytomnego Lachlana.

Zrób coś, Lach, błagałam go w myślach. On jednak nadal leżał nieruchomo. Funkcjonariusz zielonych koszul umieścił jedną z obręczy kajdanek na nadgarstku Lachlana. W ciszy echem odbił się trzask zamka.

W tej samej chwili Lachlan ożył – zdrowym ramieniem, na którym zatrzasnęły się kajdanki, przyciągnął do siebie mundurowego. Ten, zupełnie zaskoczony nagłym atakiem, zamiast puścić kajdanki, runął na ziemię, przygniatając Lachlana. Musiał przy tym urazić zranioną rękę

przeciwnika, bo ten jęknął głośno, lecz ani na chwilę nie przestał walczyć. Wyrwał kajdanki z ręki mundurowego i uchwycił ich wolną obręcz w taki sposób, że chroniła jego knykcie niczym kastet. A następnie wyprowadził dwa szybkie ciosy, celując w bok czaszki zielonej koszuli.

Funkcjonariusz zdołał jakoś zmienić położenie ciała i przydusił do ziemi ramię Lachlana. Obaj mężczyźni umazani byli krwią. Było jej tyle, że walczący ślizgali się w niej, gdy próbowali znaleźć oparcie dla butów. W pewnym momencie Lachlan zepchnął z siebie mundurowego i przygniótł go swoim ciałem. Ten jednak zaraz się zrewanżował, wbijając zakrzywione palce w ranę postrzałową na ramieniu Lachlana. W mgnieniu oka twarz mojego towarzysza stała się śmiertelnie biała; myślałam, że zemdleje z bólu. Mundurowy zdołał go z siebie zrzucić i wyprowadzić kolejny cios. Wreszcie przypomniał sobie, że ma karabin.

Siedział okrakiem na powalonym Lachlanie, kolanami przytrzymując jego ramiona. Nie spieszył się już, pewny wygranej. Powoli, jakby sytuacja nie wymuszała żadnego pośpiechu, zdjął z ramienia karabin i wycelował Lachlanowi w twarz.

– Co my tu mamy? Drugie dziecko? – powiedział, unosząc końcem lufy twarz Lachlana, tak by móc spojrzeć mu w oczy. Karabin był długi, przez co mundurowy musiał odchylić się do tyłu, żeby swobodnie nim manewrować. Po chwili rozległ się rechot. – Domyślasz się, co z tobą zrobią w Centrum? Gdybym wpakował ci teraz kulkę, wyświadczyłbym ci przysługę.

Przyłożył wylot lufy do czoła Lachlana. Zacisnęłam powieki, nie mogąc znieść tego widoku. W myślach nie przestawałam powtarzać: *Lachlanie, błagam, zrób coś!*

I nagle uderzyła mnie myśl: dlaczego czekam, aż Lachlan coś zrobi?

Funkcjonariusz zielonych koszul nie wiedział, że tu jestem. Na posadzce niedaleko miejsca, gdzie zrzucił mnie ze stołu Lachlan, gdy wybuchła strzelanina, leżał skalpel. Jego ostrze było niewielkie, ale mogło stanowić śmiertelnie ostrą broń.

Mundurowy nie przestawał mówić, roztaczając przed swoją ofiarą wizję koszmarów, jakie czekają ją w więzieniu. Jego słowa przyprawiały mnie o nudności, ale równocześnie dodawały sił. Po cichu uklękłam i sięgnęłam po skalpel. Wydawał się taki maleńki, niemal zbyt delikatny, by móc wyrządzić krzywdę. Wiedziałam jednak, że wystarczy, by zagrozić napastnikowi.

Drwiny pochłaniały bez reszty uwagę mundurowego, dlatego nie słyszał, jak zakradam się od tyłu i przykładam mu do gardła ostrze skalpela. Przygotowałam już całą przemowę: *Rzuc broń i powoli wstań albo poderżnę ci gardło*. Oczami wyobraźni widziałam, jak związujemy napastnika, a potem uciekamy.

Stało się jednak inaczej – jak tylko ostrze dotknęło gardła, Lachlan szarpnął się, podrzucając napastnika do góry. Skalpel zanurzył się w ciele mundurowego, nie napotykając żadnego oporu, jakby jego skóra była najdelikatniejszym jedwabiem.

Odsunęłam się szybko – a właściwie odskoczyłam – ale było już za późno. Z rozciętego gardła

trysnął strumień krwi, pulsujący w rytm bicia serca. Lachlan chwycił karabin i wyrwał go z ręki rannemu, który odwrócił się do mnie. Na jego twarzy ujrzałam wyraz absolutnego zdumienia, który niemal złamał mi serce. Spoglądał na mnie wytrzeszczonymi oczami; wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć... jednak w końcu przechylił się tylko i runął do tyłu. Krew sączyła się teraz nieco wolniej z rozplatanego gardła, zbierając się w szkarłatną kałużę wokół jego ciała. Jeszcze jedno strzyknięcie, po czym jej upływ ustał, a mundurowy znieruchomiał.

Lachlan wyswobodził się spod ciała zabitego i wstał chwiejnie. Ja tymczasem nie mogłam oderwać wzroku od martwego funkcjonariusza zielonych koszul. Naprawdę to zrobiłam, pozbawiłam kogoś życia...

Dłonie miałam czyste, bez śladu krwi.

– Chodź, musimy uciekać – powiedział Lachlan, ciągnąc mnie za rękę. Ja jednak nie mogłam się ruszyć. – Musimy się stąd wydostać i poszukać jakiegoś miejsca, gdzie będziemy bezpieczni.

Zarzucił sobie na kark moją rękę, po czym, napierając całym ciałem, popchnął mnie ku drzwiom. Powinniśmy się zamienić rolami: to on był ranny, zatem to ja powinnam go podtrzymywać. Coś złego działo się jednak z moimi nogami, powłóczyłam nimi, jakbym nagle straciła nad nimi kontrolę.

– Nie mogę... – próbowałam protestować. Ale zaraz dotarło do mnie, że nie mam innego wyjścia.

Świat przed moimi oczami zawirował, jego krawędzie stały się dziwnie rozmazane. Nagle zorientowałam się, że w moim polu widzenia, albo umyśle, zaczynają znów pojawiać się obrazy, które widziałam zaraz po odzyskaniu przytomności. Przed oczami majaczyły mi jakieś postacie w białych kitlach. Zobaczyłam ekran urządzenia badającego czyjś puls i inne oznaki życia. W pewnym momencie ujrzałam cudowną wizję, którą chciałam jak najdłużej zatrzymać – las, który wydawał się tak realny, że czułam zapach wilgotnej ziemi.

Odepchnęłam jednak te powidoki i dojrzałam stojącą w drzwiach Flame, która przyzywała nas gestem. Lachlan wymierzył do niej z karabinu zielonej koszuli, ona jednak nie dała się zastraszyć.

– Wielkie dzięki – parsknęła gniewnie. – Byłam o krok od rozbudowy Serpentyny i przewodniczki do ekskluzywnej dzielnicy, a teraz wszystko przepadło. – Przyjrzała się uważnie moim oczom, po czym rzuciła: – Nie powinnaś wstawać, jesteś świeżo po zabiegu.

– Nie mamy wyboru – wycedził Lachlan przez zaciśnięte zęby. – Gdzie się podziewałaś?

– Musiałam pomajstrować przy procedurach bezpieczeństwa moich botów ochrony. Uznałam, że w tych okolicznościach nie zaszkodzi bardziej agresywne zachowanie. Boty zajęły się drugim z zielonych koszul. *Bikk, bikk, bikk!* – Flame zaczęła w zamyśleniu trzeć czoło, krążąc po sali. – Jak zdołam wytłumaczyć władzom cały ten bałagan? Oczywiście moglibyśmy pozbyć się ciał zabitych, rozpuszczając je w jakimś kwasie. W klinice musimy często pozbywać się materiału

biologicznego, więc dałoby się to zrobić.

Chodziła nerwowo, ani na chwilę nie przestając mówić. Kiedy ją obserwowałam, ogarnęło mnie dziwne uczucie – pomyślałam, że pomimo całego jej zdenerwowania, katastrofa, do jakiej tu doszło, to dla niej tylko chwilowa komplikacja. W końcu Flame zatrzymała się, a kiedy uniosła głowę, po jej ustach błąkał się tajemniczy uśmieszek.

– Macie dokąd pójść, dzieciaki?

Lachlan skinął głową.

– A ty?

– Wyobrażasz sobie, że przepracowałam całe życie na czarnym rynku i nie przygotowałam sobie paru kryjówek? No to lećcie. Poradzę sobie z tym bałaganem. Chyba – dodała po chwili, zerkając niepewnie na ciało zabitego funkcjonariusza. Następnie wzruszyła ramionami i pogroziła Lachlanowi palcem, jakby nagle wszystkie inne zmartwienia wyparowały jej z głowy. Powoli zaczynałam podejrzewać, że pani doktor jest odrobinę szurnięta. – Musisz znaleźć jej jakieś miejsce, gdzie będzie mogła się zatrzymać. Powinna odpoczywać co najmniej przez jeden dzień. Musi leżeć, tak żeby za oczami nie wzrastało ciśnienie. Chyba nie chcemy, żeby jej wyskoczyły z oczodołów, prawda? Poza tym sieć neuronowa Rowan przez jakiś czas może zachowywać się dziwnie. W końcu jesteś już połączona z Ekopanoptykonem.

Zamrugałam szybko pięknymi oczami, próbując ogarnąć myślą wszystkie konsekwencje tego, o czym mówiła.

– Nie powiązałam cię z tożsamością, którą załatwiła dla ciebie matka, tylko z tą, którą podrzucił mi twój przyjaciel. Ten chłopak ma sporo ciekawych znajomości! Ponieważ zielone koszule odnalazły cię tutaj, możemy założyć, że tożsamość zamówiona przez twoją matkę jest już spalona. Jednak twój znajomy miał już przygotowaną pełną specyfikację innej tożsamości... – stwierdziła, posyłając mu znaczące spojrzenie. – Można by pomyśleć, że już dawno zaplanował całą tę akcję. Musiałam zmodyfikować parę szczegółów, między innymi oczywiście płeć. Od tej chwili Ekopanoptykon będzie cię rozpoznawał jako Yarrow. Musi upłynąć sporo czasu, zanim implanty na dobre połączą się z systemem; przez kilka miesięcy mogą pojawiać się usterki. Licz się z tym, że niektóre boty będą miały problemy z przeprowadzeniem skanu. Ale jeśli nie życzysz sobie, by Ekopan wiedział, gdzie przebywasz, powinnaś już teraz zacząć uważać.

A więc nie będę już mogła wrócić do Podziemia? Dokąd w takim razie pójdę? Przecież nie mogłam wrócić do domu. Nagle ogarnęła mnie panika: zostałam sama, bezdomna, zagubiona.

Ale już w następnej chwili, niczym w tamtych dziwnych wizjach, ale nawet wyraźniej, ujrzałam liliowy przebłysk.

– Lark – powiedziała stanowczo. – Pójdę do Lark.



PODCZAS NASZEJ PIERWSZEJ ESKAPADY MOJA przyjaciółka pokazała mi, gdzie mieszka. Pamiętałam, z jakim zachwytem spoglądałam na niewielki, ale komfortowy domek. Większość domów w Edenie była połączona – budynki stawiano w ciasnych kręgach wokół dziedzińców, a w dzielnicach handlowych grupowano je wzdłuż ulic, jeden obok drugiego. Dom Lark, podobnie jak nasz, stał z dala od innych budynków. Był znacznie mniejszy od naszej rezydencji, ale kiedy przypatrywałyśmy się mu, stojąc obok siebie ramie przy ramieniu, a jej liliowe włosy muskały na wietrze moje ciemne loki, pomyślałam, że jej dom wygląda bardzo uroczo i swojsko. W jednym z okien, pomimo późnej pory, świeciło się światło. Lark wyjaśniła, że to pokój jej ojca, który miał w zwyczaju pracować do późna.

To właśnie tam poszliśmy z Lachlanem po opuszczeniu Serpentyny.

– Jesteś pewna, że będziesz mogła u niej zostać? – dopytywał Lachlan. – Lark zapewni ci bezpieczeństwo? Nie wygada się, że u niej mieszkasz?

– Na pewno – zapewniłam. – A ty dopilnuj, żeby Flint uchylił mi zakaz spotykania się z Lark, dobrze?

– Oczywiście, chociaż prawdę mówiąc, niezbyt mi się to podoba...

– Nie mamy wyboru. Nie mam przecież całej rzeszy znajomych pierworodnych.

– Weź to – zaproponował Lachlan, odsuwając koszulę i wyciągając zza paska pistolet. – Na wszelki wypadek.

– Nie mogę... – wydukałam, cofając się o krok. – Moja matka...

– Wiem – odezwał się łagodnym głosem Lachlan, odgarniając kosmyk włosów z mojego policzka. – Ale w krytycznej sytuacji broń może uchronić cię przed podzieleniem jej losu.

Zacisnęłam powieki i wyciągnęłam rękę po pistolet.

– Nie wiem nawet, jak się go obsługuje – poskarżyłam się, wążąc broń w dłoni. Sprawiała wrażenie niewielkiej, ale bardzo ciężkiej.

Lachlan zademonstrował mi, jak wyjąć pistolet z kabury (moja wiedza w zakresie obsługi broni była porażająco nikła – sądziłam, że kabura to część pistoletu) oraz gdzie znajduje się spust.

– Trzymaj palec na spuście, dopóki nie wycelujesz. O tak. – Zademonstrował, przyciskając swoim palcem wskazującym mój.

– Wątpię, żebym zdołała tego użyć – wyznałam, jednak on pokręcił szybko głową.

– Nie wiesz, do czego jesteś zdolna. Nikt nie wie, dopóki nie zostanie poddany próbie. W ciągu ostatnich dni wiele przeżyłaś i spisałaś się znakomicie. Kiedy w Serpentynie tamten żołnierz chciał mnie zabić, po prostu go...

– Nie! – przerwałam mu ostro.

Nadal wydawało mi się, że czuję zapach krwi zabitego. Miałam wrażenie, że nigdy już nie uwolnię się od tej woni. Nie chciałam wracać myślą do tego, co zrobiłam. Powtarzałam sobie w myślach, że tak naprawdę to nie moja wina, chciałam go jedynie postraszyć, a nadzieją się na skalpel tylko dlatego, że Lachlan popchnął go w moją stronę. Tak, to był wypadek. Do wybaczenia.

W głębi duszy wiedziałam jednak, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, gdyby funkcjonariusz nie zareagował na moją groźbę i nie wypuścił z rąk karabinu, poderznięłabym mu gardło z własnej woli.

Ta myśl napawała mnie przerażeniem. Przerażała mnie też moja reakcja w tej chwili – fakt, że posłusznie wzięłam od Lachlana pistolet i wsunęłam go pod koszulę. Czułam teraz, jak broń opiera się o mój brzuch – zimna i twarda.

Odkrywałam, że są pewne części mnie, których nie rozumiałam. I które wcale mi się nie podobały.

Wiedziałam jednak, że są przydatne, i że dzięki nim łatwiej będzie mi utrzymać siebie i bliskich mi ludzi przy życiu.

Kiedy Lachlan zbierał się do odejścia, poczułam nagły atak paniki.

– Zostań ze mną – poprosiłam, ale potrząsnął gwałtownie głową.

– Ciebie rodzice Lark mogą zaakceptować, masz dobre oczy – powiedział, mrugając do mnie okiem drugiego dziecka.

– Nawet nie zdążyłam sprawdzić, jak wyglądają – powiedziałam. Strzelanina to kiepski moment do podziwiania się w lustrze. – Jak się prezentują?

Liczyłam, że powie coś wymijającego – że wyglądają w porządku, albo uzna, że są piękne. Powie, że *ja* wyglądam z nimi pięknie. Zamiast tego Lachlan przekrzywił lekko głowę i zadumał się. Kiedy w końcu się odezwał, wiedziałam już, że jego odpowiedź będzie inna.

– Wyglądasz z nimi... jak nie ty.

Momentalnie poczułam, jak odehciewa mi się życie. Na co mi te cholerne implanty? Chciałam pozostać *sobą*, czuć się bezpieczna i szczęśliwa. Zwiesiłam głowę, tak by nie mógł dojrzeć moich oczu.

Lachlan ujął mnie pod brodę i delikatnie unióśł mi głowę, tak żebym na niego spojrziała.

– Rowan, jesteś tym, co masz w środku. To wszystko to nie ty – powiedział, zakreślając ręką w powietrzu szeroki gest, jakby obejmował mnie nim całą od stóp do głów. Na koniec położył dłoń na moim sercu, które biło jak szalone. – Jesteś tym, co masz tutaj.

Po tych słowach przyciągnął mnie bliżej do siebie i pocałował w czoło.

– Już niemal świta – rzekł. – Wejdz do środka. Przyjdę po ciebie po zmroku.

A następnie, bez słowa, odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie różnym krokiem. Chwilę później pochłonął go mrok.

Odwróciłam się do drzwi, żeby zapukać, i zauważyłam, że w jednym z okien pali się światło. Wydobywało się zza zasłony, ale było to inne okno niż wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłam dom Lark. Po chwili poruszyła się zasłona i dojrzałam czyjąś twarz. Nie miałam pewności, czy to moja przyjaciółka. Czyżby widziała, jak Lachlan dotykał mnie i całował?

Zapukałam do drzwi i zamarłam w oczekiwaniu. Przez długą chwilę nic się nie działo.

Kiedy w końcu drzwi się uchyliły, nie stanęła w nich Lark, ale jakaś kobieta po czterdziestce. Miała lekko obrzękniętą od snu twarz, długie jasne włosy związała pośpiesznie w kok, który chwiał się na czubku głowy.

– Słucham? – odezwała się, a w jej tonie więcej było zaciekawienia niż niepokoju.

– Jestem... przyjaciółką Lark – wydusiłam z siebie.

Po drodze co prawda wymyłam się dokładnie w publicznej toalecie, ale teraz poczułam nagłą potrzebę sprawdzenia, czy na ciele nie mam dalej śladów zaschniętej ciemnej krwi. Zmusiłam się, żeby spojrzeć w oczy kobiecie. Chciałam sprawić wrażenie sympatycznej, normalnej dziewczyny.

– Nietypowa pora na odwiedziny, nie sądzisz, skarbie? – mówiła z nosowym akcentem charakterystycznym dla mieszkańców zewnętrznych kręgów. Nie rozpoznawałam go u Lark, ale ona chodziła do tutejszej szkoły, więc pewnie się go pozbyła. – Przyszłaś za wcześnie czy jesteś spóźniona?

– Słucham? – spytałam, zbita z tropu.

– Chcesz się pouczyć z Lark na jutrzejszy sprawdzian czy może dopiero wracasz z imprezy?

– Ja... przyszłam się pouczyć – wydukałam.

– Jaaasne – odparła kobieta. – Spokojnie, żaden z rodziców nie chce ze mną rozmawiać. Jestem pewna, że twój też należy do tej grupy, więc nic im nie wygadam. Fajnie było na baletach? – spytała, a kiedy nie przychodziła mi do głowy żadna sensowna odpowiedź, wybuchła śmiechem, po czym odsunęła się na bok, wpuszczając mnie do środka. – Zanim spotkasz się z rodzicami, spróbuj wymyślić jakąś przekonującą historijkę.

Jak tylko przekroczyłam próg, poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. Wiedziałam, że lada chwila się rozbeczę. A jeśli pozwolę sobie teraz na płacz, nigdy już nie zdołam się uspokoić.

Oczywiście moja wiedza na temat tego, jak wyglądają wnętrza domów, była bardzo ograniczona. Kto wie, może wszystkie przypominały to, w którym teraz się znalazłam. Momentalnie wyczułam, że atmosfera panująca w domu Lark jest naprawdę... domowa, rodzinna. W środku było ciepło, a w powietrzu unosił się zapach upieczonego wieczorem ciasta.

Wyczuwałam też coś jeszcze, czego nie umiałam nazwać słowami – jakąś aurę miłości, bezpieczeństwa, rodziny.

– Żyjemy tu skromnie – odezwała się mama Lark niemal przeproszającym tonem.

– Ależ... państwa dom jest idealny – zaprotestowałam z taką żarliwością, że kobieta zareagowała śmiechem.

– Sprawdź, czy Lark już się obudziła. Ale, jak ją znam, pewnie już nie śpi. Mam wrażenie, jakby przez pierwsze trzy lata życia nie zmrużyła oka. Zawsze był z niej ranny ptaszek. Lark! – zawołała. – Masz gościa!

Drgnęłam zaskoczona, że tak podnosi głos wczesnym rankiem.

– Żeby tylko nie obudziła pani męża!

– Tata Lark pracuje na nocną zmianę. Jest managerem w Wydziale Wtórnego Pozyskiwania Wody. Zawsze powtarza, że woda nie zna pór dnia i nocy – wyjaśniła, przewracając oczami. Ale na wspomnienie o mężu uśmiechnęła się szeroko. Widać było, że tych dwoje łączy prawdziwa miłość. Pewnie świetnie się rozumieją i potrafią wspólnie żartować. I na pewno są ze sobą niezmiernie szczęśliwi. Chciałabym zobaczyć ich razem.

Po chwili z pokoju wyłoniła się Lark. Wyglądała, jakby od dawna już nie spała. Twarz miała wypoczętą i tylko bluzeczka z długim rękawem podpowiadała, że chce ukryć siniaki na ramionach po niedawnych torturach.

– O rany, zapomniałam, że mamy...

– Pouczyć się razem – dokończyłam skwapliwie. A zaraz potem, nie dając Lark szansy, by przedstawiła mnie, posługując się moim starym imieniem, wyciągnęłam rękę do jej mamy i powiedziałam: – Jestem Yarrow.

– A ja River – odparła kobieta.

– Mogę zwracać się do pani po imieniu? – spytałam zaskoczona.

Studiowałam w domu zasady grzeczności, przygotowując się na dzień, kiedy w końcu wyjdę do świata. Nigdy nie sądziłam, że będę mogła rozmawiać z dorosłymi na tak nieformalnej stopie.

– Ludzie z zewnętrznych kręgów nie trzymają się sztywno zasad – wzruszyła ramionami River.

W jej głosie wyczułam przekorę. Chyba chciała mi w ten sposób przypomnieć, że ich rodzina nie należy do lepszego towarzystwa tradycyjnie zamieszkującego wewnętrzne kręgi.

Słowa River sprowokowały mnie znów do rozmyślań, skąd się wziął w Edenie ten podział na ubogich i zamożnych, dlaczego istnieją kręgi wewnętrzne i zewnętrzne, i dlaczego niektórzy mają wszystko, o czym tylko zamarzą, podczas gdy inni przymierają głodem. Przecież Eden w zamysle nie miał być tylko miejscem, gdzie ludzkość wiąże koniec z końcem. Miał być utopią. Nierówności nie powinny mieć w nim miejsca.

Nie mogłam zbyt długo głowić się nad tymi sprawami, bo Lark szybko zaciągnęła mnie do

swojego pokoju.

Jak tylko zamknęła za nami drzwi, rzuciła mi się na szyję. Opierając głowę w zagłębieniu między moim ramieniem a szyją, mówiła:

– Wszystko pamiętam. Twierdzili, że nie zachowam żadnych wspomnień. I faktycznie z początku miałam mętlik w głowie, ale kiedy środki odurzające przestały działać, przypomniałam sobie dokładnie, co się działo. – Odwróciła lekko głowę, tak że teraz dotykała ustami mojego gardła. – Rowan, byłaś taka dzielna i silna. Uratowałaś mi życie.

Odsunęła się i uniosła spojrzenie.

– Twoje oczy! – zawołała. – Co się...

Nie dokończyła, jednak na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie. Czyżby dotychczas traktowała mnie jak egzotyczny okaz, drugie dziecko o dziwnych oczach? Przez wiele lat żyła w zewnętrznych kręgach, obracała się pośród biedoty, bestialców, różnych dziwolągów... Może byłam po prostu dla niej jeszcze jednym eksponatem na jej liście osobliwości? Może zaprzyjaźniając się ze mną, chciała poczuć się wyjątkowa?

Czyżbym teraz, kiedy mogę już uchodzić za pierwородną, straciła dla niej swój urok?

Lark wyczuła chyba mój nastrój, bo zaraz powiedziała:

– Chyba wiem, jak cię rozweselić. Wygląda na to, że twoje oczy utraciły nieco koloru. W takim razie trzeba dodać odrobinę barw gdzie indziej!

Posadziła mnie na łóżku, po czym sięgnęła po niewielką szkatułkę i wyjęła z niej jakieś urządzenie.

– Kiedyś bez przerwy przefarbowywałam sobie włosy. Teraz już od dłuższego czasu podobają mi się takie – powiedziała, nawijając sobie na palec liliowy kosmyk. – Ale czasami nachodzi mnie chęć, żeby ufarbować pojedyncze kosmyki na jakiś inny kolor. – Po tych słowach kazała mi się przesiąść na podłogę, a sama usiadła na krawędzi łóżka. Po obu stronach na wysokości ramion miałam teraz jej kolana, a Lark z łatwością mogła sięgać do moich włosów. – Wolisz sama wybrać jakiś kolor, czy mi zaufasz?

Na dźwięk tego słowa cała zeszywniałam. *Przestań ciągle pytać mnie o zaufanie*, pomyślałam. Kiedy jednak Lark zaczęła mnie gładzić po włosach, odchyliłam się do tyłu i szybko odprężyłam. Uznała, że pozostawiam jej wybór koloru.

– Myślę, że ultramaryna będzie ci pasować – stwierdziła Lark. – Dodamy też trochę turkusowego i nefrytowego. Ale tylko troszeczkę, jako podkład. Chcę, żeby dominował twój naturalny kolor włosów.

Palcami przeczesywała mi kosmyki, równocześnie przesuwając wzdłuż nich urządzenie. Chciałabym, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła – czułam się taka bezpieczna, kiedy położyłam jej głowę na kolanach. Jednak nic, co dobre, nie trwa wiecznie.

– Gotowe – stwierdziła na koniec Lark. Kiedy przyniosła mi lusterko, żebyśmy mogła ocenić

efekt, w pierwszej chwili nie dostrzegłam żadnej różnicy. – Potrząśnij głową – poradziła mi.

I dopiero wtedy pokazały się kolory – były to barwne pasemka ukryte pomiędzy włosami w moim naturalnym odcieniu.

– Są piękne – stwierdziłam zachwycona. Jednak moją uwagę przykuwało coś innego: moje bezbarwne, jakby zgaszone oczy. Pasemka we włosach nie mogły zamazać tego straszego efektu. Oczywiście nie wspomniałam o tym Lark, bo nie chciałam zrobić jej przykrości.

Najwyraźniej ona też przyglądała się moim oczom, bo po chwili, spoglądając w moje odbicie w lustrze, spytała:

– Skąd je masz?

– Chyba... lepiej będzie, jeśli nie wtajemniczę cię w szczegóły. Im więcej wiesz, tym w oczach władz Podziemia stanowisz większe zagrożenie.

– Myślisz, że zabiją mnie za to, że się z tobą spotkałam?

– Nie, Lachlan się tym zajmie.

– Lachlan... – powtórzyła w zamyśleniu takim tonem, jakby skosztowała czegoś gorzkiego. – Skąd go wytrzasnąłeś? Jak dobrze się znacie?

– Uratował mi życie.

– Ale nie znasz go tak dobrze jak mnie, prawda? – zabrzmiała, jakby nagle stała się młodsza, mniejsza, słabsza. Zupełnie inna niż pełna energii i pewna siebie Lark, którą znałam. – Ufasz mu?

Jej wypytywanie zaczynało działać mi na nerwy.

– Cóż, to nie on doniósł do Centrum na moją matkę – wypaliłam bez zastanowienia. – Zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby nic mi się nie stało. Możesz powiedzieć to samo na swój temat?

– Jak możesz? – wyszczała Lark, odsuwając się o krok. – Przygarnełam cię pod swój dach. Pomagając ci, narażam mojego ojca, całą moją rodzinę, łącznie ze mną, na wielkie niebezpieczeństwo. Przyznaję, popełniłam straszny błąd, obdarzając zaufaniem pewnych ludzi. Nie umiem wyrazić, jak bardzo tego żałuję. Ale chciałam dobrze i już nigdy więcej nikomu nie zaufam. Nikomu z wyjątkiem ciebie.

W miarę jak mówiła, jej złość mijała, a ton głosu stawał się coraz łagodniejszy. Zbliżyła się znów do mnie, ale tym razem to ja się odsunęłam. Obdarzanie kogokolwiek zaufaniem może się źle skończyć.

– Też powinnaś zaufać Lachlanowi – powiedziałam.

– Czyżby? Co musiałaś zrobić, żeby zdobyć te implanty?

– Nic. O co ci chodzi?

– Obserwowałam was przez okno. Zachowywał się, jakbyś była jego własnością. A najgorsze jest to, że sprawiałaś wrażenie, jakby wcale ci to nie przeszkadzało. To nie Rowan, którą znam.

– A więc o to tak naprawdę chodzi: o moją relację z Lachlanem?

Nie miałam ochoty na kłótnię. Padałam ze zmęczenia i nie bardzo rozumiałam, dlaczego Lark tak się wścieka. Jeśli ktokolwiek tutaj miał prawo być zły, to ja, a nie ona. Prawda jednak była taka, że wylądowałam u niej, ponieważ potrzebowałam jej pomocy. A właściwie ja i Lachlan potrzebowaliśmy jej pomocy, aby ocalić Asha.

– Nie jestem Rowan, którą znasz. W ogóle nie jestem już Rowan. Nazywam się teraz Yarrow. Idę spać.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odrzuciłam kołdrę w śliwkowym kolorze i wślizgnęłam się do łóżka. Następnie przykryłam się po same uszy i odwróciłam się do ściany.

– Spotkamy się z Lachlanem po zmroku – mruknęłam jeszcze, zamykając oczy. – Przygotuj się na wcielenie swojego planu w życie.

– Rowan, jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Od dawna chciałam ci to powiedzieć, ale nigdy nie było odpowiedniej chwili.

Co takiego miała mi do powiedzenia? Czyżby znowu chciała zapewnić mnie, jak bardzo jej przykro? A może wyjawić mi swoje uczucia wobec mnie? W tej chwili nie miałam najmniejszej ochoty na takie rozmowy.

Udałam, że momentalnie zapadam w sen. Kiedy tak leżałam, nie słyszałam, by Lark się poruszyła. W końcu naprawdę zasnęłam. W pewnym momencie ocknęłam się, czując, jak wsuwa się pod kołdrę i kładzie obok. Nie próbowała mnie przytulać, w ogóle unikała dotyku. Była obok, a ciepło emanujące z jej ciała rozgrzało szybko łóżko.

Ja jednak czułam też coś innego – przejmujący metaliczny chłód pistoletu na brzuchu.



PRZESPAŁAM CAŁY DZIEŃ, A W NOCY ZAPROwadziłam Lark do niewielkiego, niewinnie wyglądającego baru z jedzeniem na wynos, gdzie umówiłam się z Lachlanem. Panował tam spory ruch, dzięki czemu nie rzucaliśmy się nikomu w oczy. Kiedy zjawiłyśmy się na miejscu, nie zastałyśmy jednak Lachlana.

Dokuczał mi straszny głód. Zerkałam łakomie na zamawiane przez innych gości jedzenie – głównie kebaby pełne soli i syntetycznego tłuszczu. Wkrótce uświadomiłam sobie, że jeśli będziemy tu sterceć w nieskończoność, nic nie zamawiając, zaczniemy wyróżniać się z tłumu. Było jasne, że na kogoś czekamy.

– Twierdziłaś, że mu ufasz – stwierdziła zaczepnie Lark.

– Bo tak jest – zapewniłam. – Może...

Tak naprawdę nie mogłam mieć pewności, co się stało. Niektóre ze scenariuszy, jakie podpowiadała mi wyobraźnia, były zbyt straszne, by przeszły mi przez usta. Może Lachlan został aresztowany albo Flint zwrócił się przeciwko niemu.

Istniała też inna możliwość – wiedząc, że Flame potrafi stworzyć nieodróżnialne od autentycznych soczewki, Lachlan mógł uznać, że nie będzie narażał na szwank swojego życia, ratując ze mną Asha. Może postanowił namówić ją do współpracy, by wspólnie z nią ratować drugie dzieci. Kto wie, może nawet zaprowadzi ją do Flinta, żeby ten zastosował wobec niej swoje wyjątkowo mało przyjemne „perswazyjne” metody.

– Nie możemy dłużej czekać – oznajmiłam w końcu, po czym z ociąganiem wyszłyśmy z baru i ruszyłyśmy w kierunku mojego domu.

Wiedziałam, czym jest serce – narządem służącym do tłoczenia krwi, rodzajem silnika, niczym więcej. Nie stanowiło siedliska uczuć, w którym mieszka miłość, nadzieja i szczęście. Kiedy jednak stanęłam u podnóża muru okalającego naszą posesję, w miejscu, w którym nikt nie mógł mnie dojrzeć, poczułam coś innego. Spoglądając na mury, które więziły mnie przez całe życie, mogłabym przysiąc, że zabolalo mnie właśnie ono – serce. Poczułam, jak pierś przeszywa mi straszny, fizyczny ból.

Dom.

Kiedy zabrakło w nim mamy i Asha, stał się zwykłą kamienną skorupą. Jednak nie zmieniało to faktu, że był *moją* skorupą.

– Zaczekaj tu na mnie – poprosiłam Lark. – Nie powinno mi to zająć więcej niż dziesięć,

maksymalnie piętnaście minut. Możliwe, że ojca nie ma w domu. Kiedyś często zostawał do późna w pracy, ale jak jest teraz? Wpuszczę cię głównym wejściem.

– A co jeśli będzie w domu?

– Nie wiem.

– Za to ja wiem – odezwała się Lark, a w jej głosie pobrzmiewała wściekłość, która w pierwszej chwili zbiła mnie z tropu. – Musimy ukarać go za to, jak postąpił wobec Asha... no i ciebie.

Miała rację – ojcu, który zawsze mnie nienawidził, a teraz doniósł na własnego syna do Centrum, należała się kara. Gdyby był tu z nami Lachlan, silny i zwinny, mimo że z pozoru żartowniś, jednak niecofający się przed przemocą, bez wątpienia sam by się tym zajął. Ale czy Lark zdoła coś takiego zrobić? Czy ja znajdę w sobie siłę?

Złapałam się na tym, że mam nadzieję nie zastać ojca w domu. Wcale nie dlatego, że widok Lark piorącej go na kwaśne jabłko sprawiłby mi przykrość. Przeciwnie – właśnie dlatego, że czerpałabym z niego wielką satysfakcję. I właśnie to napawało mnie przerażeniem. Z wolna stawałam się kimś, kto budził we mnie grozę.

– Niezależnie od tego, czy jest w domu, czy nie, przedostanę się po cichu do środka. Ćwiczyłam to przez całe życie. A kiedy cię wpuszczę, poszukamy jego dokumentów uwierzytelniających. Z nimi będziemy mogli swobodnie poruszać się po Centrum.

Jak tylko dotknęłam palcami uchwytów w murze, ból w sercu powrócił. Wzięłam głęboki oddech, który przeszedł w jęk, po czym rozpoczęłam wspinaczkę. Czułam na sobie spojrzenie Lark, ale nie miałam śmiałości się oglądać. Ledwo się trzymałam, dosłownie.

Zewnętrznej strony muru nie miałam tak dobrze utrwalonej w pamięci, zarówno tej mięśniowej, jak i wewnętrznej. Mimo to kojarzyła mi się ona z najcudowniejszymi chwilami w życiu, między innymi mającymi słodko-gorzki posmak rozstaniem z Lark po naszych nocnych eskapadach. Teraz był on tym wyraźniejszy, że uświadamiałam sobie, co w międzyczasie stało się z naszą przyjaźnią. Każdy kamień, którego dotykałam podczas wspinaczki, wydawał się przechowywać inne wspomnienie. Przypominałam sobie chwilę, kiedy Lark pokazywała mi gwiazdy ze szczytu wieży. Nasz pocałunek.

Bardzo możliwe, że to nasza ostatnia wspólna noc. Od jutra poświęcę się bez reszty misji i będę żyć pod przybraną tożsamością. Pewnie tak będzie najlepiej. Ilekroć spoglądałam na Lark, powracały myśli, że to przez jej lekkomyślność moja mama straciła życie, a Ash został skazany na karę śmierci. Wiedziałam, że nie zrobiła tego celowo i że dręczy ją to niemal tak samo jak mnie, mimo to czułam, że najlepiej będzie, jeśli się rozstaniemy.

Wiedziałam, że mogę liczyć na Lachlana, który pomoże mi w mojej misji.

Nie płacz, powtarzałam sobie, zsuwając się po wewnętrznej stronie muru. Przełam już dość łez, teraz nadeszła pora, by wziąć się w garść i być silną.

Jak tylko dotknęłam stopami mchu porastającego dziedziniec, powróciło wrażenie, że jestem znów w potrzasku. A co gdybym nigdy nie wymknęła się z mojego domowego więzienia? Co by to zmieniło? Czy znalazłabym inny sposób, by posmakować szczęścia? Zdołałam jakoś powstrzymać łzy, kiedy ruszyłam po sprężystym mchu, który zawsze z taką starannością pielęgnowała mama. Powieki miałam ciężkie, oczy wilgotne, ale powtarzałam sobie, że to efekty operacji.

Kiedy wślizgnęłam się do domu, ze zdumieniem odkryłam, że nic się w nim nie zmieniło – dom wyglądał tak, jakbym nigdy go nie opuściła. Obawiałam się chyba, że przywitają mnie nowe zamki w drzwiach i cały pułk zielonych koszul przyczajonych w środku. Może przynajmniej jakieś oznaki chaosu: zniszczone bibeloty, przewracane krzesła, brudny talerz zostawiony na stole w chwili, gdy ojca dopadła chandra albo jego myśli powędrowały gdzie indziej. Zakurzone meble.

Tymczasem w domu panował nienaganny ład. Można by pomyśleć, że mama nadal się tu krząta, roztaczając nad rodziną swoje pełne miłości rządy.

Przechadzałam się po pogrążonym w ciszy domu. Gładziłam dłonią mijane sprzęty, a kiedy zbliżyłam się do tapczanu, na którym mama odpoczywała po długim dniu w pracy, pochyliłam się, żeby powąchać miejsce, którego dotykał jej koński ogon. Przez cały czas nasłuchiwałam, czy z głębi domu nie dobiegną jakieś odgłosy zdradzające obecność ojca. Panowała jednak niezmacona niczym cisza.

Ostrożnie zakradłam się do sypialni rodziców. I dopiero tam odkryłam dyskretny ślad nieporządku: rozrzuconą pościel na łóżku. Czyżby ojciec, przytłoczony poczuciem winy, zapomniał je pościelić? A może po prostu nie wiedział, jak się do tego zabrać, ponieważ ścieleniem łóżka zawsze zajmowała się jego żona? A może od momentu jej śmierci nie sypiał już w ich wspólnym łóżku? Nie wiedziałam, ale byłam zadowolona, że znalazłam coś odbiegającego od normy.

Gdyby dom nie był zbudowany głównie z kamienia, najchętniej puściłabym go z dymem.

Nigdzie nie zastałam żywego ducha. Ojciec musiał wyjść. Może był w pracy i planował, jak zniszczyć życie kolejnej osobie. Albo jeśli zachował w sobie resztki przyzwoitości, może upijał się teraz i zbierał odwagę, by rzucić się z najwyższego budynku w Edenie. Ogarniało mnie rozgoryczenie, czułam nienawiść, która sprawiała mi niemal fizyczny ból. I nie mogłam nic na to poradzić.

W końcu poszłam do bramy i wpuściłam Lark.

– Nie ma go – poinformowałam, po czym zaprowadziłam ją do gabinetu ojca.

Zaczęłyśmy myszkować po pokoju w poszukiwaniu jego przepustki. Liczyłam na to, że nie został do późna w pracy, bo w takim przypadku miałby przepustkę przy sobie. Nie miałam pojęcia, co byśmy zrobiły w takiej sytuacji. Całkiem możliwe, że będziemy też potrzebować

innych kodów zabezpieczających, bez których nie będziemy mogli z Lachlanem przedostać się do Centrum. Gdyby był tu z nami, wiedziałby, czego szukać. Ja nie miałam pewności. Zachodziłam w głowę, gdzie on się podziewa.

Zaczęłam przetrząsać dokumenty ojca.

– Nie możesz znaleźć przepustki? – spytała Lark, zerkając z niepokojem na drzwi wejściowe i nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi.

Powoli ogarniała mnie panika na myśl, że nie znajdę przepustki. A co jeśli ojciec faktycznie ma ją przy sobie? Zaczekamy tu na niego i zmusimy go, żeby ją nam dał?

W końcu znalazłam – leżała na wierzchu jednej z szuflad, rzucona niedbale, jakby ojciec chciał się jak najszybciej jej pozbyć.

– Mam! – zawołałam. – No to mamy wszystko, czego nam potrzeba. Mój ojciec nie przywiązuje chyba zbyt wielkiej wagi do kwestii bezpieczeństwa.

– W takim razie spadajmy stąd – poradziła Lark. – W każdej chwili może wrócić i nas tu nakryć.

– Chcę jeszcze trochę poszperać, może znajdę coś, co nam się przyda. Nie wiem tylko, czego możemy potrzebować, kiedy już znajdziemy się w Centrum.

Zastanawiałam się też, czy jest tu coś obciążającego mojego ojca, jakiś dowód, którego mogłabym użyć przeciwko niemu. A może coś innego, co okazałoby się przydatne dla Podziemia. Przerzucałam szybko kolejne dokumenty.

– Prędszej! – popędzała Lark, podskakując nerwowo na palcach.

Było już jednak za późno – rozległ się dźwięk naciskanej klamki, a po chwili usłyszałam ciężkie kroki ojca. W pewnym momencie chyba się potknął.

Odruchowo sięgnęłam pod koszulę i wymacałam pistolet na brzuchu.

Nie, nie rób tego, powiedziałam do siebie po cichu, przypominając sobie, że jestem dobrym człowiekiem. A w każdym razie lepszym niż mój ojciec.

Liczyłam, że pójdzie prosto do sypialni, nie zahaczając o gabinet. Mogłybyśmy wtedy po cichu wyślizgnąć się z domu.

I wtedy zorientowałam się, że z kimś rozmawia. Czyżby przyprowadził jakiegoś gościa? Zbliżyłam się do przymkniętych drzwi gabinetu i wyteżyłam słuch.

– To nie moja wina – tłumaczył ojciec przesadnie słodkim tonem, jakby próbował się komuś przypodobać. Brzmiało to strasznie żałośnie. Nigdy jeszcze nie słyszałam, by mówił takim głosem. – To nie tak miało być.

Czekałam z zapartym tchem, nasłuchując. Nie padła żadna odpowiedź. A zatem ojciec był sam i mówił do siebie.

– Szybko, schowajmy się tutaj – szepnęłam, odsuwając jeden z regałów umocowanych na bezgłośnych pneumatycznych zawiasach. Lark weszła do wnęki, która ukazała się w ścianie, po

czym zasunęłam za nią regał. Nie domknęłam go jednak do końca, gdyż otworzyć się go dało wyłącznie od zewnątrz. Nie mogłam ryzykować, że Lark zostanie zatrzaśnięta, gdy pójdzie coś nie tak. Następnie wysunęłam się z gabinetu na korytarz. Wiedziałam, że to niemądre, ale nagle poczułam, że muszę go zobaczyć. Nie wiedziałam jeszcze, czy on też powinien zobaczyć mnie.

– Miałem świecić przykładem, miałem być człowiekiem, który interesy Edenu przedkłada nad dobro własnej rodziny. Miałem być nieprzekupnym przywódcą, człowiekiem, którego nie splamiły występki moich najbliższych.

Rozległ się stłumiony łomot, po chwili kolejny. Kiedy wychyliłam ostrożnie głowę zza rogu i zajrzałam do kuchni, zobaczyłam siedzącego przy kontuarze ojca, który uderzał się pięściami po bokach czaszki.

– Ash, co ja narobiłem. A przecież obiecali mi...

W pewnym momencie rąbnął głową w kontuar. Kiedy wstał i zatoczył się do tyłu, zobaczyłam, że czoło ma zalane krwią.

Świetnie, pomyślałam. Powoli zaczynałam przyzwyczajać się do widoku krwi.

Równocześnie jednak jakaś część mnie współczuła temu człowiekowi. Niezależnie od tego, co zrobił, kochał przecież mamę. Do niedawna sądziłam też, że kochał Asha.

– Co ci obiecali? – spytałam, wchodząc do kuchni.

Odwrócił się gwałtownie i błyskawicznie owionął mnie odór alkoholu. W pierwszej chwili ucieszył się na mój widok. Ruszył w moim kierunku, rozkładając ramiona, jakby chciał mnie przytulić. Zmroziło mnie, a on chyba w tym samym momencie przypomniał sobie, jak traktował mnie przez całe życie. Zatrzymał się w pół kroku.

– Żyjesz.

– Ty też – odparowałam niskim, opanowanym głosem. W środku kotłowały się we mnie sprzeczne emocje, jednak zdołałam jakoś zachować kamienną twarz. – A szkoda. Powinieneś zginąć za to, że uratowałeś siebie kosztem Asha.

– Nie... – wydukał, chwiejąc się na nogach. – To nie tak. W Centrum musi panować stabilność, w przeciwnym razie kręgi zaczną się buntować. Tak mi powiedzieli. Twierdzili, że potrzebują kogoś, kto będzie świecił przykładem. A ja uznałem, że chodzi im o mnie, że to ja mam dać *dobry* przykład.

Bełkocząc, momentami tak niewyraźnie, że nie mogłam go zrozumieć, opowiedział mi o tym, jak kanclerz przekonał go, że wycofanie jego kandydatury na urząd wicekanclerza miałyby katastrofalne skutki dla porządku społecznego. Wszyscy wiedzieli już, że to ojciec ma objąć to stanowisko. Dlatego gdyby teraz zadecydowano o powołaniu nowego kandydata, wybuchłby wielki skandal, który wstrząsnąłby Centrum. Zadecydowano, że zaaranżują wszystko w taki sposób, by ojciec mógł zabłysnąć jako bohater Edenu – przywódca gotowy poświęcić własną ukochaną rodzinę dla dobra państwa, prawa i trwania naszego drogiego azyłu.

– Twoja matka została przez propagandę przedstawiona jako działaczka wywrotowa – ostatnie słowo wycedził z wyraźnym obrzydzeniem. – Nikt nie wie, że jesteś naszą córką. Wszyscy sądzą, że twoja matka należała do jakiejś podziemnej organizacji pomagającej drugim dzieciom. Nie tylko ona, ale też Ash. Powtarzają wszystkim, że to ja ją zadencjonowałem. – Ojciec upadł na kolana, pokonany przez wyrzuty sumienia. Czyżby błagał mnie o wybaczenie? Mówił teraz przez łzy: – Nazywają mnie bohaterem. Prawdziwym bohaterem Edenu. Drugim Aaronem Al-Bazem.

Fakt, że ojciec porównywany jest teraz do tego potwora w ludzkiej skórze, zakrawał na ironię losu. Swoją drogą porównanie takie było bardzo zasadne.

– A co z Ashem? – spytałam lodowatym tonem.

– Twierdzili, że muszę dać dobry przykład. Wielka Ziemia, nie zadawałem żadnych pytań! Podpisywałem wszystkie dokumenty, jakie mi podsuwali. Umierałem ze strachu. Mogłem trafić na stryczek za to, że cię ukrywałem.

– I dlatego wolałeś skazać na śmierć rodzzonego syna. A sam będziesz mógł teraz objąć drugi najwyższy urząd w Edenie. Zawsze w pierwszej kolejności chroniłeś siebie, prawda?

W tym samym momencie moja ręka, jakby kierowana własną, niezależną od mojej wolą, powędrowała ku brzuchowi. Pod palcami wyczuwałam kształt rękojeści pistoletu ukrytego pod koszulą. Ojciec nie zauważył mojego gestu. Na razie.

– To nie miało być tak! – jęknął. Klęczał teraz, kiwając się w przód i w tył. – Umówiliśmy się, że Ash zostanie w areszcie do momentu, aż sprawa przycichnie. Potem miał zostać wypuszczony na wolność w jakimś kręgu z dala od Centrum.

– Ach tak, więc planowałeś po prostu zrujnować mu życie, skazać na egzystencję w zewnętrznych kręgach, gdzie groził mu głód – stwierdziłam oskarżycielskim tonem. Los, jaki ojciec chciał zgotować Ashowi, niewiele różnił się od skazania go na śmierć. Powoli potrząsnęłam głową i powiedziałam: – Byłeś strasznym ojcem, nawet w stosunku do dziecka, które kochałeś. Jeszcze przed jego urodzeniem, kiedy Ash był w macicy, wypaliłeś w nim dziurę. A teraz po prostu dokańczasz rozpoczęte dzieło.

Spojrzał na mnie w osłupieniu.

– A więc wiesz?

– Dowiedziałam się niedawno. Mama zdradziła mi tę tajemnicę, zanim została zastrzelona przez zielone koszule – wyjaśniłam lodowatym tonem. Nie rozpoznawałam własnego głosu. Ojciec skrzywił się, wzdrygnął i jakby zapadł w sobie.

– Co mogę teraz zrobić? – spytał, wyciągając przed siebie ręce w geście wyrażającym bezsilność i rozpacz. Nie mógł w żaden sposób naprawić swoich krzywd, chyba że...

Wyciągnęłam pistolet spod koszuli i wycelowałam w jego głowę.

Liczyłam chyba, że sprowokuję go do krzyku, że rozszlocha się jeszcze bardziej, że będzie

błagał mnie o litość. On jednak klęczał tylko u moich stóp i spoglądał na mnie ponuro, jakby pogodzony z losem.

Gdyby próbował błagać, zastrzeliłabym go. Miałam jednak przed sobą mężczyznę, który już się poddał i cierpliwie czekał na koniec...

Byłam tak skoncentrowana na ojcu, że kiedy pojawiła się za nim Lark, w pierwszej chwili w ogóle jej nie zauważyłam. W dłoni ścisnęła ciężką lampę – mama nigdy za nią nie przepadała, ale trzymaliśmy ją, ponieważ należała kiedyś do jej matki. Lark uniosła ją, stękając z wysiłku, zamachnęła się i uderzyła ojca w bok głowy. Nieprzytomny runął na podłogę.

– Dlaczego nie pozwoliłaś mi go zastrzelić? – spytałam. Lark nie miała pojęcia, że zanim jeszcze zadała cios, zdołałam już nad sobą zapanować.

– Musisz mieć dzisiaj czysty umysł – odparła, mrugając do mnie rezolutnie, przez co momentalnie przypomniała mi Lachlana. – Naprawdę sądzisz, że byłabyś spokojna i skoncentrowana po zamordowaniu własnego ojca?

Oczywiście miała rację. Rozumiała mnie.

– Chodźmy stąd – powiedziałam, po czym wyprowadziłam ją z domu.

Przy bramie zastałyśmy Lachlana, przyczajonego wśród kępki sztucznych palm.

– Gdzieś ty był? – wypaliłam.

– Dlaczego nie zaczekałyście na mnie? – spytał w tym samym momencie.

Dotarło do mnie wtedy, że w dłoni nadal ściskam pistolet. Uświadomiłam też sobie, że nie wiem nawet, jakiego rodzaju jest to broń: czy może zabić, czy tylko ogłuszyć. Zaciskając zęby, wsunęłam go z powrotem za pasek.

– Powiniennem wiedzieć, co się stało? – spytał Lachlan.

Potrząsnęłam odmownie głową.

– A ja powinnam wiedzieć, dlaczego się spóźniłeś?

– Raczej nie – odparł, uśmiechając się krzywo. – Musiałem zająć się paroma drobnymi kradzieżami.

– To tak jak ja – stwierdziłam powściągliwie.

Lachlan poszukał wzrokiem pistoletu, który ukryłam za paskiem na brzuchu.

– Popęłniłaś przy okazji jakieś inne przestępstwa? – zainteresował się.

– Nie – odparłam, a po chwili namysłu dodałam: – Chyba że przestępstwem jest sama myśl, że mogłabym go zastrzelić.

– Rowan, uważaj, żebyś nie stała się bezwzględna – szepnął, muskając palcami moje ramię. – Jeśli znajdziesz się w sytuacji, która wymaga bezwzględnego działania, zawołaj mnie. Ja już dawno przekroczyłem tę granicę.



– NIE MA MOWY – ZAOPONOWAŁAM, KIEDY Lark pokazała nam drogę, jaką mieliśmy się przedostać do Centrum. Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze. – Wykluczone. Nie zrobię tego nawet dla Asha.

– Nie wierzę – odezwała się Lark.

– Głowa i serce podpowiadają mi, że powinnam. Ale nos i wnętrze mówią coś zupełnie innego – wyjaśniłam. Zaciśnęłam usta (żałując, że nie mogę w równie dyskretny sposób zablokować nosa) i przypatrywałam się gigantycznemu podziemnemu zbiornikowi, w którym pływały chyba wszystkie nieczystości produkowane przez mieszkańców Edenu.

Doszliśmy do tego miejsca kanałami, którymi spływała woda. Lark nazywała ją szarą wodą – wcześniej była ona używana do kąpieli, prania, mycia zębów. Nie była co prawda czysta, ale też nie budziła wstrętu. Teraz natomiast stanęliśmy na brzegu zbiornika, w którym zgromadzono nieczystości z toalet gospodarstw domowych wewnętrznego kręgu.

– To jeden z aspektów bycia człowiekiem – stwierdziła filozoficznie Lark. – Tak się dzieje, kiedy wielu ludzi mieszka na ograniczonej przestrzeni. Wszystkie odchody cuchną tak samo, obojętnie, czy pochodzą od zamożnych czy ubogich.

Lachlan wydawał się spokojny, jakby perspektywa zanurzenia się w morzu ekskrementów nie robiła na nim wrażenia. Po chwili zgłosił jednak zastrzeżenie:

– Jeśli nawet uda nam się przedostać do środka, zakładamy, że przez cały czas nikogo tam nie spotkamy – stwierdził sardonycznym tonem. – Z doświadczenia wiem jednak, że rzeczywistość rzadko pokrywa się z planami. Jeśli jednak napotkamy kogoś, mamy, posługując się dowodem tożsamości ojca Rowan, udawać pracowników albo posłańców. – Po tych słowach pociągnął z obrzydzeniem nosem i dodał, zwracając się do Lark: – Naprawdę sądzisz, że ktoś choćby przez chwilę uwierzy w naszą historyjkę, jeśli pojawimy się w najlepiej strzeżonym miejscu Edenu przeraźliwie cuchnący i oblepieni odchodami?

Lark posłała mu pogardliwe spojrzenie.

– Ty chyba naprawdę mnie nie doceniasz. Racja, w końcu jestem tylko członkiem Krawędzi, czyli grupy dyletantów uszczęśliwiających innych na siłę – stwierdziła sarkastycznie, po czym nacisnęła ukryty panel w murze i po chwili ściana się rozsunęła, ukazując wnękę. Wewnątrz znaleźliśmy kilka sterylnych kombinezonów ochronnych w komplecie z jednorazowymi maskami pełnotwarzowymi.

Przyglądałam im się z powątpiewaniem – nie sprawiały wrażenia wodoszczelnych.

– Nic się nie martw – uspokoiła mnie Lark. – Biokombinezony dopasowują się rozmiarem do ciała, opinając je ciasno, tak by nie przedostała się do środka woda. Zaopatrzone są w oddycharkę, która pozwala co najmniej przez godzinę obywać się bez tlenu. Są bardzo szczelne, nic nie przeniknie do środka. A na pewno nie nieczystości, przez które będziecie płynąć. Kiedy przedostaniecie się na drugi brzeg, zdejmiecie je i po prostu wyrzucicie.

– A co zrobimy, jeśli okaże się, że w drodze powrotnej też będziemy musieli skorzystać z tej drogi, zamiast z głównego wejścia? – zastanowił się Lachlan.

– Na drugim brzegu zbiornika znajdziecie więcej takich kombinezonów. Są pochowane wszędzie. Za każdym razem gdy coś się tu zepsuje albo zatka, ktoś musi dać nura w to szambo. Ogólnie rzecz biorąc, ten system odprowadzania ścieków jest bardzo wydajny. Tyle tylko że jego projektanci nie wzięli pod uwagę ludzkiej godności. Mój ojciec wykonywał tę robotę, zanim dostał awans. Teraz jego praca polega na zlecaniu tego innym.

– Ten kanał doprowadzi nas do Centrum?

– Kiedy dotrzecie na drugi brzeg, musicie przejść przez właz i dopiero wtedy znajdziecie się wewnątrz Centrum – wyjaśniła Lark. – Tata oprowadzał mnie nieraz po systemie kanałów pod Edenem. Dzięki temu mogę teraz poruszać się pod miastem przez nikogo niewidziana; jedyny problem polega na tym, że przy okazji trzeba się trochę upaskudzić. Na szczęście większość tuneli nie jest jakoś specjalnie zabrudzona.

– Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałem – odezwał się Lachlan. – W Podziemiu też mamy system korytarzy pozostałych z czasów jego budowy, ale nie znamy się na zagadnieniach wodociągów i kanalizacji. Może kiedy będzie już po wszystkim, mogłabyś pokazać nam plany tego systemu?

– Jasne, o ile przeżyjemy.

Chciałam puścić jej uwagę mimo uszu, jednak po chwili uświadomiłam sobie, że Lark musiała coś źle zrozumieć.

– Nie idziesz z nami – przypomniałam.

– Ale...

– Nie ma mowy – stwierdziliśmy kategorycznie z Lachlanem w tym samym momencie. Po chwili dodałam: – Zrobiłaś już, co do ciebie należało. Narządałaś się dla nas, ale już wystarczy.

– Wcale nie – odparła, utkwivszy we mnie wzrok. – Ash jest moim przyjacielem. A Rowan... – zwróciła się do Lachlana – Rowan to dla mnie ktoś jeszcze ważniejszy.

Lachlan zareagował uniesieniem brwi, ale na szczęście nie spojrzał na mnie. Wiedziałam, że to głupie, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich się znajdowaliśmy, ale słowa Lark sprawiły, że oblałam się rumieńcem.

– Rowan ma prawo iść, ponieważ chodzi o jej brata. Ty byłabyś dla nas tylko balastem

i zwiększyłabyś ryzyko, że ktoś nas zauważy. Mogłabyś przypadkiem popełnić jakiś błąd albo zostać ranna. Mogłoby się okazać, że musimy cię tam zostawić... – Lachlan zawiesił głos, pozwalając wybrzmieć ostatnim słowom. W jego oczach Lark była kimś zbędnym. Gdyby mógł kogoś uratować, wybrałby mnie, a nie ją. Lark byłaby zdana wyłącznie na siebie.

Dziewczyna westchnęła ciężko, jakby pogodzona z myślą, że nas nie przekona, i zajęła się pomaganiem nam w przywdzianiu kombinezonów.

Spoglądałam z obrzydzeniem na jezioro nieczystości.

– Jesteś pewna, że możemy w tym pływać?

– Warstwa odchodów unosi się tylko na powierzchni – zachichotała Lark. – Metr niżej jest już tylko woda. Wystarczy, że zanurzycie się na tę głębokość, i będziecie mogli swobodnie płynąć przed siebie we w miarę czystej wodzie.

Nagle uświadomiłam sobie coś, co dotychczas w ogóle nie zaprzątało moich myśli.

– Ale ja nie umiem pływać.

– Na szczęście nie będziesz musiała – uspokoił mnie Lachlan. – To nie będzie takie prawdziwe pływanie, bo nie będziemy musieli wynurzać się na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza. Wystarczy, że nie będziesz panikować. Dasz radę, prawda?

Natychmiast przypomniałam sobie, jak tonęłam w nanopiaskowych wydmach. Nanopiach próbował mnie wchłonąć, wciskał mi się do nosa, do ust, zakradał do płuc. Może tak wyglądało nie pływanie, ale tonięcie.

– Jasne – odparłam. Cóż innego mogłam powiedzieć? Mogłam tylko liczyć na to, że nie przyniosę rozczarowania Lachlanowi. I że oboje nie zawiedzimy Asha. – Jeśli nie przeżyję, spróbujesz mimo wszystko sam go uratować?

Nagle ogarnęły mnie wątpliwości – przecież jeśli zginę, a wraz ze mną przepadną moje implanty i cała moja misja, jaką motywację będzie miał Lachlan, by ratować mojego brata?

Raz za razem myliłam się w jego ocenie. Ale w gruncie rzeczy trudno mi się dziwić, bo przecież moja znajomość ludzkich charakterów była niemal zerowa.

– Nie pozwolę, by stało ci się coś złego – zapewnił Lachlan lekkim tonem, mrugając do mnie.

– Jeśli jednak zginiesz, obiecuję, że uratuję twojego brata. Albo umrę, próbując go ocalić.

Celowo powiedział to w tak nedorzecznie melodramatyczny sposób, wiedziałam jednak, że nie żartował.

Lark pomogła nam się przebrać w kombinezony. Zanim jeszcze zanurzyliśmy się w szambie, poczułam, że się duszę. Gdy tylko zapięłam oznaczone części skafandra, ich krawędzie momentalnie scalały się w jedną całość, nie pozostawiając śladu łączeń. Poczułam się w środku jak w celi śmierci. A kiedy na głowę założyłam maskę, niemal spanikowałam. Mój przyspieszony oddech sprawił, że szybka maski błyskawicznie zaparowała. Zaraz potem poczułam, jak Lachlan chwyta mnie za jedną rękę, Lark za drugą, jakby na wyścigi chcieli ukończyć

moje nerwy. Ich rywalizacja wystarczyła, żebym na chwilę oderwała myśli od doprowadzającego mnie do szału skafandra. W końcu hiperwentylacja ustała, mogłam tylko wdychać w bezsilnej złości. Okazało się, że to jest właśnie najlepszy sposób. Po chwili odkryłam, że mogę oddychać nawet w tym nowym więzieniu.

– Gotowa? – spytał Lachlan.

– Nie – odparłam. – Wcale nie jestem na to gotowa.

Roześmiał się, sądząc chyba, że żartuję. A w następnej chwili skoczył na główkę do basenu nieczystości. Najwyraźniej sądził, że zaraz pójdę w jego ślady. Tak to jest, gdy ma się opinię odważnego człowieka. Czyżby w taki sposób działali ci odważni? Porywają się raz na coś wymagającego wielkiej odwagi, a potem po prostu przez cały czas muszą wykonywać kolejne szalone zadania, żeby nie zawieść oczekiwań? O ileż łatwiejsze jest życie tchórza. Tylko że trudniej byłoby wtedy spojrzeć sobie w twarz.

Odwróciłam się do Lark, żeby zamienić z nią jeszcze parę słów. Od pewnego czasu coś nie dawało mi spokoju.

– Wspomniałaś wcześniej, że masz mi coś do powiedzenia. O co chodzi? – spytałam głosem przytłumionym przez maskę.

Na chwilę między jej złocistymi brwiami utworzyły się dwie pionowe zmarszczki, ale zaraz zniknęły.

– Nieważne... To może poczekać – oznajmiła Lark, posyłając mi promienny uśmiech, po czym mnie przytuliła. – Zobaczymy się potem. Masz moje słowo. Nic się nie martw. Ja też będę miała na ciebie oko.

– To znaczy?

Zawahała się na mgnienie oka, uśmiechając się tajemniczo.

– No... zaczekam tutaj na wypadek, gdybyście musieli tędy uciekać i potrzebowali pomocy – wyjaśniła, kładąc dłoń na mojej masce, przez którą oczywiście nie mogłam poczuć jej dotyku.

Po chwili Lachlan wynurzył się na powierzchnię i zaczął przyzywać mnie niecierpliwymi gestami.

Niezręcznie wskoczyłam do basenu.

Momentalnie ogarnęła mnie straszna ciemność. Obrzydlistwo, w którym się znalazłam, oblepiło mnie ze wszystkich stron. Wiedziałam, że jestem chroniona przez skafander i nieczystości nie dotykają mojego ciała, jednak momentalnie poczułam się brudna.

Wreszcie znalazłam się na głębokości, gdzie królowała cudowna jasność. I nagle znów byłam czysta, unosząc się w krystalicznym świetle, jakbym znalazła się w stanie nieważkości. Zbiornik gromadzący nieczystości był olbrzymi, jednak rozświetlały go lampy umieszczone na bocznych ścianach. Skierowane do środka snopy srebrzystego światła krzyżowały się gwiazdźście. Nagle poczułam, jakby pod wpływem tego unoszenia się w krystalicznie czystej wodzie uleciały

wszystkie moje smutki. Najchętniej uwolniłabym się z kombinezonu, żeby poczuć jej dotyk na skórze.

Dopiero gdy spróbowałam się poruszyć, zrozumiałam, że znalazłam się w obcym świecie. Tylko technologia utrzymywała mnie tu przy życiu. Oczywiście wiedziałam mniej więcej, na czym polega pływanie. Widywałam pływających ludzi na filmach. Przywołując w pamięci tamte obrazy, zaczęłam teraz wykonywać zamaszyste ruchy ramionami i nogami. Wydawało mi się, że tak właśnie powinno to wyglądać.

Po pierwszym wymachu moje ciało zaczęło wirować wokół własnej osi. Spróbowałam zaangażować nogi, a wtedy zrobiłam w wodzie fikołka. Lachlan podpłynął do mnie i ustabilizował, jedną rękę kładąc mi na plecach na wysokości krzyża, a drugą chwytając mnie pod ramię. Wstrzymałam oddech, a wówczas zaczęłam unosić się w kierunku powierzchni. Lachlan ściągnął mnie na dół i zademonstrował technikę pływacką. Spróbowałam go naśladować, ale chyba z mizernym efektem – wyglądało to, jakbym pełzła na czworakach po jakiejś giętkiej ścianie. Po jakimś czasie nauczyłam się koordynować ruchy i zaczęłam, z początku niezręcznie, posuwać się do przodu. Kierowaliśmy się ku tunelowi.

Kiedy wpłynęliśmy do niego, mogliśmy posuwać się dalej, odpychając się od ścian. Poruszaliśmy się teraz trochę jak zwierzęta na czterech kończynach. Gdyby nie cel, ku któremu zmierzaliśmy, byłaby to całkiem fajna zabawa.

Oddycharka wydawała cichutki pomruk przy każdym oddechu. Spędziliśmy już dłuższy czas pod wodą i zaczęłam się zastanawiać, co się stanie, jeśli nasz sprzęt nawali. Nawet gdybym umiała pływać i nie wciągnęła wody nosem, znajdowaliśmy się w tunelu, skąd trudno by się było dostać na powierzchnię.

Wreszcie tunel stał się szerszy i począł zakręcać ku górze.

Wyczuwałam, że prąd stał się silniejszy. Woda płynęła tędy ze wszystkich ujęć w Centrum i spływała do głównego systemu ściekowego. Na szczęście nieczystości z ubikacji odprowadzane były osobną rurą, której wylot znajdował się niedaleko miejsca, gdzie rozpoczęliśmy naszą wędrówkę. Tunel, którym się poruszaliśmy, służył tylko do odprowadzania wody ze zlewów. Lark wyjaśniła nam wcześniej, że za dnia nie moglibyśmy poruszać się nim w tę stronę, bo prąd byłby zbyt silny. Nocami, gdy na terenie Centrum pozostawało niewielu pracowników, zużycie wody było minimalne, dzięki czemu mogliśmy bez problemu płynąć pod prąd.

Znaczyło to też, że na miejscu zastaniemy niewielu ludzi, którym będziemy musieli stawić czoła.

Tunel dalej zwężał się i rozwidlał. My jednak, zgodnie z instrukcjami Lark, trzymaliśmy się głównego korytarza. Wreszcie znaleźliśmy się w dużej komorze w kształcie żarówki. Znajdowały się tu wyloty mnóstwa rur. Na samym środku komory u góry umieszczono wąż.

Przez długi czas znajdowaliśmy się już pod wodą. Powietrze w oddycharce stało się nieświeże. Zaczynało mi dokuczać dziwne wrażenie, że moje pole widzenia to rozszerza się, to znów kurczy. Przed oczami tańczyły mi jakieś świetliste plamki. W pewnym momencie zobaczyłam, jak przede mną przelewa się jakaś woda... która wydawała mi się dziwna. Ta, w której pływałam (o ile moje dziwne ewolucje można w ogóle nazwać pływaniem), była nieco mętna, natomiast za nią – albo nad nią – dostrzegałam inną wodę, bardziej przezroczystą, która tworzyła osobny, kolisty prąd.

Krawędzie mojego pola widzenia zamazały się i po chwili widziałam już tylko tę dziwną wodę. Coś rozświetlało ją z boku, sprawiając, że wszystkie unoszące się w niej obiekty przypominały cienie samych siebie. Widziałam, jak przepływają przez nią dziwne kształty wielkości mojej dłoni. Były bezbarwne i pozbawione trwałych form. Kiedy obserwowałam, jak harmonijnie poruszają się całymi grupami, pomyślałam, że muszą być sterowane jakimś mechanizmem. Zbita z tropu, mrużyłam oczy, próbując przypatrzeć się temu dziwnemu zjawisku. Czy naprawdę je widziałam? Czy może zaczynałam tracić rozum?

Lachlan był zajęty otwieraniem włazu, dlatego musiałam pociągnąć go za rękę, żeby pokazać mu to dziwne zjawisko. Wskazałam unoszące się w wodzie kształty, ale chyba nie zrozumiał, o co mi chodzi. Pomyślał pewnie, że pokazuję mu właz. Uniósł jeden palec, co miało znaczyć, że potrzebuje jeszcze minuty, żeby go otworzyć. Nie dostrzegając tego co ja.

Kiedy wreszcie otworzył klapę włazu, nagle wodę zalało padające z góry światło. I dopiero wtedy mogłam wyraźnie ujrzeć pływające kształty. To były ryby, cała ławica kolorowych rybek. Ich jaskrawe barwy przywodziły na myśl krzykliwe stroje, jakie kobiety z wewnętrznych kręgów zakładały podczas nocnych wypadów do miasta. Widziałam je tylko przez krótką chwilę, a już w następnej zniknęły bez śladu. Skupiłam uwagę na Lachlanie, który czekał na mnie przy okrągłym włocie otwartego włazu.

Nie miałam pojęcia, co się ze mną dzieje.

Miałam nadzieję, że kiedy zaczerpnę świeżego powietrza, odzyskam jasność myślenia. Nie mogłam się doczekać momentu, gdy będę mogła uwolnić się od oddycharki. Musiałam teraz walczyć o każdy oddech, jakby urządzenie się zbuntowało. W płucach czułam ciężkość, całe były obolałe.

Zanim zdążyłam wydostać się na powierzchnię i zaczerpnąć upragnionego powietrza, Lachlan siłą ściągnął mnie z powrotem na dół.

Zaczął pokazywać mi coś na migi. Musiała upłynąć długa chwila, zanim mój oszołomiony umysł pojął, co próbuje mi powiedzieć: ktoś znajdował się nad nami u wylotu włazu. Musieliśmy jeszcze wstrzymać się z wychodzeniem na powierzchnię.

Ale przecież nie mogliśmy dłużej pozostać pod wodą. Coś złego działo się z moją oddycharką. Brakowało mi powietrza. Czyżbyśmy spędzili pod wodą godzinę? Nie myślałam już jasno.

Przestawałam się kontrolować. Wiedziałam tylko, że muszę jak najszybciej zaczerpnąć powietrza. Ale nie mogłam na to liczyć, dopóki twarz miałam uwięzioną w oddycharce. Spanikowana zaczęłam drapać maskę, szukając szczeliny, w którą mogłabym włożyć palce i zerwać ją z głowy. Wiedziałam, że to fatalny pomysł, ale nie mogłam się opanować.

Lachlan próbował mnie powstrzymać, jednak walczyłam z nim tak zawzięcie, jakby próbował mnie utopić. Tak mi się wtedy wydawało. Widziałam jego przerażone spojrzenie wyzierające zza szkła maski, jednak nic sobie z niego nie robiłam – w tamtej chwili liczyło się tylko to, że nie pozwala mi zedrzeć z głowy maski, co czyniło z niego wroga.

W końcu zdołałam uwolnić się od oddycharki... i kontakt z wodą momentalnie mnie otrzeźwił. Nagle wszystkie siły musiałam skupić na tym, by powstrzymać się przed zaczerpnięciem powietrza. Widziałam zamglony obraz Lachlana, który unosił się tuż obok mnie. Zauważyłam, że też zrywa z twarzy maskę i przysuwa się jeszcze bliżej. Po chwili poczułam, jak jego usta przywierają do moich.

I dopiero wtedy zrozumiałam, co robi: oddawał mi powietrze, jakie miał w płucach, swój ostatni oddech. Pomagał mi przetrwać choć chwilę dłużej. Na tę myśl przez sekundę poczułam ulgę, ale zaraz zrozumiałam, co to oznacza: po tym, co zrobił, ani Lachlan, ani ja nie mieliśmy już powietrza.

Chciałam mu coś powiedzieć. Kiedy otworzyłam usta, wypłynęły z nich bąbelki, ale woda stłumiła głos.

W następnej chwili Lachlan otworzył właz i popchnął mnie przodem. Uchwyciłam się jego krawędzi, wynurzając głowę na powierzchnię i łapczywie otwierając usta. Płuca zapiekły mnie od pierwszej cudownej dawki świeżego powietrza. Zaczerpnęłam jeszcze jeden oddech, potem kolejny. Wreszcie, kiedy wygramoliłam się już na brzeg, oprzytomniałam na tyle, by przypomnieć sobie o Lachlanie. Żeby wepchnąć mnie do włazu, musiał sam zejść znacznie głębiej. Próbowałam zanurzyć się z powrotem, żeby mu pomóc. Wiedziałam, że w ten sposób raczej mu utrudnię niż ułatwię wydostanie się na powierzchnię, ale wiedziałam, że muszę mimo to spróbować. Jednak jak tylko zanurzyłam głowę pod wodę, zrozumiałam, że bez oddycharki nie dam rady.

Uklękałam na brzegu i wpatrywałam się z napięciem w wodę. Lachlan oddał swój ostatni oddech i poświęcił resztkę sił, żeby mnie uratować. Dostrzegałam jego niewyraźny kształt majaczący głęboko pod wodą. Nie mogłam się zorientować, czy się rusza, czy jeszcze walczy. Przypomniałam sobie, jak uratował mnie, kiedy wciągały mnie ruchome nanopiaski.

– Lachlan! – zawołałam zrozpaczona, bijąc bezradnie dłońmi powierzchnię wody.

Nie miałam jak mu pomóc. Lachlan był tylko ciemnym kształtem majaczącym głęboko pod mną i z każdą chwilą zapadającym się głębiej.

Nagle odniosłam wrażenie, że tuż obok niego coś się pojawiło. Po chwili kształt ten objął

Lachlana i począł rosnać – zrozumiałam wtedy, że płyną ku powierzchni! Ktoś inny pomagał mojemu towarzyszowi wydostać się z głębin.

Jak tylko znalazł się w moim zasięgu, włożyłam ręce do wody, chwytając wszystko, co mi się pod nie nawinęło – jego ubrania, dłonie, włosy. Kiedy udało mi się coś uchwycić, zaczęłam ciągnąć, podczas gdy jego wybawiciel popychał go od dołu. Chwilę po tym jak wyciągnęłam Lachlana na brzeg, z wody wynurzył się też tajemniczy pomocnik. Staął, ociekając wodą, i ściągnął maskę. Z wrażenia aż jęknęłam.

– Lark! Przecież miałaś zostać na tamtym brzegu, żeby się nie narażać!

– Naprawdę sądzisz, że pozwoliłabym ci samej wejść w paszczę lwa? – spytała, uśmiechając się łagodnie. Spojrzałam na Lachlana, który leżał u naszych stóp, kaszląc i krztusząc się. Już chciałam jej przypomnieć, że wcale nie byłam sama, jednak Lark ubiegła mnie, mówiąc nieco ciszej: – To przeze mnie zginęła twoja mama. To z mojej winy Ash znalazł się w więzieniu. Popełniłam błąd, obdarzając zaufaniem osoby, które nie były tego warte. A teraz nadeszła pora, żebym zapracowała z powrotem na twoje zaufanie.

– Och Lark... – szepnęłam, ale nie było już czasu na dalsze rozmowy.

Lachlan zdołał uklęknąć. Kiedy spojrzał na Lark, z jego oczu wycierała wdzięczność zmieszana z wrogością.

– Nie powinno cię tu być – mruknął.

Czuł się upokorzony, że ktoś musiał go ratować. Zawsze to on był wojownikiem i twardzielem.

– No ale jestem, co zrobić? – wzruszyła ramionami Lark.

– Nie możesz iść z nami – upierał się Lachlan. – To by pokrzyżowało nam plan misji, nie przewidywalibyśmy udziału trzech osób.

– Na szczęście mam własny plan – odparła nonszalancko dziewczyna, po czym podeszła do szafek ustawionych pod ścianą. Wyciągnęła z jednej z nich jakieś pakunki, rozerwała folię, a po chwili była już przebrana w nowiutki kombinezon roboczy w bladezielonym kolorze. Liliowe włosy ukryła pod czapką z daszkiem, po czym zaprezentowała nam swój identyfikator. Pozostałe dwa worki z ubraniami na zmianę podała nam.

– Z następnego magazynu wezmę narzędzia i parę innych niezbędnych rzeczy – poinformowała. – Będę na was czekała niedaleko strefy więziennej. Dalej nie wejdem, ale będę w odwodzie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– Nie możesz... – próbował protestować Lachlan, ale nie dałam mu dokończyć zdania.

Było jasne, że spieranie się z Lark w tym momencie nie miało żadnego sensu. Teraz pozostawało dopilnować, że zostanie na bezpiecznej pozycji.

– Nie możesz przycząć się tak blisko, to zbyt niebezpieczne – oznajmił Lachlan. – Zaczekaj na nas niedaleko holu. Możliwe, że tam przyda nam się twoja pomoc.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wymkniemy się bez wszczynania alarmu. Miałam nadzieję, że uda nam się wycofać bez angażowania Lark. Kiedy już Lachlan, Ash i ja wymkniemy się, Lark też będzie mogła się wycofać, zostawić gdzieś swoje przebranie i wrócić do domu. Potrzebowałam jej, musiałam wiedzieć, że nic jej nie grozi. Wspomnienie Lark w jej pokoju, leżącej na łóżku przykrytym pościelą w kolorze śliwkowym, dodawało mi siły i pozwalało przygotować się na ciężkie chwile, które mnie czekały.

Skupiałam się na tym wyobrażeniu, starając się nie myśleć o tym, co wydarzy się w międzyczasie. Ta misja rzeczywiście była śmiertelnie niebezpieczna – samo przedostanie się do Centrum Lachlan niemal przypłacił życiem.

– W porządku – odparła Lark. – Mam parę asów w rękawie. Jeśli znajdziecie się w tarapatkach, zrobię coś dla odwrócenia uwagi.

Wyobraźnia podpowiedziała mi już najdziksze scenariusze: Lark krzykiem zwabiająca zielone koszule. Albo nawet wdająca się z nimi w bójkę.

– Tylko nie skupiaj ich uwagi na sobie! – ostrzegłam.

– Spokojnie – powiedziała, naciągając daszek głęboko na czoło. – Nikt mnie nawet nie zauważy.

Mówiła to z absolutnym przekonaniem. Prezentowała się teraz jak typowy pracownik fizyczny, więc może faktycznie miała rację.

Ponieważ kombinezon zaopatrzony był w system automatycznych uszczelek, które zadziałały, jak tylko zerwałam maskę, ubrania nadal miałam suche. To samo z włosami – po zdjęciu maski kapturowa część kombinezonu natychmiast przyssała się do skóry wzdłuż linii włosów. Niesamowite, jak bardzo zaawansowana była ludzka technika. Jak to się stało, że z jednej strony posiadliśmy tak wielką wiedzę, a z drugiej nauczyliśmy się siać zniszczenie? Czy naprawdę nie dało się przewidzieć, że w pewnym momencie ta wiedza zrodzi niszczycielską moc?

Przebraliśmy się w szare garnitury zarezerwowane dla elity Centrum: spodnie o wąskich nogawkach w stalowym kolorze z delikatnymi prążkami i dopasowane marynarki w nieco ciemniejszym odcieniu szarości. Pod spód Lachlan założył czarną koszulę, a ja opalizującą srebrzyście bluzkę i perłowy naszyjnik.

Nie wiedziałam, jak wyglądam, lecz Lachlan prezentował się jak typowy młody urzędnik Centrum; taki ich wizerunek zapamiętałam z oglądanych wiadomości wideo. Efekt psuła jedynie blizna na jego policzku. Obawiałam się, że może ona wzbudzić podejrzenia. Kolejny słaby punkt stanowiły wyzywające oczy drugiego dziecka, ukrył je jednak za zielonymi szklami okularów, które – jak twierdził – były ostatnim krzykiem mody wśród pretensjonalnych młodych biurokratów, którzy szybko pięli się po szczeblach kariery.

– Musisz wyglądać poważniej – zauważyłam, związując włosy w kok na tyle głowy. Udało mi się ukryć większość barwnych kosmyków będących dziełem Lark. Wiedziałam, że z tak prostą

fryzurą mogę uchodzić za o kilka lat starszą.

Lachlan nadał swojej twarzy możliwie najbardziej nijaki wyraz.

– Teraz lepiej?

Nie umiałam powstrzymać śmiechu. Lachlan zawsze potrafił mnie rozbawić, niezależnie od okoliczności. Kto wie, może byliśmy o krok od śmierci albo więzienia (które mogło okazać się nawet gorsze niż ta pierwsza ewentualność). Mimo to w jakiś tajemniczy sposób Lachlan umiał przywołać na moje usta uśmiech. Czy inni ludzie byli tacy jak on? Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć. Jak to możliwe, że ten mężczyzna zawsze umiał mnie uszczęśliwić, choćby wokół nas walił się cały świat?

W pewnym momencie zorientowałam się, że Lark przygląda nam się z boku. Momentalnie schyliłam głowę, żeby ukryć rumieńce. Ale zaraz potem dumnie ją uniosłam. Dlaczego nie mogłabym mieć dwojga przyjaciół? Co w tym złego, że uszczęśliwia mnie dwoje ludzi? Przez całe wieki nie miałam obok siebie prawie nikogo. Chyba wolno mi teraz cieszyć się towarzystwem Lark i Lachlana i nie muszę ciągle przejmować się, że któreś z nich się obrazi, jeśli poświęcę uwagę drugiemu.

Nie mogłam się teraz nad tym rozwoździć. Zebrałam w sobie odwagę, tak jak się nauczyłam, po czym ruszyliśmy długimi schodami wiodącymi do strefy dolnych piwnic. Tam się rozdzieliliśmy – Lark poszła po narzędzia, których potrzebowała, żeby udawać pracownika fizycznego, a następnie miała udać się do głównego holu i tam na nas czekać. Na odchodnym posłała mi buziaka. Lachlan spojrział na nią wilkiem, kiedy to zrobiła. My dwoje udaliśmy się na poziom, gdzie przechowywano dane, a stamtąd dotarliśmy na parter – a więc do strefy, gdzie mieściła się kwatera główna sił bezpieczeństwa Centrum.

Całą tę drogę pokonaliśmy bez żadnych problemów. Przy wszystkich punktach kontrolnych posługiwałam się kartą identyfikacyjną ojca. Kilka osób, które minęliśmy po drodze, nie zwracało na nas żadnej uwagi. Zanim dotarliśmy na parter, spotykani na niższych poziomach ludzie sprawiali wrażenie pracowników, których zatrzymały po godzinach obowiązki i teraz chcieliby już jak najszybciej wrócić do domu. Byli to głównie konserwatorzy i urzędnicy niższego szczebla zajmujący się danymi. Pewnie przebrani za młodych, ambitnych i dysponujących rozległymi wpływami urzędników budziliśmy w nich instynktowną niechęć. W ich oczach byliśmy kimś, kto mógłby im narobić problemów, zlecić dodatkowe zadania, skrytykować to, jak sobie radzą. Dlatego spuszczały wzrok, jakby udawali, że nie istniejemy. Pewnie mieli nadzieję, że zrewanżujemy im się tym samym.

Na parterze sytuacja nieco się skomplikowała. Tutaj nie było już miejsca na żaden błąd, musieliśmy zachowywać ostrożność, bo najmniejsze potknięcie mogło nas drogo kosztować.



ZANIM ROZPOCZĘLIŚMY REALIZACJĘ MISJI, kilkakrotnie przerabialiśmy z Lachlanem ten scenariusz, żeby potem dokładnie wiedzieć, jak się zachować. Lachlan, z właściwą sobie pewnością siebie, utrzymywał, że Centrum jest wprawdzie najbardziej tajnym i najlepiej strzeżonym miejscem w Edenie, jednak jego bezpieczeństwo opiera się w większej mierze na technologii niż na ludziach.

– Jeśli masz właściwą kartę identyfikacyjną, jesteś traktowana jako pełnoprawny pracownik – oznajmił. – Pracownicy Centrum w pełni ufają Ekopanoptykonowi. Wystarczy, że ten uwierzy, że możemy przebywać w Centrum, a wówczas nikt nie będzie nas zaczepiał. Dzięki karcie twojego ojca, jednego z najwyższych urzędników Centrum, Ekopan będzie sądził, że ten robi po prostu obchód po terenie Centrum albo załatwia jakieś tajemnicze interesy. Urzędnicy tego szczebla nie podlegają dalszym procedurom weryfikacyjnym. A ponieważ zwolnieni są też ze skanów ciała, komputery nie zorientują się, że ważę piętnaście kilogramów mniej i jestem trzydzieści lat młodszą niż osoba, na którą wystawiona jest karta.

Człowiek wkraczający do Centrum jednym z głównych wejść poddawany był całemu szeregowi różnorodnych testów – odczytów biometrycznych, skanów soczewek i wielu innym sprawdzianom. My jednak, wybierając drogę przez kanały, ominęliśmy za jednym zamachem cały ten skomplikowany system zabezpieczeń. Osoba, która przedostała się na teren Centrum, mogła poruszać się po nim swobodnie. Zakładano, że Ekopanoptykon wywiązał się już ze swojego zadania, przeprowadzając testy przy wejściu, i żadne dodatkowe nie są potrzebne. Ludzie znajdujący się w Centrum traktowani byli jako uprzywilejowani członkowie elit. Lachlan twierdził, że z tego powodu nawet gdyby nasze twarze wydawały się strażnikom nieznanym, nie będą oni nas niepokoić. Pomyślą, że pracujemy na innej zmianie albo że jesteśmy nowymi pracownikami lub też dziećmi jakichś dygnitarzy i w związku z tym lepiej z nami nie zadzierać. Studenci, których rodzice należeli do elity Centrum, często trafiali tu na praktyki zaraz po zakończeniu nauki w szkole. Dlatego nikogo nie powinno dziwić, że wyglądamy młodo.

– Ludzie nie domyślają się, w jak wielkim stopniu percepcja kształtowana jest przez nasze oczekiwania – szepnął Lachlan, kiedy zbliżaliśmy się do strefy więziennej na piętrze, gdzie ulokowano siły bezpieczeństwa. – Nie musimy nikomu udowadniać, że mamy prawo tu przebywać. Wystarczy, że jesteśmy w tym miejscu.

Zgodnie z tą nieco pokrętną logiką nasza obecność w Centrum świadczyła o tym, że mamy

prawo tu przebywać.

Po schodach wspięliśmy się na pierwsze piętro i znaleźliśmy się w pięknie zaprojektowanym przestronnym holu, którego kształt przypominał przepołowioną muszlę. Dla większości mieszkańców Edenu była to jedyna część Centrum, jaką widzieli. W oświetlonym rzęsiście holu dominowała biel z delikatnymi akcentami błękitu i zieleni, dzięki czemu całość kojarzyła się kolorystycznie z brzegiem morza. Efektu dopełniał sztuczny wodospad spływający z wyższego piętra tuż obok spiralnych schodów; woda w nim miała niesamowicie turkusowy odcień. Trzy niewielkie boty sprzątające kręciły się przy brzegu basenu u stóp wodospadu, ścierając wodę, która rozlała się na posadzkę.

Na razie dopisywało nam szczęście.

W końcu spiralnie skręcone schody doprowadziły nas do strefy sił bezpieczeństwa Centrum. Morska jasność przepadła bez śladu, wystrój był tu oszczędny, surowy. Gdyby nie panująca czystość, wydawałby się wręcz prymitywny. Nie tylko wystrój, ale też ludzie wyglądali zupełnie inaczej. Kiedy zerknęłam w dół schodów, zobaczyłam jakiegoś niepozornego robotnika, który przemierzał hol, popychając wózek z narzędziami i wiadrami. Był drobnej budowy, przez co domyśliłam się, że to Lark. Zapragnęłam, żeby uniosła głowę i posłała mi dodające otuchy spojrzenie. Ale oczywiście nie chciałam ryzykować, dlatego szybko odwróciłam wzrok.

Mijając stanowisko kontrolne, Lachlan wypowiedział parę słów do strażnika, a ten machnął ręką na znak, że możemy przejść. Zachowując powagę, ruszyliśmy korytarzami, których układ mój towarzysz wcześniej przewidział na podstawie informacji wywiadowczych Podziemia oraz dostarczonych przez Lark planów systemu wodociągowego.

Po chwili wkroczyliśmy do wąskiego korytarza, który doprowadził nas do obszernego pomieszczenia. Dobiegły mnie tam ludzkie jęki i skargi – stłumione, lecz niedające się z niczym pomylić. Wkrótce poczułam też jakąś dziwną woń – była delikatna, ale ostra i sprawiła, że dostałam gęsiej skórki. Pomyślałam, że to odór ludzkiego strachu.

W pewnym momencie doszliśmy do miejsca, gdzie wzdłuż ścian ciągnęły się cele więzienne.

– Nie zapominaj, kim teraz jesteś – poradził mi szeptem Lachlan. Chodziło mu o to, żebym nie wychodziła z roli. Miałam udawać młodą studentkę psychologii, która w towarzystwie urzędnika Centrum przyszła porozmawiać z renegatem Ashem, żeby spytać, dlaczego zdradził własną rodzinę, wyparł się najbliższych. Dzięki ojcu wiedziałam mniej więcej, jak działa służba zdrowia na wysokich szczeblach Centrum, dlatego nawet gdyby ktoś chciał pociągnąć mnie za język, prawdopodobnie zdołałabym udzielić właściwych odpowiedzi.

– Coś mi się wydaje, że nawet postać, którą odgrywam, byłaby zdziwiona tym widokiem.

Wiedziałam już, że Eden nie jest miejscem wolnym od przemocy. Jednak nigdy jeszcze nie widziałam na własne oczy, czym jest prawnie usankcjonowana przemoc.

Wkoło nas ciągnęły się zakratowane ściany. Gdzieniedzie dostrzegałam dłonie wyciągające

się na zewnątrz zza krat. Nie wiedziałam, czego domagali się ci więźniowie – pomocy, jedzenia, wolności?

Na filmach z wychowania obywatelskiego zawsze dowodzone, że przestępczość w Edenie praktycznie nie istnieje. Kto zechciałby kraść ze świadomością, że przywłaszczenie sobie pożywienia jest równoznaczne z uszczupleniem jego zasobów dla całej ludzkości? Kto targnąłby się na życie drugiego człowieka, wiedząc, że należy on do wąskiego grona ocalonych? Zapewne przetrzymywani tu ludzie stanowili niewielki procent populacji Edenu. Wzdłuż ścian długiego prostokątnego pomieszczenia naliczyłam około stu cel. Mimo to liczba więźniów była zbyt duża, by Eden nadal można było nazywać utopijnym miastem szczęścia. Zastanawiałam się, ilu ludzi niezwiązanych z Centrum w ogóle wie o istnieniu tego miejsca.

U wejścia stało dwóch potężnie zbudowanych strażników. O dziwo, nieuzbrojonych.

– Przyszliśmy porozmawiać z osadzonym numer osiemdziesiąt dziewięć – rzekł obcesowo Lachlan, bawiąc się trzymanym między palcami długopisem. Drugi długopis zatknął sobie za ucho.

– Nie ma was na liście – odparł jeden ze strażników, nie ruszając się z miejsca.

– Pozwolenie miało zostać wysłane, kiedy tu szliśmy – wyjaśnił Lachlan głosem sugerującym, że jest przeraźliwie znudzony. Dla większego efektu pozwolił sobie nawet na ziewnięcie. –

Musiałem zostać po godzinach, żeby zastąpić sekretarkę – stwierdził, wzruszając ramionami. Następnie wskazał mnie kciukiem i dodał: – Szef kazał zająć się tą ślicznotką. To jego ulubienica.

Ostatnie słowa wypowiedział konspiracyjnym szeptem, puszczając oko do strażników. Udałam, że czuję się zakłopotana. W tych okolicznościach przyszło mi to z łatwością.

– Potrzebujesz, żebyśmy wypuścili go z celi? – spytał strażnik.

Lachlan spojrzał na mnie pytająco.

– Podczas przeprowadzania wywiadu z człowiekiem obłąkanym rozmowa przez kraty byłaby niewskazana – wyjaśniłam poważnym tonem zgodnie z wyuczoną rolą. Przez chwilę bawiłam się trzymaną w ręce podkładką do pisania. Wyjęłam dołączony do niej długopis, po czym znów wsunęłam go na miejsce. – Istotne jest zrozumienie, co motywuje do działania takie społecznie nieprzystosowane jednostki, byśmy mogli w przyszłości zdusić w zarodku podobne tendencje.

Swojej wypowiedzi starałam się nadać abstrakcyjny, naukowy ton. Chciałam, by zabrzmiało to tak, jakby moją jedyną ambicją było przypodobanie się mojemu wykładowcy. Wcześniej już ćwiczyłam ten akademicki pedantyczny ton.

Lachlan przewrócił oczami.

– Chyba chodzi jej o to, że chce go poddać rehabilitacji.

– Na to jest już za późno – ucięłam. – Ale może zdołamy pomóc innym, zanim zejda na manowce.

Lachlan uderzył pięścią w drugą, otwartą dłoń.

– Tacy jak on rozumieją tylko prawo silniejszego – oznajmił. – Jeśli złapiesz takiego stosunkowo wcześniej, powinien posmakować pięści. A jeśli to nie poskutkuje, stosuje się rozwiązanie ostateczne.

Strażnik zareagował śmiechem. Najwyraźniej odgrywany przez Lachlana młody urzędnik przypadł mu do gustu, bo machnął ręką na znak, że możemy przejść do jego kolegi. Ten przez chwilę sprawdzał wykrywaczem metali, czy nie wnosimy broni. Sądziłam, że do Centrum wybierzemy się uzbrojeni, ale Lachlan się na to nie zgodził. Oświadczył, że do pilnie strzeżonej strefy zakazane jest wnoszenie wszelkiej broni; zakaz ten dotyczył również strażników. Powiedział też, że to znacznie ułatwi nam zadanie. Tam, gdzie pojawia się broń, są też zabici. I to my moglibyśmy do nich należeć.

Nasz cel był prosty – musieliśmy wydostać Asha z celi.

Strażnik zaprowadził nas do surowo urządzonego pokoju. Na jego wystrój składały się dwa krzesła i stół z pasami do unieruchamiania rąk; w jednej ze ścian widniało ciemne okno, za którym nic nie było widać.

– Zaczekajcie tu – powiedział strażnik. – Przyprawdę więźnia.

– Lachlan – szepnęłam, kiedy zniknął, wskazując okno. – Ktoś nas będzie obserwował. A jeśli przykują go kajdankami do stołu...

– Ciii... – uspokoił mnie Lachlan. – Po prostu musimy natychmiast przystąpić do akcji.

Pierwotny plan zakładał, że będziemy przesłuchiwać Asha do momentu, aż strażnicy znajdą się w odpowiednim miejscu i będziemy mogli ich zaatakować. Sądziłam, że będę miała jeszcze chwilę, żeby odsapnąć i wziąć się w garść. Nie czułam się gotowa do akcji!

Ale najwyraźniej nie mogliśmy zwlekać.

– Musimy zaatakować na zewnątrz, w głównym holu – stwierdził Lachlan, po czym wyszliśmy z sali przesłuchań.

– Psst!

Ten syk dobiegł z celi przylegającej do sali przesłuchań. Lachlan tylko potrząsnął lekko głową, jakby chciał mi powiedzieć: nie rozpraszaaj się, skup się na akcji. Mimo woli odwróciłam się jednak w stronę celi, z której ktoś nas zaczepiał.

Ujrzałam jakiegoś niskiego, tęgiego nieznanego mi mężczyznę. Ubrany był w szary więzienny kombinezon. Na odsłoniętej skórze dłoni i twarzy widniały ciemne ślady poparzeń. Podszedł do krat, po czym powiedział najbardziej przerażającą z możliwych rzecz:

– Wiem, kim jesteś.

Zdjęta grozą otworzyłam szeroko oczy. Mężczyzna mówił po cichu, ale wystarczyłoby, żeby krzykiem zaalarmował strażników, i byłoby po nas.

– Czego chcesz? – syknęłam.

Ku mojemu zdumieniu mężczyzna zaczął łkać.

– Przepraszam. Naprawdę nie chciałem im tego powiedzieć, przysięgam.

Najwyraźniej ten człowiek mnie znał. Ja jednak nie miałam bladego pojęcia, co to za jeden.

– Kim jesteś?

– Clayton Hill. – Jego nazwisko nic mi nie mówiło. – Jesteś bardzo podobna do matki. I brata. Przykro mi, że zginęła. To moja wina – wydusił z siebie, podczas gdy łzy ciekły po jego pulchnych policzkach. – Na przesłuchaniu pękłem bardzo szybko. Oni... oni... – wydukał, pokazując poparzoną dłoń. – A potem powiedzieli, że ją zabili. I to było nawet gorsze od tortur. Była taką miłą kobietą. Miała wielkie serce.

Czy to możliwe?

– Jesteś... tym urzędnikiem Centrum, który pomagał mojej mamie?

Wyciągnął za kraty złożone jak do modlitwy dłonie.

– Proszę, wybacz mi. Wybacz, że zabrakło mi siły.

A więc moja matka nie zginęła z winy Lark. Świadomość, że to ona, choćby nawet nieumyślnie, spowodowała śmierć mamy, napawała mnie wielkim smutkiem. Teraz ta gorycz znikła bez śladu.

Strażnik prowadził już do nas Asha, dlatego musiałam się odwrócić. Mój brat miał związane na plecach ręce i posiniaczoną, bladą twarz. Idąc, zataczał się, dlatego strażnik musiał go podtrzymywać. Czyżby podali mu jakieś środki odurzające? Wydawało się, że jego zapuchnięte oczy nic nie widzą. A gdy w końcu oprzytomniał, zanim zdążyłam uspokoić go gestem, zawołał:

– Rowan? Co ty tu robisz?

Bikk! Strażnicy sprawiali wrażenie zbitych z tropu. Pewnie moglibyśmy jakoś usprawiedliwić jego dziwne zachowanie, na przykład tłumacząc, że jest oszołomiony, odurzony albo próbuje jakiegoś podstępu; moglibyśmy zapewnić, że nigdy nie widziałam na oczy tego człowieka. Jednak raz zrodzone podejrzenia bardzo trudno rozwiązać, a my nie mogliśmy ryzykować.

Nasz plan był znakomity, ale jak zdążyłam przekonać się w ciągu ostatnich paru dni, w praktyce plany niemal zawsze ulegają zmianie.

Lachlan zsunął nieco niżej swoje modne okulary o zielonych szklach i spojrzał na mnie znad oprawek swymi pięknymi oczami drugiego dziecka.

– Gotowa? – spytał bezgłośnie, poruszając tylko ustami.

Uniosłam dłoń do perłowego naszyjnika i ledwie dostrzegalnie skinęłam głową.

Mieliśmy tylko parę godzin, żeby przećwiczyć ten etap akcji, jednak zachowywaliśmy się, jakbyśmy mieli za sobą wielotygodniowe przygotowania. Lachlan rzucił się na Asha, celując w jego twarz długopisem, którym przez cały czas się bawił. Strażnicy, którzy zapewne pomyśleli, że próbuje zabić więźnia, chcieli wyrwać mu długopis z ręki... jednak nagle okazało się, że to, co trzyma w garści Lachlan, wcale nie jest długopisem.

W tej samej sekundzie zacisnęłam palce na perłach i jednym szybkim pociągnięciem zerwałam je z szyi. Uwolnione posypały się na ziemię i po chwili cała posadzka była już ich pełna. Niektóre potoczyły się ku wejściu, gdzie stało więcej strażników. Umundurowani mężczyźni i kobiety przyglądali się w osłupieniu niewinnie wyglądającym kuleczkom... które już w następnej chwili przemieniły się w coś zupełnie innego.

Od podkładki do pisania odczepiłam długopis (który tak naprawdę wcale nim nie był), po czym zbliżyłam go do twarzy. Długopis rozwinął się błyskawicznie, zamieniając w samoprzylepny biomateriał, który momentalnie przylgnął do mojej twarzy i oblepił ją niczym maska kombinezonu ochronnego. W ułamku sekundy moje oczy, nos i usta zniknęły pod materiałem. Pozostała tylko maleńka szparka, tak żebym nie czuła, że się duszę. Reakcja chemiczna, w jaką wchodził materiał w zetknięciu z ludzką skórą, powinna dostarczyć mi tlenu wystarczającego na dziesięć minut. Półprzezroczysty materiał oblepiający mi głowę sprawiał, że obraz miałam teraz lekko zamglony. Widziałam jednak, że Lachlan zdążył już też założyć maskę.

W tej samej chwili rozległa się seria cichych trzasków wydawanych przez eksplodujące perły, z których zaczęły wydobywać się trujące gazy.

Błyskawicznie poczułam na skórze trujące opary – w zetknięciu z nią wydawały się lodowato zimne, jakbym nagle znalazła się wewnątrz zamrażarki. Wiedziałałam jednak, że nic mi nie grozi, ponieważ trująca substancja nie wchłaniała się przez skórę, tylko przez płuca i oczy. Już po chwili przekonałam się o tym mogli strażnicy.

Doskonale pamiętałam ten zapach, który docierał teraz do ich nosów. Niemal żałowałam, że nie mogę zerwać maski, żeby poczuć go jeszcze raz. Wiedziałałam, że z moimi nowymi oczami, kiedy nasza misja dobiegnie już końca, mogę nigdy więcej nie ujrzeć na własne oczy drzewa kamforowego. Drzewa, które drugim dzieciom z Podziemia dawało nadzieję, szczęście... a przy okazji pozwalało stworzyć pewną trującą substancję w aerozolu, której niewielka dawka mogła w mgnieniu oka powalić na ziemię kilkadziesiąt osób.

Przyroda ma nie tylko życiodajną moc – potrafi też uśmiercać. A czym innym są ludzie, jeśli nie częścią przyrody?

Na razie wszystko przebiegało jak po maśle. Lachlan był przekonany, że zdołamy przemycić do więzienia sprytnie zakamuflowane zdobycze technologii. I jak się okazało, miał rację. Był też pewien, że trucizna pozyskiwana z kamforowca powali każdego, gdy tylko przedostanie się do płuc. I tutaj też się nie mylił. Strażnicy wokół nas krztusili się, wymiotowali i padali na ziemię. Lachlan zapewniał mnie, że po jakimś czasie dojdą do siebie, ale zaczynałam mieć wątpliwości. Jeszcze przed chwilą byli zdrowi, ale już parę sekund później wili się w konwulsjach i zastygali bez ruchu. Czyżby Lachlan chciał w ten sposób oszczędzić mi zmartwień z powodu kolejnych ofiar na moim sumieniu?

Wystarczyło parę sekund, by wszyscy strażnicy zostali unieszkodliwieni. I właśnie na ten moment czekaliśmy. Powinniśmy pognać przed siebie, zbiec po schodach i wydostać się głównym wejściem, przez cały czas udając ogarniętych paniką pracowników, którzy uciekają z miejsca ataku terrorystycznego. Pod gmachem Centrum mieliśmy wskoczyć do kradzionego samochodu, podstawionego tam przez współpracowników Lachlana, po czym jak najszybciej się ulotnić. Przewidywaliśmy, że po godzinie Ash będzie już bezpieczny w Podziemiu.

Nie wzięliśmy jednak pod uwagę jednej rzeczy: Ash, poddawany męczarniom, bity, pod wpływem środków odurzających, stresu i grozy, słał się teraz na nogach. Było jasne, że nie jest w najlepszej kondycji. Przez maskę oblepiającą mu twarz widziałam jego przerażone spojrzenie, które zapowiadało nadciągający atak. Mój brat zaczął spazmatycznie dyszeć, a spod maski dobył się zduszony świst jego oddechu. Zdążył mi jeszcze posłać przepaszające spojrzenie, a już w następnej chwili ugięły się pod nim nogi.

Powodzenie naszego planu uzależnione było od tego, czy zdołamy błyskawicznie opuścić Centrum. A teraz okazało się, że jedno z nas nie będzie w stanie biec.

Lachlan bez zastanowienia zdarł kurtkę z leżącego na posadzce strażnika i zarzucił na ramiona Ashowi, ukrywając pod nią jego skute kajdankami ręce. Na pierwszy rzut oka mój brat wyglądał teraz nie jak więzień, lecz strażnik.

– Biegiem! – zakomenderował Lachlan, po czym podniósł Asha z ziemi, jakby ważył tyle co piórko, i zarzucił go sobie na ramiona.

Popędziliśmy przed siebie, klucząc pośród ciał nieprzytomnych strażników. Po chwili dotarliśmy do spiralnych schodów i puściliśmy się biegiem w dół. Trujące opary drzewa kamforowego łaskotały mnie w miejscach, gdzie miałam odkrytą skórę. Kiedy zerknęłam ponad barierką w dół, ujrzałam ludzi na parterze, którzy z zadartymi głowami przestraszeni spoglądali w górę.

– Pomóżcie nam! – zawołałam. Nie musiałam nawet specjalnie udawać, mój zrozpaczony i przerażony ton głosu był zupełnie autentyczny. Dramatycznym gestem wskazałam za siebie i krzyknęłam: – Zaatakowano nas! Nikt nie przeżył!

Po chwili zbiegliśmy ze schodów i ruszyliśmy w kierunku głównych drzwi. Na terenie Centrum nie było co prawda tylu pracowników co za dnia, ale i tak w holu zebrał się teraz spory tłumek. Większość rzuciła się do ucieczki, ku głównemu wyjściu. Paru odważniejszych postanowiło pobiec schodami na górę.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wyglądałam chyba na tak samo przestraszoną jak wszyscy inni. Zauważyłam jednak, że parę osób podejrzliwie przyglądało się Lachlanowi, który został daleko w tyle, niosąc na ramionach Asha. Jakaś kobieta wskazała go palcem i powiedziała coś stojącemu obok mężczyźnie. Następnie rozejrzeli się po holu, po czym kobieta zaczęła gestykulować energicznie, przyzywając kogoś, kogo nie mogłam zobaczyć.

Obciążony Ashem Lachlan był dopiero w połowie długości schodów. Dzielił nas teraz na tyle duży dystans, że nikomu nie przyszłoby do głowy, że jesteśmy razem. Najchętniej odwróciłabym się do niego i zawołała, żeby się pospieszył, ale nie chciałam ryzykować. Posuwałam się teraz niespiesznym krokiem przez lobby, kierując się do wyjścia. Przez cały czas udawałam, że spoglądam w górę, ku wyższemu piętru, gdzie wydarzył się rzekomy atak terrorystyczny.

W pewnym momencie zrozumiałam, kogo przyzywała gestem kobieta. Funkcjonariusz zielonych koszul zbliżył się do niej i jej towarzysza szybkim krokiem, po czym omiół spojrzeniem hol, wypatrując osoby, na którą zwrócili mu uwagę. W kaburze u pasa miał pistolet. Byłam jednak zbyt daleko, by stwierdzić, czy to broń na ostrą amunicję.

Zresztą nie miało to większego znaczenia. Obojętne, czy zabije nas, czy tylko ogłuszy – tak czy inaczej nasza misja legnie w gruzach.

Najwidoczniej dał się przekonać parze gapiów, bo ruszył różnym krokiem, przecinając hol i kierując się do schodów, po których z mozołem zbiegał Lachlan.

– Nie ruszaj się! – zawołał mundurowy, a kiedy nie doczekał się żadnej reakcji, ruszył biegiem ku niemu.

Nie miałam pojęcia, co robić. Postąpiłam krok w stronę schodów. Miałam dwa wyjścia – mogłam pobiec do Lachlana i Asha albo od razu zaatakować zieloną koszulę. Zwlekałam jednak zbyt długo i w końcu uświadomiłam sobie, że nic już nie zdążę zrobić. Lachlan dotarł już niemal do końca schodów, a mundurowy odcinał mu drogę ucieczki. Widziałam, jak sięga do kabury.

W tym samym momencie ujrzałam kombinezon konserwatora. Lark stała niedaleko basenu u stóp wodospadu spływającego z wyższego piętra. Uniosła głowę i nasze spojrzenia na chwilę się spotkały. W jej oczach ujrzałam to samo pełne troski i miłości spojrzenie, które pamiętałam u mojej mamy. W ułamku sekundy zalała mnie fala wzruszenia, nogi się pode mną ugięły. Tak patrzyła na mnie mama, zanim oddała za mnie życie.

– Nie! – zawołałam. Nagle ogarnęło mnie straszne przeczucie, że Lark, chcąc nas ocalić, porwie się zaraz na jakiś straceńczy i heroiczny ruch.

I rzeczywiście tak się stało. Tyle że nie doceniłam jej pomysłowości.

Błyskawicznie porwała z wózka ciężki klucz i zaczęła nim majstrować przy panelu kontrolnym umieszczonym na dalszym brzegu basenu. Pojękując z wysiłku, zdołała przekręcić jakiś zawór w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

W pierwszej chwili nic się nie działo.

Jednak zaraz potem gdzieś nad moją głową rozległ się ogłuszający huk. Woda u szczytu wodospadu wybuchła spienionym, rwącym strumieniem, dziesięciokrotnie większym niż dotychczas, i runęła wielkim łukiem w dół, zalewając parter. W mgnieniu oka hol zamienił się w rwącą rzekę. Prąd był tak silny, że momentalnie powalił na ziemię funkcjonariusza zielonych koszul. Mundurowy, komicznie wymachując rękami, został przewleczony przez połowę długości

holu. Kilkanaście innych osób też dało się porwać przez sięgającą im zaledwie do kolan rzekę. Ja byłam na tyle daleko, że woda tylko obmywała mi stopy.

Lachlan, który nie zszedł jeszcze ze schodów, z wyraźnym rozbawieniem przypatrywał się odpływającemu mundurowemu. Po chwili odszukał wzrokiem Lark i posłał jej promienny uśmiech. Jej twarz ginęła pod daszkiem czapki, spod którego widać było tylko usta. Odwzajemniła jego uśmiech, po czym szybko kucnęła i zajęła się gmeraniem przy panelu, udając, że próbuje zaradzić awarii.

Świadomość, że między Lark a Lachlanem nawiązała się sympatia, przyniosła mi ulgę. Oboje zdołaliśmy bez dalszych przeszkód dotrzeć do wyjścia. Trujący gaz i powódź absorbowały bez reszty uwagę pracowników. W pewnym momencie rozległ się ryk syreny, ale trudno powiedzieć, czemu właściwie miało to służyć. Zaraz potem zobaczyłam, jak po schodach zbiega strażnik. *Bikk!* Był to ten sam, który wpuścił nas na teren więzienia. Krztusił się i ścisnął za gardło, jednak utrzymywał się na nogach. Prawdopodobnie w momencie ataku stał w miejscu, gdzie stężenie kamforowych toksyn nie było duże. Strażnik wskazywał na nas i coś wykrzykiwał, ale w całym tym zamieszaniu nikt nie mógł zrozumieć, o co mu chodzi. W końcu postanowił sam ruszyć w pościg. Uchwycił się kurczowo barierki schodów i zataczając się, począł zbiegać na dół.

Mieliśmy szczęście, że strażnicy z piętra więziennego nie mogli nosić przy sobie broni palnej. W przeciwnym razie mężczyzna już by nas zastrzelił.

Wreszcie wybiegliśmy z budynku, ale było jasne, że straciliśmy zbyt wiele cennego czasu.

– Gdzie nasz samochód? – spytałam, rozglądając się po podjeździe.

Nigdzie nie było go widać. Tak więc mieliśmy kolejny problem.

– Lachlan, wydaje mi się, że Ash przestał oddychać.

Nie miałam pewności, bo widziałam Asha, którego nadal niósł Lachlan, pod dziwnym kątem, zauważyłam jednak, że jego klatka piersiowa nie unosi się i nie opada. Pobiegliśmy ku wylotowi ulicy, rozglądając się za samochodem. W biegu zerwałam najpierw maskę Asha, a potem swoją. Mój brat miał zamknięte oczy, był strasznie blady. Chcąc go ocucić, uderzyłam go w policzek, ale nie zareagował. Jeśli w ogóle oddychał, jego oddech musiał być przeraźliwie płytki i słaby.

– Musimy jak najszybciej zanieść go do doktora! – stwierdziłam. Liczyłam na znajomości Lachlana – na pewno ma jakieś bezpieczne miejsce, w którym ktoś udzieli Ashowi pomocy. Nawet Flame mogłaby nam pomóc. Nawet... – Mój ojciec nam pomoże!

– Wykluczone, trzymajmy się planu – odparł zasapany Lachlan. – Musimy dostać się do Podziemia.

– Ale Ash potrzebuje pomocy! Przecież wszystko to robimy, by go uratować.

– Nie możemy ryzykować, pogoń depcze nam już pewnie po piętach. Musimy jak najszybciej znaleźć się w Podziemiu. Jeśli zostaniemy na powierzchni, namierzą nasz samochód i nas złapią.

– Jeśli Ash umrze, nie pomogę ci – zawołałam zdesperowana.

Lachlan zazgrzytał zębami, ale nic nie powiedział.

Okrążyliśmy już teren Centrum, ale na razie nikt nas nie gonił. Domyślałam się, że wszyscy w panice tłoczą się jeszcze przy głównym wejściu.

– Jest! – zawołał Lachlan, ruszając z wysiłkiem ku zaparkowanemu samochodowi.

W tym samym momencie usłyszałam kroki nadbiegającego strażnika. Nie odwróciłam się nawet w jego stronę, nie chcąc tracić ani sekundy. Lachlan wrzucił nieprzytomnego Asha na tylne siedzenie samochodu, a sam wskoczył na fotel kierowcy. Był pewien, że zaraz do niego dołączyć. Nie oglądając się nawet na mnie, przełączył samochód na sterowanie ręczne.

Wiedział, co robi. Musieliśmy jak najszybciej odjechać. Strażnik deptał nam już po piętach. Domyślałam się, że nawet jeśli nie zdoła zatrzymać samochodu, spíše jego numery rejestracyjne i niedługo będą nas ścigać wszystkie siły porządkowe Edenu. Wówczas nie zdążymy zapewnić Ashowi opieki medycznej – nie dotrzemy ani do sekretnych znajomych Lachlana, ani do Flame, ani do mojego ojca. Dlatego nie mogliśmy pozwolić, żeby ten strażnik zawiadomił kolegów o tym, jakim pojazdem się poruszamy.

– Wsiadłaś już? – zawołał Lachlan, nie odwracając się do mnie i dodając gazu na jałowym biegu.

– Tak! – odkrzyknęłam.

Jak tylko Lachlan usłyszał trzask zamykanych drzwi, dodał gazu i samochód wyrwał do przodu.

Ale beze mnie.

Ja biegłam ile sił w nogach w kierunku zbliżającego się strażnika. Po chwili wpadliśmy na siebie z impetem.

Był potężnie zbudowanym mężczyzną. Jego ciało wydawało mi się wielkie niczym pień drzewa kamforowego. Domyślałam się, że w normalnych okolicznościach po prostu odbiłabym się od niego, jednak strażnik, nadal chyba osłabiony po kontakcie z toksynami kamforowca, niezbyt pewnie trzymał się na nogach. Oboje runęliśmy na ziemię. Kiedy mężczyzna przygniótł mnie swoim ciężkim ciałem, pomyślałam, że nie mam szans. Zaczął mnie dusić, ściskając za szyję. Ręce miał lodowate, zapewne jeszcze po kontakcie z rozpylonymi w powietrzu toksynami. Przyciskając głowę do piersi, próbowałam go odepchnąć, ale bez skutku. Po chwili jednak zaczął się krztusić i kaszeć. Rozluźnił uchwyt, a ja wykorzystałam ten moment słabości, żeby zepchnąć go z siebie i zerwać się na nogi.

Liczyłam na to, że strażnik straci przytomność. Oznaczałoby to, że uniknę zranienia kolejnej osoby.

Zaraz jednak stało się jasne, że wszechświat nie zamierza wyświadczyć mi tej przysługi. Napad kaszlu minął, a mężczyzna uklęknął i wyciągnął do mnie ręce.

– Przepraszam – wyszeptałam, po czym z całej siły wymierzyłam mu kopniaka, trafiając

w bok czaszki.

Rozległ się głuchy dźwięk, od którego zrobiło mi się niedobrze.

Mężczyzna opadł bezwładnie na ziemię. Nie wiedziałam, czy żyje. Powtarzałam sobie w myślach, że najważniejsze, że nie będzie już mógł zapamiętać numerów rejestracyjnych naszego wozu. Samochód odjechał, Lachlan miał więc szansę uciec i zapewnić pomoc lekarską Ashowi.

A więc dokonałam tego – ocaliłam brata.

Ciekawe, czy Lachlan zorientował się już, że nie ma mnie w kabinie. A może nadal jest zbyt skoncentrowany na prowadzeniu wozu.

Poczułam się dziwnie wolna, jakbym zrobiła wszystko, czego ode mnie oczekiwano, i teraz nareszcie mogłam odpocząć. Nigdy bym siebie o to nie podejrzewała, ale czułam również ulgę, że Lachlan i Lark znaleźli się daleko: Lachlan zdołał już odjechać na bezpieczną odległość, a Lark na pewno, korzystając z zamieszania, wymknęła się po cichu z Centrum. Wreszcie znów byłam sama. I było to normalne, zawsze przecież tak było. Przez całe życie marzyłam o tym, by moja samotność dobiegła końca. Jednak przebywanie z ludźmi wysysało ze mnie energię. Teraz zostałam sama – Lark, Ash, Lachlan i wszyscy moi bliscy zniknęli.

Mimo to rozpierała mnie siła.

Jednak moja samotność nie trwała długo. Chwilę później zza rogu wynurzyło się pięciu czy sześciu funkcjonariuszy zielonych koszul. Kiedy zobaczyli mnie i powalonego na ziemię strażnika, zaczęli strzelać.

A ja, jak zawsze, puściłam się biegiem.

Nagle rozległ się grzmot i świat wokół mnie zadygotał. Nie zwracałam jednak na to uwagi. Ostatnio doświadczałam zbyt wielu dziwnych wizji, bym miała teraz przejmować się kolejną. Przestało się dla mnie liczyć, czy to, czego doznaję, jest prawdą czy złudzeniem. Ważny był tylko bieg przed siebie.



PANUJĄCY WOKÓŁ CENTRUM CHAOS POZWOLIŁ mi szybko zgubić pogoń i skryć się pod osłoną ciemności. Kiedy upewniłam się, że nikt mnie już nie goni, skierowałam się ku zewnętrznym kręgom. Nie wiedziałam, jak znaleźć wejście do Podziemi. Wcale nie byłam też pewna, czy w ogóle powinnam się tam udać. Co prawda w tej chwili nie słyszałam żadnych odgłosów świadczących o pogoni, wiedziałam jednak, że prędzej czy później władze wpadną na mój trop. A wówczas nieświadomie mogłabym im wskazać drogę do ukrytych drugich dzieci. Nie mogłam podejmować takiego ryzyka. Przez chwilę zastanawiałam się, czy by nie pobiec do Serpenty. Zaraz jednak przypomniałam sobie, że to miejsce jest już spalone. No to może jadłodajnia dla bezdomnych? Tak, to mogło się udać. Jeśli zdołam przeżyć tę noc, będę mogła wtopić się w tłum. Bywalcy kuchni mieli znajomości w Podziemiu.

Jednak szanse, że zdołam tam dobiec, były znikome.

Przeczuwałam, że nie przeżyję tej nocy. Byłam tego niemal pewna. Nie dawałam się zwiść brakowi pogoni i pozornemu spokojowi. Ile już razy, wbrew zdrowemu rozsądkowi, zdarzało mi się, uciekając, biegiem przemierzać Eden? Obawiałam się, że tej nocy moje szczęście się wyczerpie. Jednak powtarzałam sobie, że to nic. Ocalałam Asha i teraz jakaś część mnie będzie żyła w moim bracie. Przeżyją też wszystkie drugie dzieci. Lachlan wprawdzie straci mnie, a wraz ze mną moje drogocenne soczewki, ale przecież jest zaradnym i oddanym sprawie mężczyzną. Znajdzie sposób, by zapewnić bezpieczeństwo drugim dzieciom.

Pogodzenie się z własną śmiertelnością ma w sobie coś wyzwalającego. Postanowiłam, że skoro i tak umrę, to dlaczego nie miałabym zaryzykować i przejechać się autopętlą? Moje nowe oczy pozwalały mi przecież korzystać z takich udogodnień. Nie przejmując się niebezpieczeństwem, zesłam schodami na stację i poddałam się skanowaniu. Lustro zamrugało i zostałam wpuszczona na peron. Najwidoczniej osoba, w którą się teraz wcieliłam, miała na koncie jakieś środki finansowe. Autopętla traktowała mnie jak normalnego użytkownika.

Podczas jazdy wyzywająco spoglądałam w oczy pasażerom i uśmiechałam się do nich. Moje bezczelne zachowanie krępowało ich. Oczywiście nikomu z nich nie przyszło do głowy, że jestem oszustką. W dziwnie beztroskim nastroju wysiadłam na stacji w kręgu przylegającym do tego najbardziej zewnętrznego. *Ociężałość i smutek*, powtarzałam sobie, *są dobre dla ludzi, którzy nie wiedzą, co ich czeka*.

Zbliżał się świt, niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć. A ja rozglądałam się wkoło

zachwycona, podziwiając otaczające mnie piękno. Tak, dostrzegałam teraz piękno, mimo że w innych okolicznościach pozostawałoby ono dla mnie niewidoczne. Kiedy wylądowałam tu ostatnio, lękając się o życie, widziałam wkoło tylko nędzę. Teraz natomiast zwracałam uwagę na szczegóły, które dotychczas umykały mojej uwadze: widziałam, jak różowawe światło wstającego dnia muska krawędzie budynków i jak wiaterek unosi z ziemi pył, który wirując, przypomina jakieś podwodne rośliny. Kiedy pogodziłam się już z tym, że muszę umrzeć, świat ukazał mi nagle swoją cudowność. Powinnam chyba się tym smucić, prawda? Ja jednak odczuwałam po prostu zadowolenie, że byłam jego częścią. Małą częścią, i tylko przez krótką chwilę.

Po jakimś czasie odnalazłam jadalnię dla ubogich, jednak obok niej kręcił się człowiek, który wydał mi się podejrzany. Pewnie był to zwyczajny wygłodzony mężczyzna oczekujący na otwarcie kuchni, choć równie dobrze mógł to być przebrany wysłannik Centrum. Nie zwalniając kroku i nie spoglądając w tamtą stronę, minęłam jadalnię i poszłam dalej ulicą. Mężczyzna nie ruszył za mną. Ucieszyłam się, bo wcale nie *chciałam* umrzeć. Miałam nadzieję, że mimo wszystko zdołam dotrzeć w bezpieczne miejsce, nawiążę kontakt z Lachlanem, zobaczę znów brata, przegadam wiele godzin z Lark, a potem zajmę się moją szpiegowską misją. Tyle że liczyłam na to bez większego przekonania.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie powinnam zawrócić – może udałoby mi się jednak niepostrzeżenie wślizgnąć się do jadalni. Niedługo zrobi się całkiem jasno i nie będę już mogła poruszać się pod osłoną ciemności. Zaraz potem wpadłam jednak na jeszcze lepszy pomysł – wydostanę się poza granice Edenu. Przecież mogłabym przeczekać do zmierzchu w lesie syntetycznych fasolopodobnych roślin. Panuje tam przyjemny chłodek, a poza tym będę bezpieczna. Kto wie, może Lachlan się domyśli, gdzie się schroniłam. Może wybierze się tam po mnie.

Zanim jeszcze ich zobaczyłam i usłyszałam, wiedziałam skądś, że nadchodzą. Ale jak? Poczulałam, jakby w moim umyśle zadziałał jakiś nieznanym mi wcześniej mechanizm. Było tak, jakbym oglądała tę scenę z boku, niczym film wyświetlany na ekranie. Obraz równocześnie wydawał się bliski i odległy. Widziałam małą siebie. I widziałam, jak zauważają mnie zielone koszule. Nadeszli całą grupą, niosąc ręczne skanery. Miałam wrażenie, że obserwuję tę scenę z góry: dostrzegłam, że wszyscy skupiają na mnie uwagę i ruszają w moją stronę.

Powtarzałam sobie, że to tylko jakieś paranoiczne złudzenia. Oglądałam ich jakby okiem jakiegoś bota albo kamery przemysłowej, przecież to bez sensu.

Tłumaczyłam sobie, że to tylko wytwór mojej wyobraźni. Mimo to poderwałam się z ziemi i zmusiłam znów do biegu. Biegłam, aż ujrzałam przed sobą górę spiętrzonych gruzów. Nie wiedziałam tylko, czy granica ta ma zatrzymać mnie w środku, czy może na zewnątrz. Po chwili rozpoznałam to miejsce – to tędy niedawno zdołałam przycisnąć się na drugą stronę. Szybko

wsunęłam się do tunelu i zaczęłam się czołgać.

– Schowała się gdzieś tutaj – zawołał jeden z mundurowych.

– Widzisz ją?

– Skaner pokazuje, że jest w promieniu niecałych stu metrów.

Odkąd wprawiono mi implanty, stałam się łatwo namierzalna dla skanerów. Moje soczewki były połączone z Ekopanoptykonem. Zielone koszule nie wiedziały, że jestem Rowan, jednak najwyraźniej ktoś zdążył przeprowadzić skan, kiedy byłam w Centrum. Teraz mieli stosunkowo proste zadanie – wystarczyło przekazać moje dane kamerom i botom podłączonym do Ekopanu i zlecić im poszukiwania. Stając się pierwotną, utraciłam anonimowość.

– Tam jest! – zawołał jeden z funkcjonariuszy, zanim zdążyłam cała wpełznąć pod stertę gruzu. Poruszałam się tak szybko, jak tylko mogłam. Musiałam jednak obrać inną drogę, bo nagle okazało się, że zabrnęłam w ślepią uliczkę. Chciałam się wycofać, ale zielone koszule zdążyły już wpełznąć do tunelu za mną.

Usłyszałam wtedy cichutki pomruk. W pierwszej chwili pomyślałam, że pewnie umysł znów płata mi figle. Czyżby oprócz sprowadzania wizji moje implanty zaczęły dodatkowo tworzyć złudzenia dźwiękowe?

Jeszcze przez długi czas pełzałam, posuwając się pośród odpadków cywilizacji. Słyszałam dobiegający od tyłu stukot, jednak nie traciłam wiary. Liczyłam na to, że moi prześladowcy zgubią drogę w labiryncie gruzu i nie zdołają się wydostać.

Ale z drugiej strony ja też musiałam liczyć się z takim samym ryzykiem. Straciłam już poczucie kierunku. Pełzałam przed siebie, byle dalej od dźwięków pogoni. W tym momencie wydawało się to najrozsądniejszym rozwiązaniem.

Nagle dźwięki nasiliły się – wszędzie wkoło słyszałam grzechotanie. A więc otoczyli mnie? Ale jakim cudem?

Wreszcie dojrzałam wylot tunelu i popęzłam ku niemu. Jeśli zdołałabym wydostać się przed zielonymi koszulami i pobiec dalej, miałabym szansę ich zgubić.

Zanim jednak zdołałam dotrzeć do wylotu, poczułam, jak ziemia się trzęsie. Naprawdę się trzęsła, nie byłam w stanie tego wyprzeć ze świadomości. Odniosłam wrażenie, jakby cała planeta zadrżała, wzdychając ciężko z irytacji na ludzi, którzy po niej pełzali. Pierwsze drgania były stosunkowo delikatne.

Jednak to, co działo się potem, nie miało w sobie nic z delikatności i trwało dość długo.

Najpierw, jednym wściekłym pchnięciem, Ziemia wyrzuciła mnie do góry, tak że zderzyłam się ze sklepieniem tunelu. Gdy opadłam, na głowę zaczął mi się osypywać gruz.

Dobiegające z tyłu krzyki i jęki świadczyły o tym, że zielone koszule miały jeszcze mniej szczęścia. Jeden z krzyków urwał się gwałtownie. Ktoś inny zaczął wykrzykiwać imię Wolf, jednak nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Któryś z mundurowych zaczął żałośnie wzywać na pomoc swoją matkę.

Zdołałam do pasa wydostać się z tunelu, kiedy poczułam, jak nadchodzi kolejny potężny wstrząs. Zostałam, wraz z całą górą gruzu, wyniesiona w powietrze, po czym runęłam znów na dół. Kiedy gdzieś nad sobą usłyszałam przyprawiający o gęsią skórkę trzask, zaczęłam pełznąć na oślepe przed siebie. Nie miałam odwagi spojrzeć nawet w kierunku, z którego dobiegał hałas. Rozległ się ogłuszający łomot, po czym jakaś gigantyczna belka osunęła się z góry i przygwoździła mi nogę.

Wrzasnęłam z bólu, a mój krzyk złączył się z zawodzeniami pozostałych przy życiu zielonych koszul. W pierwszej chwili byłam pewna, że mam złamaną nogę. Ból był tak straszny, że spodziewałam się otwartego złamania. Kiedy jednak spróbowałam ją wyciągnąć, zrozumiałam, że po prostu zaklinowała się o coś na wysokości uda. W sumie nie miało to większego znaczenia – jeśli nawet nie odnajdą mnie tu mundurowi, umrę z odwodnienia.

Połową ciała byłam już na zewnątrz. Przedemną wznosiła się ściana fasolowego lasu. Gigantyczne roślinopodobne konstrukcje falowały łagodnie na wietrze.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że to wcale nie wiatr. Niektóre z olbrzymich fasolowych drzew rozchwiały się. Ziemia u stóp kępy rosnącej najbliżej mnie zaczęła się wyrzyszczać. A zaraz potem, jakby w zwolnionym tempie, ujrzałam, jak trzy spośród tych mechanicznych gigantów zaczynają się przechylać. Towarzyszył temu ogłuszający zgrzytliwy, trzeszczący dźwięk. Wszystkie trzy drzewa chyliły się powoli ku ziemi, padając akurat w miejsce, w którym leżałam.

Krzyknęłam jeszcze raz, wzywając pomocy, choć wiedziałam, że na żadną nie mogę liczyć. Ze wszystkich sił próbowałam wyrwać uwięzioną nogę, jednak tkwiła ona nadal przygnieciona wielką belką. Zdjęta pierwotnym strachem, z obnażonymi z wściekłości zębami, przyglądałam się bezradnie, jak trzy fasolowe drzewa, nabierając prędkości, poczynają zbliżać się ku mnie. Dwa z nich wpadły na siebie, a ich skrzyżowane gigantyczne pnie, podskakując, ześlizgnęły się po sobie nawzajem, nie wyrządzając mi żadnej krzywdy. Trzecie jednak leciało prosto na mnie.

Chciałam spotkać moje przeznaczenie z podniesionym czołem. Chciałam, by w tych ostatnich chwilach przepełniało mnie poczucie siły albo przynajmniej złość. Jednak, ku własnemu zawstydzeniu, w ostatniej sekundzie przed uderzeniem instynktownie zasłoniłam głowę rękami. Ryk padającego pnia ogłuszył mnie na moment. Sam ten dźwięk sprawił mi tak wielki ból, że sądziłam w pierwszej chwili, iż zostałam zmiążdżona. Zamiast tego, jakimś cudownym zrządzeniem losu, upadające drzewo uwolniło moją przygwożdżoną nogę. Szarpnięciem wyrwałam się z potrzasku. Kiedy zdyszana odczołgałam się nieco dalej, obejrzałam się za siebie i zobaczyłam, że padające drzewo runęło dokładnie pod takim kątem, by podważyć belkę, która mnie unieruchomiła.

To jednak wcale nie był jeszcze koniec. Wszędzie wokół drzewa waliły się na ziemię.

Podniosłam się z wysiłkiem i próbowałam biec, ale ziemia wybrzuszała się i usuwała mi się spod stóp. Dlatego padłam na kolana i zaczęłam poruszać się na czworakach.

Ziemia strząsała z siebie sztuczne drzewa. Odrywała sztuczne twory od swojej piersi i ciskała nimi z wściekłością. W tworzących się rozpadlinach ukazały się płataniny przewodów i kabli, które nagle wobec potężnej mocy planety okazały się czymś zupełnie absurdalnym. Urzeczona rozgrywającym się wokół mnie spektaklem, na kolanach niczym błagalnik, przypatrywałam się padającym drzewom.

Upadające na ziemię z hukiem gigantyczne pnie zbliżały się do mnie z każdą chwilą, podczas gdy próbowałam rozpaczliwie utrzymać równowagę. Próbowałam przeskakiwać z miejsca na miejsce, kucając, ale ziemia stała się płynna, przypominała teraz nanopiąsek na pustyni. Widząc nadlatujący z góry pień, rzuciłam się w bok, wymachując bezradnie kończynami. Poskręcany pień był coraz bliżej i nie miałam jak przed nim umknąć. Zwinęłam się w kłębek i nakryłam głowę rękami. Spodziewałam się, że mogę nie przeżyć tej nocy. Jednak nie sądziłam, że umrę w taki sposób.

Kiedy kolejne drzewo zahaczyło o pokryty splotami pień sąsiedniego i runęło kilka kroków od miejsca, gdzie leżałam, poczułam tylko gwałtowny podmuch powietrza. Huk był tak potężny, że ogłuchłam na kilka minut. Czepiając się wielkich liści, zdołałam podciągnąć się na pień powalonego drzewa i stanąwszy na nim, spojrzałam na ruchomą, pożerającą wszystko ziemię. Drżenia nieco osłabły, jednak grunt wokół mnie nadal przypominał wzburzone morze, a drzewa nie przestawały padać. Ruszyłam biegiem, skacząc po szerokich powykręcanych pniach i uskakując przed kolejnymi walącymi się drzewami.

Kiedy wreszcie na twarzy poczułam podmuch upalnego powietrza pustyni, przystanąłam i odwróciłam się twarzą do spustoszonego lasu. Ofiarą trzęsienia ziemi padła co najmniej połowa syntetycznych fasolopodobnych roślin. Wołałam nie zastanawiać się, jakie konsekwencje może to mieć dla Edenu. Co prawda tlen mieszkańcom dostarczały też wieże wodorostów i zdolne do fotosyntezy substancje wykorzystywane do budowy domów, jednak nie wiedziałam, czy to wystarczy. Czy teraz, gdy zabrakło tylu fasolowych drzew, Edenowi nie grozi śmierć przez uduszenie?

W pewnym momencie gdzieś w oddali, na przeciwnym brzegu morza powalonych drzew, dostrzegłam jakiś ruch. Dwóch funkcjonariuszy zielonych koszul zdołało wydostać się spod góry odpadków i teraz przedzierało się przez płataninę pni i porostów. Nie wiedziałam, czy na ich widok powinnam czuć ulgę czy rozczarowanie. Przypomniałam sobie krzyki ich umierającego kolegi, który wzywał na pomoc matkę, i w pierwszej chwili chciałam pobiec do ocalonych. Instynkt kazał mi sprawdzić, czy nic im się nie stało i czy można jakoś pomóc ich towarzyszom.

Jednak nie zrobiłam tego. Świat rządził się innymi prawami, a ludzie myśleli podług innych kategorii. My, ludzie, nie byliśmy altruistami. Walczyliśmy, zabijaliśmy i skwapliwie

wypełnialiśmy rozkazy. W ludzkim świecie przetrwać mógł tylko ten, kto upodobił się do całej reszty, a nawet stał się jeszcze gorszy. Tych dwóch mundurowych nie prosiło o pomoc, nie wydawało się też przejmować tym, czy ze mną wszystko w porządku. Nawet w obliczu tego katastrofalnego trzęsienia ziemi nie umieliśmy znaleźć wspólnego języka. Nadal woleliśmy walczyć, uciekać, ranić się i zabijać.

Kiedy otworzyli do mnie ogień, pobiegłam ku pustyni. Nie miałam innego wyjścia.

Pustynia była tak samo straszliwa, jak ją zapamiętałam. Upał zderzył się z moim ciałem niczym fala uderzeniowa wybuchu. Powietrze paliło mi płuca przy każdym oddechu. Ponieważ jednak moi prześladowcy nie przestawali strzelać, parłam bez przerwy naprzód. Zachodziłam w głowę, dlaczego nawet w takim momencie, gdy drżała ziemia pod ich stopami, zachowywali się, jakby dalej byli na służbie. Czy nie dawali za wygraną, bo obwiniali mnie o śmierć swoich towarzyszy? Ale przecież nie musieli wcale mnie gonić ani do mnie strzelać. To nie ja byłam powodem, dla którego tak postępowali. Czyżby nie docierało do nich, że mogliby po prostu zaprzestać pogoni?

Wiedziałam jednak, że nie mogę się zatrzymać. Musiałam zapuszczać się coraz dalej, w głąb tego rozżarzonego piekarnika, podczas gdy obaj mężczyźni usiłowali mnie zabić z powodów, których ani oni, ani ja nie rozumieliśmy.

W końcu zobaczyłam zbliżający się nanopiasek.

Wiedziałam już, czego wypatrywać. Nanopiasek migotał lekko na tle zwykłego piachu, który miał matowy popielaty odcień. Jeden spłacheć nanopiasku dostrzegłam za sobą, drugi ukazał się po mojej lewej ręce. Być może kolejny czał się na wprost mnie, ale nie miałam pewności. Nanopiach poruszał się w tempie, jakim mógłby iść spieszący się człowiek. Nadpływał z serca pustyni, kierując się prosto ku mnie. Ponieważ wstrząsy ziemi ustały na chwilę, poruszałam się teraz szybciej niż jego nadciągające kałuże. Zaraz jednak zjawilo się ich więcej – dostrzegłam dwie nowe zbliżające się po prawej stronie. Wiedziałam, że na skutek upału niedługo i tak zwolnię kroku. A wówczas nanopiasek dopadnie mnie, otoczy i pochłonie.

Moja poparzona skóra była cała czerwona. Upał był tak straszny, że nawet się nie pociłam. W pewnym momencie potknęłam się i przyklęknęłam na jedno kolano, ale zaraz poderwałam się i podjęłam mozolny marsz. Kiedy obejrzałam się przez ramię, zobaczyłam, że zielone koszule zatrzymały się na skraju pustyni. Nie mieli odwagi się tu za mną zapuścić. Dobrze to świadczyło o ich inteligencji.

A co by się stało, gdybym zmieniła kierunek i ruszyła z powrotem do nich? Czy zabiliby mnie, jak tylko znalazłabym się w zasięgu strzału? A może uznaliby, że to przecież absurdalne: jesteśmy jednymi z ostatnich ocalałych na Ziemi, a mimo to ścigamy się i polujemy na siebie. Moje rozmyślenia przerwał szmer zbliżającego się nieubłagane nanopiasku.

Niepewnie uniosłam dłoń i pomachałam w stronę dwóch maleńkich figurek rysujących się na

tle morza powalonych sztucznych drzew. Jedna z nich uniosła w odpowiedzi rękę. Zastanawiałam się, co ma znaczyć ten gest – chciał mi pomachać, a może przywołać mnie skinieniem? A może właśnie składał się do strzału?

Zanim zdołałam wybrać którąś z tych możliwości, Ziemia znów się przebudziła. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt, trzask i w następnej sekundzie doszło do największego z dotychczasowych wstrząsów – w jego efekcie ziemia wypiętrzyła się na co najmniej trzy metry, a ja straciłam równowagę i wylądowałam na brzuchu. Z wysokiego punktu obserwacyjnego, jaki teraz zajmowałam, spoglądałam w dal i miałam przez chwilę wrażenie, jakby planeta rozchyłała usta w uśmiechu, ukazując rząd poszczerbionych kamiennych zębów. Z początku sądziłam, że to znów soczewki płatają mi figle, zsyłając kolejną wizję. Jednak po chwili zrozumiałam, że ziemia naprawdę zaczyna pękać – utworzyła się w niej rozpadlina szeroka na piętnaście metrów. Przepaść rozwierała się od strony pustyni ku Edenowi, mknąc niczym strzała prosto w kierunku Centrum. W dali dostrzegałam olśniewającą zieleń połyskującą w samym sercu Edenu. Była ona tak jaskrawa, że nawet chwilę po tym jak oderwałam od niej wzrok, nadal miałam jej powidoki utrwalone na siatkówce.

A zaraz potem, w mgnieniu oka, świat uległ zmianie.

Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cały żar ulotnił się z powietrza. Niebo straciło swoją oślepiająco białą barwę i zabarwiło się różowawym porannym blaskiem – radosnym i kojącym. Ziemia drżała jeszcze przez chwilę, po czym wszystko znieruchomiało, a złowroga pustynia stała się zwykłą piaszczystą równiną. Piasek, kiedy go dotykałam, wydawał się chłodny. Przyjrzałam się swoim dłoniom, poparzonym i pokrytym bąblami. A już po chwili gdzieś zza pustyni nadpłynął chłodny zefirek. Jego dotyk był niczym pieszczota dla mojej poparzonej skóry.

Rozejrzałam się wokół, jednak migoczący nanopiasek zniknął bez śladu.

W podmuchach wiatru wyczuwałam jakiś intensywny, dziwny i fascynujący aromat. Wydawał się równocześnie dziki i uspokajający, przypominał nieco zapach drzewa kamforowego. Zwróciłam się ufnie w stronę, z której napływał. Wystarczyła ta chwila spokoju, by przerażenie ucieczką i trzęsieniem ziemi uleciało.

Na dalekim horyzoncie, gdzie dotychczas widać było jedynie drżące w upale powietrze, teraz rysował się wąski pas zieleni.

Ruszyłam w tamtą stronę. Postawiłam najpierw jeden krok, potem następny.

A chwilę później już biegłam. Pierwszy raz od dawna biegłam nie dlatego, że coś mnie goniło. Biegłam na spotkanie z czymś. Widok zieleniącego się horyzontu zbudził coś ukrytego głęboko we mnie. To coś przeczuwało, a wręcz wiedziało już, ku czemu biegnę. Moja świadomość nie sięgała jednak tak daleko. Wiedziałam tylko, że muszę jak najszybciej dostać się do celu.

Za plecami usłyszałam jakieś niewyraźne krzyki. Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam

biegnących za mną dwóch funkcjonariuszy zielonych koszul. Upał znikł, powietrze nie stanowiło już bariery, a piasek dawał teraz pewne oparcie ich stopom, dzięki czemu poruszali się sprawnie. Nie obchodziło mnie już, co będzie potem. Wiedziałam tylko, że muszę zmierzać ku horyzontowi. Popychało mnie coś, czego nie rozumiałam, jakaś pierwotna, atawistyczna siła.

Po pewnym czasie uświadomiłam sobie, że zmieniło się podłoże, po którym biegnę. Minęłam grząskie wydmy, w których zapadały się stopy, i teraz biegłam po czymś, co było tylko z wierzchu przysypane warstwą piachu. Nie zatrzymując się, kopnęłam lekko w piasek. Ziemia! Była to czarna, gęsta ziemia, której żaden z żyjących obywateli Edenu nie widział dotąd na własne oczy. Prawdziwa, naturalna gleba. Biegłam teraz roześmiana, walcząc z pokusą, by rzucić się na ziemię, turlać się po niej, ubrudzić sobie nią ręce, sprawdzić, jak smakuje.

Z wolna zielona kreska, ku której biegłam, zaczęła przemieniać się w coś cudownego.

Ile trwał ten bieg? Pokonałam może ze dwa, trzy kilometry, przemierzając teren, który jeszcze przed chwilą pokrywała pustynia. Teraz jednak stało się jasne, że była ona sztucznym tworem, jak niezliczone inne rzeczy w Edenie. W miarę jak wiaterek zdmuchiwał piach, spod niego zaczynały wyzierać metalowe kraty. Były to zapewne części grzejników, teraz wychłodzonych i nieczynnych. To one musiały sztucznie podnosić temperaturę, tworząc pustynne środowisko.

Jeszcze niedawno tłumaczyłabym to sobie w ten sposób, że pas pustyni okalający Eden miał chronić nas przed zapuszczeniem się na martwe, jałowe tereny i przed skażeniem, jakie sami sprowadziliśmy na nasz świat.

Mogłam tak myśleć do chwili, gdy ujrzałam prawdziwy las.

W porównaniu z tym, do którego się zbliżałam, las sztucznych fasolopodobnych drzew wyglądał jak kiepski żart. Kiedy go pierwszy raz ujrzałam, wydał mi się zachwycający, ponieważ nie miałam porównania. W zestawieniu z tym, na co teraz patrzyłam, nawet kamforowiec z Podziemia, mimo że wielki, piękny i niewiarygodny, okazywał się dość żaloszny. Drzewo kamforowe rosło w nienaturalnym dla siebie środowisku, tkwiło w więzieniu tak samo jak ja. Oczywiście jego opiekunowie dokonywali cudów, żeby utrzymać je przy życiu, a dzięki ich zabiegom kamforowiec rozwijał się wręcz wspaniale. Tym niemniej było w tym coś nienaturalnego, przecież miejsce drzewa nie jest pod ziemią.

Stałam teraz w wysokiej, sięgającej mi do kolan trawie, pełnej kwiatów i drapiących chwastów. Kiedy usłyszałam cichy pomruk, pomyślałam, że zbliża się kolejna fala wstrząsów. Dopiero po chwili zrozumiałam, że dźwięk wydawała pszczoła przelatująca niespiesznie z kwiatka na kwiatek.

Zaraz za niewielką łąką, niczym spod ziemi, wyrastała ściana gęstego, mrocznego lasu. Widziałam ptaszki skaczące po gałęziach. W pewnym momencie zauważyłam ruch z boku – jakieś zwierzę, wysokie jak ja, wysmukłe i pełne gracji, stąpało ostrożnie na krótkich, ostro zakończonych racicach. Jego czarne nozdrza poruszały się, gdy węszyło wkoło. Nad jego czołem

górowało wspaniałe poroże. Zwierzę wyczuwało najwyraźniej moją woń, ale nie dostrzegало mnie – zamarłam bez ruchu, domyślając się, że zapewne nigdy jeszcze nie widziało człowieka.

Oto nagle na własne oczy widziałam coś, o czym dotychczas tylko czytałam, co widziałam jedynie na ilustracjach w blokach danych i animacjach. Nie była to kolejna wizja ani żaden trik. To zwierzę naprawdę istniało.

Sztuczka polegała na tym, by trzymać je z dala od nas, ludzi.

Czyżby świat był już dawno uzdrowiony? Dlaczego w takim razie nikt nam tego nie powiedział? Czy w ogóle władze wiedziały o tym?

Zapragnęłam, by Lachlan i Lark mogli to zobaczyć. Ach, jaka szkoda, że nie widziała tego moja mama! Oddałabym wszystko, by mogła tu być ze mną i spoglądać na świat, który, jak sądziliśmy, przestał istnieć. Ileż razy Ash zaglądał do świątyni, by w imieniu całej ludzkości okazywać żal za grzechy i skruchę za straszne czyny, jakich dopuściliśmy się w stosunku do planety, zwierząt i gleby. Żyliśmy przytłoczeni poczuciem winy z powodu tego, że zniszczyliśmy nasz dom i uśmierciliśmy niemal wszystkie, z wyjątkiem nas samych, żyjące istoty. Pragnęłam, by ludzie, których kocham, mogli być teraz ze mną. Doświadczyliby wtedy, jak dręczące ich wyrzuty sumienia znikają zdmuchnięte delikatnym wietrzykiem.

Możliwe, że faktycznie wyrządziliśmy światu krzywdę. Możliwe, że zraniliśmy go, może nawet zabiliśmy.

Jednak on, najwyraźniej, powrócił do życia.

Westchnęłam, a wówczas jelen potrzęsnał swym wspaniałym porożem i uniósł na mnie wzrok. Przez chwilę stał nieruchomo, z uniesioną ramicą, po czym odwrócił się i sprężył się, w podskokach, pomknął w dal. Kiedy zniknął mi z oczu, poczułam ukłucie żalu. Ale przecież nie miało to żadnego znaczenia! Odnalazłam świat – świat, który wcale nie był martwy!

Na myśl o tym uśmiechnęłam się, a zaraz potem roześmiałam się na głos. Rozradowana rozejrzałam się za zielonymi koszulami. Nadal byli daleko, ale musieli już zauważyć las. Pomachałam do nich, zanosząc się histerycznym śmiechem. Nie mogłam się doczekać, aż podejdą i zobaczą te cuda. Wówczas nic innego nie będzie się dla nich liczyło. Oczami wyobraźni widziałam już mieszkańców Edenu, którzy odkrywają istnienie życia. Jak tylko stanie się jasne, że świat się odrodził, wszelkie społeczne podziały stracą na znaczeniu, zamożni i ubodzy zjednoczą się w zachwycie, a polityka, ubóstwo i problemy drugich dzieci zejną na dalszy plan.

– Spójrzcie! – zawołałam radośnie do mundurowych. – Możecie w to uwierzyć? Spójrzcie na to wszystko!

Puściłam się biegiem w ich kierunku. Chciałam rzucić im się na szyję i zatańczyć. Nie byli już wrogami, lecz ludźmi, wspólnie z którymi dokonałam tego wspaniałego odkrycia.

Biegłam, stąpając lekko najpierw po trawie, potem po piachu, aż wreszcie dotarłam

z powrotem na sztuczną pustynię.

– Chodźcie i zobaczcie! – wołałam.

Nagle poczułam, jak ze wszystkich stron atakuje mnie rozgrzane powietrze. Zostałam przez nie wchłonięta i oślepiąca białą jasnością. Widziałam, jak znad wyzierających spod piachu kratownic bucha żar. Najwyraźniej, po przerwie spowodowanej przez trzęsienie ziemi, zdołano już ponownie uruchomić mechanizm grzewczy.

Teraz nie miało to jednak znaczenia. Wiedziałam, że zaraz dołączą do mnie mundurowi. Wrócimy jakoś do Edenu, żeby podzielić się ze wszystkimi cudownymi nowinami. Wtedy władze Centrum wyłączą te ciepłe niewidzialne mury, które od tak dawna utrzymywały nas w niewiedzy na temat zewnętrznego świata. Zaczniemy żyć na nowo w prawdziwym świecie.

W tym przepięknym zielonym świecie, w którym roi się od ptaków i jeleni. W świecie pełnym drzew i zasobnym w żyzną ziemię, który zostawiłam za sobą.

Odwrociłam się... i nagle zorientowałam się, że las zniknął bez śladu.

Przed oczami miałam teraz wyłącznie migoczącą srebrzyście falę gorącego powietrza unoszącego się nad pustynnym piachem.

Z moich ust dobył się pozbawiony słów, zbolały jęk.

Las znikł.

Czy na pewno go widziałam?

Ależ tak, oczywiście! Wiedziałam, że był realny. Widziałam go, czułam jego zapach i dotyk na stopach. Był rzeczywisty.

Byłam przekonana, że nadal istnieje, mimo że z jakiegoś powodu nie mogłam go już zobaczyć.

Kiedy próbowałam ruszyć w kierunku, gdzie jeszcze niedawno wznosiła się ściana drzew, drogę zagrodziła mi ściana powietrza rozgrzanego do takiej temperatury, że nie mogłam przekroczyć tej bariery. Wsunęłam w nią dłoń, a kiedy ją cofnęłam, palce miałam pokryte bąblami.

Powtarzałam sobie, że przecież zielone koszule widziały to samo co ja. Będziemy mogli wrócić razem do Centrum i wszystkim o tym opowiedzieć.

W tym samym momencie mężczyźni rzucili się na mnie od tyłu. Upadłam przygnieciona ich ciałami, z twarzą wbitą w rozpalony piasek, tak że nie mogłam ani oddychać, ani nic zobaczyć. Próbowałam krzyczeć do nich, błagać o pomoc. Chciałam wytłumaczyć im, że cudowny żywy, pełen drzew świat, który odkryliśmy, jest ważniejszy niż ukaranie drugiego dziecka. Piasek tłumiał jednak wszystkie moje słowa.

W końcu jeden z napastników uderzył mnie w tył głowy i w następnej sekundzie ogarnęła mnie ciemność.

Jednak zanim straciłam przytomność, zrozumiałam, co to wszystko znaczy. Centrum

wiedziało, jaka jest prawda. Władze z premedytacją zatajały przed mieszkańcami wiedzę o tym, że Ziemia już dawno się uleczyła. Kto wie, może tak naprawdę nigdy nie została zniszczona? Z jakichś niezrozumiałych powodów wszystkich ocalonych ludzi władze trzymały zamkniętych w gigantycznej klatce, którą nazywaliśmy Edenem.

Kiedy odzyskałam przytomność, poczułam przyjemny chłód. Leżałam na łóżku, przebrana w czyste, jasne ubranie. Mordercza pustynia znikła bez śladu. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam szare ściany. I drzwi z niewielkim zakratowanym okienkiem.

W pewnym momencie pojawiła się w nim twarz jakiejś kobiety. Była brunetką o kręconych włosach i budzących sympatię piwnych oczach. Uśmiechnęła się do mnie.

– Świetnie, wygląda na to, że nasza przyjaciółka wreszcie się obudziła.

– Gdzie jestem? – spytałam zachrypniętym głosem.

Gardło miałam wyschnięte i obolałe.

– W miejscu, gdzie nic absolutnie ci nie grozi.

Czyżbym znalazła się w Podziemiu? Wciągnęłam głęboko powietrze przez nos, ale nie wyczułam ostrej, świeżej woni kamforowca.

– Ale las... – zaczęłam, ale kobieta zaraz mnie uciszyła.

– Będziesz mogła porozmawiać na ten temat podczas sesji – oznajmiła. *Jakiej sesji*, zastanowiłam się. – Najpierw powinnaś coś przekąsić.

Po tych słowach kobieta uchyliła klapkę w drzwiach, tuż przy samej podłodze, i wsunęła przez nią tacę z jedzeniem.

– Gdzie jestem? – powtórzyłam.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, z trudem opuściłam nogi na ziemię i dopiero wtedy zobaczyłam, że są skute łańcuchem na wysokości kostek. To samo z nadgarstkami.

– Rowan, znajdujesz się w więzieniu na terenie Centrum. Ale nie zabawisz tu długo – wyjaśniła kobieta delikatnym, kojącym tonem. – Przygotowaliśmy już dla ciebie inne miejsce. Tam będziesz mogła wyzdrowieć w bezpiecznych warunkach. Wiemy, że miałaś niełatwe życie. Odebrano ci szansę na zajęcie należnego ci miejsca pierwородnego dziecka. Sądzymy, że wkrótce, dzięki kuracji, będziesz mogła rozpocząć życie jako pełnoprawny członek społeczności Edenu.

Przechyliła lekko głowę w bok. Pręty krat rzucały teraz na jej twarz ukośne cienie.

– Rowan, bardzo się cieszymy, że do nas wróciłaś. Nie martw się, niedługo cię wyleczymy. Zanim się spostrzeżesz, wszystkie twoje urojenia znikną bez śladu.

– Nie rozumiem – wydukałam.

Nie miałam pojęcia, jak długo byłam nieprzytomna. Czułam się otumaniona, oczy miałam zamglone przez nowe implanty.

– Wiemy, że jesteś pierworodnym dzieckiem i że należne ci miejsce zajął brat. Przez całe życie karmiono cię kłamstwami. Wiemy też, że padłaś ofiarą niebezpiecznego podziemnego ugrupowania. Byłaś poddawana torturom, poddano cię praniu mózgu i zmuszono do pomagania tym ludziom; podawano ci środki odurzające i nakłoniono, byś uwierzyła w różne nieistniejące rzeczy. Całymi dniami bredziłaś coś o rosnących pod ziemią drzewach. Wspominałaś też o innych, jeszcze gorszych rzeczach.

– Gorszych?

– Nie przejmuj się – zaśmiała się łagodnie kobieta. – To nie twoja wina. Tamci ludzie nafaszerowali cię dziwną substancją psychotropową. Zapewne nawdychałaś się jej. Jej zapach utrzymywał się potem na twojej skórze jeszcze przez wiele dni. Szorowaliśmy cię bez końca, ale nic to nie pomagało. Bez przerwy bredziłaś o lesie rosnącym za pustynią. O pszczołach, ptakach i leśnych zwierzętach. Opisywałaś je w najdrobniejszych szczegółach. Prawdopodobnie te halucynacje były dla ciebie nie do odróżnienia od rzeczywistości. Pamiętasz coś z tego? Teraz jest już z tobą znacznie lepiej. Jeszcze kilka sesji i straszne wspomnienia nadużyć, jakich dopuścili się na tobie tamci ludzie, bezpowrotnie odejdą w niepamięć.

Nie, to wszystko nieprawda. Ludzie z Podziemia nie poddawali mnie torturom. To znaczy – owszem, zdarzył się taki moment, że mnie torturowano, ale to było znacznie bardziej skomplikowane. Czułam, że zawodzi mnie pamięć. Kobieta stwierdziła, że zostałam poddana praniu mózgu. To nie mogła być prawda – Lachlan po prostu ze mną rozmawiał i tłumaczył mi różne sprawy. Czy podano mi środki odurzające? Pamiętałam wyraźnie ostry, świeży aromat kamforowca. Lachlan wspomniał kiedyś, że wyciąg z drzewa kamforowego może posłużyć do wyprodukowania trucizny. Czy zatem dałam się oszołomić jego wyziewami?

Niemożliwe! Wiedziałam, co jest rzeczywiste, a co nie. Ta kobieta, mimo że przemawiała łagodnym, przymilnym tonem i zachowywała się w sposób budzący zaufanie, musiała kłamać.

– Ziemia nie jest martwa! – stwierdziłam stanowczo, podchodząc do drzwi.

– Rowan, zastanów się, co...

– Ziemia nie jest martwa! – krzyknęłam na cały głos. – Widziałam na własne oczy las i zwierzęta! Wystarczy przekroczyć pustynię! – Uczepiłam się kurczowo krat. Mój głos przerodził się teraz w ogłuszający pisk, którego nie rozpoznawałam. Wyrzucałam z siebie słowa z szybkością automatu: – Ta pustynia jest wytworem człowieka! To wszystko kłamstwo, kłamstwo! Musimy się stąd wydostać. Musimy pójść do lasu! Las żyje, świat żyje! Tylko Eden jest martwy!

Kobieta potrząsnęła ze smutkiem głową.

– Wydawało mi się, że twój stan się poprawił – powiedziała, a po chwili dodała, wzruszając ramionami: – Ale to nic, mamy dużo czasu.

Po tych słowach odwróciła się i odeszła w głąb korytarza. Przez zakratowane okienko

widziałam celę, z której wyrwaliśmy Asha. Ile czasu upłynęło od tamtej chwili? Nieco dalej dostrzegalam ciągnące się bez końca rzędy zakratowanych pomieszczeń.

Zbliżyłam usta do krat i zawołałam:

– Słyszycie mnie? – Kopnięciem odtrąciłam srebrzystą tacę z jedzeniem. Zaczęłam okładać pięściami ściany, aż spod zdartej skóry zaczęła się sączyć krew. – Okłamują was! Okłamują nas wszystkich!

Nie doczekałam się jednak żadnej odpowiedzi. Nikt nie zareagował na moje krzyki.

W końcu – po minucie, może godzinie, straciłam rachubę czasu – osunęłam się na kolana, a głos odmówił mi posłuszeństwa. Obok mnie leżała przewrócona taca, jedzenie rozsypało się po posadzce. Zwiesiłam głowę i wtedy ujrzałam swoje odbicie w wypolerowanej srebrnej tacy. Kiedy siedziałam pochylona, spod mojej koszuli wysunął się medalion z różowego kryształu.

Podniosłam tacę z ziemi i przyjrzałam się uważnie swojej twarzy. Długo wpatrywałam się w swoje oczy, których nie rozpoznawałam. Były szare i przygaszone. Ich barwa nie różniła się praktycznie od stalowej szarości tacy. To nie były moje oczy. Nie byłam już sobą.

Ogarnęło mnie zniechęcenie, ale szybko odepchnęłam to uczucie. Nie pozwolę, by odnieśli nade mną zwycięstwo. Wyrwę się z tego więzienia i opowiem mieszkańcom Edenu o lesie. Obojętne, co mi zrobią, obojętne, czym są owe „sesje” – nie zmuszą mnie do zapomnienia. Zachowam świadomość tego, co jest prawdą. I w końcu, pewnego dnia, znajdę sposób, by podzielić się nią z innymi.

Nie zapominaj, kim jesteś, powtarzałam do swojego odbicia w tacy, zaciskając palce na drogocennym medalionie, pamiątce z Podziemia. Nie masz już swoich oczu, jednak w środku nadal jesteś tą samą Rowan co kiedyś. Mogą cię do woli dręczyć, jednak musisz trzymać się prawdy – nigdy nie wolno ci zapomnieć o Lachlanie, Lark, Podziemiu, kamforowcu i lesie.

Zawarłam ze sobą pewien pakt – każdego dnia będę spoglądać w swoje odbicie i uczyć się siebie na pamięć. Dzięki temu zapamiętam, kim jestem. Zapamiętam wszystko, czego się nauczyłam. Centrum nie pozbawi mnie tej wiedzy.

Ze spojrzeniem utkwionym w swoim odbiciu, przez zdarte gardło, wyszeptałam:

– Widzę cię, Rowan.

A w tej samej chwili skądś dobiegł inny głos. Rozbrzmiewał nie we mnie, lecz jakby z boku. Cichutki, chłodny, mechaniczny powiedział:

– Ja cię też widzę, Rowan.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chciałbym podziękować moim wiernym czytelnikom, którzy są dla mnie najcudowniejszymi przyjaciółmi, o jakich mógłbym marzyć. Dziękuję Laurze Sullivan, która pomogła mi stworzyć świat Edenu i przelać tę wizję na papier. Dziękuję Rakeshowi Satyalowi za jego krytyczne uwagi i poprawianie moich błędów. Jestem też winien podziękowania wszystkim pracownikom agencji literackich UTA oraz Addition, którzy zawsze mnie wspierali i pomagali realizować moje pomysły. Dziękuję ci, Whitney, za to, że zawsze umiałaś pobudzić moją wyobraźnię. Chciałbym też podziękować mojemu chłopakowi, Danielowi – bez twojej miłości i wsparcia zginąłbym marnie. Zawsze będę cię kochał.